

LEE CHILD

ADRES
NIEZNANY

Jack
Reacher



CAFE



O książce

Jeszcze nie zaczęliście czytać powieści Lee Childa o Jacku Reacherze? Spróbujcie. Mogę się założyć, że przez jakiś czas nie będziecie robić nic innego.

Piotr Kofta,
„Dziennik Gazeta Prawna”

12 historii, których jeszcze nie znacie. 12 przygód. I 12 powodów, by wpaść w tarapaty i oczywiście wyjść z nich obronną ręką! Bo przecież Jack Reacher nigdy nie odpuszcza. Bez względu na to, czy jest nastolatkiem, który podczas awarii prądu odkrywa mroczną stronę miasta, czy świadkiem kradzieży tajemniczej torby, czy wpada na trop szpiega lub czy staje w intelektualne szranki z czterema kobietami. W jego wykonaniu nawet przyjemna wędrowka po Maine może się zamienić w niebezpieczny pościg. Człowiek bez walizki, bez celu, bez drugiego imienia. Bez adresu.

Wszystkie opowiadania o Jacku Reacherze po raz pierwszy w jednym zbiorze!

LEE
CHILD

ADRES
NIEZNANY

Z angielskiego przełożyli

JANUSZ OCHAB

ANDRZEJ SZULC

Wydanie elektroniczne



LEE CHILD

Brytyjski pisarz, od 1998 r. mieszkający w Nowym Jorku. W 2009 r. wybrany na prezesa stowarzyszenia Mystery Writers of America. Studiował prawo, potem pracował w teatrze i telewizji Granada. Zwolniony po 18 latach w wyniku restrukturyzacji, zainwestował w karierę literacką. W 1997 r. ukazała się jego pierwsza powieść – **Poziom śmierci**. Książka zdobyła Anthony Award za najlepszy debiut kryminalny i zapoczątkowała serię thrillerów ze wspólnym bohaterem, byłym żandarmem wojskowym Jackiem Reacherem, do której należą m.in.: **Echo w płomieniach**, **Siła perswazji**, **Jednym strzałem** (powieść zekranizowana jako *Jack Reacher* z Tomem Cruise'em w roli tytułowej), **Elita zabójców**, **Jutro możesz zniknąć**, **61 godzin**, **Czasami warto umrzeć**, **Ostatnia sprawa**, **Poszukiwany**, **Nigdy nie wracaj**, **Sprawa osobista**. Książki Lee Childa publikowane są w 43 krajach. Tom Cruise ponownie wcielił się w Reachera w adaptacji **Nigdy nie wracaj**.

www.leechild.com

Tego autora

Jack Reacher

POZIOM ŚMIERCI
UPROWADZONY
WRÓG BEZ TWARZY
PODEJRZANY
ECHO W PŁOMIENIACH
W TAJNEJ SŁUŻBIE
SIŁA PERSWAZJI
NIEPRZYJACIEL
JEDNYM STRZAŁEM

wydanie specjalne z opowiadaniem „Nowa tożsamość Jamesa Penneya”

BEZ LITOŚCI
ELITA ZABÓJCÓW
NIC DO STRACENIA
JUTRO MOŻESZ ZNIKNAĆ
61 GODZIN
CZASAMI WARTO UMRZEĆ
OSTATNIA SPRAWA

wydanie specjalne z opowiadaniem „Drugi syn”

POSZUKIWANY
NIGDY NIE WRACAJ
SPRAWA OSOBISTA
ZMUŚ MNIE
STO MILIONÓW DOLARÓW
ADRES NIEZNANY

oraz

NAJLEPSZE AMERYKAŃSKIE OPOWIADANIA KRYMINALNE 2010
(współautor)

Tytuł oryginału:
NO MIDDLE NAME.
THE COMPLETE COLLECTED JACK REACHER STORIES
Copyright © Lee Child 2017

All rights reserved
„Too Much Time” copyright © Lee Child 2017
„Second Son” copyright © Lee Child 2011
„High Heat” copyright © Lee Child 2013
„Deep Down” copyright © Lee Child 2012
„Small Wars” copyright © Lee Child 2015
„James Penney’s New Identity” copyright © Lee Child 1999
„Everyone Talks” copyright © Lee Child 2012
„Not a Drill” copyright © Lee Child 2014
„Maybe They Have a Tradition” copyright © Lee Child 2016
„Guy Walks into a Bar” copyright © Lee Child 2009
„No Room at the Motel” copyright © Lee Child 2015
„The Picture of the Lonely Diner” copyright © Lee Child 2015
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017
Polish translation copyright © Janusz Ochab & Andrzej Szulc 2017
Redakcja: Katarzyna Kumaszevska
Zdjęcie na okładce: Andrey Bayda/Shutterstock
Projekt graficzny okładki i serii: Mariusz Banachowicz

ISBN 978-83-8125-105-1

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Spis treści

[ADRES NIEZNANY \(*Too Much Time*\) przeł. Andrzej Szulc](#)

[DRUGI SYN \(*Second Son*\) przeł. Andrzej Szulc](#)

[WIELKI SKWAR \(*High Heat*\) przeł. Andrzej Szulc](#)

[CZARNA OWCA \(*Deep Down*\) przeł. Janusz Ochab](#)

[MAŁE WOJNY \(*Small Wars*\) przeł. Janusz Ochab](#)

[NOWA TOŻSAMOŚĆ JAMESA PENNEYA \(*James Penney's New Identity*\) przeł. Andrzej Szulc](#)

[KAŻDY W KOŃCU MÓWI \(*Everyone Talks*\) przeł. Janusz Ochab](#)

[TO NIE ĆWICZENIA \(*Not a Drill*\) przeł. Janusz Ochab](#)

[WIGILIJNE TRADYCJE \(*Maybe They Have a Tradition*\) przeł. Janusz Ochab](#)

[PRZYCHODZI FACET DO BARU \(*A Guy Walks into a Bar*\) przeł. Andrzej Szulc](#)

[WSZYSTKIE POKOJE ZAJĘTE \(*No Room at the Motel*\) przeł. Andrzej Szulc](#)

[NOCNE JASTRZĘBIE \(*The Picture of the Lonely Diner*\) przeł. Janusz Ochab](#)

Jack Reacher: CV

Imię i nazwisko: Jack Reacher

Narodowość: amerykańska

Urodzony: 29 października 1960 roku w Berlinie

Charakterystyczne dane: 195 cm; 99-110 kg; 127 cm w klatce piersiowej

Kolor włosów: ciemny blond

Kolor oczu: niebieski

Ubranie: kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

Wykształcenie: szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie; Akademia Wojskowa West Point

Przebieg służby: 13 lat w żandarmerii armii Stanów Zjednoczonych; w 1990 zdegradowany z majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w 1997 roku

Odznaczenia służbowe: Srebrna Gwiazda, Medal za wzorową służbę, Medal Żołnierza, Legia Zasługi, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce.

Ostatni adres: nieznany

Czego nie ma: prawa jazdy; dokumentu ze zdjęciem; osób na utrzymaniu

ADRES NIEZNANY

Minuta ma sześćdziesiąt sekund, godzina sześćdziesiąt minut, doba dwadzieścia cztery godziny, tydzień siedem dni, rok pięćdziesiąt dwa tygodnie. Reacher przeliczył to wszystko w pamięci i wyszło mu, że rok ma nieco ponad trzydzieści milionów sekund. W tym czasie w samych Stanach Zjednoczonych popełnianych jest prawie dziesięć milionów przestępstw. Jedno mniej więcej na trzy sekundy. Czyli całkiem często. Zobaczenie jakiegoś na własne oczy, osobiście i z bliska, nie jest wcale takie nieprawdopodobne. Liczyło się oczywiście miejsce, w którym człowiek się znajduje. Większe szanse ma się w środku miasta niż na środku pastwiska.

Reacher był akurat w jakiejś zabitej deskami mieścinie w Maine. Nie w pobliżu jeziora. Nie w pobliżu wybrzeża. Nie poławiano tu homarów. Ale jakiś czas temu miejscowość musiała całkiem nieźle prosperować. To było jasne. Ulice były szerokie, budynki z cegły. Ślady dawnej świetności. W eleganckich niegdyś butikach mieściły się sklepy z tandetą. Ale nie wszystko było jeszcze stracone. W sklepach z tandetą przynajmniej czymś handlowano. Była też sieciowa kawiarnia. Z wystawionymi na zewnątrz stolikami. Ulice były prawie gwarne. Sprzyjała temu pogoda. Był pierwszy dzień wiosny – świeciło słońce.

Reacher skręcił w ulicę tak szeroką, że zamknięto ją dla ruchu i nazwano placem. Między stojącymi z obu stron budynkami z gołej czerwonej cegły stały kawiarniane stoliki i kręciło się mniej więcej trzydzieści osób. Reacher objął wzrokiem całą scenę. Aktorzy znajdowali się w przypadkowych miejscach. Później uświadomił sobie, że pozycje tych najważniejszych można było opisać na przykładzie dużej litery T. On był u jej podstawy i patrzył w górę. Czterdzieści metrów przed nim, na wysokości poprzeczki T, znajdowała się młoda kobieta. Przechodziła z prawej do lewej przez szeroką ulicę, z jednego chodnika na drugi. Na ramieniu zawiesiła płócienną torbę na zakupy. Torba nie była chyba zbyt ciężka, w naturalnym kolorze, jasna na tle jej ciemnej bluzki. Dziewczyna mogła mieć dwadzieścia lat. Albo mniej. Może tylko osiemnaście. Szła powoli z podniesioną głową, wystawiając twarz do słońca.

I nagle po lewej stronie poprzeczki T pojawił się chłopak. Poruszał się o wiele szybciej, biegiem, i kierował prosto na nią. Był mniej więcej w tym samym wieku. W tenisówkach, obcisłych czarnych spodniach i bluzie z kapturem. Złapał torbę i zerwał ją z ramienia kobiety. Ta wywróciła się na ziemię, otwierając usta w czymś w rodzaju niemego krzyku. Chłopak w kapturze wcisnął pod pachę torbę jak piłkę do futbolu, skręcił w prawo i pognął wzdłuż pionowej kreski T, dokładnie tam, gdzie był Reacher.

A potem po prawej stronie poprzeczki T pojawili się dwaj faceci w garniturach. Szli tą samą trasą co wcześniej dziewczyna. Mieli mniej więcej dwadzieścia metrów do niej. Do napadu doszło dokładnie na ich oczach. Zareagowali tak, jak zrobiłaby większość ludzi. Na ułamek sekundy zastygli w bezruchu, wodząc wzrokiem za uciekającym chłopakiem, a potem podnieśli w niezborny sposób ręce i zawołali coś, co mogło brzmieć jak „Hej!”.

Następnie rzucili się w pogoń. Tak jakby starter strzelił z pistoletu. Biegli szybko, podnosząc wysoko kolana, z powiewającymi połami marynarek. Gliniarze, pomyślał Reacher. To musieli być gliniarze. Wskazywała na to ich zgodna reakcja. Nie spojrzeli nawet jeden na drugiego. Kto inny by się tak zachował?

Czterdzieści metrów od Reachera młoda kobieta podniosła się z ziemi i uciekła.

Gliniarze biegli dalej. Ale chłopak w czarnej bluzie miał nad nimi przewagę dziesięciu metrów i gnał wiele szybciej. Nie mieli szans go dopaść. W żadnym razie. Prawa fizyki.

Chłopaka w tym momencie dzieliło od niego dwadzieścia metrów. Biegł zygzakiem, robiąc zwody w lewo i w prawo. Do Reachera zostały mu trzy sekundy. Widział przed sobą jedyną oczywistą lukę. Jedyną wolną drogę. Dwie sekundy. Reacher dał krok w prawo. Została jedna sekunda. Kolejny krok. Reacher wyrznął chłopaka biodrem i posłał go wywijającego rękami i nogami na ziemię. Płócienna torba poszybowała w powietrzu. Chłopak przeleciał i przeturlał się po ziemi może jeszcze ze trzy metry i w tym momencie dopadli go faceci w garniturach. Wokół nich od razu zebrał się mały tłumek. Płócienna torba wylądowała na ziemi mniej więcej metr od stóp Reachera. Na górze miała zasunięty szczelnie zamek błyskawiczny. Pochylił się, żeby ją podnieść, ale potem się rozmyślił. Lepiej nie dotykać dowodów rzeczowych, lepiej zostawić je tam, gdzie są. Cofnął się o krok. Za jego ramieniem gromadzili się kolejni gapie.

Gliniarze pomogli oszołomionemu chłopakowi usiąść i skuli mu ręce za plecami. Jeden z nich został, żeby go pilnować, drugi podszedł i podniósł torbę. Robiła wrażenie płaskiej i lekkiej. Jakby spuszczone z niej powietrze. Jakby nic w niej nie było. Gliniarz popatrzył na otaczających go ludzi i skupił wzrok na Reacherze. Wyjął z kieszeni na biodrze etui i wprawnym ruchem je otworzył. Za mleczną plastikową szybką widniała legitymacja. Detektyw Ramsey Aaron, z policji hrabstwa. Zdjęcie przedstawiało tego samego faceta, tyle że młodszego i nie tak zdyszanego.

– Dziękuję bardzo, że nam pan w tym pomagał – powiedział Aaron.

– Drobiazg – odparł Reacher.

– Widział pan dokładnie, co się wydarzyło?

– Mniej więcej.

– W takim razie będę chciał, żeby złożył pan zeznanie na piśmie.

– Widział pan, że ofiara kradzieży uciekła?

– Nie, nie widziałem tego.

– Najwyraźniej nic jej się nie stało.

– Dobrze wiedzieć – rzucił Aaron. – Mimo to chciałbym, żeby złożył pan zeznanie na piśmie.

– Był pan bliżej ode mnie – zauważył Reacher. – To wydarzyło się dokładnie na pana oczach. Niech pan sam złoży zeznanie.

– Szczerze mówiąc, proszę pana, lepiej będzie, jeśli zeznanie złoży zwykły obywatel. To znaczy cywil. Członkom ławy przysięgłych nie zawsze podobają się zeznania policjantów. Takie czasy.

– Byłem kiedyś gliniarzem – rzucił Reacher.

– Gdzie?

– W wojsku.

– W takim razie jest pan nawet kimś lepszym od zwykłego obywatela.

– Nie mogę tu zostać do procesu – oświadczył Reacher. – Tylko tędy przejeżdżałem. Muszę ruszać dalej.

– Nie będzie żadnego procesu – zapewnił go Aaron. – Jeśli będziemy mieli naoczego świadka, który jest w dodatku wojskowym weteranem i doświadczonym policjantem, obrona będzie musiała zawrzeć ugodę. To kwestia prostej arytmetyki. Plusów i minusów. Tak jak przy ocenie zdolności kredytowej. Tak to teraz działa.

Reacher nie odpowiedział.

– Proszę o dziesięć minut pańskiego czasu – podjął Aaron. – Widział pan to, co widział. Co się może stać złego?

– W porządku – zgodził się Reacher.

• • •

Dziesięć minut minęło, zanim cokolwiek się wydarzyło. Stojąc na ulicy, czekali, aż podjedzie radiowóz i zabierze chłopaka do komisariatu. W końcu się pojawił, a wraz z nim karetka, żeby sprawdzić jego parametry życiowe. Żeby ocenić, czy można go przesłuchać. Żeby uniknąć sytuacji, w której w niewyjaśnionych okolicznościach zmarłby podczas zatrzymania. Wszystko to zajęło sporo czasu. W końcu jednak załadowano chłopaka na tylne siedzenie, umundurowani usiedli z przodu i radiowóz odjechał. Gapie wrócili do swoich spraw. Reacher i dwaj gliniarze zostali sami.

Drugi policjant nazywał się Bush. Niespokrewniony z Bushami z Kennebunkport. On również był detektywem policji hrabstwa. Powiedział, że zaparkowali samochód w uliczce za rogiem. Pokazał gdzie. Tam właśnie zaczął się ich zaplanowany spacer w słońcu. Ruszyli teraz wszyscy w tamtą stronę. Wzdłuż pionowej kreski T, a potem w prawo wzdłuż poprzeczki; gliniarze wracali tam, skąd przyszli, Reacher podążał za nimi.

– Dlaczego poszkodowana uciekła? – zapytał.

– To coś, na co będziemy musieli znaleźć odpowiedź – odparł Aaron.

Samochodem okazał się stary ford crown victoria, sfatygowany, lecz nie zdezelowany. Czysty, lecz nie lśniący. Reacher siadł z tyłu, co wcale mu nie przeszkadzało, bo był to zwyczajny sedan. Bez kuloodpornej szyby między

przednimi i tylnymi siedzeniami. Która mogłaby się źle kojarzyć. I z masą miejsca na nogi, kiedy siadło się bokiem i oparło plecami o drzwi, co z przyjemnością zrobił, uznawszy, że tylne drzwi policyjnego samochodu nie otworzą się raczej pod lekkim naciskiem. Był przekonany, że ci, którzy zaprojektowali ten wóz, najprawdopodobniej zabezpieczyli pasażerów przed taką ewentualnością.

Po krótkiej przejażdżce dotarli do ponurego niskiego budynku z betonu na obrzeżach miasta. Na dachu były wysokie anteny i talerze satelitarne. Na parkingu stały w rzędzie trzy nieoznakowane sedany i samotny czarno-biały radiowóz, dalej było około dziesięciu wolnych miejsc i na samym końcu kompletnie rozbity niebieski SUV. Detektyw Bush zaparkował na miejscu oznaczonym D2. Wszyscy wysiedli. Na niebie nadal wisiało blade wiosenne słońce.

– Żeby pan nas źle nie oceniał – odezwał się Aaron. – Im mniej kasy pakujemy w nasze budynki, tym więcej możemy wydać na łapanie bandytów. Chodzi o właściwe priorytety.

– Mówi pan jak burmistrz – stwierdził Reacher.

– Zgadł pan. To słowa jednego z członków rady miejskiej. Dokładnie zacytowane.

Weszli na posterunek. Wewnątrz nie było tak źle. Reacher przez całe życie odwiedzał od czasu do czasu rządowe gmachy. Niekoniecznie eleganckie marmurowe pałace w Waszyngtonie, ale brudne zapuszczone budynki, gdzie sprawuje się prawdziwą władzę. A jeśli chodzi o luksusy, komisariaty policji hrabstw mieściły się mniej więcej w połowie skali. Ich głównym minusem były niskie sufity. Co wynikało z pecha. Nawet rządowi architekci ulegają czasami podszeptom mody i w czasach, kiedy karierę robiło słowo „atomowy”, preferowali przez krótki okres toporne betonowe konstrukcje, tak jakby ludziom w latach pięćdziesiątych miała dodać otuchy świadomość, że siły ładu i porządku rezydują w twierdzach odpornych na atak nuklearny. Bez względu na to, jakie przyświecały im cele, we wnętrzach, które były ciasne i zagracone, zbyt często ujawniała się atmosfera zamkniętego bunkra. Co stanowiło jedyny realny problem tego komisariatu. Reszta wydawała się raczej w porządku. Wystrój był może trochę spartański, ale komuś rozsądnemu powinno to wystarczyć. Miejsce wyglądało na takie, w którym dobrze się pracuje.

Aaron i Bush zaprowadzili Reachera do pokoju przesłuchań mieszczącego się przy korytarzu równoległym do tego, gdzie urzędowali detektywi.

– Nie załatwimy tego przy waszym biurku? – zapytał.

– Tak jak pokazują w serialach telewizyjnych? – odparł Aaron. – Nie wolno nam. Po jedenastym września już nie. Nieupoważnione osoby nie mają wstępu do pomieszczeń, w których prowadzi się działania operacyjne. A pan nie jest upoważniony, dopóki pańskie nazwisko nie pojawi się na oficjalnym dokumencie stwierdzającym, że współpracuje pan z nami w charakterze świadka. Którego to dokumentu oczywiście jeszcze nie wystawiliśmy. Poza tym jesteśmy dzięki temu lepiej kryci. Takie czasy. Gdyby miał pan się poślizgnąć i upaść, wolelibyśmy,

żeby w pomieszczeniu była kamera i zarejestrowała, że w tym panu nie pomogliśmy.

– Jasne – odparł Reacher.

Weszli do środka. Pomieszczenie było standardowe. Jego opresyjny, przytłaczający charakter potęgowała świadomość tysięcy ton betonu, które otaczały tu człowieka ze wszystkich stron. Wewnętrzne ściany nie były otynkowane, lecz pomalowane tyle razy, że robiły wrażenie śliskich i gładkich. Farba była jasnozielona i efektu kolorystycznego nie łagodziły ekologiczne świetlówki. Całość mogła przyprawiać o chorobę morską. W przeciwległej ścianie osadzone było duże lustro. Bez wątplenia weneckie.

Reacher siadł przed nim, po tej stronie stołu, która przeznaczona była dla przesłuchiwanego, naprzeciwko Aarona i Busha, którzy mieli przed sobą bloki do pisania i całe garście długopisów. Na samym początku Aaron uprzedził, że rejestrowane będą głos i obraz. Następnie poprosił go o podanie nazwiska, daty urodzenia oraz numeru ubezpieczenia społecznego, które to dane Reacher wyrecytował im zgodnie z prawdą, bo dlaczego nie? Następnie Aaron poprosił go o podanie aktualnego adresu i to zapoczątkowało wielką debatę.

– Bez stałego miejsca zamieszkania – odparł Reacher.

– Co to znaczy? – zapytał Aaron.

– To, co słyszycie. To dobrze znane określenie.

– Nigdzie pan nie mieszka?

– Mieszkam w wielu miejscach. Każdej nocy gdzie indziej.

– W kamperze? Jest pan na emeryturze?

– Nie mieszkam w kamperze – odparł Reacher.

– Innymi słowy jest pan bezdomny – powiedział Aaron.

– Ale dobrowolnie.

– Co to znaczy?

– Przenoszę się z miejsca do miejsca. Dzień tu, dzień tam.

– Dlaczego?

– Bo to lubię.

– Podobnie jak turysta?

– Powiedzmy.

– Gdzie jest pański bagaż?

– Nie mam bagażu.

– Nie ma pan żadnych rzeczy?

– W sklepie na lotnisku widziałem małą książeczkę. Mamy się podobno wyzbycić wszystkiego, co nie sprawia nam radości.

– Więc wyrzucił pan swoje rzeczy?

– Już wcześniej ich nie miałem. Doszedłem do tego przed wielu laty.

Aaron spojrzał niepewnym wzrokiem na swój blok do pisania.

– Więc jakie słowo najlepiej pana określa? Włóczęga?

– Wędrowny. Występujący w wielu miejscach. Przejściowy. Epizodyczny – odparł Reacher.

– Czy zwolniono pana ze służby wojskowej z jakiegoś rodzaju diagnozą?

– Czy osłabiłoby to moją wiarygodność w charakterze świadka?

– Mówiłem już panu. To jest jak ocena zdolności kredytowej. Brak stałego adresu nie jest dobry. Jeszcze gorszy byłby stwierdzony stres pourazowy. Obrona mogłaby zgłosić zastrzeżenia co do pańskiej poczytalności. Mogliby podważać pańskie zeznanie.

– Służyłem w sto dziesiątej jednostce żandarmerii wojskowej – powiedział Reacher. – Nie obawiam się stresu pourazowego. To stres pourazowy obawia się mnie.

– Sto dziesiąta? Co to takiego?

– Elitarna jednostka.

– Jak długo jest pan w stanie spoczynku?

– Dłużej, niż byłem na służbie.

– No dobrze – mruknął Aaron. – W końcu to nie ja będę decydował. Dziś wszystko zależy od liczb, tak po prostu. Procesy toczą się we wnętrzu laptopów. Specjalny software. Dziesięć tysięcy symulacji. To dominujący trend. Kilka punktów w tę lub inną stronę może mieć zasadnicze znaczenie. Brak stałego adresu nie jest korzystny, nawet bez innych minusów.

– Albo wam to pasuje, albo nie.

Pasowało, zgodnie z tym, czego spodziewał się Reacher. Wszystko mogło im się przydać. I zawsze mogli później z czegoś zrezygnować. Absolutnie normalne. Mnóstwo dobrej roboty idzie na marne nawet w sprawach, które są z pozoru nie do przegrania. Zrelacjonował więc to, co zobaczył, starannie, metodycznie, wyczerpująco, od początku do końca, od lewej do prawej, z góry do dołu, i zgodzili się później wszyscy, że nie ma więcej nic do dodania. Aaron kazał Bushowi spisać i wydrukować zeznanie, żeby Reacher mógł je podpisać.

– Jeszcze raz dziękuję – powiedział, kiedy Bush wyszedł na korytarz.

– Drobiazg – rzucił Reacher. – A teraz niech pan mi powie, dlaczego was to tak interesuje.

– Jak pan sam widział, rzecz wydarzyła się na naszych oczach.

– Co, jak zaczynam sądzić, wydaje się najbardziej ciekawe. To znaczy, jakie były szanse? Detektyw Bush zaparkował na miejscu D dwa. Co oznacza, że w zespole detektywów jest na drugim miejscu. Ale to on prowadził samochód i teraz to on załatwia za pana papierkową robotę. Co oznacza, że pan jest numerem pierwszym. I że dwie najważniejsze szczy w komisariacie policji hrabstwa zupełnie przypadkowo przechadzały się na słońcu dwadzieścia metrów od dziewczyny, która została akurat napadnięta.

– Zbieg okoliczności – odparł Aaron.

– Moim zdaniem, śledziliście ją – powiedział Reacher.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Bo najwyraźniej nie obchodzi was, co się z nią później stało. Prawdopodobnie dlatego, że wiecie, kim jest. Wiecie, że wkrótce wróci, żeby wam o wszystkim opowiedzieć. Lub wiecie, gdzie ją znaleźć. Bo ją szantażujecie. Albo to wasza informatorka. Albo jest tak jak wy policjantką i pracuje pod przykrywką. Tak czy inaczej, jesteście przekonani, że nic jej nie będzie. Nie martwicie się o nią.

Interesuje was przede wszystkim torba. Dziewczyna została brutalnie napadnięta, ale wy zabezpieczyliście przede wszystkim torbę. To ona jest dla was ważna. Choć nie bardzo wiem dlaczego. Wydawała się pusta.

– Wygląda to na jakiś wielki spisek, prawda?

– To pan użył słów, które na to wskazują – odparł Reacher. – Podziękował mi pan za pomoc. Pomoc w czym dokładnie? W sytuacji trwającej ułamek sekundy? Gdyby o to chodziło, nie użyłby pan takich słów. Cholera, powiedziałby pan, to było coś, prawda? Albo coś podobnego. Lub podniósłby pan po prostu brew. Na znak porozumienia, żeby przełamać pierwsze lody. Jakbyśmy byli dwoma zwykłymi ucinającymi gadkę facetami. Tymczasem podziękował mi pan całkiem formalnie. „Dziękuję bardzo, że nam pan w tym pomagał”, powiedział pan.

– Chciałem być uprzejmy – stwierdził Aaron.

– Moim zdaniem tego rodzaju oficjalne podejście nie może być spontaniczne. I powiedział pan „w tym”. W czym? Żeby przyswoić sobie coś jako „to”, potrzebował pan, według mnie, więcej niż ułamek sekundy. Musiał pan to zrobić już wcześniej. I użył pan aspektu niedokonanego. Powiedział pan, że wam pomagałem. Co sugeruje, że miał pan na myśli coś trwającego dłużej. Coś, co zaczęło się, zanim ten chłopak wyrwał dziewczynie torbę, i będzie trwało dalej. Użył pan poza tym liczby mnogiej. Pomagałem wam. Panu oraz Bushowi. W czymś, co pan już sobie przyswoił, co trwało od pewnego czasu i co wymknęło się trochę spod kontroli, lecz w ostatecznym rozrachunku szkody udało się zminimalizować. Myślę, że właśnie za taką pomoc mi pan dziękował. Bo odczuwał pan dużą ulgę. Bo gdyby chłopakowi udało się uciec, mogło się to skończyć o wiele gorzej. Dlatego powiedział pan „dziękuję bardzo”. Z o wiele większym przekonaniem, niż gdyby chodziło o trywialny napad. Ta sprawa była dla pana bardzo ważna.

– Byłem grzeczny.

– I sądzę, że moje zeznanie jest głównie dla szefa policji i członków rady miejskiej, nie na użytek gier komputerowych. Żeby im udowodnić, że to nie była wasza wina. Żeby pokazać, że to nie wy o mało nie spieprzyliście jakiejś trwającej od dłuższego czasu operacji. Dlatego potrzebowaliście cywila. Dobra była każda osoba trzecia. W przeciwnym razie pan i Bush musielibyście składać zeznania we własnej sprawie, wzajemnie się kryjąc.

– Wybraliśmy się na spacer.

– Nawet na siebie nie spojrzeliście. Bez chwili zastanowienia rzuciliście się w pogoń za tą torbą. Myśleliście o tej torbie przez cały dzień. Albo przez tydzień.

Aaron nie odpowiedział i Reacher nie miał sposobności tego z nim przedyskutować, ponieważ w tym momencie drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich głowa kogoś innego. Kto dał detektywowi znak, że chce z nim zamienić słówko. Aaron wyszedł i zatrzasnęły się za nim drzwi. Ale zanim Reacher zaczął się martwić, czy go przypadkiem nie przymknęli, otworzyły się ponownie i Aaron zajrzał do pokoju.

– Dalszy ciąg przesłuchania poprowadzą inni detektywi – oznajmił.

Drzwi ponownie się zatrzasnęły.

I ponownie otworzyły.

Pierwszy wszedł facet, który wsadził przed chwilą głowę do pokoju. W ślad za nim ktoś bardzo do niego podobny. Obaj wyglądali jak klasyczni mieszkańcy Nowej Anglii na historycznych czarno-białych fotografiach. Produkt wielu pokoleń ciężkiego znoju i surowych samoograniczeń. Obaj chudzi i żyłaści, same ścięgna i więzadła, skóra i kości. Obaj mieli na sobie luźne spodnie i niebieskie sportowe marynarki, a pod nimi kraciaste koszule. Ostrzyżeni na zapałkę. Żadnej dbałości o styl. Czysta funkcjonalność. Oświadczyli, że pracują w Agencji Zwalczenia Narkotyków stanu Maine. I że dochodzenia prowadzone przez stan mają pierwszeństwo przed dochodzeniami prowadzonymi przez hrabstwo. Dlatego przejęli śledztwo. I mają kilka pytań na temat tego, co widział Reacher.

Usiedli na krzesłach, które zwolnili Aaron i Bush, i przedstawili się. Ten po lewej nazywał się Cook, ten po prawej Delaney. Wyglądało na to, że ten pierwszy jest tu szefem. Że to on będzie trzymał gadkę. O tym, co Reacher widział, wyjaśnił. O niczym więcej. Nie ma się czego bać.

– Przede wszystkim chcielibyśmy pochylić się nad pewnym szczególnym aspektem – powiedział jednak chwilę później. – Uważamy, że nasi koledzy z hrabstwa potraktowali go nieco po macoszemu. W zasadzie go pominęli, co zresztą zrozumiałe.

– Co takiego pominęli? – zapytał Reacher.

– Jaki był dokładnie stan pana umysłu, jeśli chodzi o intencje, w momencie, gdy wyrzucił pan tego chłopaka?

– Serio?

– Własnymi słowami.

– Iloma?

– Iloma pan chce.

– Pomagałem glinom.

– Nic poza tym?

– Byłem świadkiem przestępstwa. Sprawca biegł prosto na mnie. Był szybszy od tych, którzy go ścigali. Nie miałem wątpliwości, że jest winny. Więc stanąłem mu na drodze. Nie odniósł zresztą poważniejszych obrażeń.

– Skąd pan wiedział, że ci dwaj mężczyźni są policjantami?

– Takie odniosłem pierwsze wrażenie. Słusznie czy niesłusznie?

Delaney milczał.

– Teraz niech pan mi powie, co pan widział – poprosił po chwili.

– Słuchaliście chyba, panowie, jak relacjonowałem to po raz pierwszy.

– Słuchaliśmy – potwierdził Delaney. – Słuchaliśmy też rozmowy, którą odbył pan później z detektywem Aaronem. Kiedy detektyw Bush wyszedł z pokoju. Wygląda na to, że widział pan więcej, niż zawarł pan w swoim zeznaniu. Wygląda na to, że zobaczył pan coś, co świadczy o zakrojonej na dużą skalę operacji.

– To były domniemania – zaznaczył Reacher. – Nie kwalifikowały się do tego, by umieścić je w zeznaniu.

– Z powodów etycznych?

- Zapewne.
- Jest pan człowiekiem etycznym, panie Reacher?
- Staram się, jak mogę.
- Ale teraz może pan się otworzyć. Zeznanie zostało złożone. Może pan mówić wszystko, co dyktuje panu serce. Co pan zobaczył?
- Dlaczego mnie o to pytacie?
- Bo możemy mieć problem. Może będzie pan nam mógł pomóc.
- W jaki sposób?
- Był pan w żandarmerii wojskowej. Wie pan, jak to wszystko funkcjonuje. Widzi pan szerszy obraz. Co pan zobaczył?
- Zobaczyłem, jak mi się zdaje, że Aaron i Bush śledzą dziewczynę z torbą. W ramach jakiejś obserwacji. Obserwacji przede wszystkim torby. Kiedy doszło do zdarzenia, kompletnie zignorowali dziewczynę. Najprawdopodobniej dlatego, że miała przekazać torbę nieznanemu w tym momencie podejrzanemu. Na innym etapie. W innym miejscu. Tak jak dostarcza się towar albo pieniądze. Może ważne było śledzenie samej wymiany. Może nieznaną podejrzaną jest ostatnim ogniwem łańcucha. Stąd wysoki status naocznych świadków. Albo niekoniecznie. Tyle że plan spalił na panewce, ponieważ w akcję wtrącił się los w postaci przypadkowego złodziejaszka. Zwyczajny pech. Zdarza się najlepszym z nas. I nie jest to jakaś wielka tragedia. Jutro mogą to powtórzyć.
- Agent Delaney pokręcił głową.
- Mówimy o szemranych interesach. Mamy do czynienia z ludźmi, dla których jest pan martwy, jeśli nie stawi się pan na umówione spotkanie. Ta sprawa jest zakończona.
- W takim razie bardzo mi przykro – powiedział Reacher. – Zdarza się. Najlepiej będzie się z tym pogodzić.
- Łatwo panu mówić.
- Nie mój cyrk. I nie moje małpy. Tylko tamtędy przechodziłem.
- O tym też chcielibyśmy porozmawiać. Jak moglibyśmy się z panem skontaktować, gdybyśmy tego potrzebowali? Ma pan przy sobie komórkę?
- Nie.
- Więc jak kontaktują się z panem ludzie?
- Nie kontaktują się.
- Nawet rodzina i przyjaciele?
- Nie mam już nikogo z rodziny.
- I żadnych przyjaciół?
- Nie takich, do których wydzwaniałbym co pięć minut.
- Więc kto w ogóle wie, gdzie pan jest w danej chwili?
- Ja – odparł Reacher. – To mi wystarczy.
- Na pewno?
- Do tej pory nikt nie musiał mi przychodzić na ratunek. Delaney pokiwał głową.
- Wróćmy do tego, co pan widział.
- Do której części?

– Do wszystkich. Może ta sprawa nie jest jeszcze zamknięta. Czy może być jakaś inna interpretacja?

– Wszystko jest możliwe – odparł Reacher.

– Jakiego rodzaju rzeczy są możliwe?

– Kiedyś płacono mi za udział w takich dyskusjach.

– Możemy panu zaoferować filiżankę tutejszej kawy.

– Zgoda. Czarną, bez cukru.

Cook poszedł po kawę i kiedy wrócił, Reacher upił kilka łyków.

– Dziękuję – powiedział. – Po przeanalizowaniu wszystkich za i przeciw uważam jednak, że to był czysty przypadek.

– Niech pan użyje wyobraźni – zachęcił go Delaney.

– Użyjcie swojej.

– Dobrze. Przypuśćmy, że Aaron i Bush nie wiedzieli, gdzie, kiedy, z kim i jak, ale generalnie spodziewali się, że torba zostanie przekazana komuś innemu.

– Dobrze, przypuśćmy – zgodził się Reacher.

– I może dokładnie to właśnie zobaczyli. Tyle że nieco wcześniej, niż oczekiwali.

– Wszystko jest możliwe.

– Ze strony przeciwnika możemy się spodziewać zaskakujących i zakamuflowanych działań. Mogli wyznaczyć gdzieś pozorowane spotkanie i planować zwinięcie torby po drodze. Z zaskoczenia. Co jest najlepszym sposobem zakłócenia obserwacji. Może nawet wcześniej to przećwiczyli. Z tego, co pan mówił, dziewczyna dała się dość łatwo okraść. Powiedział pan, że przewróciła się na ziemię, a potem podniosła się i uciekła.

Reacher pokiwał głową.

– Co oznacza, że, waszym zdaniem, nieznanym podejrzanym był chłopak w czarnej bluzie – powiedział. – Twierdzicie, że to on od samego początku miał przejąć torbę.

Delaney pokiwał głową.

– A my go złapaliśmy, w związku z czym operacja zakończyła się właściwie pełnym sukcesem.

– To dla was bardzo wygodne.

Agent nie odpowiedział.

– Gdzie jest teraz ten chłopak? – zapytał Reacher.

Delaney wskazał drzwi.

– Dwie cele dalej. Wkrótce zabieramy go do Bangor.

– Puścił farbę?

– Na razie nie. Na razie jest dzielnym małym żołnierzem.

– Może w ogóle nie jest żołnierzem.

– Uważamy, że jest. I naszym zdaniem puści farbę, kiedy tylko zda sobie sprawę, że jest po uszy w gównie.

– Widzę pewien duży problem – zaznaczył Reacher.

– Jaki?

– Torba wydawała mi się pusta. Co to miałyby być za dostawa czy zapłata? Nie uzyskacie wyroku skazującego, kiedy wyjdzie na jaw, że śledziliście pustą torbę.

– Torba nie była pusta – odparł Delaney. – Przynajmniej na początku.

– Co w niej było?

– Jeszcze do tego przejdziemy. Najpierw musimy się cofnąć. Do pytania, które zadałem panu na samym początku. Dla pewności. Na temat stanu pańskiego umysłu.

– Pomagałem glinom.

– Na pewno?

– Martwicie się o odpowiedzialność za szkody? Jeśli byłem cywilem udzielającym pomocy siłom ładu i porządku, to obejmuje mnie ich immunitet. Poza tym chłopak nie odniósł poważnych urazów. Ma tylko kilka sińców. I zadrapanie kolano. To żaden problem. Chyba że macie tutaj naprawdę dziwnych sędziów.

– Nasi sędziowie są w porządku. Jeśli rozumieją kontekst.

– A jaki może tu być inny kontekst? Byłem świadkiem przestępstwa. Ze strony policji widać było zdecydowany zamiar ujęcia sprawcy. Pomogłem im. Chcecie powiedzieć, że macie z tym jakiś problem?

– Wybacz nam pan na chwilę? – zapytał Delaney.

Reacher nie odpowiedział. Agenci wstali, podeszli do drzwi i opuścili pokój. Drzwi się zatrzasnęły. Tym razem Reacher był już pewien, że zamknęli go na klucz. Zerknął na lustro, ale zobaczył wyłącznie swoje odbicie w zielonkawoszarym odcieniu.

Dziesięć minut pańskiego czasu. Co się może stać z tego?

Przez długie trzy minuty nic się nie działo. Po ich upływie agenci wrócili do pokoju i usiedli, Cook po lewej, Delaney po prawej.

– Twierdzi pan, że udzielał pomocy siłom ładu i porządku – powiedział ten drugi.

– Zgadza się – odparł Reacher.

– Czy chciałby pan zmienić to zeznanie?

– Nie.

– Jest pan tego pewien?

– A wy nie?

– Nie – oświadczył Delaney.

– Dlaczego?

– Naszym zdaniem prawda wygląda inaczej.

– To znaczy jak?

– Naszym zdaniem chciał pan odebrać torbę chłopakowi. W taki sam sposób, w jaki on odebrał ją dziewczynie. Naszym zdaniem był pan drugim zaskakującym i niespodziewanym intruzem.

– Torba wylądowała na ziemi.

– Mamy świadków, którzy zeznali, że pochylił się pan, żeby ją podnieść.

– Ale się rozmyśliłem. Zostawiłem ją na ziemi. Podniósł ją detektyw Aaron.

Delaney pokiwał głową.

– Wtedy była już pusta.
– Chcecie mnie zrewidować?
– Naszym zdaniem opróżnił pan torbę i przekazał jej zawartość komuś w tłumie.
– Co takiego?
– Skoro pan był drugim intruzem, dlaczego nie miałoby być trzeciego?
– Bzdura – rzucił Reacher.
– Jacku Reacher, z adresem nieznanym, aresztuję pana za współpracę z zajmującą się wymuszeniami zorganizowaną grupą przestępczą – oświadczył Delaney. – Ma pan prawo zachować milczenie. Wszystko, co pan powie, może być użyte przeciwko panu. W trakcie dalszego przesłuchania ma pan prawo do adwokata. Jeśli nie stać pana na pomoc prawną, zostanie ona panu przyznana na koszt podatnika.

• • •

Do pokoju weszło czterech policjantów, trzech z wyciągniętymi pistoletami i czwarty, trzymający oburącz dubeltówkę. Po drugiej stronie stołu Cook i Delaney rozchylili jedynie marynarki, żeby pokazać tkwiące w kaburach pod pachami glocki 17. Reacher siedział nieruchomo. Sześciu na jednego. Za dużo. Zbyt wiele niewiadomych plus nerwowe napięcie w powietrzu, plus palce na spustach i zupełnie nieznaną poziom wyszkolenia i doświadczenia.

W takich okolicznościach łatwo o błąd.

Siedział nieruchomo.

– Chcę adwokata z urzędu – powiedział.

Potem w ogóle się już nie odzywał.

Skuli mu ręce za plecami, wyprowadzili na zewnątrz, skręcili dwa razy z jednego korytarza w drugi, przeszli przez osadzone w betonowej ramie, zamykane na zasuwę stalowe drzwi i dotarli do izby zatrzymań, będącej miniaturowym aresztem śledczym z pustym biurkiem, przy którym dokonywano rejestracji, oraz trzema pustymi celami przy wąskim korytarzu. Jeden z gliniarzy zapiął kaburę i usiadł za biurkiem. Reacherowi zdjęto kajdanki. Oddał swój paszport, a także kartę do bankomatu, szczoteczkę do zębów, sznurowadła oraz siedemdziesiąt dolarów w banknotach i siedemdziesiąt pięć centów w monetach. W zamian dostał kuksańca w plecy i pierwszą celę w rzędzie, na wyłączność. Zamek zatrzasnął się z łoskotem przypominającym wbijanie gwoźdźca w podkład kolejowy. Gliniarze przyglądali mu się jeszcze przez sekundę niczym ludzie w zoo, a potem odwrócili się, minęli biurko i jeden po drugim wyszli z aresztu. Reacher usłyszał, jak za ostatnim zamykają się stalowe drzwi. Usłyszał, że przekręcają klucz w zamku.

Czekał. Znał się na czekaniu. Był cierpliwym człowiekiem. Nigdzie się nie wybierał i nigdzie mu się nie spieszyło. Usiadł na łóżku, które podobnie jak biurko ze stołkiem było odlanym z betonu postumentem. Na siedzisku stołka była mała okrągła poduszka z takiej samej okrytej winylem pianki co materac na

łóżku. Toaleta była stalowa, miska na górze służyła jako umywalka. Nie było ciepłej wody. Jak w najędźniejszym na świecie motelowym pokoju, pozbawionym wszystkiego, co zaspokajało bardziej wyszukane potrzeby, i zredukowanym do najmniejszych możliwych rozmiarów. Architekci z poprzedniej epoki użyli tu jeszcze więcej betonu niż gdzie indziej. Jakby próbujący uciec więźniowie byli groźniejsi od bomb atomowych.

•••

Reacher śledził w myślach upływ czasu. Minęły dwie godziny i jeszcze trochę. Najmłodszy z mundurowych przyszedł w końcu sprawdzić, w jakim jest stanie.

– Wszystko w porządku? – zapytał, spoglądając przez kraty.

– W porządku – odparł Reacher. – Jestem tylko trochę głodny. Minęła już pora lunchu.

– Mamy z tym pewien problem.

– Zachorował szef kuchni?

– Nie mamy kucharza. Zamawiamy dania w knajpie przy tej samej ulicy. Lunch może kosztować maksimum cztery dolary. Ale to stawka hrabstwa. A pan jest więźniem stanu. Nie wiemy, ile płacą za lunch.

– Mam nadzieję, że więcej.

– Musimy to wiedzieć na pewno. W przeciwnym razie nie możemy z tym nic zrobić.

– Agent Delaney o tym nie wie? Albo agent Cook?

– Wyjechali. Zabrali drugiego podejrzanego do Bangor.

– Ile przeznaczacie na kolację?

– Sześć i pół dolca.

– A na śniadanie?

– Nie zostanie tu pan na śniadanie. Jest pan więźniem stanu. Podobnie jak ten drugi. Przyjadą po pana wieczorem.

•••

Godzinę później młody gliniarz zjawił się ponownie z grillowaną kanapką z serem i coca-colą w styropianowym kubku. Trzy dolary i kilkadziesiąt centów. Najwyraźniej detektyw Aaron zapewnił, że jeśli stan płaci mniej, pokryje różnicę z własnej kieszeni.

– Niech mu pan podziękuję – poprosił Reacher. – I przekaże, żeby był ostrożny. Przysługa za przysługę.

– Ostrożny w jakim sensie?

– Niech uważa, w czyjej obecności wygłasza swoje opinie.

– Co to ma znaczyć?

– Albo to zrozumie, albo nie.

– Twierdzi pan, że to nie pana sprawka?

Reacher uśmiechnął się.

– Pewnie pan to już słyszał.

Młody gliniarz pokiwał głową.

– Wszyscy tak mówią. Żaden z was nigdy nie zrobił nic złego. Tego się właśnie spodziewamy – powiedział, po czym wyszedł, a Reacher zjadł swój posiłek i czekał dalej.

• • •

Po kolejnych dwóch godzinach młody mundurowy pojawił się po raz trzeci.

– Przyszła adwokatka z urzędu. Omawia przez telefon sprawę ze stanowymi gliniarzami. Nadal są w Bangor. Rozmawia z nimi w tej chwili. Zaraz do pana zajrzy.

– Jaka jest? – zapytał Reacher.

– Całkiem niezła. Kiedyś ukradli mi samochód i pomogła mi z towarzystwem ubezpieczeniowym. Chodziła do tej samej klasy w liceum co moja siostra.

– Ile lat ma pańska siostra?

– Jest ode mnie trzy lata starsza.

– A pan ile ma?

– Dwadzieścia cztery.

– Odzyskał pan pieniądze za samochód?

– Częściowo – odparł gliniarz, po czym oddalił się kilka kroków i usiadł za biurkiem. Żeby kiedy złoży mu wizytę adwokatka, pokazać, że odpowiednio pilnują więźnia, przypuszczał Reacher, który siedział dalej na łóżku. I czekał.

• • •

Weszła do aresztu trzydzieści minut później. Przywitała się z siedzącym za biurkiem gliniarzem, przyjaźnie, tak jak można się przywitać z młodszym bratem koleżanki z liceum. A potem, cichym prawniczym tonem, powiedziała coś o poufnym charakterze rozmowy z klientem, więc facet wstał i wyszedł z aresztu. Adwokatka zamknęła za nim stalowe drzwi i na bloku zapadła cisza. Spojrzała przez kraty na Reachera. Jak ktoś, kto ogląda zwierzęta w zoo. Być może goryle w klatce. Była średniego wzrostu, średniej wagi, w czarnym kostiumie, z krótkimi ciemnymi włosami, w których widać było jaśniejsze odrosty, piwnymi oczami, okrągłą twarzą i ustami w podkówkę. Które przypominały odwrócony uśmiech. Jakby doznała już w życiu wielu rozczarowań. Trzymała w ręce skórzaną teczkę, zbyt pełną, by dała się zapiąć. Wystawał z niej blok żółtego papieru z odręcznymi notatkami.

Postawiła teczkę na podłodze, zawróciła i zabrała stół z biurka. Postawiła go naprzeciwko klatki Reachera i usadowiła się na nim wygodnie, ściskając razem kolana i opierając pięty na podpórce. Tak jakby to było normalne spotkanie z klientem, dwie osoby za biurkiem albo stołem, tyle że nie było tu

żadnego biurka ani stołu. Wyłącznie pionowe stalowe pręty, jeden tuż obok drugiego.

– Nazywam się Cathy Clark – przedstawiła się.

Reacher nie odezwał się.

– Przepraszam, że to trwało tak długo. Miałam spotkanie u notariusza w sprawie umowy.

– Zajmuje się pani również handlem nieruchomościami?

– Głównie.

– W ilu sprawach kryminalnych pani broniła?

– W jednej, może dwóch.

– Między jedną i dwiema sprawami jest duża różnica procentowa. Ile ich dokładnie było?

– Jedna.

– Wygrała pani?

– Nie.

Reacher milczał.

– Bierze pan tego, kogo panu dają – wyjaśniła. – Tak to działa. Jest lista. Byłam na niej pierwsza. Jak w kolejce do taksówek na lotnisku.

– Dlaczego nie rozmawiamy w pokoju konferencyjnym? – zapytał.

Nie odpowiedziała. Odniósł wrażenie, że lubi kraty. Odniósł wrażenie, że lubi być odseparowana. Że czuje się wtedy bezpieczniejsza.

– Uważa pani, że jestem winny? – zapytał.

– To, co uważam, nie ma znaczenia. Liczy się to, co mogę zrobić.

– Czyli co?

– Porozmawiajmy. Musi pan wyjaśnić, dlaczego był pan w tamtym miejscu.

– Muszę gdzieś być. To oni muszą wyjaśnić, dlaczego miałbym im wystawić człowieka, z którym byłem w zмовie. Dałem im go na tacy.

– Uważają, że to wskutek pańskiej niezręczności. Miał pan zamiar tylko odebrać mu torbę, a zbił go pan z nóg przez pomyłkę. Uważają, że chciał pan, żeby uciekł.

– Dlaczego detektywi z komisariatu hrabstwa brali udział w operacji prowadzonej przez stan?

– Ze względów budżetowych. A także, żeby wszystkim można było przypisać zasługę i żeby wszyscy byli zadowoleni.

– Nie podniosłem torby.

– Mają czterech świadków, którzy zeznali, że się pan po nią pochylił.

Reacher nie skomentował tego.

– Dlaczego pan tam był? – powtórzyła.

– Na placu było trzydzieści osób. Dlaczego którakolwiek z nich tam była?

– Z zeznań wynika, że chłopak biegł prosto na pana. Nie w stronę innych.

– To nie tak wyglądało. Stanąłem mu na drodze.

– No właśnie.

– Uważa pani, że jestem winny.

– To, co uważam, nie ma znaczenia – powtórzyła.

- Co, ich zdaniem, było w torbie? – zapytał.
- Jeszcze tego nie ujawnili.
- Czy to zgodne z prawem? Czy nie powinienem wiedzieć, o co jestem oskarżony?
- Według mnie, w tym momencie to jest zgodne z prawem.
- Według pani? Chciałbym usłyszeć coś więcej.
- Jeśli chce pan innego adwokata, proszę o niego poprosić i mu zapłacić.
- Czy chłopak w czarnej bluzie puścił farbę? – zapytał Reacher.
- Twierdzi, że to był zwykły napad. Że sądził, że dziewczyna używała torby w charakterze torebki. Że miał nadzieję na zgarnięcie jej gotówki i kart kredytowych. I być może komórki. Agenci stanowi uważają, że to historyjka, której wyuczył się na wszelki wypadek.
- A dlaczego, ich zdaniem, ja też nie uciekłem? Dlaczego tam zostałem?
- To samo wytłumaczenie – odparła. – Wyuczona historyjka. Tyle że wszystko się posypało. Zorientował się pan, że złapią pana kumpla, więc natychmiast przeszliście do planu B. On jest napastnikiem, pan pomaga policji. On dostanie symboliczny wyrok, pana pogładzą po główce. Spodziewają się po was obu pewnego stopnia wyrachowania. Najwyraźniej to poważna sprawa.
- Jak poważna, według pani?
- To duże śledztwo. Trwa od dłuższego czasu.
- Pewnie sporo kosztuje?
- Chyba tak.
- W czasach, kiedy budżet stanowi problem.
- Budżet zawsze stanowi problem.
- Podobnie jak czyjeś ego, reputacja i ocena okresowa. Niech pani pomyśli o Delaney i Cooku. Niech pani się postawi na ich miejscu. Prowadzona od dłuższego czasu kosztowna operacja wzięła w łeb z powodu przypadkowego incydentu. Muszą się cofnąć do samego początku. A może jeszcze gorzej. Może nie ma odwrotu. Wszyscy są wściekli. I co dalej?
- Nie wiem.
- To kwestia natury ludzkiej – odparł Reacher. – Najpierw klną, wrzeszczą i walą pięściami w ścianę. A potem włącza się instynkt samozachowawczy. Kombinują, jak ocalić tyłek. Kombinują, jak udowodnić, że cała operacja zakończyła się sukcesem. Agent Delaney powiedział dokładnie coś takiego. Wymyślili sobie, że chłopak brał udział w całej akcji. A potem wysłuchali mojej rozmowy z detektywem Aaronem. Usłyszeli, że nigdzie nie mieszkam. Że jestem, jak to ujął Aaron, włóczęgą. Co nasunęło im o wiele lepszy pomysł. Mogli upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Mogli ogłosić, że złapali dwóch sprawców i rozwiązali całą cholerną sprawę. Dzięki czemu poklepią ich jednak po plecach i dadzą listy polecające.
- Pana zdaniem, cała sprawa jest mistyfikacją.
- Bo jest.
- To naciągana hipoteza.

– Dobrze mnie sprawdzili. Upewnili się. Potwierdzili, że nie mam przy sobie komórki. Potwierdzili, że nikt nie wie, gdzie jestem. Że jestem idealnym kozłem ofiarnym.

– Zgodził się pan z teorią, że chłopak nie jest zwykłym złodziejaskiem.

– Tylko hipotetycznie – odparł Reacher. – Bez wielkiego entuzjazmu. W ramach dyskusji zawodowców. Połechtali moją ambicję. Powiedzieli, że wiem, jak to wszystko funkcjonuje. Robiłem im uprzejmość. Trzepali jęzorem, żeby chronić własne tyłki. A ja byłem po prostu grzeczny.

– Stwierdził pan, że to możliwe.

– Dlaczego miałbym tak mówić, gdybym brał w tym udział?

– Uważają, że to był podwójny bluff.

– Nie jestem aż taki sprytny – odparł Reacher.

– Ich zdaniem, jest pan. Służył pan w elitarnej jednostce żandarmerii wojskowej.

– Czy nie wynika z tego, że stoję po ich stronie?

Adwokatka nic na to nie odpowiedziała. Wierciła się przez chwilę na stołku. To z powodu skrępowania, domyślił się Reacher. Brak współczucia. Nieufność. Może nawet wstręt. Pragnienie ucieczki. To kwestia natury ludzkiej. Wiedział, jak to funkcjonuje.

– Niech pani sprawdzi, kiedy padały poszczególne stwierdzenia na taśmie. Usłyszeli, jak mówię, że nie mam stałego adresu, i od razu zaczęli kombinować. Zaraz potem weszli do pokoju i przejęli przesłuchanie. A potem znowu wyszli, tylko na chwilę. Żeby zamienić na osobności kilka słów. Upewnili się wzajemnie, czy mają już dosyć na taśmie. Czy uda im się to przeprowadzić? Uznali, że tak. Wtedy wrócili i mnie aresztowali.

– Nie pójdę z czymś takim do sądu – oświadczyła.

– A z czym pani może pójść?

– Z niczym – odparła. – Mogę co najwyżej spróbować ugody sądowej.

– Mówi pani serio?

– Absolutnie. Zostanie pan oskarżony o bardzo poważne przestępstwo. Śledczy zaprezentują sądowi spójną teorię i oprą ją na zeznaniach naocznych świadków ze stanu Maine, którzy wszyscy są albo dosłownie, albo w przenośni znajomymi lub sąsiadami przysięgłych. Jest pan outsiderem prowadzącym niezrozumiałą tryb życia. To znaczy... skąd pan w ogóle pochodzi?

– Znikąd w szczególności.

– Gdzie pan się urodził?

– W Berlinie Zachodnim.

– Jest pan Niemcem?

– Nie, mój ojciec był żołnierzem piechoty morskiej. Urodzonym w New Hampshire. W tamtym czasie stacjonował po prostu w Berlinie.

– Więc od zawsze był pan w wojsku?

– Jako chłopiec i jako mężczyzna.

– To niedobrze. Ludzie są panu wdzięczni za pańską służbę, ale w głębi serca uważają, że doznał pan poważnej traumy. Istnieje duże ryzyko, że zostanie pan

skazany. Jeśli do tego dojdzie, dostanie pan wyrok wieloletniego więzienia. O wiele bezpieczniej będzie przyznać się do mniejszego wykroczenia. Oszczędzi pan czasu i wydatków, jakie pociąga za sobą proces. To ma duże znaczenie. I jest duża różnica między pięcioma i dwudziestoma latami w więzieniu. Jako pańska obrończyni zaniedbałabym swoje obowiązki, gdybym panu tego gorąco nie zalecała.

– Zaleca pani, żebym odsiedział pięć lat za przestępstwo, którego nie popełniłem?

– Wszyscy twierdzą, że są niewinni. Przysięgli o tym wiedzą.

– A adwokaci?

– Klienci zawsze kłamią.

Reacher nie odpowiedział.

– Dziś wieczorem chcę pana przenieść do Warren – dodała prawniczka.

– Co jest w Warren?

– Węzienie stanowe.

– Wspaniale.

– Złożyłam wniosek, żeby zatrzymali pana tutaj przez dzień albo dwa. Miałabym wygodniej.

– I co?

– Odmówili.

Reacher nie odpowiedział.

– Jutro przywiozą pana z powrotem, żeby postawić pana w stan oskarżenia. Sąd mieści się w tym budynku.

– Więc zawiozą mnie tam, żeby za niecałe dwanaście godzin przywieźć z powrotem? To nie jest zbyt praktyczne. Powinienem zostać tutaj.

– Wpadł pan w tryby systemu. Tak to funkcjonuje. Nic nie będzie już miało sensu. Niech pan do tego przywyknie. Jutro rano pomówimy o ugodzie sądowej. Proponuję, żeby pan się nad tym dziś w nocy poważnie zastanowił.

– Co ze zwolnieniem za kaucją?

– Ile pan może zapłacić?

– Siedemdziesiąt dolców z drobnymi.

– Sąd uzna to za obrazę. Lepiej w ogóle nie składać wniosku – stwierdziła, po czym zsunęła się ze stołka, zabrała swoją przeładowaną teczkę i wyszła z pomieszczenia.

Reacher usłyszał, jak stalowe drzwi otwierają się i zamykają. A potem na bloku z powrotem zapadła cisza.

Dziesięć minut pańskiego czasu. Co się może stać złego?

• • •

Godzinę później pojawił się znów młody gliniarz. Poinformował Reachera, że stan zgodził się wydać na kolację tyle samo co hrabstwo, czyli sześć dolarów pięćdziesiąt centów. I że ta suma pokrywa prawie wszystkie pozycje z menu. Podał listę różnych możliwości, która była szeroka. Reacher przez chwilę się

namyślał. Mógł wziąć zapiekankę z kurczakiem. Albo pizzę. Albo sałatkę z jajkiem. Zastanawiał się na głos, co wybrać. Gliniarz polecał zapiekankę. Twierdził, że jest dobra. Reacher uwierzył mu na słowo. Do tego kawa. Dużo kawy, podkreślił, naprawdę dużo, w termosie, żeby nie wystygła. Ze stosowną porcelanową filiżanką i spodeczkiem. Bez śmietanki i bez cukru. Gliniarz zapisał wszystko ogryzkiem ołówka na kartelusku.

– Ta adwokatka z urzędu była dobra? – zapytał.

– Jasne – odparł Reacher. – Robiła wrażenie miłej kobiety. I sprytniej. Jej zdaniem, zaszło pewne nieporozumienie. Uważa, że stanowi gliniarze czasem za bardzo przejmują się swoją rolą. Nie tak jak wy tutaj, w hrabstwie. Brakuje im zdrowego rozsądku.

Młody gliniarz pokiwał głową.

– Czasami chyba tak to właśnie wygląda – potwierdził.

– Powiedziała, że najprawdopodobniej jutro mnie stąd wypuszczą. I żebym siedział spokojnie na tyłku i zaufał systemowi.

– To na ogół najlepsze podejście – zgodził się chłopak, po czym wsunął karteluszek z zamówieniem do kieszeni koszuli i wyszedł.

Reacher leżał dalej na łóżku. Czekał. Wyczuwał, że w budynku robi się ciszej. Dzienna zmiana wracała do domu i na jej miejsce zgłaszała się nocna. Mniej ludzi. Ograniczenia budżetowe. Rolnicze hrabstwo w niezbyt gęsto zaludnionej części stanu. W końcu młody gliniarz wrócił z jedzeniem. To była prawie na pewno ostatnia rzecz, którą miał tego dnia do załatwienia. Trzymał w ręce tacę z porcelanowym talerzem nakrytym metalową pokrywą, białym pękatym plastikowym termosem z kawą, spodeczkiem, na którym stała odwrócona do góry dnem filiżanka, a także z nożem i widelcem w papierowej serwetce.

Kluczowym elementem był plastikowy termos. Sprawiał, że całość była zbyt wysoka, by wsunąć ją przez otwór w kratkach. Chłopak nie mógł położyć termosu na tacy, bo ten przeturlałby się i zalał kawą zapiekankę. Nie mógł wsunąć go przez kraty w innym miejscu, bo termos był zbyt pękaty, by zmieścić się między prętami.

Przez chwilę się wahał.

Dwadzieścia cztery lata. Nowicjusz. Chłopak, dla którego Reacher był spokojnym starszym panem, leżącym cały czas na łóżku, najwyraźniej zrelaksowanym i zrezygnowanym. Który nie krzyczał, nie wydierał się i nie skarżył. Nie wściekał.

Który zaufał systemowi.

Nie stwarzał zagrożenia.

Chłopak oprze teraz tacę na rozczapierzonych palcach dłoni jak regularny kelner. Odepnie klucze od pasa. Przekręci klucz w zamku i otworzy powoli drzwi stopą. Jego kabura była pusta. Nie miał w niej broni. Standardowa procedura wszędzie na świecie. Żaden więzienny strażnik nigdy nie jest uzbrojony. Przebywając z naładowaną bronią pośród osadzonych, prosiłby się tylko o kłopoty. Następnie wejdzie do celi. Przypnie klucze z powrotem do pasa i weźmie tacę w obie ręce. Odwróci się w stronę betonowego stołu.

Co biorąc pod uwagę ich wzajemne usytuowanie, otwierało wiele różnych możliwości.

Reacher czekał.

Ale nie.

Chłopak był nowicjuszem, który dał sobie zwinąć samochód, ale nie był kompletnym kretynem. Postawił tacę na podłodze przed celą, tylko na moment, zabrał z niej termos z kawą i filiżankę ze spodeczkiem i postawił je przy samych kratkach. Następnie podniósł tacę i wsunął ją w otwór. Reacher odebrał ją od niego. Żeby napić się kawy, musiał wystawić dłonie przez pręty i nalać sobie na zewnątrz. Filiżanka mieściła się między nimi. Może nie ze spodeczkiem, ale nie jadł w końcu kolacji w Ritzu.

– Proszę bardzo – powiedział chłopak.

Nie był kompletnym kretynem.

– Dziękuję – odparł mimo to Reacher. – Jestem zobowiązany.

– Smacznego – dodał chłopak.

Ale były to życzenia na wyrost. Zapiekanka była paskudna, kawa lurowata.

• • •

Godzinę później pojawił się kolejny mundurowy, żeby zabrać puste naczynia. Był z nocnej zmiany.

– Muszę się widzieć z detektywem Aaronem – powiedział Reacher.

– Nie ma go – rzucił gliniarz. – Pojechał do domu.

– Niech go pan ściągnie z powrotem. Teraz. To ważne.

Facet nie odpowiedział.

– Jeśli dowie się, że prosiłem o spotkanie, ale pan do niego nie zadzwonił, skopie panu tyłek. Albo zabierze odznakę. Słyszałem, że macie cięcia budżetowe. Lepiej nie dawać mu pretekstu.

– O co chodzi?

– O jego karierę.

– Chce pan się przyznać do winy?

– Być może.

– Jest pan więźniem stanu. My jesteśmy policją hrabstwa. Mamy w dupie, co pan robi.

– Tak czy owak, niech pan zadzwoni.

Facet nie odpowiedział. Zabrał tylko tacę i zamknął za sobą stalowe drzwi.

• • •

Jednak zadzwonił, bo dziewięćdziesiąt minut później pojawił się Aaron. Mniej więcej w połowie wieczoru. Był w tym samym garniturze. Nie wydawał się ani zbyt przejęty, ani poirytowany. Był po prostu obojętny. Może tylko trochę zaciekawiony. Spojrzał przez kraty na Reachera.

- Czego pan chciał? – zapytał.
 - Porozmawiać o sprawie.
 - Zajmuje się nią policja stanowa.
 - Nie powinna, jeśli to był zwykły napad.
 - Nie był.
 - Wierzy pan w to?
 - To był wiarygodny sposób, żeby zakłócić obserwację.
 - Ze mną jako drugim tajnym elementem?
 - To też jest wiarygodne.
 - Byłoby to cudem koordynacji. Nie sądzi pan? Dokładnie w tym samym miejscu, dokładnie w tym samym czasie.
 - Mógł pan tam czekać godzinami.
 - Ale czy czekałem? Co mówią pańscy świadkowie?
- Aaron nie odpowiedział.
- Niech pan przesłucha taśmę z nagraniem naszej rozmowy – powiedział Reacher. – Niech pan zwróci uwagę na sekwencję tego, co kto mówił. Delaney zagiął na mnie parol z powodu czegoś, co usłyszał.
- Detektyw pokiwał głową.
- Pańska adwokatka już mi to przekazała. O bezdomnym koźle ofiarnym. Nie przekonało mnie wtedy i nie przekonuje teraz.
 - Nie ma pan żadnych wątpliwości?
 - Jestem detektywem. Wątpliwości są dla ławy przysięgłych.
 - Cieszy się pan, posyłając niewinnego człowieka za kratki?
 - Wina i niewinność są dla ławy przysięgłych.
 - A jeśli zostanę zwolniony? Ucieszy się pan, widząc, że pańska sprawa sypie się w gruzy?
 - Nie ja prowadzę tę sprawę. Zajmuje się nią policja stanowa.
 - Niech pan posłucha jeszcze raz nagrania. Zastanowi się nad kolejnością zdarzeń.
 - Nie mogę – odparł Aaron. – Nie ma nagrania.
 - Mówił mi pan, że wszystko nagrywa.
 - Jesteśmy policją hrabstwa. Nie możemy nagrywać przesłuchań prowadzonych przez policję stanową. To nie nasza jurysdykcja. Dlatego nagranie zostało przerwane.
 - Chodzi mi o to, co było wcześniej. Kiedy rozmawialiśmy ja i pan.
 - Tę część diabli wzięli. Została skasowana, kiedy zatrzymano nagranie.
 - Naprawdę?
 - Przypadki się zdarzają.
 - Kto wcisnął przycisk STOP?
- Aaron nie odpowiedział.
- Kto to zrobił?
 - Delaney – odparł Aaron. – Kiedy mnie zastąpił. Przeprosił mnie. Powiedział, że nie zna się zbyt dobrze na naszym sprzęcie.
 - Uwierzył mu pan?

– Dlaczego miałbym mu nie wierzyć?

Reacher nie odpowiedział.

– Wypadki się zdarzają – powtórzył Aaron.

– Jest pan pewien, że to był wypadek? Jest pan pewien, że nie robią z pana balona? Jest pan pewien, że nie zacierali za sobą śladów?

Detektyw nie odpowiedział.

– Nigdy nie zetknął się pan z czymś takim? – zapytał Reacher.

– Co mam panu powiedzieć? To gliniarz tak samo jak ja.

– I jak ja.

– Pan był gliniarzem dawno temu. Teraz jest pan zwykłym przechodniem.

– Któregoś dnia pan też nim będzie. Chce pan, żeby wszystkie te lata poszły na marne?

Aaron milczał.

– Na samym początku powiedział mi pan, że przysięgłym nie zawsze podobają się zeznania policjantów – przypomniał mu Reacher. – Skąd to się bierze? Czy przysięgli zawsze się mylą?

Bez odpowiedzi.

– Nie pamięta pan, co się nagrało na taśmę? – zapytał Reacher.

– Nawet gdybym pamiętał, to byłoby moje słowo przeciwko słowu stanowych. I nie jest to raczej niezbity dowód.

Reacher już się nie odezwał. Aaron patrzył na niego jeszcze przez minutę zza krat, a potem wyszedł.

• • •

Reacher leżał na plecach na wąskiej pryczy, dotykając łokciem ściany i opierając głowę na dłoni. „Niech pan przesłucha taśmę”, powiedział Aaronowi. Odtwarzał teraz to, co zapamiętał ze swojej pierwszej z nim rozmowy. W zielonym, podobnym do bunkra pomieszczeniu. Zeznanie świadka. Pytania wstępne: nazwisko, data urodzenia, numer ubezpieczenia społecznego. Potem pytanie o miejsce zamieszkania. Bez stałego adresu, i tak dalej, i tak dalej. Wyobraził sobie Delaney, który tego słuchał. Metaliczne dźwięki płynące z głośnika w drugim pokoju. „Innymi słowy jest pan bezdomny”, powiedział Aaron. Delaney usłyszał, jak to mówi. Głośno i wyraźnie. Jak długo trwało, zanim dostrzegł w tym szansę i wtrącił się w śledztwo?

Za długo, uznał Reacher.

Potem były przechwałki na temat stresu pourazowego i sto dziesiątej, przydługie opowieści Aarona na temat tego, czy zeznanie będzie przydatne, czy nieprzydatne, i w końcu samo zeznanie, ostrożne, zwarte, metodyczne, szczegółowe, jasne i niespieszne. A potem prywatna pogawędka. Po wyjściu Busha z pokoju. Spekulacje i wspierająca je analiza semantyczna. „»Dziękuję bardzo, że nam pan w tym pomagał«, powiedział pan”. I tak dalej. Wszystkie te rzeczy. Razem pewnie z siedem minut. Albo nawet osiem lub dziewięć.

Albo dziesięć.

Za dużo czasu.
Delaney zareagował na coś innego.
Na coś, co usłyszał później.

• • •

O dziesiątej wieczorem na korytarzu za stalowymi drzwiami zabrzmiały ciężkie kroki. Drzwi otworzyły się i na blok weszli ludzie. Sześciu mężczyzn. W innych mundurach. Policja stanowa. Z oddziału eskorty więźniów. Mieli przy pasach gaz łzawiący, gaz pieprzowy i paralizatory. A także kajdanki, kajdany na nogi i cienkie metalowe łańcuszki. Znali się na swojej robocie. Kazali Reacherowi stanąć plecami do krat i wysunąć dłonie przez otwór na posiłki. Skuli go z tyłu, przytrzymali, po czym przykucnęli i wsunęli ręce między kraty w podobny sposób jak on, kiedy dolewał sobie kawy, tyle że w drugą stronę. Założyli mu kajdany na kostki i połączyli je łańcuszkiem ze sobą oraz z kajdankami na rękach. Następnie otworzyli drzwi celi. Reacher wyszedł na zewnątrz, dzwoniąc kajdanami i szurając nogami. Kazali mu się zatrzymać przy biurku i wyjęli z szuflady jego rzeczy. Paszport, karta do bankomatu, szczoteczka do zębów, siedemdziesiąt dolarów w banknotach, siedemdziesiąt pięć centów w monetach oraz sznurowadła. Włożyli to wszystko do żółtoszarej koperty i ją zakleili. Następnie wyprowadzili go z aresztu, trzech z przodu, trzech z tyłu; skręcili w jeden, a potem drugi korytarz, pod niskim betonowym sufitem, i wyszli na zewnątrz. Obok stojącego na samym końcu parkingu rozbitego SUV-a zobaczył pomalowany na szaro szkolny autobus z zamontowaną w oknach drucianą siatką. W środku nie było innych pasażerów. Jeden z policjantów siadł za kierownicą, pozostałych pięciu z przodu, blisko siebie.

Dojechali do Warren tuż przed północą. Więzienie było widoczne z odległości półtora kilometra: oświetlały je przelazające przez mgłę jaskrawe lampy łukowe. Autobus stanął przed bramą, klekocząc głośno silnikiem Diesla, zaczekał, aż omiecie go światło reflektorów, i kiedy brama ze zgrzytem się otworzyła, wjechał do środka. Zaczekał przy drugiej bramie, a potem zatrzymał się w jasno oświetlonym miejscu, niedaleko żelaznych drzwi z napisem *Rejestracja więźniów*. Reacher został przez nie wprowadzony i skierowany w prawo, do bloku przeznaczonego dla osadzonych, których jeszcze nie skazano. Należące do niego rzeczy w szarozółtej kopercie oddano do depozytu, a on otrzymał dres i niebieskie kąpielowe klapki i wylądował w celi nieróżniącej się zbyt od tej, w której kwaterował wcześniej. Drzwi zatrzaśnięto, klucz obrócił się w zamku. Minutę po wyjściu strażników światła zgasły i areszt pogrążył się w głośnych i niespokojnych ciemnościach.

• • •

Światła zapaliły się ponownie o szóstej rano. Reacher usłyszał strażnika, który otwierał drzwi, jedno po drugim. W końcu otworzył i jego. Był wrednie wyglądającym facetem koło trzydziestki.

– Zasuwasz po śniadanie – warknął.

W niskiej dużej sali, w której podawano posiłki, śmierdziało rozgotowanym jedzeniem i środkami dezynfekcyjnymi. Reacher stanął w kolejce do okienka razem z dwunastoma innymi mężczyznami. Nie było wśród nich chłopaka w czarnej bluzie. A zatem nadal przebywał w Bangor, w siedzibie stanowej Agencji do Zwalczania Narkotyków. Może puścił farbę, a może i nie. Reacher dostał łychę jasnożółtej papki, która mogła być jajecznicą, podaną na kromce czegoś, co mogło być białym chlebem, oraz melaminowy kubek wypełniony do połowy czymś, co mogło być kawą. Albo pomyjami po kolacji. Usiadł na ławce przy pustym stole i zaczął jeść. Otaczający go więźniowie byli osobnikami różnego sortu, w większości lekko szurniętymi i kryjącymi się po kątach. Tylne części mózgu Reachera oceniła automatycznie wszelkie możliwe zagrożenia i uznała, że ich nie ma. Chyba że zaraźliwa jest próchnica zębów.

Gdy śniadanie dobiegło końca, wszystkich wyprowadzono na przymusową godzinę ćwiczeń. Aresztancka część spacerniaka, wielkości mniej więcej boiska do koszykówki, była o wiele mniejsza od regularnej części więziennej i oddzielona od niej wysoką siatką. W siatce była furтка z zasuwką, ale bez zamka. Pilnował jej ten sam strażnik, który ich wyprowadził. Za jego plecami zaczynało wschodzić blade wiosenne słońce.

Na większej części spacerniaka było pełno mężczyzn w różnokolorowych dresach. Całe setki. Przechadzali się w grupach. Niektórzy wydawali się gotowi na wszystko. Jednym z nich był wielki facet mający ze dwa metry wzrostu i sto czterdzieści kilo wagi. Wyglądał jak karykatura tradycyjnego drwala z Maine. Brakowało mu tylko kraciastej flanelowej koszuli i siekiery o podwójnym ostrzu. Był wyższy od Reachera, co statystycznie rzecz biorąc, zdarzało się dość rzadko. Stał w odległości jakichś siedmiu metrów i gapił się przez siatkę. Gapił się na Reachera. Reacher popatrzył się na niego. Prosto w oczy. Facet podszedł bliżej. Reacher dalej na niego patrzył. Niebezpieczne zachowanie, w więzieniu. Ale odwrócenie wzroku byłoby wstąpieniem na równię pochyłą. Świadczyłoby o uległości. Lepiej ustalić na samym początku, jaka obowiązuje hierarchia. Taka jest natura ludzka. Reacher wiedział, jak to funkcjonuje.

Facet podszedł do samej siatki.

– Na co się gapisz? – zapytał.

Standardowa odzywka. Stara jak świat. Reacher miał się przestraszyć i powiedzieć „Na nic się nie gapię”. Na co facet odparłby: „Jestem dla ciebie niczym?”. I w tym momencie sytuacja z fatalnej zmieniałaby się na gorszą. Lepiej tego uniknąć.

Reacher wybrał inną drogę.

– Na ciebie, dupku – rzucił.

– Jak mnie nazwałeś?

– Dupkiem.

– Jesteś trupem.

– Jeszcze nie. Nie ostatnim razem, kiedy sprawdzałem.

W tym momencie w drugim końcu spacerniaka zaczęło się jakieś zamieszanie. Reacher zdał sobie później sprawę, że wszystko to było idealnie zsynchronizowane. Szepcząc i dając jeden drugiemu znaki, mężczyźni przekazali wiadomość. W oddali rozległy się krzyki i wybuchła bójka. Reflektory na wieżach strażniczych zapaliły się i obróciły w tamtą stronę. Zatrzeszczały krótkofalówki. Wszyscy puścili się biegiem. Łącznie ze strażnikami. Również tym pilnującym furtki, który przeszedł na drugą stronę i wbiegł w tłum.

Wielki facet podążył w przeciwnym kierunku. Przeszedł przez niepilnowaną furtkę na mniejszy spacerniak i ruszył prosto na Reachera. Nie wyglądało to zachęcająco. Miał czarne klapki na bosych stopach i pomarańczowy dres opięty na potężnych mięśniach.

A potem zrobiło się jeszcze mniej zachęcająco.

Facet machnął ręką, jakby strzelał z bata, i w jego dłoni pojawiła się broń. Wysunięta z rękawa. Więzienny majcher. Z plastiku. Prawdopodobnie zaostrzona na kamieniu rączka szczoteczki do zębów. Długa na jakieś piętnaście centymetrów. Jak sztylet. Na jednej trzeciej długości owinięta plastrem chirurgicznym z rolki. Żeby móc ją trzymać w ręku. Niedobrze.

Reacher zsunął z nóg klapki.

Wielki facet zrobił to samo.

– Całe życie przestrzegałem jednej zasady – powiedział Reacher. – Jeśli ktoś grozi mi nożem, łamię mu ręce.

Tamten się nie odezwał.

– Obawiam się, że sprawa nie podlega dyskusji – dodał Reacher. – Nie mogę zrobić wyjątku tylko dlatego, że jesteś kretynem.

Facet dał krok do przodu.

Inni mężczyźni się cofnęli. Reacher usłyszał, jak zabręczała siatka, gdy się o nią oparli. Słyszał odgłosy wciąż trwającej awantury. Była zaaranżowana, więc niezbyt przekonująca. Nie mogła trwać wiecznie. Reflektory wkrótce obrócą się z powrotem. Strażnicy się przegrupują i wrócą. Musiał tylko poczekać.

Nie w jego stylu.

– To twoja ostatnia szansa – uprzedził. – Rzuć broń i połóż się na ziemi. Albo naprawdę zdrowo oberwiesz.

Użył swojego głosu żandarma wojskowego, doprowadzonego przez długie lata do perfekcji, do czegoś, co budziło grozę i strach i przywoływało na myśl stukniętego psychola, którym był jako dzieciak, naporzając się na ulicach na całym świecie. Zobaczył jakiś błysk w oczach faceta. Ale nic więcej. Ostrzeżenie nie zadziałało. Musiał walczyć.

Z czego nagle bardzo się ucieszył.

Bo teraz już wiedział.

Dziesięć minut pańskiego czasu. Widział pan to, co widział.

Nie lubił noży.

– Chodź, grubasie – rzucił. – Pokaż, na co cię stać.

Facet dał krok do przodu, kołysząc się w biodrach i trzymając przed sobą nóż. Reacher zrobił zwód w lewo i kiedy nóż śmignął w tamtą stronę, odbił w prawo, w ramach tej samej trajektorii, i wyciągnął otwartą dłoń, żeby złapać faceta za nadgarstek, ale trochę się przeliczył i chwycił za przedramię, które przypominało w dotyku softball. Pociągnął za nie, co obróciło przeciwnika trochę bardziej w bok, i wyprowadził trzy szybkie proste w jego twarz, *bang, bang, bang*, przez cały czas ściskając z całej siły jego rękę, tę z nożem. Facet szarpnął się do tyłu i dzięki spoconej skórze udało mu się wyrwać. W rezultacie Reacherowi został w garści sam nóż, ale wcale mu to nie wadziło, bo był plastikowy i zaostrzony tylko na samym końcu, dzięki czemu mógł przycisnąć go kłębem kciuka w miejscu, gdzie kończyła się taśma, i złamać tak, jakby naciskał kłamek.

Na razie nie najgorzej. W tym momencie, mniej więcej trzy sekundy po rozpoczęciu walki, Reacher zdał sobie sprawę, że jego największym problemem będzie dotrzymanie obietnicy i złamanie facetowi rąk. Były ogromne. Grubsze niż u większości ludzi nogi. Obleczone i oplecione supłami mięśni.

A potem sytuacja zmieniła się na gorsze.

Facet krwawił z nosa i ust, ale obrażenia tylko go zmobilizowały. Zaparł się mocno o ziemię i zaryczał niczym siłacz, których Reacher oglądał czasami w motelu w popołudniowym paśmie kablówki. Jakby szykował się do tego, żeby pociągnąć za sobą przyczepiony do uprzęży ciągnik siodłowy albo podnieść głaz wielkości volkswagena. Miał zamiar zaszarżować niczym bawół wodny. Miał zamiar przewrócić Reachera na ziemię i go stratować.

Niezbyt korzystny był brak butów.

Kickboxing na bosaka można uprawiać wyłącznie na siłowni albo na igrzyskach olimpijskich. Gumowe klapki są gorsze niż brak jakiegokolwiek obuwia. Właśnie dlatego, jak przypuszczał Reacher, wydano je więźniom. Skopanie faceta nie wchodziło więc w grę. Co było przykrym ograniczeniem. Nadal jednak mógł używać kolan i łokci.

Facet ruszył na niego, rycząc i rozkładając szeroko ręce, jakby chciał go złapać w niedźwiedzi uścisk. W związku z czym Reacher też ruszył do przodu. Prosto na niego. To była jedyna realna alternatywa. Zderzenie mogło się okazać czymś wspaniałym. W zależności od tego, kto uderzyłby pierwszy. W tym przypadku przedramię Reachera miało trafić w górną wargę faceta. Jak w kolizji na autostradzie. Jak wtedy, gdy zderzają się czołowo dwie ciężarówki. Facet miał w zasadzie sam rąbnąć się w twarz.

Więzienne syreny przestały wyc.

Widzi pan szerszy obraz. Co pan zobaczył?

Reflektory wróciły na miejsce. Awantura dobiegła końca. Na spacerunku zapadła cisza. Wielki facet nie mógł się powstrzymać. Taka jest natura ludzka. Chciał tylko zerknąć. Zobaczyć, co się dzieje. Obrócił głowę. Tylko troszeczkę. Impuls, który natychmiast opanował.

Ale to wystarczyło. Reacher strzelił go w ucho. W ogóle się nie mitygując. Tak jakby uderzał w przymocowany do drzewa softball. W uchu nie ma mięśni. Każde ucho jest mniej więcej takie samo. Są w nich najmniejsze kości w całym

ciele. A poza tym różne urzędnicy pozwalające zachować równowagę. Bez nich człowiek się przewraca.

Facet runął na ziemię.

Reflektory omiotły siatkę.

Reacher wziął swojego przeciwnika za rękę, jakby chciał pomóc mu wstać. Chociaż nie. Bardziej jakby chciał uścisnąć mu z szacunkiem dłonie i pogratulować walecznej, aczkolwiek przegranej walki.

Też nie.

Wbił ostrze majchra w dłoń faceta i zostawił je tam, wystające z obu stron, a potem cofnął się o krok i zmieszał się z innymi przy drzwiach. Sekundę później snop światła zatrzymał się na facecie. Syreny zmieniły ton, więźniowie mieli wracać do cel.

• • •

Reacher czekał w swojej celi. Spodziewał się, że nie potrwa to długo. Był pierwszym podejrzanym. Inni więźniowie na małym spacerniaku byli o połowę mniejsi od wielkiego faceta. Więc strażnicy najpierw przyjdą do niego. Najprawdopodobniej. Co mogło stwarzać pewien problem. Ponieważ formalnie rzecz biorąc, popełnione zostało przestępstwo. Zdaniem niektórych. Inni mogliby uznać, że atak jest najlepszym sposobem samoobrony, która w dalszym ciągu jest na ogół legalna. A zatem wszystko było kwestią interpretacji.

Sprawa była niejednoznaczna.

Co się może stać złego?

Reacher czekał.

Usłyszał buty na korytarzu. Dwaj strażnicy podeszli prosto do jego celi. Mieli przy pasach gaz łzawiący, gaz pieprzowy i paralizatory. A także kajdanki, kajdany na nogi i cienkie metalowe łańcuszki.

– Wstań, a potem obróć się na rozkaz i wystaw nadgarstki przez otwór do wydawania posiłków – powiedział jeden z nich.

– Dokąd się udajemy? – zapytał Reacher.

– W swoim czasie się dowiesz.

– Chciałbym dowiedzieć się raczej wcześniej niż później.

– A ja chciałbym, żebyś dał mi najmniejszy pretekst do użycia paralizatora.

Czyje marzenie się dzisiaj spełni?

– Dla nas obu lepiej będzie, żeby nie spełniło się żadne – odparł Reacher.

– Zgadza się. Więc postarajmy się, żeby do tego nie doszło.

– Mimo to nadal chciałbym wiedzieć.

– Wracasz tam, skąd przyjechałeś – oświadczył strażnik. – Dziś rano masz przesłuchanie wstępne w sądzie. I prawo do wcześniejszej półgodzinnej rozmowy z adwokatem. Więc włóż z powrotem cywilne ciuchy. Jesteś niewinny, dopóki nie udowodnią ci winy. I tak powinieneś wyglądać. W przeciwnym razie nie byłoby to zgodne z konstytucją. Albo z czymś podobnym. Mówią, że w więziennych

łachach człowiek wygląda, jakby był winien. Stąd biorą się uprzedzenia, rozumiesz.

Wyprowadził powłóczącego nogami Reachera z celi, jego kolega zajął pozycję z tyłu i po dotarciu do więziennej służby, w połowie wewnątrz, w połowie na zewnątrz zakładu karnego, spotkali się z policjantami od eskorty więźniów, którzy przejęli odpowiedzialność za Reachera i zabrali go do szarego więziennego autobusu, takiego samego jak ten, którym tu przyjechał. Zaprowadzili go na sam koniec i posadzili na ostatniej ławce. Jeden ze strażników siadł za kierownicą, drugi obok niego, odwrócony bokiem, ze strzelbą na kolanach.

Odbyli w przeciwnym kierunku tę samą podróż, którą Reacher odbył niespełna dwanaście godzin wcześniej. Dokładnie tą samą trasą. Dwaj strażnicy rozmawiali po drodze. Do Reachera dotarły strzępy ich rozmowy. Zależało to od warkotu silnika. Niektóre słowa mu umknęły. Ale dowiedział się dość sporo o wielkim facecie, którego rano znaleziono znokautowanego na małym spacerniku. Na razie nikogo nie obarczono za to odpowiedzialnością. Bo nikt tego nie rozumiał. Wielkolud miał za miesiąc po raz pierwszy starać się o zwolnienie warunkowe. Dlaczego wdał się w bójkę? A jeśli to nie on zaczął, kto go pobił? Kto wdał się z nim w bójkę, pobił go i zaciągnął na mały spacernik niczym jakieś trofeum?

Strażnicy kręcili głowami.

Reacher się nie odzywał.

Jazda z powrotem, podobnie jak jazda do Warren, zajęła niecałe dwie godziny, tyle samo w dzień co i w nocy, ponieważ ich szybkość nie była ograniczona przez widoczność i natężenie ruchu, ale przez niskoobrotowy silnik i krótką skrzynię biegów, dobrą w mieście, gdzie trzeba się często zatrzymywać i ruszać, ale nie w trasie, na otwartej drodze. W końcu jednak zajechali na znajomy parking i stanęli obok rozbitego niebieskiego SUV-a. Reacherowi dano znak, żeby wysiadł, i wprowadzono go do budynku tymi samymi drzwiami, przez które wyszedł. Wewnątrz, w zamykanej z obu stron poczekalni, zdjęto mu kajdanki i kajdany i przekazano dwuosobowemu komitetowi powitalnemu.

Pierwszą osobą był detektyw Bush.

Drugą adwokatka z urzędu, Cathy Clark.

Dwaj eskortujący go strażnicy odwrócili się i szybko wyszli. Najwyraźniej gdzieś się spieszyli. Zamierzali wrócić po niego później. Nie mogli dopuścić, żeby autobus czekał z pracującym silnikiem. Sprawiali wrażenie, jakby tego dnia mieli dużo innych zajęć. Wiele drobiazgów do załatwienia. Może rzeczywiście mieli. A może po prostu cieszyli się na myśl o długim leniwym lunchu. Może znali jakiś dobry lokal.

Reacher został sam z Bushem i adwokatką.

Tylko przez chwilę.

To chyba jakieś żarty, pomyślał.

Stuknął detektywa wysoko w splot słoneczny, wyłącznie w charakterze grzecznego ostrzeżenia, łagodnej pobudki, co wywołało mimowolne zdrętwienie wszelkiego rodzaju mięśni gładkich, ale żadnego realnego bólu nigdzie indziej.

Następnie wsadził rękę do jego kieszeni i wyjął z niej kluczyki do samochodu. Wsadził je do własnej kieszeni i pchnął faceta w pierś, całkiem delikatnie, z maksymalną ostrożnością, wyłącznie po to, by ten cofnął się kilka kroków.

Adwokatki nawet nie tknęła. Po prostu minął ją i wyszedł, z podniesioną głową i pewnym krokiem; idąc pod niskim sufitem, skręcił najpierw w jeden, potem drugi korytarz i opuścił budynek frontowymi drzwiami. Podszedł prosto do stojącego na miejscu D2 samochodu Busha. Forda crown victoria. Sfatygowanego, lecz nie zdezelowanego, czystego, lecz nie lśniącego. Silnik zapalił za pierwszym razem. Był rozgrzany. Więzienni strażnicy byli kilka metrów dalej. Szli do swojego autobusu. Nie oglądali się za siebie.

Reacher odjechał z parkingu dokładnie w tej samej chwili, gdy w oknach pojawiły się pierwsze osłupiałe twarze. Skręcił w prawo, w lewo i znów w prawo, w przypadkowe ulice, kierując się na początku w stronę tego, co można by uznać za centrum. Pierwszy radiowóz ruszył całe dwie minuty za nim. Co było fatalnym wynikiem. Inne wyjechały jeszcze później. Nie był to najbardziej udany dzień w historii miejscowej policji.

Nie udało im się go znaleźć.

• • •

Reacher zadzwonił tuż przed lunchem. Z publicznego telefonu. W mieście nadal było ich sporo. Sieć komórkowa miała tu słaby zasięg. Czwierćdolarówki znalazł pod stolikami kafejki. Zawsze tam kilka leży. Starczy na rozmowy lokalne. Numer był na wizytówce przypiętej za kasą w sklepie z badiwaniem jeszcze tańszym niż w sklepach z tandetą. Wizytówka była jedną z wielu, jakby razem miały tworzyć obronną tarczę. Należała do detektywa Ramseya Aarona z policji hrabstwa. Był na niej jego numer telefonu i adres mailowy. Może w ramach jakiegoś sąsiedzkiego programu pomocy. Nowoczesna policja idzie z duchem czasu.

Numer podany na wizytówce był najwyraźniej przypisany do aparatu na biurku Aarona. Odebrał po pierwszym dzwonku.

– Mówi Aaron – powiedział.

– Mówi Reacher.

– Po co pan do mnie dzwoni?

– Żeby powiedzieć panu dwie rzeczy.

– Ale dlaczego do mnie?

– Bo być może pan mnie wysłucha.

– Gdzie pan jest?

– W tym momencie daleko od waszego miasta. Nigdy się już nie zobaczymy. Niestety, pańscy mundurowi fatalnie pana zawiedli.

– Powinieneś się poddać, człowieku.

– To jest ta pierwsza rzecz – powiedział Reacher. – To się nie zdarzy. Powinniśmy to ustalić na samym początku. Bo inaczej stracimy mnóstwo energii, ciągle do tego wracając. Nigdy mnie pan nie znajdzie. Więc niech pan nawet nie

próbuję. Po prostu niech pan się z tym pogodzi. I zajmie się zamiast tego tą drugą rzeczą.

– Czy to pańska sprawka? To, co przytrafiło się temu zwolnionemu warunkowo?

– Dlaczego zwolniony warunkowo miałby siedzieć za kratkami?

– Co to za druga rzecz?

– Musi pan ustalić, kim dokładnie była ta dziewczyna z torbą i kim dokładnie był ten chłopak w bluzie. Nazwiska i dane osobowe. I co dokładnie było w tej torbie.

– Po co to panu?

– Bo zanim mi pan to powie, ja powiem to panu. Kiedy przekona się pan, że mam rację, być może wzbudzi to pana zainteresowanie.

– Kim oni są?

– Zadzwoń później – odparł Reacher.

• • •

Był w knajpie przecnicę dalej. Tej samej, z której dostarczono mu lunch i kolację. W całym zamieszaniu było to najbezpieczniejsze miejsce pod słońcem. Nikt go tu wcześniej nie widział. Żaden gliniarz nie mógł tu teraz wpaść na kawę. Nie w tym momencie. Wykluczone. Komisariat znajdował się w oku cyklonu, co oznaczało, że w promieniu jednej przecznicy załogi wszystkich radiowozów albo ostro przyspieszały, żeby się stamtąd oddalić i prowadzić poszukiwania gdzieś dalej, albo ostro hamowały, wracając bez sukcesu do komisariatu, sfrustrowane i rozczarowane. Innymi słowy, sporo było emocji i dramatycznych gestów, ale mało cierpliwego wyglądania przez okno samochodu i lustrowania najbliższej okolicy.

Aparat telefoniczny zamontowany był na ścianie korytarza na tyłach knajpy, z toaletami po lewej i prawej stronie i drzwiami przeciwpożarowymi z tyłu. Reacher odwiesił słuchawkę i wrócił do swojego stolika. Był jedną z sześciu osób, które siedziały samotnie w półmroku. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Odniósł wrażenie, że przyjezdni nie są tu wcale rzadkim zjawiskiem. Przynajmniej teoretycznie. Na ścianie wisiały stare fotografie. A także eksponaty z dawnych czasów. Miasto było kiedyś ośrodkiem przemysłu drzewnego. Można tu było zbić fortunę. Od stu lat ludzie nieustannie przyjeżdżali tu i wyjeżdżali, przywozili towary, sprzedawali narzędzia, narzekali na wysokie ceny.

Może część mieszkańców nadal miała pracę. W nielicznych usytuowanych tu i tam tartakach. Może niektórzy wciąż tu zachodzili. Niewielu, ale jednak. Nikt z pewnością się na niego nie gapił. Nikt nie krył się za gazetą i nikt ukradkiem nie dzwonił.

Reacher czekał.

• • •

Zadzwoił ponownie, kiedy minęła godzina, może trochę więcej. Zasłonił dłonią słuchawkę, żeby hałas tła nie brzmiał tak samo jak za pierwszym razem. Chciał, by myśleli, że stale się przemieszcza. Jeśli uznają, że tak nie jest, mogą zacząć się zastanawiać, gdzie się zaszył, a Aaron wydawał się wystarczająco byстрыm facetem, żeby się tego domyślić. Mógł tu wejść i dosięść się do stolika.

Telefon został odebrany po pierwszym dzwonku.

– Mówi Aaron.

– Musi pan się zastanowić nad kwestią transportu – oświadczył Reacher. – Zeszłej nocy zabrano mnie do Warren sześciu facetów. Ale dziś rano przywiozło mnie z powrotem tylko dwóch. Sześciu facetów w nocy oznacza mnóstwo nadgodzin. Ktoś mógłby to uznać za przesadne środki ostrożności. Zwłaszcza kiedy obowiązują obostrzenia budżetowe. Więc dlaczego podjęto taką decyzję?

– Był pan wielką niewiadomą. Przezorny zawsze ubezpieczony.

– Więc dlaczego nie dostałem tych samych sześciu facetów dziś rano? Wiedzieli o mnie dokładnie tyle samo co zeszłej nocy.

– Na pewno sam mi pan to powie – odparł Aaron.

– Dwie możliwości. Które tak naprawdę wcale się nie wykluczają. Są ze sobą w pewien sposób związane.

– Słucham.

– Naprawdę bardzo im zależało, żeby zawieźć mnie tam zeszłej nocy. Było ważne, żebym tam trafił. Moja adwokatka złożyła całkiem uzasadniony wniosek. Odrzucili go. Zlecili niepotrzebny transport tam i z powrotem, który był czystą stratą paliwa i roboczogodzin. Wyznaczyli sześciu facetów, żeby mieć pewność, że dotrą tam caży i zdrowy.

– I co z tego?

– Nie spodziewali się, że wyjadę stamtąd dziś rano. Dlatego nie wyznaczyli strażników. Więc kiedy do tego doszło, musieli szukać na gwałt tych, którzy mieli na dzisiaj wyznaczone inne zadania.

– To nie ma sensu. Wszyscy spodziewali się, że pan tu dziś wróci. Na przesłuchanie wstępne. To standardowa procedura. Wszyscy ją znają.

– Więc dlaczego szukali na gwałt strażników?

– Nie wiem.

– Nie spodziewali się, że stamtąd wyjadę.

– Wiedzieli, że pan musi.

– Nie wyjechałbym, gdybym leżał w śpiączce w szpitalu. Lub martwy w kostnicy. Co normalnie byłoby czymś zaskakującym. Ale oni z góry o tym wiedzieli. Dlatego nie załatwili transportu powrotnego.

Aaron przez chwilę milczał.

– To pana sprawa tam w więzieniu... – mruknął.

– Facet nawet mnie nie znał – powiedział Reacher. – Nasze ścieżki nigdy przedtem się nie przecięły. Mimo to ruszył prosto na mnie. A jego kumple zaaranżowali bójkę, żeby odwrócić uwagę. Czekają go posiedzenie w sprawie zwolnienia warunkowego. Domyślał się, że gliniarzem, który go przymknął dawno temu, był Delaney. Zgadza się?

– Tak się składa, że owszem.

– A zatem doбили targu. Jeśli ten wielkolud zajmie się mną niepostrzeżenie, wtedy Delaney wstawi się za nim podczas przesłuchania. Powie, że facet się zresocjalizował. Kto może o tym lepiej wiedzieć od gliniarza, który go przymknął? Ludzie uważają, że te dwie osoby łączy jakaś mistyczna więź. Członkowie komisji do spraw zwolnień warunkowych uwielbiają te brednie. Facet na pewno by wyszedł. Tyle że nie wykonał zadania. Nie docenił przeciwnika. Być może został mylnie poinstruowany.

– Przyznaje się pan do napaści.

– Nigdy mnie nie znajdziecie. Jutro mogę być w Kalifornii.

– Niech pan mi powie, kim była ta dziewczyna. I chłopak w bluzie. Niech pan mi udowodni, że pan wie, o czym pan mówi.

– Zarówno chłopak, jak dziewczyna są słupami – odparł Reacher. – Oboje zmuszono szantażem do zagrania określonej roli. Dziewczyna została prawdopodobnie niedawno zgarnięta. Może to był jej drugi raz. Albo nawet pierwszy. Zgarnęła ją stanowa Agencja do Zwalczania Narkotyków. W osobie Delaneya. Dziewczyna ma nadzieję, że Delaney wycofa zarzuty. On proponuje jej układ. Musi tylko przejść się z torbą. Podobny układ proponuje chłopakowi. Drobne przewinienie może zostać zapomniane. Może wrócić z czystym kontem do Yale, Harvardu czy skądkolwiek przyjechał. Tatuś nigdy się nie dowie. Musi tylko trochę się przebiec i wyrwać dziewczynie torbę. Chłopak i dziewczyna w ogóle o sobie nie wiedzą. Ich sprawy nie wiążą się ze sobą. Czy jak dotąd mam rację?

– Co było w torbie? – zapytał Aaron.

– W oficjalnym raporcie na pewno napiszą, że była tam metamfetamina, oksydon albo pieniądze. Jedno lub drugie. Towar albo zapłata.

– Były pieniądze – odparł Aaron. – To była zapłata.

– Ile?

– Trzydzieści tysięcy dolarów.

– Tyle że wcale ich tam nie było. Niech pan się zastanowi. Co upodobnia mnie do tego chłopca i dziewczyny, a co całkowicie mnie od nich różni?

– Na pewno to od pana usłyszę.

– Trzy osoby na całym świecie mogły zeznać, że torba od samego początku była pusta. Dziewczyna i chłopak, bo mieli ją w rękach i wiedzieli, że była lekka jak piórko, a później ja, bo przefrunęła metr przed moją twarzą i widziałem, że nic w niej nie ma. To było oczywiste.

– A czym się pan różni?

– Tym, że Delaney kontroluje chłopaka i dziewczynę. A mnie nie. Jestem dziką kartą, kimś, kto twierdzi, że torba była pusta. Sam to usłyszał. Na nagraniu. I na to właśnie zareagował. Nie mógł pozwolić, żebym to publicznie powtarzał. To mogłoby wszystko zepsuć. Dlatego skasował taśmę i próbował skasować mnie.

– Wyprzedza pan wypadki.

– Dlatego zapytał, jak kontaktują się ze mną ludzie. Odkrył, że może mnie pochować w bezimiennym grobie i nikt się o tym nie dowie.

– To są spekulacje.

– Jest tylko jedno wytłumaczenie tej sytuacji. Delaney zwinął trzydzieści kawałków. Wiedział, że zostaną przekazane. Pracuje w Agencji do Zwalczania Narkotyków. Uznał, że jeśli zaaranżuje przypadkowy napad, kradzież mu się upiecze. To znaczy, wypadki się zdarzają, prawda? Na przykład kiedy w pańskim domu wybuchnie pożar, a cała forsa jest schowana w kanapie. To strata operacyjna. Takie są koszty prowadzenia biznesu z tymi ludźmi. Nie ufają własnym matkom, ale wiedzą, że coś zawsze może pójść nie tak. Czytałem kiedyś w gazecie o gościu, który stracił prawie milion dolarów; zżarły mu je myszy w piwnicy. Więc Delaney uznał, że mu się upiecze. Że nie połamią mu za to nóg. Musiał tylko robić dobrą minę do złej gry i iść w zaparte.

– Niech pan zaczeka – przerwał mu Aaron. – Nic z tego nie ma sensu.

– Chyba że...

– To śmieszne.

– Niech pan to powie na głos. Wtedy zobaczy pan, czy rzeczywiście brzmi śmiesznie.

– Nic z tego nie ma sensu, bo, w porządku, Delaney mógł nawet wiedzieć, że ma dojść do przekazania trzydziestu kawałków, ale jakim cudem miałyby do nich dostęp? Jak mógłby zarządzić, kto co będzie niósł w torbie? Kiedy, dokąd i jaką trasą?

– Chyba że... – powtórzył Reacher.

– To obłąd.

– Niech pan to powie na głos.

– Chyba że Delaney przeszedł na ciemną stronę mocy.

– Niech pan mówi wprost.

– Chyba że Delaney sam jest ogniwem w łańcuchu.

– Dalej nie nazywa pan rzeczy po imieniu. Niech pan wali prosto z mostu.

– Chyba że Delaney jest nie tylko funkcjonariuszem Agencji do Zwalczania Narkotyków, ale i dealerem.

– Trzydzieści kawałków może być akurat odpowiednią działką jak na rodzaj franczyzy, którą prowadzi. Jak na rodzaj dealera, którym jest. Operującego na niezbyt wielką skalę. Ale też nie płótkę. Prawdopodobnie średniego szczebla, z relatywnie cywilizowaną klientelą. Praca jest łatwa. Jest odpowiednio usytuowany, żeby poradzić sobie z problemami prawnymi. Ma z tego przyzwoity dochód. Wyższy od tego, ile ma wynosić jego emerytura. Wszystko idzie dobrze. Mimo to facet zaczyna być chciwy. Tym razem chce zatrzymać całą forszę dla siebie. Udaje tylko, że przekazuje szefowi jego działkę. Torba jest pusta od samego początku. Ale nikt nie powinien o tym wiedzieć. W policyjnym raporcie napiszą, że zginęło trzydzieści kawałków. Relacje naocznych świadków mają wskazywać, że to był rzeczywiście przypadkowy napad. Jego szef prawdopodobnie by w to uwierzył. A Delaney może planuje wycinać taki numer raz do roku. Żeby mieć dodatkowy dochód.

– To nadal nie trzyma się kupy – stwierdził Aaron. – Dlaczego torba była pusta? Mógł do niej wsadzić pocięte gazety.

– Nie sędzę – odparł Reacher. – A gdyby chłopak coś spieprzył? Gdyby nie udało mu się wyrwać torby albo obleciałby go strach? Dziewczyna dotarłaby tam, gdzie miała dotrzeć. Torba trafiłaby do odbiorcy. Trudno byłoby wytłumaczyć pocięte gazety. Taka rzecz mogłaby zepsuć najlepsze relacje. Podczas gdy pusta torba świadczyłaby o tym, że to był tylko rekonesans. Próba generalna, żeby pozbyć się ewentualnego ogona. Dowód ostrożności. Odbiorca nie powinien mieć o to pretensji. Być może nawet się tego spodziewał. Jak w konkursie na najlepszego sprzedawcę miesiąca.

Aaron nie odezwał się.

– Niedługo znów zadzwonię – powiedział Reacher i odwiesił słuchawkę.

• • •

Tym razem się przemieścił. Wszedł tylnym wyjściem z knajpy, za rogiem skręcił w alejkę przy budynku, w którym mógł się niegdyś mieścić elegancki salon meblowy. Na tylnej ścianie składu opon wypatrył automat telefoniczny. Może dzwoniło się z niego po taksówkę, jeśli w składzie nie mieli odpowiednich rozmiarów.

Stanął w bramie i czekał. Od komisariatu dzieliły go teraz dwie przecznice. Słyszał, że nadal odjeżdżają stamtąd radiowozy. Nadal trwały gorączkowe poszukiwania. Odczekał jeszcze trzydzieści minut, a potem ruszył w stronę składu opon. W stronę telefonu na ścianie. Jednak zanim tam dotarł, zza budynku, z miejsca, gdzie klienci czekali na swoje samochody, wyszedł facet. Ostrzyżony na zapałkę, w niebieskiej sportowej marynarce, luźnych brązowych spodniach i kraciastej koszuli.

W ręce trzymał glocka.

Wyjął go wcześniej z kabury pod pachą.

Delaney.

– Stój – powiedział, celując z pistoletu.

Reacher się zatrzymał.

– Nie jesteś taki sprytny, jak ci się wydaje – rzucił Delaney. Reacher nie odezwał się. – Byłeś w komisariacie. Widziałeś, jak podstawowe mają wyposażenie. Uznałeś, że nie zdołają zlokalizować publicznego telefonu. Dlatego zaryzykowałeś i gadałeś z nimi tak długo, jak chciałeś.

– Myliłem się?

– Policja hrabstwa nie ma możliwości, żeby to zrobić. Ale stanowa owszem. Wiedziałem, gdzie jesteś. Od samego początku. Popełniłeś błąd.

– Teoretycznie zawsze jest taka możliwość.

– Popełniałeś błędy jeden po drugim.

– Naprawdę? Może przez chwilę się nad tym zastanowisz. Z mojego punktu widzenia. Najpierw poinformowałem cię, gdzie jestem, a potem dałem czas, żebyś tu dotarł. Musiałem czekać długie godziny. Ale trudno. Bo w końcu się zjawiłeś. Może jestem dokładnie taki sprytny, jak mi się wydaje.

– Chciałeś, żebym się tu zjawił?

– Zawsze lepiej się spotkać twarzą w twarz.

– Wiesz, że cię zastrzelę.

– Ale jeszcze nie teraz. Najpierw chcesz się dowiedzieć, co takiego powiedziałem Aaronowi. Bo w tym momencie ponownie zaryzykowałem. Uznałem, że uda ci się zlokalizować telefon, lecz nie zdołasz założyć podsłuchu. Nie tak nagle i w dowolnym miejscu stanu. Nie bez wniosku do sądu i bez nakazu. Nie masz aż tak dużej władzy. Jeszcze nie. Więc wiesz, że dzwoniłem, ale nie słyszałeś rozmowy. Teraz chcesz wiedzieć, w jakim zakresie trzeba będzie działać, żeby ograniczyć straty. Masz nadzieję, że w znikomym. Bo pozbycie się Aarona będzie o wiele trudniejsze niż pozbycie się mnie. Wolałbyś tego nie robić. Ale musisz wiedzieć.

– No więc?

– Porozmawiajmy o policyjnej technologii. Tylko przez chwilę. Byłem bezpieczny, dopóki rozmawiałem przez telefon. Ich wyposażenie jest podstawowe, ale niekoniecznie z epoki kamienia łupanego. Kiedy rozmowa dobiegnie końca, potrafią przynajmniej ustalić numer. Na pewno. Mogą ustalić, do kogo należy. Mogą nawet znać tę osobę. Wiem, że od czasu do czasu dzwonią do tej knajpy.

– I co z tego?

– Więc zgaduję, że Aaron dość wcześnie odkrył, gdzie jestem. Ale to bystry facet. Wiedział, dlaczego tak długo kłapię dziobem. Wiedział, jak długo trzeba tu jechać z Bangor. Więc siedział spokojnie na tyłku przez godzinę albo dwie, żeby zobaczyć, co się wydarzy. Czemu nie? Co miał do stracenia? Co się mogło stać złego? I w końcu się pojawiłeś. Zwariowana teoria okazała się prawdziwa.

– Sugerujesz, że sprowadził tu posiłki? Nikogo nie widzę.

– Aaron wiedział, że jestem w tej knajpie. Teraz wie, że jestem przecnicę albo dwie dalej. To wynika z usytuowania automatów telefonicznych. Jestem pewien, że dość wcześnie to sobie uświadomił. Moim zdaniem, obserwuje nas właśnie w tej chwili. Prawdopodobnie obserwuje nas cała ekipa. Wiele osób. Nie jesteśmy tutaj tylko my dwaj, Delaney. Jest cała masa ludzi.

– Co to ma być? Jakaś odmiana psychologicznego rozmiękczenia?

– Dokładnie to, o czym mówisz. Coś w rodzaju zakładu. Aaron jest byстрыm facetem. Mógł mnie zgarnąć kilka godzin temu. Ale nie zrobił tego. Chciał zobaczyć, co się wydarzy. Obserwuje ten teren od kilku godzin. Obserwuje w tym momencie. A może nie. Może tak naprawdę jest kretyńcem. Tylko czy zrobił na tobie wrażenie kretyńca? Na tym polega ten zakład. Muszę ci powiedzieć, że osobiście stawiałbym na to, że jest bystry. Jako zawodowiec radziłbym ci, żebyś zamknął gębę na kłódkę i położył się na ziemi. Wszędzie są tu świadkowie.

Delaney zerknął w lewo, na tylną ścianę składu opon. Potem w prawo, na opuszczony salon meblowy. Do przodu, w głąb wąskiej alejki. Wszędzie były drzwi, okna i cienie.

– Nikogo tu nie ma – powiedział.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się upewnić – odparł Reacher.

– To znaczy?

– Podejść do jednego z okien i zobacz, czy nikt cię nie złapie.

– Nie zrobię tego.

– Dlaczego? Twierdzisz, że nikogo tu nie ma.

Delaney nie odezwał się.

– Czas na głosowanie – powiedział Reacher. – Czy Aaron jest bystry czy głupi?

– Zobaczy, że strzelam do zbiega. Nie ma znaczenia, czy jest bystry, czy głupi.

Dostanę medal, jeśli tylko wymieni moje nazwisko.

– Nie jestem zbiegiem. Wysłał mi na powitanie Busha i tę adwokatkę. To było zaproszenie. Nikt mnie nie ścigał. Chciał, żebym zwiął. Chciał zarzucić przynętę.

Agent przez chwilę się zastanawiał.

Zerknął w lewo. Zerknął w prawo.

– Pieprzysz głupoty – mruknął.

Reacher nie powiedział nic więcej. Delaney rozejrzał się. Stare cegły skruszały od deszczu i sadzy. Drzwi. I okna. Niektóre oszklone i całe, inne z wybitymi albo popękkanymi szybami, jeszcze inne pozbawione ram, będące tylko otworami w ścianie.

Jedno z nich znajdowało się na parterze budynku, w którym mieścił się niegdyś salon meblowy. Parapet był na wysokości piersi wysokiego mężczyzny. W odległości jakichś trzech metrów. Za prawym ramieniem agenta. Podręcznikowa pozycja. Wymarzona dla żołnierza piechoty. Widać było stamtąd całą przecnicę.

Delaney zerknął na to okno.

A potem ruszył powoli tyłem w jego stronę, nadal mierząc z pistoletu w Reachera i co jakiś czas zerkając przez ramię. Ostatni metr pokonał bokiem, wykręcając szyję, starając się jednocześnie mieć na oku Reachera i zajrzeć do środka.

Stał przy oknie. Nadal starał się obserwować Reachera. Spoglądając przez lewe i prawe ramię. I nic tam nie widząc.

W końcu się obrócił. Szybko, jakby miał zamiar zaraz zerknąć z powrotem. Przez sekundę był obrócony twarzą do budynku. Stał na palcach, położył obie dłonie na parapecie, również tę z glockiem, przez chwilę pozostawał w tej niewygodnej pozycji, a potem podciągnął się wyżej, nachylił do przodu i wsadził głowę do środka.

Czyjaś długa ręka złapała go za kark i szarpnęła do góry. Druga złapała za dłoń z pistoletem. A potem trzecia ręka chwyciła go za kołnierz marynarki i wciągnęła nad parapetem w ciemne wnętrze.

•••

Reacher czekał w knajpie, pijąc kawę i jedząc ciasto, wszystko na koszt miejscowej policji. Dwie godziny później pojawił się nowicjusz w mundurze. Pojechał do Warren po żółtoszarą kopertę, w której były rzeczy Reachera. Jego paszport, karta do bankomatu, szczoteczka do zębów, sznurowadła, a także

siedemdziesiąt dolarów w banknotach i siedemdziesiąt pięć centów w monetach. Chłopak oddał mu to wszystko i poprosił o pokwitowanie.

– Znaleźli te trzydzieści kawałków – powiedział. – Były schowane w domu Delaney, w zamrażalniku. Owinięte w folię, z napisem STEK.

Następnie wyszedł, a Reacher przewlókł sznurowadła przez dziurki i je zawiązał. Schował swoje rzeczy do kieszeni, dopił kawę i wstał od stolika.

W drzwiach pojawił się Aaron.

– Wyjeżdża pan? – zapytał.

Reacher odparł, że tak, wyjeżdża.

– Dokąd?

Odpowiedział, że nie ma pojęcia.

– Podpisze pan zeznanie świadka?

Odpowiedział, że nie, nie podpisze.

– Nawet jeśli uprzejmie pana poproszę?

Odpowiedział, że nie, nawet wtedy.

– Co pan by zrobił, gdybym nie rozlokował tam swoich ludzi? – zapytał Aaron.

– W tym momencie facet był kłębkim nerwów. Musiał popełnić jakieś błędy. Sposobność sama by się wyłoniła. Na pewno coś bym wymyślił.

– Innymi słowy, nie miał pan nic w zanadrzu. Ryzykował pan wszystko przekonany, że jestem dobrym gliniarzem.

– Nie róbmy z tego jakiegoś wielkiego wyczynu. Prawda jest taka, że, moim zdaniem, szanse były w najgorszym razie pół na pół.

Wyszedł z knajpy i na obrzeżach miasta dotarł do rozwidlenia dróg. Jedna prowadziła na północ, do Kanady, druga na południe, do New Hampshire. Wybrał New Hampshire i wystawił w górę kciuk. Osiem minut później siedział w subaru i słuchał faceta opowiadającego o tabletkach, które dostał na ból kręgosłupa. Są genialne, twierdził facet. Lepsze niż cokolwiek innego.

DRUGI SYN

W gorący sierpniowy czwartek 1974 roku pewnemu starszemu panu w Paryżu zdarzyło się coś, co nie przytrafiło mu się nigdy wcześniej: obudził się rano, ale nie wstał z łóżka. Po prostu nie mógł. Nazywał się Laurent Moutier i od dziesięciu dni czuł się nie najlepiej, a od siedmiu naprawdę paskudnie. Miał wrażenie, że ręce i nogi ma jak z waty, a jego klatkę piersiową wypełnia krzepnący beton. Wiedział, co się dzieje. Z zawodu był stolarzem naprawiającym meble i jego ciało stało się tym, co czasami przynosili mu klienci: przeżartym przez korniki starym próchnem, dla którego nie było już nadziei. Nie dolegało mu nic konkretnego. Wszystko nawaliło jednocześnie. Nie sposób było mu pomóc. To, co go czekało, było nieuniknione. Leżał więc cierpliwie, z trudem łapiąc oddech i czekając na swoją gospozię.

Przyszła o dziesiątej i nie okazała wielkiego zdziwienia ani szoku. Jej klienci byli w większości w podeszłym wieku i regularnie odchodzili z tego świata. Zadzwoiła do doktora i w pewnym momencie, zapewne w odpowiedzi na pytanie o wiek, Moutier usłyszał, jak kobieta mówi: „Dziewięćdziesiąt”, zrezygnowanym tonem, w którym brzmiała jednak nuta satysfakcji i który mówił bardzo wiele, jakby to jedno słowo stanowiło cały akapit. Przypomniało mu się, jak stojąc czasami w warsztacie, wdychając kurz, klej i lakier i przyglądając się jakiejś nędznej, rozpadającej się szafce, mówił: „No cóż, zobaczymy, co da się zrobić”, podczas gdy tak naprawdę spisywał ją na straty.

Gospodyni ustaliła z lekarzem porę wizyty domowej na wieczór, lecz jakby pragnąc potwierdzić niewypowiedzianą diagnozę, zapytała Moutiera o notes z adresami, by móc zawiadomić najbliższą rodzinę. Moutier nie miał żadnej rodziny poza jedyną córką Josephine, zajmowała ona jednak prawie cały notes, ponieważ często zmieniała miejsce pobytu. Strona po stronie wypełnione były przekreślonymi numerami skrzynek pocztowych oraz długimi zagranicznymi numerami telefonów. Gospościa wykręciła ostatni z nich i usłyszała świst, a potem dobiegający z wielkiej odległości głos mówiący po angielsku, w języku, którego nie rozumiała, w związku z czym odłożyła słuchawkę. Moutier zobaczył, że kobieta przez chwilę się waha, lecz potem, jakby ponownie potwierdzając diagnozę, wyszła po mieszkającego dwa piętra niżej emerytowanego nauczyciela, mięczaka, którego Moutier na ogół ignorował, bo uważał go za kretyna. Ale czyż trzeba wielkiego lingwisty, żeby przetłumaczyć zdanie *ton père va mourir* na „twój tato umiera”?

Wróciła z nauczycielem, oboje zaróżowieni i zdyszani od wspinaczki po schodach. Facet wykręcił ten sam długi numer i zapytał, czy może mówić z Josephine Moutier.

– Z Josephine Reacher, idioto – poprawił go Moutier głosem, który miał być dźwięczny jak dzwon, ale zabrzmiał niczym charczenie gruzlika. – Jej nazwisko

małżeńskie brzmi Reacher. Nie będą wiedzieli, kim jest Josephine Moutier.

Nauczyciel przeprosił i poprawił się, prosząc do telefonu Josephine Reacher. Przez chwilę milczał, po czym zasłonił mikrofon dłonią i spojrzął na Moutiera.

– Jak ma na imię jej mąż? Pański zięć?

– Stan – odparł Moutier. – Nie Stanley, ale po prostu Stan. Tak napisali w jego akcie urodzenia. Czytałem go. Kapitan Stan Reacher z korpusu piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych.

Nauczyciel przekazał tę informację i wysłuchał odpowiedzi. Po chwili odłożył słuchawkę.

– Właśnie wyjechali – powiedział. – Zaledwie przed kilku dniami. Cała rodzina. Kapitan Reacher dostał nowy przydział.

2

Emerytowany nauczyciel z Paryża rozmawiał z oficerem dyżurnym w bazie marynarki wojennej w Guam na Pacyfiku, gdzie kapitan Stan Reacher stacjonował przez trzy miesiące jako oficer łącznikowy marines. Pobyt na tej sympatycznej placówce dobiegł końca i teraz wysłano go na Okinawę. Rodzina – żona Josephine i dwaj synowie, piętnastoletni Joe i trzynastoletni Jack – dołączyła do niego po trzech dniach, przylatując rejsowym samolotem przez Manilę. Josephine była bystrą, odważną i pełną werwy kobietą, w wieku czterdziestu czterech lat wciąż ciekawą świata i cieszącą się, że może go tyle obejrzeć, w dalszym ciągu niemającą nic przeciwko bezustannym przeprowadzkom i spartańskim warunkom życia. Joe Reacher, mierzący ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i ważący dobrze ponad dziewięćdziesiąt kilo piętnastolatek, wydawał się prawie dorosły – prawdziwy olbrzym przy matce, ale nadal spokojny i pilny, nadal bardziej podobny do Clarka Gable'a niż do Supermana. Jack Reacher w wieku trzynastu lat wyglądał jak naszkicowany na serwetce przez inżyniera plan czegoś jeszcze większego i bardziej ambitnego; jego grubokoścista sylwetka przypominała rusztowanie potężnego gmachu. Wystarczyło dodać dwadzieścia centymetrów wzrostu i dwadzieścia kilo mięśni, i budowa będzie zakończona. Obdarzony wielkimi dłońmi i uważnymi oczami, był podobnie jak jego brat spokojny, ale niezbyt pilny. W przeciwieństwie do Joego zawsze zwracano się do niego po nazwisku. Nikt nie wiedział dlaczego, ale rodzina składała się ze Stana, Josie, Joego i Reachera, i tak było od samego początku.

Stan odebrał rodzinę z lotniska Futenma i pojechali taksówką do wybranego przez niego bungalowu, półtora kilometra od plaży. Gorący i duszny, stał przy wąskiej betonowej uliczce z rowami po obu stronach. Uliczka była prosta jak strzelił, stały przy niej ciasno poustawiane domki i kończyła się przy błękitnej wstędze oceanu. Rodzina zmieniała już wcześniej miejsce pobytu jakieś czterdzieści razy, więc przeprowadzka była dla nich rutyną. Chłopcy weszli do drugiej sypialni i to do nich należała decyzja, czy powinno się ją wysprzątać. Jeśli tak, robili to sami, jeśli nie, dawali sobie spokój. W tym wypadku Joemu jak

zwykle coś się nie spodobało, a Reacher uznał, że wszystko jest w porządku. Zostawił więc brata, żeby się tym zajął, a sam wszedł do kuchni, gdzie najpierw napił się wody, a potem poznał złe wieści.

3

Rodzice Reachera siedzieli obok siebie przy kuchennym blacie, studiując list, który matka przywiozła ze sobą z Guam. Reacher widział już wcześniej kopertę. Miało to coś wspólnego ze szkołą.

– Przed rozpoczęciem nauki ty i Joe będziecie musieli przejść test – powiedziała matka.

– Dlaczego? – zapytał Reacher.

– Chodzi o ustalenie, do której macie pójść klasy – odparł ojciec. – Chcą wiedzieć, jak dobrze sobie radzicie.

– Powiedz im, że radzimy sobie całkiem dobrze. Powiedz im: nie, dziękuję.

– Dziękuję za co?

– Jest mi dobrze tu, gdzie jestem. Nie muszę iść do wyższej klasy. Joe na pewno uważa tak samo.

– Sądzisz, że chodzi o pójście do wyższej klasy?

– A nie?

– Nie – rzucił ojciec. – Chodzi o to, żebyście poszli do tej samej.

– Więc dlaczego musimy przechodzić test?

– To nowa polityka – wyjaśniła matka. – Mieliście dużo przerw w nauce. Chcą sprawdzić, czy możecie przejść do następnej klasy.

– Nigdy wcześniej tego nie robili.

– Dlatego nazywa się to nową polityką. W przeciwieństwie do starej.

– Chcą, żeby Joe przystąpił do testu? I udowodnił, że może przejść do następnej klasy? Dostanie białej gorączki.

– Poradzi sobie. Jest dobry w testach.

– Nie o to chodzi, mamó. Wiesz, jaki on jest. Potraktuje to jako zniewagę. I będzie się starał zaliczyć na sto procent. Na sto dziesięć. Dostanie świra.

– Nikt nie może zaliczyć testu na sto dziesięć procent. To niemożliwe.

– No właśnie. Ekspłoduje mu głowa.

– A ty?

– Ja? Dam sobie radę.

– Będziesz się bardzo starał?

– Ile trzeba, żeby zaliczyć?

– Pewnie pięćdziesiąt procent.

– Więc zaliczę na pięćdziesiąt jeden. Nie ma sensu się przemęczać. Kiedy to będzie?

– Za trzy dni. Przed rozpoczęciem semestru.

– Wspaniale – mruknął Reacher. – Co to za system oświatowy, który nie zna znaczenia słowa „wakacje”?

Reacher wyszedł na betonową uliczkę i spojrzał na widoczną w oddali wstęgę oceanu. A właściwie Morza Wschodniochińskiego. Pacyfik leżał po drugiej stronie. Okinawa jest jedną z wysp Riukiu, które oddzielają od siebie te dwa akweny.

Między Reacherem a morzem stało mniej więcej czterdzieści domów po lewej stronie ulicy i czterdzieści domów po prawej. Domyślił się, że w tych stojących po jego stronie i bardziej oddalonych od morza zakwaterowane są czasowo rodziny marines, a te po drugiej, bliżej morza, należą do Japończyków mieszkających tutaj na stałe. Wiedział, jak funkcjonuje rynek nieruchomości. *Parę kroków do plaży*. Ludziom zależało na domach położonych w tej okolicy i wojskowi godzili się, by miejscowym przypadły te najlepsze. Departament Obrony zawsze obawiał się tarć. Zwłaszcza na Okinawie. Baza sił powietrznych znajdowała się w samym środku miasta Genowan, które było całkiem duże. Za każdym razem, gdy startował samolot transportowy, hałas był tak potężny, że w szkołach trzeba było na minutę albo dwie przerywać lekcje.

Reacher odwrócił się plecami do Morza Wschodniochińskiego i ruszył w stronę lądu; mijał jeden po drugim identyczne małe domki i przeciął skrzyżowanie, zapuszczając się w sieć przecinających się pod idealnie prostym kątem ulic, przy których stały kolejne identyczne domki. Budowano je szybko i z tanich materiałów, ale były w dobrym stanie, zadbane i czyste. Na niektórych gankach siedziały małe niczym lalki miejscowe kobiety. Kłaniał im się grzecznie, ale wszystkie odwracały głowy. Nie zobaczył żadnych japońskich dzieci. Może były w szkole. Może rok szkolny już się u nich rozpoczął. Reacher zawrócił i po stu metrach wpadł na szukającego go brata.

– Powiedzieli ci o teście? – zapytał Joe.

Reacher pokiwał głową.

– Żaden problem.

– Musimy go zaliczyć.

– Jasne, że go zaliczymy.

– Nie, mam na myśli to, że musimy go zaliczyć na medal. Z palcem w nosie. Musimy ich roznieść na strzępy.

– Po co?

– Oni próbują nas upokorzyć, Reacher.

– Nas? Nawet nas nie znają.

– Ludzi takich jak my. Tysiące takich jak my. My też musimy ich upokorzyć. Sprawić, że będzie im wstyd, że w ogóle wpadli na taki pomysł. Musimy pokazać, co myślimy o ich zasranym teście.

– Na pewno nam się uda. Jak trudny może być taki test?

– To nowa polityka, więc test może być nowego typu. Mogą być w nim najróżniejsze nowe rzeczy.

– Na przykład co?

– Nie mam pojęcia. Może być w nim wszystko.

- Dobrze, postaram się jak najlepiej – obiecał Reacher.
 - Jak twoja wiedza ogólna?
 - Wiem, że dziesięć lat temu Mickey Mantle miał średnią uderzeń trzysta trzy. Piętnaście lat temu dwieście osiemdziesiąt pięć, a dwadzieścia lat temu trzysta. Co średnio daje dwieście dziewięćdziesiąt sześć, czyli wynik zaskakująco bliski średniej z całej jego kariery, która wynosi dwieście dziewięćdziesiąt osiem. To musi coś znaczyć.
 - Nie będą cię pytać o Mickeya Mantle’a.
 - Więc o kogo?
 - Musimy się tego dowiedzieć – odparł Joe. – Mamy prawo to wiedzieć. Musimy pójść do tej szkoły i zapytać, co tam będzie.
 - Z testami tak się nie robi – rzucił Reacher. – To jest sprzeczne z samą ich ideą, nie sądzisz?
 - Mamy przynajmniej prawo wiedzieć, jaką część jakiego programu nauczania chcą sprawdzić.
 - Sprawdzą czytanie, pisanie, dodawanie i odejmowanie. I może dzielenie, jeśli będziemy mieli szczęście. Wiesz, jak to wygląda. Nie przejmuj się.
 - To zniewaga – oświadczył Joe.
- Reacher się nie odezwał.

5

Bracia Reacherowie przecięli razem skrzyżowanie i ruszyli dalej długą betonową uliczką. Ich nowy dom stał po lewej stronie. W oddali migotało w słońcu błękitne morze. Bliżej ciągnął się pas białego piasku i rosło kilka palm. Między swoim domem i morzem zobaczyli małych chłopaków. Amerykanów, czarnych i białych, może dwudziestu. Z rodzin marines. Sąsiedzi. Stali przy swoich domach, po tańszej stronie ulicy, tysiąc kroków od plaży.

- Chodźmy zerknąć na Morze Wschodniochińskie – powiedział Reacher.
- Już je widziałem – odparł Joe. – Ty też.
- Mogliśmy przez całą zimę odmrażać sobie tyłki w Korei.
- Dopiero co byliśmy na Guam. Ile człowiek może plażować?
- Ile tylko się da.
- Za trzy dni mamy test.
- Właśnie. Więc dziś nie musimy się nim martwić.

Joe westchnął i minawszy własny dom, ruszyli dalej w stronę błękitnego morza. Chłopcy przed nimi zobaczyli, że się zbliżają. Podnieśli tyłki z krawężników, przeszli przez rowy i powłócząc nogami, stanęli pośrodku drogi. Ustawili się w luźnym trójkątnym szyku twarzami do nich, z wypiętymi piersiami i skrzyżowanymi na nich rękami – ponad dwudziestu chłopaków, kilku ledwie dziesięcioletnich, kilku o rok albo dwa starszych od Joego.

Komitet powitalny.

Na samej szpicy stał mniej więcej szesnastoletni osilek o byczym karku – mniejszy od Joego, większy od Reachera. Ubrany w T-shirt piechoty morskiej i podarte spodnie khaki, miał grube dłonie, z zapadniętymi, a nie wystającymi kłykciami. Stał pięć metrów od nich i czekał.

– Jest ich za dużo – powiedział cicho Joe.

Reacher się nie odezwał.

– Nie zaczynaj z nimi – rzucił Joe. – Mówię serio. Załatwimy to później, jeśli będzie trzeba.

Reacher uśmiechnął się.

– Masz na myśli po teście?

– Powinieneś potraktować poważnie tę historię z testem.

Szli dalej. Czterdzieści różnych placówek. Czterdzieści różnych komitetów powitalnych w czterdziestu różnych miejscach. Tyle że powitania wcale się od siebie nie różniły. Wszędzie chodziło o to samo. O poczucie przynależności do grupy, testosteron, ustalenie obowiązującej hierarchii, wszelkiego rodzaju dzikie instynkty. Stanowiły innego rodzaju testy.

Joe i Reacher zatrzymali się dwa metry przed osiłkiem i czekali. Miał na karku czyrak. I paskudnie cuchnął.

– Jesteście nowi – powiedział.

– Jak do tego doszedłeś? – odparł Joe.

– Wczoraj was tu nie było.

– Fenomenalna dedukcja. Myślałeś o karierze w FBI?

Osilek nic na to nie odpowiedział. Reacher uśmiechnął się. Uznał, że mógłby trafić lewym sierpowym prosto w czyrak. Zabolałoby jak wszyscy diabli.

– Idziecie na plażę? – zapytał osilek.

– Jest tutaj jakaś plaża? – rzucił Joe.

– Wiecie, że jest.

– A ty wiesz, dokąd idziemy.

– Ta droga jest płatna.

– Że co?

– Słyszałeś. Musicie wnieść opłatę.

– Jaka jest opłata?

– Jeszcze nie zdecydowałem – odparł osilek. – Jak zobaczę, ile macie, będę wiedział, ile wziąć.

Joe nie odpowiedział.

– Rozumiesz? – zapytał chłopak.

– Ani trochę.

– Nie rozumiesz, bo jesteś debilem. Obaj jesteście debilami. Słyszeliśmy o was. Każą wam zdawać test dla debili, bo jesteście debilami.

– To była zniewaga, Joe – odezwał się Reacher.

– Więc mały debil potrafi mówić? – skomentował osilek.

– Widzieliście ten nowy posąg na placu w Luzon? – zapytał Joe.

– Bo co?

– Pod cokołem leży tam pogrzebany ostatni szczeniak, który wszczął bójkę z moim bratem.

Osilek spojrzał na Reachera.

– To nie było zbyt miłe – powiedział. – Jesteś stukniętym debilem?

– A co to takiego? – zapytał Reacher.

– Ktoś w rodzaju psychopaty.

– Pytasz, czy uważam, że mam prawo robić to, co robię, i nie dręczą mnie potem wyrzuty sumienia?

– Tak jakby.

– W takim razie owszem, jestem kimś w rodzaju psychopaty – odparł Reacher.

Zapadła cisza, którą przerwał warkot motocykla. A potem dwóch. I trzech. Dobiegający z oddali, ale zbliżający się. Wzrok osiłka pobiegł w stronę skrzyżowania. Trójkątny szyk za jego plecami rozsypał się. Chłopcy poczępali z powrotem w stronę krawężników i swoich podwórek. Motocykl zwolnił, skręcił w ich uliczkę i powoli popyrkotał dalej. Siedział na nim żołnierz piechoty morskiej w polowym mundurze. Podoficer jadący z bazy po zakończeniu służby. Za nim jechali dwaj kolejni, jeden na wielkim harleyu. Wracający do domu surowi ojcowie.

– Skończymy to innym razem – powiedział chłopak z czyrakiem.

– Uważaj, o czym marzysz – poradził mu Joe.

Reacher się nie odezwał.

6

Stan Reacher był z natury człowiekiem małomównym, a przy śniadaniu czwartego dnia po przejściu nowego dowództwa, które okazało się wcale niełatwe, odzywał się rzadziej niż kiedykolwiek. W Stanach prezydentura przeszła właśnie trochę przedwcześnie z rąk do rąk i szefowie połączonych sztabów pospieszyli, by przedstawić nowemu prezydentowi całą gamę opcji, z którymi powinien się zapoznać. Standardowa procedura. Początek każdej administracji był taki sam. Istniały plany na wypadek każdej ewentualności i wszystkie zostały odkurzone. Wietnam praktycznie się skończył, w Korei trwał pat, Japonia była sojusznikiem, w kwestii Związku Sowieckiego nic się nie zmieniło, więc uwaga była skupiona na Chinach. Publicznie wiele się mówiło o odprężeniu, ale prywatnie przygotowywano plany na wypadek wojny. Chińczyków trzeba było pokonać wcześniej czy później i Stan Reacher miał w tym do odegrania swoją rolę. Powiedziano mu o tym drugiego ranka.

Powierzono mu dowództwo czterech kompanii strzelców i przekazano ściśle tajne akta definiujące ich misję; polegała ona na wejściu w skład szpicy olbrzymiego kontyngentu, który miał wylądować na północ od Hangzhou, a następnie przebić się zgodnie z ruchem wskazówek zegara i odciąć Szanghaj. Trudne zadanie. Przewidywane straty w ludziach były przerażające. Ale zdaniem Stana, ogólnie rzecz biorąc, oceniane trochę zbyt pesymistycznie. Spotkał się już

ze swoimi ludźmi i był pod wrażeniem. Na Okinawie zawsze trudno było uniknąć porównań ze zwariowanym pokoleniem marines, które gościło tu trzydzieści lat wcześniej, ale aktualny narybek był dobry. Naprawdę dobry. Stan, tak jak wszyscy, cenił sobie słynne stare powiedzenie: *W wojnie nie chodzi o to, by zginąć za swój kraj. Chodzi o to, by ci drudzy zginęli za swój.* W piechocie wszystko sprowadzało się do prostej arytmetyki. Jeśli za każdego wyeliminowanego z naszej strony udało się wyeliminować dwóch przeciwników, szala zwycięstwa przechylała się na naszą stronę. Jeśli udało się wyeliminować pięciu, zwycięstwo było bliskie. Jeśli ośmiu albo dziesięciu, wygrana była w kieszeni. A Stan uważał, że każdy z jego ludzi potrafi z łatwością wyeliminować ośmiu lub dziesięciu.

Ale ludność Chin była ogromna. I fanatyczna. Stale napływałyby nowi. Mężczyźni, a potem chłopcy. Prawdopodobnie również kobiety. Chłopcy w wieku jego synów. Kobiety takie jak żona. Patrzył, jak jedzą śniadanie, i wyobrażał sobie robiących to samo ojców i mężów półtora tysiąca kilometrów dalej. Komuniści bez wahania powołaliby do armii dzieciaków w wieku Joego. Nawet w wieku Reachera – zwłaszcza takich dużych. A potem kobiety. I dziewczęta. Stan nie ulegał sentymentom ani nie gryzło go sumienie. Mógł śmiało posłać kulkę w czyjąś głowę, a potem spał jak dziecko. Ale to były dziwne czasy. To nie ulegało kwestii. Człowiek, który ma dzieci, myśli o przyszłości, lecz będąc żołnierzem piechoty morskiej, Stan wiedział, że przyszłość jest teorią, a nie czymś realnym.

Nie miał jakichś konkretnych planów w stosunku do synów. Nie był tego rodzaju ojcem. Zakładał jednak, że zostaną w wojsku. Bo na czym innym się znali? W takim razie intelekt Joego powinien zapewnić mu bezpieczeństwo. Nie żeby na pierwszej linii frontu nie było łebskich facetów. Ale Joe nie należał do wojowników. Był niczym karabin bez iglicy. Fizycznie obecny, nie miał jednak w głowie cyngla. Przypominał bardziej konsolę wyrzutni nuklearnej z rozbudowanym systemem zabezpieczeń i kluczy sekwencyjnych. Za dużo myślał. Robił to oczywiście szybko, ale wszelkie wahanie na początku walki mogło mieć fatalne konsekwencje dla jej wyniku. Nawet trwające ułamek sekundy. W głębi duszy Stan był zatem przekonany, że Joe wyląduje w wywiadzie i będzie tam sobie świetnie radził.

Z drugim synem problem był zupełnie inny. Wszystko wskazywało na to, że chłopak wyrośnie na olbrzyma. Będzie ważącą jedną ósmą tony masą mięśni. Co stanowiło nieco przerażającą perspektywę. Wielokrotnie wracał do domu pokrwawiony i posiniaczony, ale z tego, co wiedział Stan, mniej więcej od piątego roku życia nie przegrał żadnej bójki. Może nigdy żadnej nie przegrał. On też nie był raptusem, ale nie w taki sposób jak jego starszy brat. Joe miał wmontowany permanentny bezpiecznik, a Reacher był nastawiony permanentnie na full auto. Kiedy dorośnie, nic go nie powstrzyma. Będzie niczym siłą natury. Stanie się czymś koszmarem. Nawet jeśli sam nie zaczynał bójek. Matka wpoila mu wcześniej to co trzeba. Josie była w tym dobra. Wiedziała, czym to może grozić. Wbiła mu więc do głowy, że nigdy, pod żadnym pozorem nie wolno mu wszczynać awantur, lecz może reagować, gdy zrobi to ktoś inny. I warto to było

zobaczyć. Podczas walki na noże spryciarz wyciąga spluwę. Reacher detonował bombę wodorową.

Ale chłopak potrafił też myśleć. Nie miał akademickiego umysłu jak Joe; prezentował podejście praktyczne. Miał prawdopodobnie taki sam iloraz inteligencji, był to jednak iloraz uliczny, nastawiony przede wszystkim na rezultat, nie na intelektualne gierki. Reacher cenił fakty, to nie ulegało wątpliwości, a także informacje, lecz nie teorie. Był postacią z realnego świata. Stan nie miał pojęcia, co Reacherowi gotuje przyszłość. Najmniejszego pojęcia poza tym, że chłopak będzie zbyt duży, by zmieścić się w czołgu i w kokpicie samolotu. Więc będzie to musiało być coś innego.

Tak czy inaczej, to należało jeszcze do odległej przyszłości. Byli wciąż dzieciakami, jego jasnowłosymi chłopcami. Stan wiedział, że w tym momencie horyzonty Joego nie sięgają poza początek następnego semestru, a Reachera poza czwartą filiżankę kawy na śniadanie. Którą dzieciak właśnie sobie nalał, jak na zawołanie.

– Mam zamiar iść dzisiaj do szkoły i zapytać ich o ten test – oznajmił nagle Joe, również jak na zawołanie.

– Nie ma na to zgody – oświadczył Stan.

– Dlaczego?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, nigdy nie pokazuj nikomu, że pękasz. Po drugie, złożyłem wczoraj zamówienie i spodziewam się dziś dostawy.

– Czego?

– Telefonu.

– Mama będzie w domu.

– Nie będzie mnie – rzuciła Josie. – Będę załatwiała różne sprawy.

– Przez cały dzień?

– Bardzo możliwe. Muszę znaleźć wystarczająco tani sklep, żeby dostarczyć wam cztery kilo protein, które pochłaniacie najwyraźniej podczas każdego posiłku. A potem muszę zjeść lunch z innymi matkami w klubie oficerskim, co jeśli na Okinawie nic się nie zmieniło od naszego poprzedniego pobytu, a wszystko wskazuje, że się nie zmieniło, zajmie mi prawdopodobnie całe popołudnie.

– Reacher może poczekać w domu na telefon – zaproponował Joe. – Nie potrzebuje niańki.

– To jest poza dyskusją – powiedział Stan. – Możesz iść popływać, pograć w piłkę albo uganiać się za dziewczynami, ale nie wolno ci iść i pytać o ten test. Po prostu postaraj się jak najlepiej go rozwiązać.

7

W tym momencie w Paryżu był późny wieczór poprzedniego dnia i emerytowany nauczyciel ponownie rozmawiał przez telefon z bazą marynarki wojennej na Guam. Gospoia Moutiera szepnęła mu, że powinien jak najszybciej

skontaktować się z córką starego. Niestety, nauczyciel działał bardzo niewiele. Oficer dyżurny na Guam nie miał pojęcia o planach Pentagonu dotyczących Chin, ale nowy przydział Stana Reachera określony był jako tajny, w związku z czym żaden cudzoziemiec nie powinien o nim nic wiedzieć. Nie od marynarki. Nie, proszę pana. Nie ma mowy, w żadnym wypadku.

Leżący na łóżku Moutier słyszał połowę całej wymiany zdań. Znał trochę angielski. W wystarczającym stopniu, by się dogadać, a także domyślić tego, co było ukryte między wierszami. Wiedział dokładnie, jak funkcjonuje wojsko. Podobnie jak praktycznie każdy inny Europejczyk płci męskiej w dwudziestym wieku służył w armii. Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, miał już trzydzieści lat, ale natychmiast zgłosił się na ochotnika, przetrwał jakoś wszystkie cztery lata, łącznie z Verdun i Sommą, i wrócił do cywila z piersią pełną medali i bez ran dłuższych od jego środkowego palca, czyli statystycznie rzecz biorąc, bez większego szwanku. W dniu demobilizacji smętny jednoręki i jednooki brygadier życzył mu wszystkiego najlepszego, po czym dodał, nieco bez związku: „Zapamiętaj moje słowa, Moutier: każda wielka wojna zostawia w kraju trzy armie: armię kalek, armię żałobników i armię złodziei”.

I Moutier odnalazł wszystkie trzy zaraz po powrocie do Paryża. Wszędzie byli ludzie oplakujący zmarłych. Matki, żony, narzeczone, siostry i starcy. Ktoś powiedział, że gdyby poświęcić każdemu poległemu żołnierzowi jednostronicowy nekrolog, jedną marną kartkę, na której zmieściłyby się wszystkie jego marzenia i nadzieje, utworzona w ten sposób sterta byłaby wyższa od wieży Eiffla.

Wszędzie byli złodzieje, niektórzy kradnący w pojedynkę, inni w bandach i gangach, jeszcze inni o zabarwieniu politycznym. I Moutier codziennie widywał kaleki, niektórych po prostu na ulicy, lecz większość w związku ze swoją pracą, ponieważ jego firma renowacji mebli została przejęta przez rząd i kazano mu przez następnych dziesięć lat robić drewniane nogi. I Moutier wykonywał je, z nóg stołów, które kupował od właścicieli upadłych restauracji. Było całkiem możliwe, że paryscy weterani kuśtykali, podpierając się tymi samymi elementami umeblowania, przy których siedzieli, stołując się kiedyś na mieście.

Dziesięcioletni kontrakt rządowy wygasł na tydzień przed krachem na Wall Street i następna dekada była bardzo ciężka, tyle że spotkał kobietę, która szybko została jego żoną, ślicznotką w wystarczającym stopniu nierozgarniętą, by wziąć sobie za męża takiego poobijanego czterdziestopięcioletniego ramola jak on. Rok później urodziło im się jedyne dziecko, Josephine, dziewczynka z włosami jak szcotka, która wyszła za żołnierza piechoty morskiej z New Hampshire i z którą teraz – mimo całej gamy technicznych innowacji, jakie Moutier miał okazję poznać w swoim długim życiu, wielu wynalezionych przez samych Amerykanów – zupełnie nie można było się skontaktować.

Stan Reacher naciągnął nisko na czoło polową czapkę i poszedł do pracy. Minutę później poszła na zakupy Josie, trzymając w ręku wielką torbę i cienką torebkę. Reacher usiadł na krawężniku i czekał, aż z domu wyjdzie chłopak z czyrakiem na karku. Joe został w środku. Ale nie na długo. Pół godziny później wyszedł elegancko uczesany i w marynarce.

– Idę na spacer – oznajmił.

– Do szkoły?

– Im mniej wiesz, tym lepiej.

– Oni wcale cię nie upokarzają. Sam się upokarzasz. Jak możesz czuć się dobrze, zaliczając test na sto procent, skoro wcześniej zapytałeś, jakie będą pytania?

– To kwestia zasad.

– Nie moich – odparł Reacher. – Moja zasada mówi, że te testy są na tak przeciętnym poziomie, że przeciętni ludzie mogą je zaliczyć. Dzięki temu nie sram w gacie, kiedy mam do nich przystąpić.

– Chcesz, żeby ludzie myśleli, że jesteś przeciętny?

– Nie dbam o to, co myślą ludzie.

– Wiesz, że musisz poczekać na dostawę?

– Będę tutaj – zapewnił go Reacher. – Chyba że ten śmierdzący gruby chłopak pojawi się z tyloma kumplami, że wyląduję w szpitalu.

– Nikt się z nikim nie pojawi. Wszyscy pojechali na mecz. Dziś rano, autobusem. Widziałem ich. Nie będzie ich przez cały dzień.

9

Telefon przywieźli, kiedy Reacher jadł lunch. Zrobił sobie kanapkę z serem oraz zaparzył dzbanek kawy i był w połowie jednego i drugiego, kiedy do drzwi zapukał kurier. Facet wyjął telefon z pudła i wręczył go Reacherowi. Powiedział, że musi zatrzymać pudło. Najwyraźniej na wyspie ich brakowało.

Telefon wyglądał dziwnie. Nie był podobny do tych, które Reacher widywał wcześniej. Postawił go na blacie obok resztek kanapki i przyjrzał mu się ze wszystkich stron. Był zdecydowanie zagraniczny i pewnie miał ze trzydzieści lat. Musiał pochodzić z wojskowych magazynów jakiegoś podbitego kraju. W podbitych krajach przejęto całe masy sprzętu. Tu sto tysięcy maszyn do pisania, tam sto tysięcy lornetek. Sto tysięcy aparatów telefonicznych, w których trzeba było wymienić instalację i wydać je na nowo. I zrobić to w odpowiednim momencie. Zastąpienie na całym świecie namiotów i baraków z cynkowanej blachy porządnymi murowanymi domami musiało kosztować sporo wysiłku sporą liczbę ludzi. Po co czekać na dostawę z Bell Labs albo GE, skoro można podstawić ciężarówkę pod magazyn we Frankfurcie?

Reacher znalazł gniazdko w kuchni, podłączył do niego aparat i sprawdził, czy w słuchawce jest sygnał centrali. Był. Zostawił więc telefon na blacie i poszedł na plażę.

Plaża była super. Lepsza od większości plaż, które Reacher widział. Zdjął koszulę i buty i długo pływał w błękitnej ciepłej wodzie, a potem zamknął oczy, położył się na słońcu i leżał tak długo, aż wysechł. Kiedy otworzył oczy, zobaczył tylko biel i blask nieba. Potem zamrugał, przekręcił głowę i przekonał się, że nie jest sam. Pięć metrów dalej na ręczniku leżała jakaś dziewczyna. Była w jednoczęściowym kostiumie kąpielowym. Mogła mieć trzynaście albo czternaście lat. Nie całkiem dorosła, ale już nie dziecko. Na skórze miała kropelki wody, jej włosy były śliskie i ciężkie.

Reacher wstał, cały oblepiony piaskiem. Nie miał ręcznika. Otrzeptał się koszulą, a potem strzepnął ją i włożył. Dziewczyna obróciła głowę w jego stronę.

- Gdzie mieszkasz? – zapytała.
- Przy tej ulicy – odparł, pokazując ręką.
- Pozwolisz, żebym wróciła razem z tobą?
- Jasne. Ale dlaczego?
- W razie gdyby byli tam ci chłopcy.
- Nie będzie ich. Wyjechali na cały dzień.
- Mogą wcześniej wrócić.
- Próbowali z tobą tego numeru z opłatą za przejście?

Pokiwała głową.

- Nie zapłacę im.
- Czego chcieli?
- Nie chcę o tym mówić.

Reacher nie odezwał się.

- Jak się nazywasz? – zapytała dziewczyna.

- Reacher.
- Ja jestem Helen.
- Miło cię poznać, Helen.
- Od dawna tu jesteś?
- Od wczoraj – odparł Reacher. – A ty?
- Mniej więcej od tygodnia.
- Zostaniesz tu na długo?
- Na to wygląda. A ty?
- Nie wiem – powiedział Reacher.

Dziewczyna wstała i strzepnęła ręcznik. Była szczupła, niewysoka; miała długie nogi i umalowane paznokcie u stóp. Przeszli razem po piasku i skręcili w długą betonową uliczkę. Była pusta.

- Gdzie jest twój dom? – zapytał Reacher.
- Po lewej stronie, przy końcu ulicy.
- Mój jest po prawej. Jesteśmy prawie sąsiadami.

Odprowadził ją pod drzwi, ale w tym momencie do domu wróciła już jej mama i nie zaproszono go do środka. Helen słodko się do niego uśmiechnęła i podziękowała, a Reacher przeszedł przez ulicę do swojego domu, w którym

nadal panowała duchota i nadal nikogo nie było. Usiadł więc na ganku i leniwie zabijał czas.

Dwie godziny później do domów wrócili na motocyklach trzech podoficerowie marines, potem następni dwaj i dwaj inni w samochodach. Po kolejnej półgodzinie z meczu przyjechał regularny amerykański szkolny autobus i wysypał się z niego tłum dzieciaków z sąsiedztwa; pobiegły do domów, mierząc tylko Reachera ostrym wzrokiem. Odpowiedział im takim samym ostrym spojrzeniem, ale nie ruszył się z miejsca. Częściowo dlatego, że nie zobaczył swojego celu. Co było dziwne. Rozejrzał się raz, drugi i trzeci i kiedy rozwiała się chmura spalin, wiedział już na pewno: grubego śmierzącego chłopaka z czyrakiem na karku nie było w autobusie.

11

W końcu wrócił do domu Joe, milczący, bardzo czymś zaaferowany i kompletnie niekomunikatywny. Nie powiedział, gdzie był. W ogóle się nie odezwał. Ruszył po prostu do kuchni, umył ręce, sprawdził, czy w słuchawce nowego telefonu słychać sygnał centrali, a potem poszedł wziąć prysznic, czego o tej porze dnia na ogół nie robił. Następnie, co zaskakujące, wrócił i ojciec, również milczący, bardzo czymś zaaferowany i kompletnie niekomunikatywny. Nalał sobie szklankę wody, sprawdził, czy w słuchawce nowego telefonu słychać sygnał centrali, po czym zaszył się w salonie. Ostatnia weszła matka, uginając się pod ciężarem pakunków i kwiatów, które dostała na lunchu od kobiet z komitetu powitalnego. Reacher wziął od niej zakupy i zaniósł je do kuchni. Matka zobaczyła na blacie nowy telefon i lekko się rozpromieniła. Nigdy nie czuła się dobrze, dopóki nie skontaktowała się ze swoim tatą i nie zadbała o to, by miał jej najnowszy numer telefonu. Francję i Japonię dzieliło siedem godzin, co oznaczało, że jest tam teraz późny poranek, czyli odpowiednia pora, żeby zadzwonić. Wykręciła więc długi numer i słuchała powtarzającego się sygnału.

Telefon odebrała oczywiście gosposia i chwilę później w dusznym małym domku na Okinawie zaczęło się urwanie głowy.

12

Stan Reacher z miejsca zadzwonił z nowego telefonu do swojego pisarza kompanii, a ten przycisnął pewnego faceta, który przycisnął następnego – zupełnie jak w dominie – i w ciągu trzydziestu minut Josie miała zarezerwowane miejsce na ostatni tego wieczoru cywilny lot do Tokio, a w ciągu czterdziestu bilet lotniczy z Tokio do Paryża.

– Chcesz, żebym z tobą poleciał? – zapytał Reacher.

– Oczywiście, że bym chciała – odparła matka. – I wiem, że dziadek Moutier bardzo by się ucieszył na wasz widok. Ale może mnie nie być przez kilka tygodni. Niewykluczone, że dłużej. A wy musicie zaliczyć test, a potem zaczyna się szkoła.

– Na pewno zrozumieją. I wcale mi nie przeszkadza, jeśli opuszczę parę tygodni. Mogę zdać test po powrocie. A może po prostu o nim zapomną.

– Twojej matce chodzi o to, że nas na to nie stać, synu – wtrącił się ojciec. – Bilety lotnicze są drogie.

Podobnie jak taksówki, ale dwie godziny później i tak zamówili gablotę na lotnisko. Pod dom podjechał stary Japończyk w dużym kanciastym datsunie i Stan usiadł z przodu, a Josie i chłopcy wcisnęli się z tyłu. Josie zabrała ze sobą małą torbę. Joe był wyprysznicowany, ale nie miał już uczesanych włosów. Wróciły do swojego naturalnego zmierzwionego stanu. Reacher nadal był słony i zapiaszczony po plaży. Nikt za wiele nie mówił. Reacher pamiętał dziadka całkiem dobrze. Spotkał się z nim trzy razy. Starszy pan miał szafę wypełnioną po brzegi sztucznymi kończynami. Najwyraźniej potomkowie zmarłych weteranów musieli nadal zwracać protezy do warsztatu, do modyfikacji i ewentualnego ponownego wykorzystania. Wchodziło to w zakres pierwotnej umowy. Dziadek Moutier mówił, że mniej więcej raz w roku ktoś mu je oddawał. A czasami nawet dwa albo trzy razy. Niektóre były wykonane ze stołowych nóg.

Wysiedli na lotnisku. Było już ciemno i zrobiło się chłodniej. Josie uściskała i ucałowała Stana, uściskała i ucałowała Joego, uściskała i ucałowała Reachera, następnie zaś odciągnęła go na bok i przez chwilę szeptała mu coś do ucha. A potem stanęła sama w kolejce do odprawy.

Stan i chłopcy weszli po długich zewnętrznych schodach na taras widokowy. Na płycie lotniska czekał już boeing 707 linii JAL, oświetlony reflektorami i otoczony pojazdami serwisowymi. Do przednich drzwi były podstawione schodki, silniki pracowały na niskich obrotach. Za pasem startowym rozciągał się nocny widok na całą południową część wyspy. Ich długa betonowa uliczka leżała gdzieś na południowym zachodzie, zupełnie niewidoczna w oddali. Wszędzie płonęły tam dziesiątki tysięcy małych ogników. To były palące się na podwórkach ogniska, każde migoczące jasno u podstawy i posyłające wysoko w górę cienką wstęgę dymu.

– Noc palenia śmieci – powiedział Stan.

Reacher pokiwał głową. Na każdej wyspie, na której mieszkał, były problemy ze śmieciami. Do najczęstszych rozwiązań należało zarządzane odgórnie cotygodniowe palenie wszystkiego, łącznie z resztkami jedzenia. Tradycyjna metoda, w każdej kulturze. Słowo *bonfire*, ognisko, pochodzi od *bone fire*, palenie kości. Pytanie z wiedzy ogólnej. Na tyłach ich małego dusznego domku Reacher widział już mały druczany piec służący do tego celu.

– Przegapiliśmy to w tym tygodniu – mruknął Stan. – Szkoda, że nie wiedzieliśmy.

– To nie ma znaczenia – odparł Joe. – Tak naprawdę nie mamy jeszcze żadnych śmieci.

Czekali wszyscy trzej na tarasie, wychyleni do przodu, z łokciami na poręczy, aż w końcu Josie pojawiła się na dole wraz z mniej więcej trzydziestoma innymi pasażerami. Przeszła po płycie lotniska, odwróciła się u stóp schodów i pomachała im na pożegnanie. A potem wspięła się do kabiny i zniknęła z pola widzenia.

13

Stan i chłopcy patrzyli, jak samolot startuje, jak przechyla się w bok i nabiera wysokości. Patrzyli, jak znikają jego małe światełka, a potem zaczekali, aż umilknie potężny łoskot silników, i zbiegli ramię przy ramieniu po długich schodach. Do domu wrócili na piechotę, co było standardowym sposobem przemieszczania się Stana, gdy nie towarzyszyła mu Josie, a dystans do pokonania wynosił mniej niż trzynaście kilometrów. Dwie godziny szybkiego marszu. Dla żołnierza piechoty morskiej bułka z masłem, no i wychodziło taniej niż jazda autobusem. Stan był dzieckiem Wielkiego Kryzysu, co wcale nie oznaczało, że zatwardziałe, typowe dla mieszkańców Nowej Anglii skąpstwo jego rodziny miałoby się zmienić w czasach dobrobytu. Niczego nie marnuj, niczego nie pragnij, zadowolaj się tym, co masz, i nie popisuj się. Jego ojciec przestał sobie kupować nowe ubrania w wieku czterdziestu lat, bo uważał, że to, co w tym momencie posiada, i tak go przetrwa, a liczenie, że będzie inaczej, stanowiłoby przejaw zuchwałej nonszalancji.

Kiedy dotarli na swoją uliczkę, ogniska już się dopalały. W powietrzu wisiały tumany dymu i nawet w małym dusznym domku czuć było zapach spalonego mięsa. Poszli od razu spać, przykryli się cienkimi prześcieradłami i dziesięć minut później w domu zapadła cisza.

14

Reacher źle spał. Najpierw przyśnił mu się dziadek, zawzięty stary Francuz, w jakiś sposób pozbawiony kończyn, wyposażony zamiast nich w cztery nogi stołowe, poruszający się i stający dęba niczym jakiś ruchomy mebel. Gdzieś nad ranem obudził go szelest na podwórku za domem, jakiś kot, gryzoń albo inny padlinożerca, a potem, znacznie później – nowy telefon, który zadzwonił dwa razy. Za wcześniej, żeby matka zdążyła już wylądować w Paryżu, za późno, żeby to była wiadomość o tragicznym wypadku w drodze do Tokio. Najwyraźniej coś innego, w związku z czym zignorował dzwonek za pierwszym i za drugim razem. W tym momencie Joe już wstał, Reacher wykorzystał zatem chwilę samotności, przewrócił się na drugi bok i spał aż do dziewiątej, co było jak na niego dość późną godziną.

Zastał ojca i brata w kuchni, obu milczących i spiętych w stopniu, który wydał mu się naprawdę przesadny. Dziadek Moutier był bez wątpienia miłym starsuszką, ale jeśli chodzi o przewidywaną długość życia, każdy dziewięćdziesięciolatek jest z samej definicji na straconej pozycji. Więc nie było to wielkim zaskoczeniem. Facet musiał kiedyś kipnąć. Nikt nie żyje wiecznie. I tak dożył pięknego wieku. Na litość boską, miał przecież dwadzieścia lat, kiedy bracia Wright po raz pierwszy wzbili się w powietrze.

Reacher zaparzył sobie kawę, bo lubił mocniejszą niż reszta rodziny. Zrobił grzanekę, nasypał płatków, zjadł, napił się i nadal nikt się do niego nie odzywał.

– Co jest? – zapytał w końcu.

Wzrok ojca opadł i przesunął się w poziomie niczym lufa działa, po czym zatrzymał się na blacie stołu mniej więcej trzydzieści centymetrów od talerza Reachera.

– Nie chodzi o mamę, tak?

– Nie, nie o mamę.

– Więc o co?

– Mamy kłopoty.

– Wszyscy?

– Ja i Joe.

– Dlaczego? Co się stało? – zapytał Reacher.

Lecz w tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi, więc nie doczekał się odpowiedzi. Ani ojciec, ani Joe się nie poruszyli, w związku z czym wstał i wyszedł do przedpokoju. To był ten sam dostawca co poprzedniego dnia. Wykonał ten sam rytuał. Rozpakował pudełko, zatrzymał je i podał Reacherowi szpulę kabla elektrycznego. Musiało go tam być ze sto metrów. Szpula była wielkości samochodowej opony. Kabel przeznaczony był do domowych instalacji, ciężki i sztywny, powleczony szarym plastikiem. Do szpuli dołączono wiszące na krótkim łańcuszku nożyce do cięcia drutu.

Reacher położył ją na podłodze w przedpokoju i wrócił do kuchni.

– Do czego jest nam potrzebny kabel elektryczny? – zapytał.

– Nie potrzebujemy kabla – odparł ojciec. – Zamówiłem buty.

– Ale ich nie dostałeś. Dostałeś szpulę kabla.

Ojciec westchnął zniecierpliwiony.

– W takim razie ktoś musiał chyba popełnić błąd.

Joe w ogóle się nie odezwał, co było czymś niezwykłym. Normalnie w takiej sytuacji powinien natychmiast zacząć ją analizować, wysuwając cały szereg hipotez, pytając, jakie są rodzaje i formaty zamówień, wskazując, że odpowiednie liczby można było łatwo przestawić, zastanawiając się na głos, jak w związku z tym, że na klawiaturze QWERTY odległe alfabetycznie litery umieszczone są tuż obok siebie, nieuważne maszynistki mogą niechcący pomylić klawisze. Miał tego rodzaju umysł. Wszystko wymagało wyjaśnienia. Ale tym razem nic nie powiedział. Siedział kompletnie niemy.

– Co jest? – powtórzył Reacher, przerywając milczenie.

– Nic, czym musiałbyś się przejmować – odparł ojciec.

– Będę musiał, jeśli się nie rozchmurzycie. Co, sądząc po waszych minach, nie nastąpi zbyt prędko.

– Zgubiłem książkę szyfrów – oznajmił ojciec.

– Książkę szyfrów do czego?

– Do operacji, którą miałbym ewentualnie poprowadzić.

– W Chinach?

– Skąd wiesz?

– A jaki inny kraj jeszcze został?

– W tym momencie to czysta teoria – powiedział ojciec. – Jedna z wielu opcji. Ale istnieją oczywiście plany. I byłoby bardzo kłopotliwe, gdyby wyciekły. Z Chinami mamy teraz podobno dobre stosunki.

– Czy w tej książce szyfrów jest dość danych, żeby ktoś się połapał?

– Oczywiście. Prawdziwe nazwy oraz odpowiedniki szyfrowe dwóch różnych miast, plus szwadrony i dywizje. Inteligentny analityk domyśli się, dokąd zmierzamy, co mamy zamiar zrobić i jak duże liczebnie będą nasze siły.

– Jakiej wielkości jest ta książka?

– To typowy segregator.

– Kto miał go ostatni? – zapytał Reacher.

– Jakiś planista – odparł ojciec. – Ale to ja jestem za niego odpowiedzialny.

– Kiedy dowiedziałeś się, że zginął?

– Wczoraj wieczorem. Rano zadzwonili z wiadomością, że przeszukanie, które zarządziłem, nie dało rezultatu.

– To fatalnie – przyznał Reacher. – Ale dlaczego Joe jest w to zamieszany?

– Nie jest. On ma zupełnie inny problem. Tego dotyczył drugi dzisiejszy telefon. Nie do wiary, ale chodzi o kolejny segregator. Zagięły odpowiedzi do testu. W szkole. A Joe tam wczoraj poszedł.

– Nawet nie widziałem segregatora z odpowiedziami – powiedział Joe. – I z całą pewnością go nie zabrałem.

– Więc co właściwie tam robiłeś? – zapytał Reacher.

– Ostatecznie nic takiego. Dotarłem aż do gabinetu dyrektora i powiedziałem sekretarce, że chcę z nim rozmawiać na temat testu. A potem przemyślałem to sobie i wyszedłem.

– Gdzie był segregator z odpowiedziami?

– Najwyraźniej na biurku dyrektora. Ale ja tam w ogóle nie wszedłem.

– Nie było cię dość długo.

– Spacerowałem.

– Po szkole?

– Częściowo. I w innych miejscach.

– Byłeś w budynku szkoły podczas przerwy na lunch?

Joe pokiwał głową.

– I na tym polega problem – powiedział. – Ich zdaniem, właśnie wtedy zgarnąłem ten segregator.

– I co teraz będzie?

– Oczywiście to zachowanie niegodne ucznia. Mogę zostać wydalony na cały semestr. A może na cały rok. A potem cofną mnie o jedną klasę, co realnie będzie oznaczać dwie. Ty i ja możemy się znaleźć w tej samej klasie.

– Mógłbyś odrabiać za mnie pracę domową – zasugerował Reacher.

– To nie jest zabawne.

– Nie przejmuj się. I tak przed końcem semestru każą nam się przenieść gdzie indziej.

– To nie jest wcale powiedziane – wtrącił się ojciec. – Nie przeniosą nas, jeśli wsadzą mnie do paki albo zdegradują do stopnia szeregowca i każą do końca służby malować krawężniki. Możemy już na zawsze utknąć na Okinawie.

W tym momencie zadzwonił telefon. Odebrał ojciec. Dzwoniła matka z Paryża. Ojciec starał się z nią rozmawiać pogodnym tonem. Kiedy odłożył słuchawkę, przekazał synom, że matka dotarła bezpiecznie na miejsce, że dziadek Moutier ma przed sobą najwyżej kilka dni życia i że matka bardzo się tym martwi.

– Idę na plażę – oznajmił Reacher.

15

Reacher wyszedł na zewnątrz i spojrzał w stronę morza. Ulica była pusta. Żadnych małych dzieci. Podjąwszy szybką decyzję, przeszedł na drugą stronę ulicy i zapukał do drzwi Helen. Dziewczyny, którą poznał poprzedniego dnia. Otworzyła i widząc, kim jest jej gość, wyszła na ganek i zamknęła za sobą drzwi. Zupełnie jakby trzymała jego istnienie w tajemnicy. Jakby się go wstydziła. Zobaczyła, że tak to odebrał, i pokręciła głową.

– Mój tato śpi – wyjaśniła. – To wszystko. Siedział i pracował aż do rana. I nie czuje się najlepiej. Godzinę temu po prostu padł.

– Chcesz iść popływać? – zapytał Reacher.

Helen zerknęła na ulicę i zobaczyła, że nikogo tam nie ma.

– Jasne – odparła. – Daj mi pięć minut, dobrze?

Wślizgnęła się z powrotem do środka, a Reacher obrócił się i zaczął obserwować ulicę, z jednej strony licząc, że pojawi się chłopak z czyrakiem, a z drugiej, że się nie pojawi. Nie pojawił się. Helen wyszła z domu w kostiumie kąpielowym, na który włożyła letnią sukienkę. Wzięła ze sobą ręcznik. Szli równym krokiem ulicą, oddaleni od siebie o pół metra, rozmawiając o tym, gdzie wcześniej mieszkali i jakie widzieli miejsca. Helen przenosiła się dość często, ale nie tak często jak Reacher. Jej tato służył na tyłach, nie w oddziałach bojowych, i w związku z tym jego przydziały były dłuższe i bardziej stabilne.

Rano morze było zimniejsze niż poprzedniego dnia po południu, dlatego po mniej więcej dziesięciu minutach wyszli z wody. Helen pozwoliła Reacherowi skorzystać ze swojego ręcznika, a potem położyli się razem na słońcu, teraz już tylko kilka centymetrów od siebie.

– Całowałaś się kiedyś z dziewczyną? – zapytała.

– Tak – odparł. – Dwa razy.

– Z tą samą dziewczyną dwa razy, czy z dwiema dziewczynami po jednym razie?

– Z dwiema dziewczynami więcej niż po jednym razie.

– Ile razy?

– Może ze cztery razy z każdą.

– Gdzie?

– W usta.

– Nie, chodzi mi o to, gdzie? W kinie czy gdzieś indziej?

– Raz w kinie i raz w parku.

– Z języczkiem?

– Tak.

– Jesteś w tym dobry? – zapytała.

– Nie wiem – odparł.

– Pokażesz mi jak? Nigdy tego nie robiłam.

Oparł się więc na łokciu i pocałował ją w usta. Jej wargi były małe i ruchliwe, język chłodny i wilgotny. Robili to przez jakieś piętnaście albo dwadzieścia sekund, a potem odsunęli się od siebie.

– Podobało ci się? – zapytał.

– Tak jakby.

– Byłem w tym dobry?

– Nie wiem. Nie mam żadnego porównania.

– Ale ty byłaś lepsza od tych dwóch, z którymi się całowałem – powiedział.

– Dziękuję – odparła, choć właściwie nie wiedział, za co. Za komplement czy za instruktaż.

16

Reacher i Helen zeszli razem z plaży i prawie udało im się dotrzeć do domu. Kiedy mieli może dwadzieścia metrów do celu, chłopak z czyrakiem wyszedł ze swojego podwórka i zajął pozycję pośrodku drogi. Miał na sobie ten sam T-shirt piechoty morskiej i te same podarte spodnie co poprzedniego dnia. Tym razem był sam.

Reacher wyczuł, że idąca obok Helen stężała. Przystanęła, a Reacher zatrzymał się krok dalej. Duży chłopak stał dwa metry przed nimi. Wszyscy troje byli niczym wierzchołki wąskiego trójkąta.

– Zostań tam, Helen – powiedział Reacher. – Wiem, że mogłabyś sama skopać tyłek temu facetowi, ale nie ma powodu, żebyśmy oboje wachali ten smród.

Duży chłopak tylko się uśmiechnął.

– Byliście na plaży – powiedział.

– A myśleliśmy, że to Einstein był geniuszem.

– Ile razy tam byliście?

– Nie potrafisz do tyłu liczyć.

– Chcesz mnie wkurzyć?

Reacher rzeczywiście miał taki zamiar. Jak na swój wiek był oczywiście niezwykle dużym chłopcem i tak było już od urodzenia. Jego matka twierdziła, że był największym niemowlakiem, jakiego kiedykolwiek widziano, ale ponieważ lubiła dramatyzować, nie wziął sobie do serca tej informacji. Jednak bez względu na to, czy był, czy nie był duży jak na swój wiek, bił się zawsze z chłopakami chodzącymi o dwie albo trzy klasy wyżej. Czasem z jeszcze starszymi. Co powodowało, że w bójce sam na sam był w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach tym mniejszym. I w związku z tym nauczył się walczyć jak ten mniejszy. Kiedy wszystkie inne parametry są takie same, wygrywa na ogół rozmiar. Ale nie zawsze, bo wtedy o mistrzostwie świata decydowałaby waga, a nie pojedynki na ringu. Czasami, jeśli mniejszy facet jest szybszy i sprytniejszy, może zmienić rezultat. A jednym ze sposobów, żeby być sprytniejszym, jest sprawienie, żeby ten drugi stał się głupszy, co można osiągnąć, doprowadzając go do wściekłości. Czerwona mgiełka zasnuwająca umysł przeciwnika jest najlepszym przyjacielem małego faceta. Więc owszem, Reacher chciał wkurzyć śmierzdiela.

Ale śmierzdiel nie dał się podejść. Po prostu stał, przyjmując na klątę zniewagi, spięty, lecz opanowany. Miał ustawione prawidłowo stopy i zaciśnięte pięści. Mógł je w każdej chwili podnieść. Reacher dał krok do przodu i znalazł się w zasięgu cuchnącego oddechu i odoru ciała. Pierwsza zasada walki z takim facetem: nie daj się ugryźć. Można dostać infekcji. Zasada druga: obserwuj jego oczy. Jeśli patrzy na twoją twarz, to znaczy, że się zamachnie. Jeśli patrzy w dół, ma zamiar kopnąć.

Chłopak patrzył na twarz Reachera.

– Jest z tobą dziewczyna – powiedział. – Skopię ci dupę na jej oczach. Nie będziesz mógł się później pokazać. Będziesz miejscową opóźnioną w rozwoju cipą. Może każe ci płacić myto za każdym razem, kiedy będziesz wychodził z domu. Może rozszerze płatną strefę na całą wyspę. Może będziesz musiał płacić podwójnie. Ty i twój opóźniony w rozwoju brat.

Trzecia zasada walki z takim facetem: zakłóć choreografię. Nie czekaj, nie cofaj się, nie bądź tym, który rzuca wyzwanie, nie bądź tym, który przyjmuje rolę słabszego, nie myśl defensywnie.

Innymi słowy, zasada czwarta: uderz pierwszy.

I oczywiście nie przewidywalnym lekkim lewym prostym.

Ponieważ zasada piąta brzmi: w zaułkach Okinawy nie obowiązują żadne zasady.

Reacher wyprowadził potężny prawy prosty i trafił osiłka prosto w policzek.

To przykuło jego uwagę.

Chłopak zatoczył się w tył, potrząsnął głową i wyprowadził własny prawy prosty, którego Reacher się spodziewał i na który był gotów. Zrobił unik w lewo i gruba pięść świsnęła koło jego ucha. *Szybszy i sprytniejszy*. W tym momencie przeciwnik kompletnie stracił wątek i nie pozostało mu nic innego, jak cofnąć się, przykucnąć i zacząć wszystko od nowa. Co też zaczął robić.

Do momentu, gdy usłyszał warkot motocykla. Który był dla niego czymś w rodzaju gongu kończącego rundę. Odruch warunkowy jak u psa Pawłowa. Zawahał się przez fatalny ułamek sekundy.

Reacher też się wahał. Ale krócej. Wyłącznie w wyniku geometrii. Stał zwrócony twarzą w górę ulicy, w stronę skrzyżowania. Podniósł wzrok i zobaczył motocykl jadący z północy na południe, trzymający się głównej drogi, nigdzie nieskręcający. Kiedy tylko jego szybkość i pozycja wykazały, że skręt jest niemożliwy, przetworzył tę informację i skasował ją, zanim jeszcze motocykl zniknął z pola widzenia. Wzrok Reachera spoczął ponownie na przeciwniku.

Który, geometrycznie rzecz biorąc, znajdował się w niekorzystnej pozycji. Patrzył w dół ulicy, w stronę morza. Mógł kierować się tylko dźwiękiem. A dźwięk był donośny i rozproszony. Nie dobiegał z konkretnego miejsca. Był po prostu odbitym echem. Więc podobnie jak każde dysponujące lepszym wzrokiem niż słuchem zwierzę na ziemi, chłopak postąpił zgodnie z tym, co nakazywał mu instynkt. Zaczął obracać głowę, chcąc się obejrzeć. To było silniejsze od niego. Ułamek sekundy później, gdy warkot motocykla stłumiły budynki, bodźce słuchowe stały się jednoznaczne, facet wyciągnął odpowiedni wniosek i obrócił głowę z powrotem.

Ale wtedy było już o wiele za późno. Lewy sierpowy Reachera był w połowie drogi. Wszystkie ścięgna i twarde mięśnie w jego ciele rozciągnęły się w idealnej harmonii, by osiągnąć zamierzony cel, którym było trafienie potężną lewą pięścią w kark chłopaka.

I cel został w stu procentach osiągnięty: pięść trafiła prosto w czyrak, miażdżąc go, miażdżąc kark i zgniatając kość, i chłopak runął na ziemię, zupełnie jakby biegnąc z pełną szybkością, wpadł na sznur z bielizną. Ziemia uciekła mu spod nóg i niczym wywijający orła kaskader w niemym filmie gruchnął mniej lub bardziej horyzontalnie na beton.

Dla Reachera było czymś oczywistym, że powinien mu teraz skopać głowę, ale miał widownię o kobiecej wrażliwości, w związku z czym oparł się pokusie. Osiłek uniósł głowę znad betonu i potoczył dokoła błędnym wzrokiem.

– To było podłe – stwierdził.

Reacher pokiwał głową.

– Ale wiesz, co mówią. Tylko podlec daje się załatwić w podły sposób.

– Skończymy to kiedy indziej.

Reacher spojrział w dół.

– Wygląda na to, że już skończyliśmy.

– Nie łudź się, mały gnojku.

– Odpuść sobie. Jeszcze tu wrócę.

Reacher odprowadził szybko Helen do domu, przeciął truchtem ulicę i wrócił do siebie. Gdy zajrzał do kuchni, zastał w niej siedzącego samotnie ojca.

– Gdzie jest Joe? – zapytał.

– Poszedł na długi spacer – odparł Stan.

Reacher wyszedł na tylne podwórko. Na kwadratowym betonowym placu był stary ogrodowy stół, cztery krzesła oraz pusty piec. Ten ostatni, zrobiony z drucianej siatki, miał wielkość dużego okrągłego pojemnika na śmieci i stał na niskich nóżkach. Poszarzał trochę od starego popiołu, ale po ostatnim użyciu opróżniono go i oczyszczono. Właściwie całe podwórko było pozamiatane. Rodziny marines. Zawsze skrupulatne.

Reacher wrócił do przedpokoju, przykucnął przy szpuli kabla, odwinął dwumetrowy kawałek i uciął go nożycami.

– Co robisz? – zapytał ojciec.

– Wiesz, co robię, tato – odparł Reacher. – Dokładnie to, co chciałeś. Nie zamówiłeś butów. Dostarczyli nam to, co zamówiłeś. Zeszłej nocy, po tym, jak zaginęła książka szyfrów. Uznałeś, że wieści się rozejdą i w rezultacie ludzie będą się wyżywać na mnie i na Joem. Nie mogłeś nam zamówić noży Ka-Bar ani kastetów, więc przyszło ci na myśl coś najbardziej zbliżonego.

Zaczął okręcać pięść ciężkim kablem w podobny sposób, w jaki pięściarz owija dłonie materiałem. Robiąc to, rozpląszczał równo na kłykciach plastyczny metal i plastik.

– Więc wieści się rozeszły? – zapytał ojciec.

– Nie – odparł Reacher. – To wcześniejsza sprawa.

Ojciec uchylił drzwi i wyrzwał na ulicę.

– Dasz radę temu facetowi? – zapytał.

– Czy ryba umie pływać?

– Jest z nim jeszcze jeden.

– Im więcej uczestników, tym większa zabawa.

– Inne dzieciaki będą się przyglądać.

– Zawsze to robią.

– Zachowaj spokój, synu – poradził ojciec. – Nie narób zbyt wielu szkód. Nie chcę, żeby w tym tygodniu w poważne kłopoty wpadli wszyscy trzej członkowie tej rodziny.

– Teraz już się nie wycofam.

– Wiem. Mówię o oskarżeniu o morderstwo.

– Nie martw się, tato. Nie dojdzie do tego – zapewnił go Reacher.

– Postaraj się, żeby nie doszło.

– Ale obawiam się, że posunę się trochę dalej niż zwykle.

– O czym ty mówisz, synu?

– Obawiam się, że tym razem będę musiał połamać kilka kości.

– Dlaczego?

– Kazała mi to zrobić mama. Na swój sposób.

– Jak to?

– Na lotnisku – powiedział Reacher. – Wzięła mnie na bok, pamiętasz? Powiedziała, że jej zdaniem to miejsce doprowadza ciebie i Joego do obłądzenia. Kazała mi mieć was na oku. Powiedziała, że jestem za was odpowiedzialny.

- Tak ci powiedziała matka? Potrafimy o siebie sami zadbać.
- Naprawdę? Na razie niezbyt wam się to udaje.
- Ale ten chłopak nie ma z tym nic wspólnego.
- Uważam, że ma – odparł Reacher.
- Odkąd? Coś ci powiedział?
- Nie – mruknął Reacher. – Ale są inne zmysły poza słuchem. Na przykład węch.

Po czym wcisnął swoje potężne szare pięści do kieszeni i wyszedł z powrotem na ulicę.

18

Trzydzieści metrów dalej stało w ciasnym kręgu może dziesięciu chłopców. Publiczność. Przeszli z nogi na nogę, nie mogąc się wprost doczekać. Mniej więcej dziesięć metrów bliżej czekał śmierdziel ze swoim skrzydłowym. Stał po prawej, skrzydłowy po lewej. Skrzydłowy był podobnego wzrostu co Reacher, ale z potężnymi barami i klatą zapaśnika, a głowę miał jak z listu gończego, płaską, twardą i wredną. Reacher uznał, że te bary i ta facjata stanowią mniej więcej dziewięćdziesiąt procent jego arsenału. Facet należał do ludzi, których omija się szerokim łukiem wyłącznie ze względu na to, jak wyglądają. Więc prawdopodobnie nie miał dużej wprawy i być może uwierzył nawet we własną reputację. Być może nie był z niego wcale wielki zabijaka.

Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Reacher nadszedł szybkim krokiem, nadal trzymając ręce w kieszeniach, zataczając szeroki łuk, kierując się w stronę skrzydłowego i w ogóle nie zwalniając, nawet na ostatnich metrach, podobnie jak zbliża się podający przyjazną dłoń polityk, podobnie jak podchodzi do kogoś szalony kaznodzieja – jakby wylewne powitanie było jego jedynym celem w życiu. Skrzydłowy uwierzył w język ciała. Wprowadziła go w błąd długa społeczna tresura. Wyciągnął niemal do przodu dłoń, gotów wymienić uścisk.

Nie zwalniając kroku, Reacher walnął go bykiem w twarz. Lewa, prawa, łup! Idealna dziesiątka za styl i zawartość, siłę i precyzję. Facet runął do tyłu, ale jeszcze nim padł na ziemię, Reacher odwrócił się w stronę śmierdziela i jego owinięte kablem dłonie wysunęły się z kieszeni.

Na filmie stanęliby naprzeciwko siebie i zaczęłyby się długa, pełna napięcia statyczna scena, zupełnie jak podczas strzelaniny w O.K. Corral, z zaczepkami i wypowiedzianymi półgłosem groźbami, dłońmi odsuniętymi od boków, z chodzeniem na palcach wokół siebie i wpatrywaniem się jeden w drugiego zmrużonymi oczami. Ale Reacher nie występował w filmie. Żył w realnym świecie. Nie czekając nawet ułamka sekundy, rąbnął śmierdziela lewą pięścią w bok, brutalnym niskim ciosem, w drugim takcie szybkiego rytmicznego tempa *raz, dwa*, gdzie *raz* oznaczało uderzenie bykiem skrzydłowego. Jego pięść musiała w tym momencie ważyć ponad trzy kilogramy; włożył w to uderzenie całą siłę

i efekt był taki, że to, co śmierzdel planował zrobić w następnej kolejności, musiał zrobić z trzema złamanymi żebrami, co stawiało go w bardzo niekorzystnej sytuacji, bo złamane żebra boją jak wszyscy diabli, a ten ból wzmacnia się przy każdym rodzaju fizycznej aktywności. Niektórzy ludzie ze złamanymi żebrami boją się nawet kichnąć.

W tym wypadku śmierzdel nie zrobił w zasadzie nic. Zgiął się tylko wpół niczym ranny bizon. W związku z czym Reacher podszedł bliżej i złamał mu kilka żeber z drugiej strony. Co nie było zbyt trudne. Ciężki kabel sprawiał, że jego dłonie były niczym kule burzące. Jedyne problemy polegały na tym, że ludzie z połamanymi żebrami nie zawsze trafiają do szpitala. Dotyczy to zwłaszcza rodzin marines. Obwiązują klatkę piersiową taśmą i uważają, że jakoś to będzie. A Reacher chciał, by jego przeciwnik wylądował na szpitalnym łóżku, w otoczeniu całej kochającej rodziny. Przynajmniej na jeden wieczór. W związku z czym złapał lewą dłoń, którą chłopak przyciskał na piersi, przytrzymał ją lewą ręką – trochę niezdarnie z powodu kabla – po czym przekręcił nadgarstek przeciwnika o sto osiemdziesiąt stopni, tak że dłoń znalazła się w górze, a wewnętrzna strona łokcia w dole, i walnął prawą pięścią prosto w staw. Facet zawył, wrzasnął i padł na kolana, a Reacher, oszczędzając mu dalszych cierpień, znokautował go krótkim hakiem w podbródek.

Gra skończona.

Reacher omiół wzrokiem wianuszek widzów.

– Następny? – zapytał.

Nikt się nie poruszył.

– Ktokolwiek?

Nikt się nie poruszył.

– W porządku – powiedział Reacher. – Wyjaśnijmy to sobie od razu. Od teraz tak to będzie wyglądało.

Następnie odwrócił się i pomaszerował do domu.

19

Ojciec czekał w przedpokoju, trochę pobladły na twarzy. Reacher zaczął odwijać kabel z dłoni.

– Z kim pracujesz w sprawie tej książki szyfrów? – zapytał.

– Z facetem z wywiadu i dwoma wojskowymi żandarmami – odparł ojciec.

– Możesz do nich zadzwonić i poprosić, żeby przyjechali?

– Po co?

– Wszystko zgodnie z planem. Z tym, co mi powiedziała mama.

– Mają tu przyjechać?

– Tak.

– Kiedy?

– Najlepiej byłoby od razu.

Reacher zobaczył, że na jednym z kłkci ma odbite słowo *Georgia*. Pewnie tam właśnie produkowano ten kabel. W miejscu, w którym nigdy nie był. Litery nadrukowano na izolacji.

Ojciec zadzwonił do bazy, a Reacher obserwował przez okno ulicę. Uznał, że przy odrobinie szczęścia uda mu się zsynchronizować wszystko w czasie. I w zasadzie się udało. Dwadzieścia minut później pod dom podjechał samochód sztabowy i wysiedli z niego trzej umundurowani mężczyźni. I zaraz potem w uliczkę skręcił za nimi ambulans, ominął ich zaparkowany pojazd i zatrzymał się przed domem śmierdziela. Pielęgniarze załadowali chłopaka do ambulansu i zabrali w charakterze pasażerów jego matkę, a także chłopca, który mógł być jego młodszym bratem. Reacher uznał, że ojciec chłopaka przyjedzie do szpitala na motorze zaraz po zakończeniu służby. Albo wcześniej, w zależności od tego, co powiedzą lekarze.

Facet z wywiadu był majorem, żandarmi – chorążymi. Wszyscy trzej byli w połowych mundurach. Wszyscy trzej stali w dalszym ciągu w przedpokoju. I wszyscy trzej wyglądali tak, jakby nie bardzo wiedzieli, po co ich tu wezwano.

– Widzieliście chłopaka, którego właśnie zabrali? – spytał Reacher. – Musicie sprawdzić jego dom. Który całkiem przypadkiem jest pusty. Dzięki temu nikt i nic wam nie przeszkodzi.

Trzej faceci popatrzyli na siebie. Reacher obserwował ich twarze. Żaden nie miał ochoty przyskrzynić dobrego żołnierza piechoty morskiej, jakim był Stan Reacher. Wszystkim najwyraźniej zależało, by sprawa znalazła szczęśliwe zakończenie. Byli gotowi chwycić się w tym celu brzytwy. Byli gotowi posunąć się bardzo daleko, nawet jeśli to oznaczało, że będą się słuchali jakiegoś porąbanego trzynastolatka.

– Czego mamy szukać? – zapytał jeden z żandarmów.

– Będziecie wiedzieli, kiedy to zobaczycie. Dwadzieścia osiem centymetrów długości, trzy szerokości, szarego koloru.

Trzej faceci wyszli na ulicę, a Reacher i jego ojciec usiedli i czekali.

20

Nie czekali zbyt długo, co Reacher w głębi duszy przewidział. Śmierdziel okazał pewną dozę zwierzęcego sprytu, ale nie był geniuszem zbrodni. To było jasne jak drut. Trzej mężczyźni wrócili mniej więcej dziesięć minut później z metalowym przedmiotem, który spalono w piecu i który przybrał w rezultacie szarą barwę popiołu. Był to lśniący niegdyś kawałek blachy o długości dwudziestu ośmiu i szerokości trzech centymetrów, lekko zakrzywiony przy krótszych bokach, z trzema doczepionymi w równych odstępach drucianymi obręczami.

Czyli coś, co zostaje, kiedy spali się typowy segregator z trzema ringami.

Nie było sztywnych okładek, żadnych kartek, żadnej zawartości, wyłącznie osmalony metal.

– Gdzie to znaleźliście? – zapytał Reacher.

– Pod łóżkiem w drugiej sypialni – odparł drugi z żandarmów. – W pokoju chłopców.

Nie był geniuszem zbrodni.

– Czy to książka szyfrów? – zapytał major z wywiadu.

Reacher pokręcił głową.

– Nie – odparł. – To są odpowiedzi na pytania ze szkolnego testu.

– Jesteś pewien?

– Absolutnie.

– Więc po co było nas wzywać?

– Ta sprawa musi być załatwiona w ramach korpusu. Nie przez szkołę. Musicie pojechać do szpitala i pogadać jednocześnie z chłopakiem i jego ojcem. Musicie wyciągnąć od nich zeznanie. A potem zawiadomicie szkołę. Jak potraktujecie później chłopaka, to wasza sprawa. Wystarczy chyba ostrzeżenie. Nie będzie nam już przysparzał kłopotów.

– Co się tutaj właściwie wydarzyło?

– To вина mojego brata – powiedział Reacher. – W pewien sposób. Ten chłopak zaczął nas zaczepiać, a Joe zareagował i poradził sobie bardzo dobrze. Nabijał się z niego, robił z niego głupka, wszystko jak trzeba. Wspaniały występ. Poza tym Joe jest wielki. Łagodny jak baranek, ale chłopak o tym oczywiście nie wiedział. Chcąc się zemścić, nie zdecydował się na fizyczne starcie. Wybrał inny sposób. Domyślił się, że Joe denerwuje się przed testem. Może podsłuchiwał naszą rozmowę. Tak czy inaczej, wczoraj śledził Joego w drodze do szkoły, a potem ukradł odpowiedzi. Żeby go pogrążyć.

– Możesz to udowodnić?

– Poszlakowo – odparł Reacher. – Chłopak nie pojechał na mecz. Nie było go w autobusie. To znaczy, że przez cały dzień był tu, na miejscu. A po powrocie do domu Joe umył ręce i wziął prysznic. Co po południu nie jest dla niego typowe. Musiał się czuć brudny. A moim zdaniem czuł się brudny, ponieważ przez cały dzień wdychał smród tego chłopaka, który czaił się gdzieś za jego plecami.

– To bardzo poszlakowy dowód.

– Zapytajcie samego chłopaka – poradził Reacher. – Przyciśnijcie go w obecności ojca.

– Więc jak to wyglądało?

– Chłopak chciał zasugerować, że po nauczaniu się na pamięć odpowiedzi Joe spalił segregator. Co mogło się wydawać całkiem przekonujące w przypadku kogoś, kto chce oszukiwać przy teście. W dodatku był wieczór palenia śmieci, a to sprzyjało jego planom. Zamierzał spalić segregator na własnym podwórku, a potem zakraść się w nocy na nasze i podrzucić metalowe części do naszego pieca, żeby można było później znaleźć obciążające dowody. Ale w naszym piecu nie było popiołu. Nie paliliśmy tego wieczoru śmieci. Musieliśmy pojechać na lotnisko. A ja go usłyszałem. Wczesnym rankiem. Myślałem, że to kot albo szczur.

– Masz jakieś dowody rzeczowe?

– Powinniście tam znaleźć odciski stóp – powiedział Reacher. – Podwórko było niedawno zamiatane, ale na betonie musiało osiąść trochę kurzu. Zwłaszcza po nocy palenia śmieci.

Żandarmi wyszli, żeby sprawdzić podwórko, a potem wrócili z zasepionymi minami, jakby chcieli powiedzieć: to, co mówi ten chłopak, może być prawdą.

I w tym momencie major z wywiadu też zrobił zasepioną minę, jakby sam nie wierzył, że za chwilę zada to pytanie trzynastolatkowi.

– Czy wiesz także, gdzie jest książka szyfrów? – zapytał.

– Nie – odparł Reacher. – Nie wiem na pewno. Ale właściwie mogę się tego domyślić.

– Gdzie?

– Pomóżcie mojemu bratu w tej sprawie ze szkołą, to pogadamy.

21

Trzej żołnierze piechoty morskiej wrócili półtorej godziny później.

– Nieźle pokieraszowałeś tego chłopaka – zauważył jeden z żandarmów.

– Przeżyje – rzucił Reacher.

– Przyznał się do winy – powiedział drugi żandarm. – Wyglądało to dokładnie tak, jak mówiłeś. Skąd wiedziałeś?

– To kwestia logiki – wyjaśnił Reacher. – Wiedziałem, że to nie Joe, więc musiał to zrobić ktoś inny. Pytanie tylko kto. A także jak i dlaczego.

– Załatwiliśmy sprawę w szkole. Twój brat został oczyszczony z zarzutów. – Major z wywiadu się uśmiechnął. – Ale jest jedna przykra konsekwencja.

– To znaczy?

– Nie mają już odpowiedzi na pytania, więc test został odwołany.

– Szkoda.

– Nie ma róży bez kolców.

– Widzieliście pytania?

Major pokiwał głową.

– Czytanie, pisanie, dodawanie i odejmowanie. Nic, co odbiegałoby od normy.

– Żadnych pytań z wiedzy ogólnej?

– Żadnych.

– Nic na temat baseballu?

– Ani trochę.

– Nic na temat statystyki?

– Trochę na temat procentów, w części matematycznej. Rachunek prawdopodobieństwa, takie rzeczy.

– Które są ważne – zauważył Reacher. – Na przykład kiedy pytamy, jakie jest prawdopodobieństwo, że oficer piechoty morskiej zgubi książkę szyfrów.

– Niewielkie.

– I jakie jest prawdopodobieństwo, że dobry oficer piechoty morskiej, taki jak mój tato, zgubi książkę szyfrów?

- Jeszcze mniejsze.
- Więc jest całkiem prawdopodobne, że książka szyfrów wcale nie zaginęła. Jest prawdopodobne, że można to wyjaśnić inaczej. Dlatego czas poświęcony badaniu, w jaki sposób zaginęła książka szyfrów, jest czasem straconym. Bardziej owocny może być czas poświęcony na badanie innych możliwości.
- Jakich innych możliwości?
- Kiedy prezydent Ford przejął władzę od prezydenta Nixona?
- Przed dziesięcioma dniami.
- Więc właśnie wtedy szefowie połączonych sztabów zaczęli odkurzać wszystkie opcje. A domyślam się, że jedyną realną ewentualnością są Chiny. Dlatego zostaliśmy tu przesunięci. Ale my należymy do fazy bojowej. Więc trochę wcześniej od nas musieli zostać przesunięci planiści. Powiedzmy, że tydzień wcześniej. Na pewno kazali im załatwić wszystko na wczoraj. A to oznacza mnóstwo pracy, prawda?
- Zawsze.
- Jaka jest ostatnia faza tej pracy?
- Przegląd książek szyfrów, żeby dostosować je do zaktualizowanych planów.
- Jaki jest ostateczny termin?
- Teoretycznie musimy być gotowi dziś o północy, na wypadek gdyby prezydent wydał rozkaz.
- Więc jest całkiem możliwe, że jakiś facet pracował nad szyframi przez całą noc. Facet służący na tyłach, który trafił tu mniej więcej tydzień temu.
- Na pewno jest ktoś taki. Ale sprawdziliśmy już całą bazę. To pierwsza rzecz, jaką zrobiliśmy.
- Może pracował poza bazą.
- To sprzeczne z przepisami.
- Ale się zdarza.
- Wiem. Lecz nawet gdyby tak było, facet od kilku godzin byłby z powrotem w bazie, a książka szyfrów leżałaby z powrotem w sejfie.
- Przypuśćmy, że był skonany i zmorzył go sen. Przypuśćmy, że jeszcze się nie obudził. Przypuśćmy, że książka szyfrów nadal leży na kuchennym stole.
- Gdzie?
- Po drugiej stronie ulicy – odparł Reacher. – Zapukajcie do drzwi i zapytajcie o Helen.

Godzinę później wrócił z długiego spaceru Joe i razem z ojcem i bratem poszli na plażę i popływali w morzu. Woda była ciepła, piasek biały, palmy kołysały się na wietrze. Zostali tam do chwili, gdy słońce zaczęło zachodzić, a potem wrócili do małego dusznego domku przy końcu ulicy, gdzie godzinę później zadzwonił nowy telefon i Josie zakomunikowała im, że jej ojciec nie żyje. Stary Laurent Moutier odszedł w wieku dziewięćdziesięciu lat z tego świata, zabierając ze sobą,

jak robią to wszyscy, cały bagaż nieujawnionych osobistych nadziei, marzeń, lęków i doświadczeń, i zostawiając po sobie, jak robi to większość ludzi, niezbyt wyraźny ślad w żyjących potomkach. Nigdy nie miał pojęcia, co wyrosnie z jego pięknej córki z włosami jak szczotka, a także z dwóch przystojnych wnuków, i nigdy tak naprawdę nie chciał tego dokładnie wiedzieć, lecz jak każdy facet żyjący w dwudziestym wieku w Europie miał nadzieję, że będą żyli w czasach pokoju, prosperity i dobrobytu. Miał taką nadzieję, choć był prawie pewien, że tak się nie stanie. W związku z czym mógł tylko liczyć, że będą znosili przeciwności losu z humorem i klasą, i w ostatnich chwilach życia dodawała mu otuchy myśl, że z tego, co wiedział, dotychczas tak było i prawdopodobnie będzie tak zawsze.

WIELKI SKWAR

Facet miał, zdaniem Reachera, ponad trzydzieści lat, był krępy i co oczywiste, spocony. Ubranie miał mokre od potu. Stojąca przed nim twarzą w twarz kobieta mogła być młodsza, ale niewiele. Ona też była spocona i przestraszona. Albo przynajmniej spięta. To było jasne. Facet za bardzo się do niej zbliżył. Wcale jej się to nie podobało. Było prawie wpół do dziewiątej i zaczynało się ściemniać. Ale nie robiło się chłodniej. Ktoś mówił, że jest czterdzieści stopni. Prawdziwa fala upałów. Środa, trzynasty lipca 1977 roku, Nowy Jork. Reacher miał na zawsze zapamiętać tę datę. To była jego druga samodzielna wizyta w tym mieście.

Facet położył dłoń na piersiach kobiety, opierając o nie kłęb kciuka i przyciskając wilgotną bawełnę sukienki do jej skóry. Niezbyt miły gest. Choć niekoniecznie agresywny. Neutralny, jakby był lekarzem. Kobieta się nie cofnęła. Zastygła po prostu w bezruchu i zerknęła w lewo i prawo. Dużo nie zobaczyła. Nowy Jork, wczesny wieczór, ale ulica była pusta. Za duży skwar. Waverly Place, między Szóstą Aleją i Washington Square. Ludzie mogli się tu pojawić później, jeśli w ogóle.

Mężczyzna zabrał nagle rękę z piersi kobiety, opuścił ją lekko, zupełnie jakby chciał strzepnąć pszczołę z jej biodra, i nagle wziął szeroki zamach i uderzył ją prosto w twarz, mocno, z wystarczającą siłą, by rozległo się głośne *prask*, tyle że jego dłoń i jej twarz były zbyt wilgotne, by ten dźwięk przypominał strzał z pistoletu, i zamiast praśnięcia rozległo się plaśnięcie. Głowa kobiety odskoczyła w bok. Odgłos uderzenia odbił się echem od spieczonych ceglanych ścian.

– Hej! – zawołał Reacher.

Mężczyzna się obrócił. Był ciemnowłosy i ciemnooki. Mógł mieć jakiś metr osiemdziesiąt wzrostu i dziewięćdziesiąt kilo wagi. Koszulę pod marynarką miał przezroczystą od potu.

– Spadaj, gówniarzu! – rzucił.

Reacher miał obchodzić siedemnaste urodziny dopiero za trzy miesiące i szesnaście dni, ale fizycznie był już dorosły. Nie powinien już raczej urosnąć i nikt o zdrowych zmysłach nie określiłby go mianem chudego. Miał metr dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i sto kilo żywej wagi, same mięśnie. W zasadzie gotowy produkt. Ale gotowy od bardzo niedawna. Fabrycznie nowy. Z białymi prostymi zębami, oczami w granatowym odcieniu, kręconymi, gęstymi włosami, gładką i czystą skórą. Blizny, zmarszczki i zgrubienia miały się pojawić później.

– Już cię tu nie ma – warknął mężczyzna.

– Powinna się pani odsunąć od tego faceta – powiedział Reacher.

Kobieta skorzystała z jego rady, dając jeden, a potem drugi krok do tyłu. Teraz była już poza zasięgiem ramion mężczyzny.

– Wiesz, z kim rozmawiasz? – zapytał Reachera.

– A jakie to ma znaczenie?

– Podpadłeś niewłaściwym ludziom.

– Ludziom? – zdziwił się Reacher. – „Ludziom” to liczba mnoga. Jest was tutaj więcej?

– Przekonasz się.

Reacher rozejrzał się. Ulica nadal była pusta.

– Kiedy się przekonam? – zapytał. – Najwyraźniej jeszcze nie teraz.

– Uważasz się za wielkiego cwaniaka?

– Jeśli chce się pani stąd szybko oddalić, chętnie sam tu zostanę – powiedział Reacher i spojrzął na kobietę. Nie ruszyła się z miejsca. – Czy coś mi tu umknęło?

– Spadaj, gówniarzu – powtórzył facet.

– Nie powinieneś się w to mieszać – odezwała się kobieta.

– W nic się nie mieszam – odparł Reacher. – Stoję po prostu na ulicy.

– Idź i postój na innej – poradził mu facet.

– Kto zwołał zebranie rady i mianował pana burmistrzem?

– Licz się ze słowami, gówniarzu. Nie wiesz, z kim zadzierasza. Jeszcze tego pożałujesz.

– Kiedy dotrą tu ci inni ludzie? To ma pan na myśli? Bo w tym momencie jesteśmy tylko pan i ja. I raczej nie przewiduję, żebym miał czego żałować, chyba że nie ma pan pieniędzy.

– Pieniądzy?

– Które mógłbym panu zabrać.

– Ubzdurałeś sobie, że możesz mnie obrabować?

– Nie obrabować – odparł Reacher. – Widzę to bardziej w historycznym kontekście. Jako realizację starej zasady. A nawet tradycji. Kiedy przegrywa się wojnę, trzeba oddać skarb.

– Jesteśmy w stanie wojny, ty i ja? Bo jeśli tak, na pewno ją przegrasz, gówniarzu. Nie dbam o to, że jesteś wielkim nażartym kukurydzą wiejskim ciołkiem. Mam zamiar skopać ci dupę. Paskudnie skopać.

Kobieta nadal stała dwa metry od faceta. Nadal się nie poruszała. Reacher znów na nią spojrzął.

– Czy ten dżentelmen to pani mąż albo jest z panią spokrewniony lub związany na gruncie towarzyskim czy zawodowym? – zapytał.

– Nie chcę, żebyś się w to mieszał – odparła. Była młodsza od faceta, to nie ulegało wątpliwości. Ale nie aż tak bardzo. No i znacznie starsza od Reachera. Mogła mieć dwadzieścia dziewięć lat. Jasna blondynka. Mimo jaskrawoczerwonego śladu po uderzeniu całkiem atrakcyjna, tak jak bywają atrakcyjne starsze kobiety. Ale wycieńczona i znerwicowana. Może prowadziła stresujące życie. Miała na sobie luźną letnią sukienkę kończącą się nad kolanami, na ramieniu torebkę.

– Niech mi pani przynajmniej wyjaśni, dlaczego nie chce pani, żebym się w to mieszał? Czy to jakiś przypadkowy gość, który naprzykrza się pani na ulicy?

– A kim innym mógłby być?

– Może to małżeńska kłótnia. Słyszałem o facecie, który stanął w obronie czyjejs żony, a ona wściekła się na niego, bo uszkodził jej męża.

– Nie jestem jego żoną.

– Czy jest pani nim w jakikolwiek sposób zainteresowana?

– To znaczy czy mi na nim zależy?

– Chyba o tym właśnie mówimy.

– W żadnym razie. Ale nie możesz się w to mieszać. Więc odejdz. Poradzę sobie sama.

– Może odejdziemy razem?

– A tak w ogóle, to ile ty masz lat?

– Wystarczy – odparł Reacher. – Żeby z panią odejść.

– Nie chcę brać za ciebie odpowiedzialności. Jesteś jeszcze chłopcem. Niewinnym przechodniem.

– Ten facet jest niebezpieczny?

– Bardzo.

– Wcale na to nie wygląda.

– Pozory mylą.

– Jest uzbrojony?

– Nie w mieście. W mieście nie może sobie na to pozwolić.

– Więc co teraz robi? Spoci się na mnie? – zapytał Reacher.

I to poskutkowało. Facet zagotował się, dotknięty do żywego tym, że mówi się o nim tak, jakby go tam w ogóle nie było, że wytyka mu się, że jest spocony, choć przecież w oczywisty sposób był. Ruszył na Reachera w trzepoczącej marynarce, powiewającym krawacie i klejącej się do skóry koszuli. Reacher zrobił zwód w jedną stronę, unik w drugą i złapał go za kostkę, wskutek czego facet runął na ziemię. Dość szybko zerwał się na nogi, lecz Reacher zdążył się już odwrócić i był gotów do następnego manewru. Który miał być chyba dokładną powtórką pierwszego, tyle że nieco udoskonaloną, bo zamiast złapać faceta za kostkę, rąbnął go łokciem w bok głowy. Bardzo precyzyjnie. Niespełna siedemnastoletni Reacher był jak fabrycznie nowa maszyna, lśniąca, naoliwiona i sprężysta, odznaczająca się doskonałą koordynacją ruchów. Jak coś skonstruowanego przez NASA i IBM na użytek Pentagonu.

Facet leżał na ziemi trochę dłużej niż za pierwszym razem. Głównie przez upał. Zdaniem Reachera, temperaturę czterdziestu stopni, o której słyszał, odnotowali pewnie na otwartej przestrzeni. Może w Central Parku. W jakiejś małej klatce meteorologicznej. W wąskich ceglanych kanionach West Village, tuż przy chodniku, musiała sięgać pięćdziesięciu. I było bardzo wilgotno. Reacher miał na sobie stare spodnie khaki i niebieski T-shirt i obie te sztuki garderoby wyglądały, jakby wykąpał się w rzece.

Mężczyzna podniósł się, dysząc ciężko i z trudem trzymając się na nogach. Oparł dłonie na kolanach.

– Opuść sobie, staruszkę – poradził mu Reacher. – Znajdź sobie kogoś innego do bicia.

Bez odpowiedzi. Facet prowadził chyba ze sobą debatę. Trwającą dość długo. Najwyraźniej musiał rozpatrzyć wszystkie za i przeciw. Wszystkie plusy i minusy, koszty i korzyści.

– Potrafisz policzyć do trzech i pół? – zapytał w końcu.

– Chyba tak – odparł Reacher.

– Tyle masz godzin, żeby wynieść się z miasta. Po północy jesteś trupem. I wcześniej też, jeśli cię gdzieś zobaczą – oświadczył, po czym wyprostował się i odszedł w stronę Szóstej Alei, szybkim krokiem, stukając obcasami o rozgrzany kamienny chodnik, jakby podjął ostateczną decyzję, jakby był kimś obrotnym i energicznym, kto przypomniał sobie nagle, że ma do załatwienia pilną sprawę. Reacher zaczął, aż zniknie mu z oczu, po czym odwrócił się do kobiety.

– W którą stronę pani idzie? – zapytał. Wskazała Washington Square, czyli kierunek przeciwny do tego, w którym udał się facet. – W takim razie chyba nic pani nie grozi.

– Masz trzy i pół godziny, żeby wynieść się z miasta.

– Nie sądzę, żeby mówił serio. Spieprzał stąd w podskokach i próbował zachować twarz.

– Możesz mi wierzyć, że mówił serio. Uderzyłeś go w głowę. Jezus Maria.

– Kto to taki?

– A ty? Kim ty jesteś?

– Zwykłym facetem, który tędy przechodził.

– Skąd?

– W tym momencie z Pohang.

– Gdzie to jest, do diabła?

– W Korei Południowej. Obóz piechoty morskiej Mujuk.

– Jesteś z piechoty morskiej?

– Jestem synem żołnierza piechoty morskiej. Stacjonujemy tam, gdzie nas posła. Ale szkoła się skończyła, więc wybrałem się w podróż.

– Samemu? Ile masz lat?

– Jesienią skończę siedemnaście. Niech się pani o mnie nie martwi. To nie mnie biją na ulicy.

Kobieta nie odezwała się.

– Co to za facet? – zapytał Reacher.

– Jak się tu dostałeś?

– Autobusem do Seulu, samolotem do Tokio, samolotem na Hawaje, samolotem do Los Angeles, samolotem na lotnisko Kennedy’ego, autobusem do Zarządu Portu. A potem na piechotę.

Drużyna Yankees wyjechała z miasta do Bostonu, co bardzo go rozczarowało. Miał przeczucie, że to będzie szczególny rok. Za sprawą Reggiego Jacksona. Długa posucha mogła się wkrótce skończyć. Ale nie miał szczęścia. Stadion Jankesów świecił pustkami. Alternatywą był stadion Shea, na którym mieli grać Chicago Cubs z Metsami. Reacher nie miał w zasadzie nic przeciwko Metsom, ale bardziej

ciągnęło go do muzycznych klubów na południu. Wymyślił sobie, że zahaczy o Washington Square i zobaczy, czy nie ma tam dziewczyn z letnich kursów Uniwersytetu Nowego Jorku. Może któraś z nich będzie miała ochotę z nim pójść. Albo i nie. Tak czy owak, warto było nadrobić drogi. Był optymistą i zawsze mógł zmienić plany.

– Jak długo będziesz podróżował? – zapytała kobieta.

– Teoretycznie jestem wolny aż do września.

– Gdzie się zatrzymałeś?

– Dopiero przyjechałem. Jeszcze nie wiem.

– Twoi rodzice nie mają nic przeciwko?

– Matka się martwi. Przeczytała w gazecie o Synu Sama.

– Nic dziwnego, że się martwi. Facet zabija ludzi.

– W większości pary siedzące w samochodach. Tak piszą w gazetach. Statystycznie raczej mi to nie grozi. Nie mam samochodu i na razie jestem sam.

– To miasto boryka się również z innymi problemami.

– Wiem. Mam się spotkać z bratem.

– Tu, w Nowym Jorku?

– Kilka godzin drogi stąd.

– Powinieneś do niego jechać, natychmiast.

Reacher pokiwał głową.

– Mam zamiar złapać ostatni autobus.

– Przed północą?

– Kim był ten facet?

Kobieta nie odpowiedziała. Upał nie odpuszczał. Powietrze było ciężkie i gęste. Zbliżała się burza. Reacher wyczuwał ją na północnym zachodzie. Może czekała ich słynna nawałnica z Hudson Valley, przewalająca się nad wzburzonymi wodami i wysokimi klifami, taka, o której czytał w książkach. Niebo robiło się purpurowe, jakby pogoda szykowała coś ekstra.

– Jedź do brata – poradziła mu kobieta. – Dziękuję za pomoc.

Ślad na jej policzku nie był już tak wyraźny.

– Nic pani nie będzie? – zapytał Reacher.

– Bez obaw.

– Jak się pani nazywa?

– Jill.

– Jill i co dalej?

– Hemingway.

– Jest pani spokrewniona?

– Z kim?

– Z Ernestem Hemingwayem. Tym pisarzem.

– Nie sądzę.

– Jest pani dziś wolna?

– Nie.

– Nazywam się Reacher. Miło było panią poznać.

Wyciągnął do niej rękę i uścisnęli sobie dłonie. Jej była gorąca i śliska, jakby miała gorączkę. Jego zresztą podobnie. Czterdzieści stopni, może więcej, nawet najmniejszego podmuchu wiatru, stuprocentowa wilgotność. Lato w mieście. Niebo na północy zamigotało. Błyskawica bez grzmotu. I bez deszczu.

– Od dawna jest pani agentką FBI? – zapytał.

– Kto twierdzi, że nią jestem?

– Ten facet był gangsterem, prawda? Zorganizowana przestępczość. Wszystkie te gadki o jego ludziach, wynoszeniu się z miasta i tak dalej. Wszystkie groźby. A pani się z nim spotkała. Kładąc na pani rękę, sprawdzał, czy nie ma pani podsłuchu. I chyba go znalazł.

– Bystry z ciebie chłopak.

– Gdzie jest pani wsparcie? Gdzieś tu powinna być furgonetka i ludzie ze słuchawkami na uszach.

– Ograniczenia budżetowe.

– Nie wierzę pani. Miasto mogłoby oszczędzać, ale federalnym nigdy nie brakuje kasy.

– Idź i spotkaj się z bratem. To nie twoja sprawa.

– Po co nosić mikrofon, skoro nikt nie słucha?

Hemingway sięgnęła ręką za siebie i przez chwilę majstrowała przy czymś i wierceła pupą, jakby wyciągała coś, co wsadziła wcześniej za gumkę majtek. Poniżej skraju sukienki, na wysokości jej kolan, zawisło czarne plastikowe pudełko. Mały magnetofon kasetowy, kołyszący się na kablu. Teraz wsadziła jedną rękę pod dekolt, a drugą pociągnęła za kabel na dole. Przez chwilę wiała się i wciągała brzuch, i w końcu magnetofon wyłądował na chodniku razem z cienkim czarnym kablem, na którego końcu zainstalowany był miniaturowy mikrofon.

– Taśma słyszała – mruknęła.

Na małym czarnym pudełku były krople potu z jej pleców.

– Czy pokrzyżowałem pani szyki? – zapytał Reacher.

– Nie wiem, jak by się to potoczyło.

– Facet zaatakował agenta federalnego. To samo w sobie jest przestępstwem. A ja byłem świadkiem.

Nie odpowiedziała. Podniosła z ziemi magnetofon, owinęła go kablem i wsadziła do torebki. Upał był chyba jeszcze większy niż wcześniej. Reacher miał wrażenie, jakby ktoś położył mu gorący mokry ręcznik na nos i na usta. Na północy znowu zaczęło błyskać. Odgłos grzmotu tłumilo gęste parne powietrze. Ani kropli deszczu. Ani chwili wytchnienia.

– Pozwoli pani, żeby uszło mu to na sucho? – zapytał.

– To naprawdę nie twoja sprawa.

– Chętnie opowiem, co zobaczyłem.

– Do procesu dojdzie najprędzej za rok. Musiałbyś tu z powrotem przyjechać. Chcesz się tłuc czterema samolotami i dwoma autobusami z powodu jednego liścia w twarz?

– Za rok będę gdzie indziej. Może bliżej.

– Albo dalej.
– Odgłos uderzenia mógł się nagrać na taśmie.
– Potrzebuję czegoś więcej niż uderzenia w twarz. Jego adwokaci mnie wyśmieją.
Reacher wzruszył ramionami. Było za gorąco, żeby się spierać.
– W porządku, w takim razie życzę pani miłego wieczoru – powiedział.
– Dokąd się teraz wybierasz? – zapytała.
– Chyba na Bleecker Street.
– Nie możesz. To jego terytorium.
– Albo gdzieś w pobliżu. Do Bowery. Tam jest mnóstwo klubów muzycznych, prawda?
– Ta sama historia. Wszędzie jest jego teren.
– Co to za facet?
– Nazywa się Croselli. Jego terytorium ciągnie się od Houston Street na południu do Czternastej na północy. A ty uderzyłeś go w głowę.
– To jeden facet. Nie znajdzie mnie.
– To regularny mafioso. Ma swoich żołnierzy.
– Ilu?
– Pewnie kilkunastu.
– Za mało. Nie dadzą rady kontrolować całego terenu.
– Rozpuści wici. Do wszystkich klubów i barów.
– Na pewno? Powie ludziom, że przestraszył się siedemnastolatka? Nie sądzę.
– Nie musi podawać powodu. A ludzie wyprują z siebie żyły, żeby pomóc. Chcą z nim dobrze żyć. Nie przetrwasz pięciu minut. Jedź do brata. Nie żartuję.
– To wolny kraj – odparł Reacher. – O to chyba pani walczy, nie? Pójdę tam, gdzie mam ochotę. Przejechałem kawał drogi.
Kobieta przez dłuższą chwilę milczała.
– Ostrzegłam cię – odezwała się w końcu. – Nie mogę zrobić nic więcej.
Po czym odeszła w stronę Washington Square. Reacher pozostał tam, gdzie był, sam jeden na Waverly Place, podnosząc i opuszczając głowę i próbując zaczerpnąć powietrza. Mniej więcej po dwóch minutach ruszył za nią i zobaczył, jak odjeżdża samochodem, który zostawiła w strefie zakazu parkowania. To był chyba ford granada, rocznik 1975, z niebieską karoserią, winylowym dachem i agresywną kratą chłodnicy. Skręciła na rogu niczym lądowy jacht i zniknęła z pola widzenia.

• • •

Washington Square był znacznie bardziej wyludniony, niż spodziewał się Reacher. Z powodu upału. Kręciło się tam kilku podejrzanych czarnych typków, prawdopodobnie dealerów, i praktycznie nikt poza tym. Żadnych grających w szachy, żadnych spacerujących z psami. Ale daleko na wschodnim skraju placu dostrzegł wchodzące do kafejki trzy dziewczyny. Na pewno z koedukacyjnej uczelni, z długimi włosami, opalone, szczupłe, może dwa, trzy lata starsze od

niego. Ruszył w ich stronę, rozglądając się po drodze za automatem telefonicznym. Dopiero czwarty, który sprawdził, był czynny. Wyciągnął z kieszeni wilgotną monetę i wybrał numer centrali West Point, który znał na pamięć.

– Akademia Wojskowa Stanów Zjednoczonych – odezwał się melodyjny męski głos. – Z kim mam łączyć?

– Z kadetem Joem Reacherem, proszę.

– Proszę się nie rozłączać – odparł głos, co Reacherowi wydało się bardzo właściwe. W West Point zajmowali się łączeniem, nie rozłączaniem, wbrew wszelkim przeciwnościom, wbrew wrogom zewnętrznym i wewnętrznym i czasami wbrew postępowi. West Point była uczelnią wojsk lądowych, co mogło się zdawać dość niezwykłym wyborem dla syna żołnierza piechoty morskiej, ale Joe nie chciał słyszeć o niczym innym. I na razie bardzo mu się tam podobało. Reacher nie miał pojęcia, na jakie pójdzie studia. Pewnie na Uniwersytet Nowego Jorku, gdzie studiowały również kobiety. Te trzy w kafejce wyglądały całkiem nieźle. Ale niczego nie planował. Prawie siedemnaście lat w piechocie morskiej skutecznie go tego oduczyło.

W słuchawce słyszał szумы i trzaski świadczące o tym, że przełączają go z jednego miejsca w drugie. Wyjął z kieszeni kolejną wilgotną monetę i trzymał ją w gotowości. Była za kwadrans dziewiąta. Ściemniało się i robiło coraz goręcej, jeśli coś takiego było w ogóle możliwe. Przed sobą miał długi wąski kanion Piątej Alei. W oddali, nisko nad horyzontem, niebo przecinały błyskawice.

– Kadet Reacher nie może w tej chwili rozmawiać – odezwał się inny głos. – Czy chce mu pan zostawić wiadomość?

– Proszę mu przekazać, że jego brat spóźni się dwadzieścia cztery godziny. Przenocuję w mieście. Zobaczymy się jutro wieczorem.

– Przyjąłem – odpowiedział nowy głos, bez krztyny zainteresowania, i połączenie się skończyło.

Reacher wsadził drugą monetę do kieszeni, odwiesił słuchawkę i ruszył w kierunku kafejki przy wschodnim skraju placu.

• • •

Klimatyzator nad drzwiami kafejki zasuwał na pełny regulator, dygocząc i brzęcząc, ale nie miało to większego wpływu na temperaturę powietrza. Dziewczyny siedziały razem w czteroosobowym boksie, z wysokimi szklankami coli, w których rozpuszczały się kostki lodu. Dwie blondynki, jedna brunetka. Wszystkie miały długie gładkie kończyny i idealnie białe zęby. Brunetka była w szortach i zapinanej z przodu bluzce bez rękawów, blondynki w krótkich letnich sukienkach. Wszystkie wydawały się bystre, inteligentne i pełne energii. Modelowe Amerykanki, dosłownie. Reacher oglądał podobne do nich dziewczyny w starych, nieaktualnych numerach „Time’a”, „Life’u” i „Newsweeka”, w Mujuk i w innych bazach, gdzie mieszkał. Do nich należy przyszłość, pisali w artykułach. Podziwiał je z oddali.

Stojąc teraz w drzwiach pod huczącym klimatyzatorem, podziwiał je ze znacznie mniejszej odległości. Ale nie miał pojęcia, co ma zrobić. Życie w korpusie piechoty morskiej może nauczyć człowieka wielu rzeczy, ale akurat nie tego, jak pokonać pięć metrów od drzwi do stolika w nowojorskiej kafejce. Nieliczne podboje, jakie miał na koncie, nie były tak naprawdę podbojami, lecz wspólnymi eksperymentami z dziewczynami z korpusu, tak samo jak on zagubionymi i tak samo chętnymi, pełnymi entuzjazmu i zdesperowanymi. Jedyne ryzyko wiązało się z ojcami, którzy wszyscy byli wyszkolonymi zabójcami o dość tradycyjnych poglądach. Trzy siedzące przed nim studentki pochodziły z zupełnie innej bajki. Były pewnie o wiele łatwiejsze, jeśli idzie o rodziców, i o wiele trudniejsze pod każdym innym względem.

Przez chwilę stał w miejscu.

Nie ma zysku bez ryzyka.

Pokonał pięć metrów i stanął przy ich stoliku.

– Czy mógłbym się przysiąc? – zapytał.

Wszystkie podniosły wzrok. Wydawały się zaskoczone. Były zbyt uprzejme, żeby kazać mu spadać. I zbyt sprytne, żeby zaprosić go do stołu. Nowy Jork, lato 1977 roku. Płonący Bronx. Setki zabójstw. Syn Sama. Atmosfera irracjonalnej paniki.

– Jestem tu nowy – powiedział. – Myślałem, że powiecie mi, gdzie można pójść posłuchać dobrej muzyki.

Bez odpowiedzi. Wpatrujące się w niego dwie pary niebieskich i jedna para piwnych oczu.

– Wybieracie się gdzieś dziś wieczór? – zapytał.

Pierwsza odezwała się brunetka.

– Być może – odparła.

– Dokąd?

– Jeszcze nie wiemy.

Podeszła kelnerka, prawie w tym samym wieku co studentki, i Reacher stanął tak, że nie chcąc jej blokować, musiał teraz usiąść. Tak jakby nie dała mu innego wyboru. Brunetka przesunęła się, zostawiając kilka centymetrów między jej i jego udem. Winyłowa wykładzina kleiła się od upału. Zamówił colę. Było zdecydowanie za gorąco na kawę.

Zapadło niezręczne milczenie. Kelnerka przyniosła mu colę. Pociągnął łyk.

– Studiujesz na NYU? – zapytała blondynka siedząca naprzeciwko.

– Chodzę jeszcze do liceum – przyznał.

Spojrzała na niego łagodniejszym wzrokiem, jakby był rzadkim okazem.

– Gdzie?

– W Korei Południowej – odparł. – Jestem z wojskowej rodziny.

– Faszysta – powiedziała blondynka. – Spadaj.

– Jak zarabia na życie twój ojciec?

– Jest prawnikiem.

– Więc sama spadaj.

Brunetka roześmiała się. Miała skórę o nieco ciemniejszym odcieniu i była kilka centymetrów niższa od koleżanek. I szczupła. Niemal filigranowa. Reacher słyszał niedawno to słowo. Nie żeby dużo dla niego znaczyło. Nigdy w życiu nie widział filigranu.

– W CBGB mogą występować Ramones – powiedziała. – Albo Blondie.

– Jeśli chcesz tam iść, mogę ci towarzyszyć – odparł Reacher.

– To nieciekawa okolica.

– W porównaniu z czym? Z Iwo Jima?

– Gdzie jest Iwo Jima? – spytała.

– To wyspa na Pacyfiku.

– Brzmi nieźle. Mają tam plaże?

– Mnóstwo. Jak masz na imię?

– Chrissie.

– Miło cię poznać, Chrissie. Jestem Reacher.

– To imię czy nazwisko?

– Nazwisko.

– Nie masz imienia?

– Wszyscy mówią mi Reacher.

– Więc jeśli pójdę z tobą do CBGB, obiecujesz, że będziesz się trzymał blisko mnie? – zapytała.

Zdaniem Reachera, było to pytanie retoryczne. Lepiej być zdrowym i bogatym czy chorym i biednym? Czy papież jest katolikiem?

– Jasne, możesz na mnie liczyć – odparł.

Blondynki po drugiej stronie stołu zaczęły nadawać dziwne niewerbalne komunikaty i zorientował się natychmiast, że z nimi nie pójdą. Co wcale mu nie przeszkadzało. Miał wrażenie, że zapaliło się przed nim wielkie zielone światło. Wycieczka we dwoje. Właściwie prawdziwa randka. Dziewiąta wieczorem, środa, trzynastego lipca, Nowy Jork. Jego pierwszy cywilny podbój był na wyciągnięcie ręki. Czuł, jak się zbliża, niczym trzęsienie ziemi. Zastanawiał się, gdzie jest akademik Chrissie. Domyślał się, że gdzieś w pobliżu.

Pociągnął łyk coli.

– No to chodźmy, Reacher – powiedziała.

• • •

Zostawił na stole pieniądze za cztery cole, bo tak chyba powinien się zachować prawdziwy dżentelmen. Wyszedł w ślad za Chrissie na zewnątrz i nocny skwar uderzył go w twarz obuchem. Ją też. Podniosła odwróconymi dłońmi włosy z ramion i zobaczył mokry ślad na jej karku.

– Jak daleko to jest? – zapytała.

– Nigdy tam nie byłaś?

– To nieciekawa dzielnica.

– Musimy przejść mniej więcej pięć przecznic na wschód. Minąć Broadway i Lafayette Street, skręcić w Bowery i przejść nią jakieś trzy przecznice aż do

skrzyżowania z Bleecker.

- Jest tak gorąco.
- Nie da się ukryć.
- Może powinniśmy pojechać moim samochodem. Ma klimatyzację.
- Masz samochód?
- Jasne.
- Tu w mieście?
- O, tutaj.

Chrissie pokazała mały hatchback stojący przy krawężniku jakieś dwadzieścia metrów od nich. Zdaje się, że chevrolet chevette, pomyślał Reacher, mniej więcej roczny, i chyba jasnoniebieski, choć trudno było to stwierdzić pod żółtymi ulicznymi latarniami.

- Czy trzymanie samochodu w mieście nie kosztuje masę forsy? – zapytał.
- Po szóstej parkowanie jest bezpłatne – odparła.
- Ale co z nim robisz w ciągu dnia?

Przez chwilę milczała, jakby odkrywała podteksty jego pytania.

- Nie mieszkam tu – przyznała.
- Myślałem, że mieszkasz. Przepraszam. Mój błąd. Byłem pewien, że studiujesz na NYU.

Chrissie pokręciła głową.

- Sarah Lawrence – powiedziała.
 - Co to za jedna?
 - To college. Studiujemy tam. W Yonkers. Na północy. Czasami przyjeżdżamy tutaj, żeby się rozejrzeć. Czasami w tej kafejce są faceci z NYU.
 - Więc jesteście tu oboje obcy.
 - Nie dziś wieczorem – odparła Chrissie.
 - Co zrobią twoje koleżanki?
 - Z czym?
 - Jak wrócą do domu?
 - Odwiozę je – odparła Chrissie. – Jak zawsze.
- Reacher nie odezwał się.
- Ale zaczekają – dodała. – Tak się umówiliśmy.

• • •

Klimatyzacja w chevette była tak samo nędzna jak w kafejce, ale lepsze to niż nic. Zobaczyli kilka osób na Broadwayu, poruszających się powoli niczym w mieście duchów, kilka na Lafayette, poruszających się jeszcze wolniej, i kilku bezdomnych na Bowery, którzy czekali na otwarcie schronisk. Chrissie zaparkowała dwie przecznice od klubu, na Great Jones Street, między samochodem ze zbitą przednią szybą i samochodem ze zbitą tylną szybą. Ale zostawili auto pod działającą latarnią i to było wszystko, co mogli zrobić, poza postawieniem przy nim na straży uzbrojonego oddziału, stada wściekłych psów albo jednego i drugiego. Zresztą przy Washington Square i tak nie byłoby

bezpieczniejsze. Wysiedli więc i ruszyli w stronę skrzyżowania w powietrzu tak gęstym, że można było je jeść łyżką. Niebo było gorące i twarde, niczym blaszany dach w samo południe. Na północy wciąż rozjaśniały je błyskawice, z tym rodzajem niespokojnej energii, która wiele obiecuje i niczego nie spełnia.

Przed klubem nie było kolejki, co, zdaniem Chrissie, stanowiło dobry znak i oznaczało, że będą mogli zająć miejsca tuż przy scenie, na wypadek gdyby tej nocy rzeczywiście mieli występować Ramones albo Blondie. Facet przy wejściu wziął od nich pieniądze, a oni precyzyjnie się obok niego, weszli w gorący mroczny zgiełek i skierowali się w stronę baru, który był długim niskim pomieszczeniem z ociekającymi wilgocią ścianami i czerwonymi winylowymi stołkami. Siedziało tam może ze trzydzieści osób, z których dwadzieścia osiem było dziećmiakami nie starszymi od Chrissie, jedna kimś, kogo Reacher zdążył już poznać, i jedna kimś, kogo, jak sądził, miał dopiero poznać, dość blisko i dość szybko. Tą, którą znał, była Jill Hemingway, w dalszym ciągu chuda, jasnowłosa i znerwicowana, w dalszym ciągu w swojej krótkiej letniej sukience. Osoba, którą miał dopiero poznać, wyglądała, wypisz, wymaluj, jak Croselli. Może był jego kuzynem. W tym samym wieku, rozmiarze i kształcie i w tego samego rodzaju ubraniu, czyli przepoconym garniturze i koszuli, która kleiła się do mokrego i owłosionego brzucha.

Jill Hemingway zobaczyła Reachera wcześniej. Ale tylko o sekundę. Zsunęła się ze swojego stołka i dała krok do przodu, a facet w garniturze natychmiast zaczął strzelać palcami i dawać znaki, że chce zadzwonić. Barman postawił przed nim aparat i facet zaczął wykręcać numer. Hemingway precyzyjnie się przez niewielki tłumek i podeszła do Reachera.

– Ty idioto – syknęła.

– Jill, to jest moja znajoma, Chrissie – powiedział Reacher. – Chrissie, to jest Jill, którą poznałem dziś wieczorem. Jest agentką FBI.

– Cześć, Jill – odezwała się stojąca przy nim Chrissie.

– Cześć, Chrissie – odparła lekko skonsternowana Hemingway.

– Przyszła tu pani posłuchać muzyki? – zapytał Reacher.

– Przyszłam tu, bo to jedno z niewielu miejsc, których Croselli nie kontroluje. I dlatego jedno z niewielu miejsc, do których musiał wysłać swojego człowieka. Przyszłam, żeby nie stało ci się nic złego.

– Skąd pani wiedziała, że tu przyjdę?

– Mieszkasz w Korei Południowej. O jakim innym klubie mogłeś słyszeć?

– O czym wy właściwie nawijacie? – wtrąciła się Chrissie.

Facet od Crosellego nadal rozmawiał przez telefon.

– Usiądźmy – zaproponował Reacher.

– Lepiej nie – odparła Hemingway. – Lepiej wynośmy się stąd do diabła.

– Co tu się dzieje, do jasnej cholery? – zapytała Chrissie.

Niedaleko pustej sceny stało kilka małych stoliczków. Reacher precyzyjnie się przez tłum, odpychając ludzi raz lewym, raz prawym ramieniem, i usiadł, plecami do ściany, mając przed sobą prawie całe pomieszczenie. Chrissie

z lekkim wahaniem zajęła miejsce obok niego, a Hemingway przestępowała przez chwilę z nogi na nogę, lecz w końcu dała za wygraną i też usiadła.

– Naprawdę mi się to nie podoba – powiedziała Chrissie. – Czy któreś z was może mi łaskawie powiedzieć, co tu jest grane?

– Szedłem ulicą i zobaczyłem, jak jakiś facet uderzył agentkę Hemingway w twarz – wyjaśnił Reacher.

– I co?

– Miałem nadzieję, że w mojej obecności trochę się opanuje. Ale facet się obraził. Okazuje się, że jest gangsterem. Jill uważa, że szykują mi betonowe buciki.

– Ty tak nie uważasz?

– Moim zdaniem, jest przewrażliwiona.

– O takich rzeczach kręca filmy, Reacher – mruknęła Chrissie.

– Ona ma rację – rzuciła Hemingway. – Powinieneś jej posłuchać. Nie znasz tych ludzi. Nie rozumiesz ich kultury. Nie mogą pozwolić, żeby ktoś z zewnątrz okazał im brak szacunku. To kwestia dumy. Tak załatwiają interesy. Nie spoczną, dopóki tego nie załatwią.

– Innymi słowy, wygląda to dokładnie tak samo jak w piechocie morskiej – powiedział. – Wiem, jak sobie radzić z takimi ludźmi. Robiłem to całe życie.

– Jak planujesz to z nimi załatwić?

– Pokazując im, że ewentualne koszty okażą się zbyt wysokie. Bo rzeczywiście są zbyt wysokie. Nie mogą tu nic zrobić, bo zostaną aresztowani przez panią albo przez nowojorską policję. Co oznacza zbyt wysokie koszty. Oznacza wynajęcie adwokatów, łapówki i różne przysługi. Wszystko to musieliby robić z mojego powodu. Nie jestem tego wart. Jestem nikim. Croselli przejdzie nad tym do porządku dziennego.

– Nie możesz tu siedzieć całą noc.

– Facet próbował już się ze mną policzyć na ulicy i nie bardzo mu się to udało.

– Za dziesięć minut będzie miał sześciu swoich ludzi przed wejściem.

– W takim razie wyjdę od tyłu.

– Tam też będzie stało sześciu.

– Pamiętasz, jak prosiłam cię, żebyś trzymał się blisko mnie? – odezwała się Chrissie.

– Jasne.

– Możemy już o tym zapomnieć.

– To jakiś obłąd – mruknął Reacher.

– Uderzyłeś w głowę nowojorskiego mafiosa – przypomniała mu Hemingway.

– Czego w tym nie rozumiesz? To po prostu nie miało prawa się zdarzyć. Wbij to sobie do głowy, dzieciaku. A teraz jesteś w tym samym pomieszczeniu z jednym z jego zakapiorów. Który właśnie skończył rozmawiać przez telefon.

– Siedzę obok agentki FBI.

Hemingway nic na to nie odpowiedziała. NYU, Sarah Lawrence, pomyślał Reacher. Hemingway nigdy nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła, że jest agentką.

„Od dawna jest pani agentką FBI?”, zapytał. „Kto twierdzi, że nią jestem?”, odparła.

– Jest pani agentką FBI czy nie? – zapytał.

Bez odpowiedzi.

– To naprawdę nie jest takie trudne. Wystarczy, że odpowie pani „tak” lub „nie”.

– Nie – odparła. – Naprawdę nie wystarczy.

– Nie rozumiem?

– Odpowiedź brzmi „tak” i „nie”. A nie „tak” lub „nie”.

Reacher przez chwilę milczał.

– To znaczy, że robi to pani na własną rękę? – zapytał. – Że to nie jest tak naprawdę pani sprawa? Dlatego nie miała pani furgonetki ze wsparciem? I dlatego używa pani magnetofonu młodszej siostry?

– To mój magnetofon. Jestem zawieszona.

– Zawieszona?

– Z przyczyn medycznych. Ale zawsze tak mówią. Najważniejsze, że zabrali mi odznakę. Do ponownego rozpatrzenia.

– Rozpatrzenia czego?

– To wygląda dokładnie tak, jak mówiłeś. Adwokaci, łapówki, wzajemne przysługi. Coś za coś. Poświęcili mnie w imię wyższej sprawy.

– To sprawka Crosellego?

Hemingway pokiwała głową.

– W tym momencie jest nie do ruszenia. Dochodzenie w jego sprawie zostało zamknięte. Myślałam, że nagram go, jak się tym przechwala. Miałabym coś, czego mogłabym użyć. Żeby skłonić ich do przyjęcia mnie z powrotem.

– Dlaczego Croselli nie nosi przy sobie w mieście broni?

– To jeden z punktów umowy. Mogą robić, co chcą, ale wskaźnik zabójstw musi się zmniejszyć. Coś za coś. Wszyscy są wygrani.

– Czy Croselli wie, że jest pani zawieszona?

– Oczywiście. To jego zasługa.

– Więc wie o tym również zakapior, który siedzi z nami w klubie? To właśnie chce mi pani powiedzieć? On wie, że nie wyciągnie pani odznaki. Ani broni. Wie, że jest pani zwykłym cywilem. W sensie prawnym. Jeśli chodzi o prawo do aresztowania kogokolwiek i tak dalej. A także, jeśli chodzi o pani wiarygodność, gdyby zeznawała pani przeciwko ludziom Crosellego.

– Powiedziałam, żebyś jechał do brata.

– Nie musi się pani tłumaczyć. Nie winię pani. Muszę po prostu opracować nowy plan. Muszę znać parametry.

– Po pierwsze, nie powinieneś się w to mieszać – wtrąciła się Chrissie.

– Dlaczego?

– U nas, w Sarah Lawrence, powiedzielibyśmy, że było to żenująco męskie zachowanie normatywne. To było patriarchalne. Zgodne z paternalistycznym stereotypem pokutującym w naszym społeczeństwie.

– Wiesz, co powiedzieliby o tym w piechocie morskiej?

- Co?
- Wskazaliby, że sama prosiłaś, żebym trzymał się blisko ciebie. Bo, twoim zdaniem, Bowery jest niebezpieczne.
- Jest niebezpieczne. Zaraz ma się tu zjawić dwunastu facetów i skopać ci tyłek.
- Reacher pokiwał głową.
- Może powinniśmy wyjść – mruknął.
- Teraz już nie wyjdiesz – powiedziała Hemingway. – Nie pozwoli ci na to zakapior. Nie wyjdiesz, dopóki nie zjawią się inni.
- Jest uzbrojony?
- Nie. Już ci mówiłam.
- Na pewno?
- Na sto procent.
- Zgodzimy się chyba, że jeden przeciwnik jest lepszy od dwunastu?
- O czym ty mówisz?
- Zaczekajcie tutaj – rzucił.

• • •

Przeszedł przez mroczną salę z gracją napakowanego charta i z całą pewnością siebie, jaką można czerpać z faktu, że ma się prawie siedemnaście lat, metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i sto kilo wagi. Minął bar i skręcił w korytarz prowadzący do toalety. Odwiedził w życiu stosunkowo niewiele barów, ale wiedział, że jest w nich cała masa rzeczy, które mogą posłużyć za broń. W niektórych są to kije bilardowe, elegancko ustawione na stojakach, w innych kieliszki do martini, delikatne i kruche z nóżkami jak sztylety, jeszcze w innych butelki szampana, ciężkie niczym maczugi. Ale w CBGB nie było stołu bilardowego, a klienci nie sączyli tu raczej martini i szampana. Tutaj najbardziej poręczne wydawały się wysokie butelki po piwie, których było multum. Reacher wziął jedną z nich po drodze i kątem oka zauważył, że facet od Crosellego wstaje i rusza w ślad za nim, bez wątpienia pamiętając o tylnym wyjściu i oknach w łazienkach. Przy końcu korytarza rzeczywiście było tylne wyjście, ale Reacher je zignorował. Wszedł do męskiej toalety.

Która była prawdopodobnie najdziwniejszym miejscem, jakie widział w życiu poza terenem wojskowym. Na ścianach z gołej cegły zamontowane były trzy pisuary, na podwyższeniu stał jak tron niczym nieosłonięty sedes. Był tam także zlew z dwoma otworami odpływowymi i wszędzie leżały rozwinięte rolki papieru toaletowego. Nie było okien.

Reacher nalał wody z kranu do pustej butelki po piwie, żeby była cięższa, i wytarł mokrą dłoń o T-shirt, co ani jej nie osuszyło, ani nie sprawiło, że T-shirt stał się bardziej mokry. Mógł teraz jednak chwycić porządnie butelkę za szyjkę i trzymając ją nisko przy nodze, czekał. Facet od Crosellego wszedł do toalety kilka sekund później. Rozejrzał się, w pierwszym momencie zaskoczony wystrojem wnętrza, w drugim uspokojony brakiem okien, co powiedziało

Reacherowi w zasadzie wszystko, co chciał wiedzieć, ale ponieważ nie miał jeszcze siedemnastu lat, wciąż rozgrywał to w podręcznikowy sposób.

– Czy mamy jakiś problem, pan i ja? – zapytał.

– Czekamy na pana Crosellego. Zaraz tu będzie. Co dla mnie nie jest żadnym problemem. Ale dla ciebie z pewnością będzie.

Więc Reacher zamachnął się butelką, z której wskutek działania siły odśrodkowej nie wylała się ani jedna kropla wody, i trafił nią faceta prosto w kość policzkową, posyłając go do tyłu, po czym opuścił butelkę i roztrzaskał jej dno o krawędź pisuaru. Wszędzie posypały się okruchy szkła i połała woda, a Reacher wbił rozbite dno butelki w udo faceta, i kiedy ten opuścił ręce, w twarz, obracając obtłuczony krąg w ranie, rozrywając tkanki i upuszczając krwi; następnie puścił butelkę i pchnął faceta na ścianę, a kiedy tamten się od niej odbił, strzelił go bykiem w nos. Co oznaczało, że gra jest skończona, dokładnie w tej chwili, tym bardziej że w drodze na podłogę głowa faceta odbiła się od pisuaru, i wszystko to razem spowodowało potrójny i definitywny uraz czaszki – kość, porcelana i płytką podłogową, dobranoc i słodkich snów.

Reacher wziął wdech i wydech i przejrzał się w rozbitym lustrze nad zlewem. Czoło poplamiała mu rozrzedzona krew faceta. Zmył plamy letnią wodą, otrząsnął się jak pies i mijając bar, wrócił na główną salę. Jill Hemingway i Chrissie stały pośrodku parkietu. Pokazał im głową wyjście. Ruszyły w jego stronę, a on zaczekał, aż się zbliżą.

– Gdzie jest zakapior? – zapytała Hemingway.

– Miał wypadek – odparł Reacher.

– Jezu.

Ponownie minęli bar i skręcili w korytarz prowadzący do wejścia, szybko i zdecydowanie.

Za późno.

Kiedy byli trzy metry od drzwi, otworzyły się na oścież i do środka weszło czterech facetów w przepoconych garniturach, a w ślad za nimi sam Croselli. Cała piątka się zatrzymała. Reacher też się zatrzymał, podobnie jak idące za nim Chrissie i Jill Hemingway: osiem osób stanęło w długim rzędzie i zastygło w bezruchu w wąskim nagrzanym korytarzu, z którego mokrych ceglanych ścian spływała woda.

– Znów się spotkaliśmy, gówniarzu – odezwał się z samego końca rzędu Croselli.

A potem zgasły światła.

•••

Reacher nie potrafił powiedzieć, czy ma otwarte, czy zamknięte oczy. Ciemność była totalna i wszechogarniająca, niczym następny przystanek po nicości. I panowała w niej kompletna cisza, cisza na jakimś głęboko pierwotnym poziomie, gdzie wszelkiego rodzaju podprogowy szum współczesnego życia nagle umilkł, zostawiając wyłącznie szmer szurających po ciemku stóp i jakiś

niesamowity, prawie niesłyszalny lament, dobywający się z odwiecznych drzemiących pod nimi skał.

Z dwudziestego wieku do epoki kamienia łupanego, za jednym pociągnięciem wajchy.

– Reacher? – zapytała zza pleców Reachera Chrissie.

– Nie ruszaj się – odparł.

– Dobrze.

– Teraz się odwróć.

– Dobrze.

Usłyszał, jak jej stopy szurają po podłodze. Odszukał w pamięci wizualnej miejsce, w którym zatrzymał się pierwszy z facetów Crosellego. Pośrodku korytarza, dokładnie na jego linii, jakieś półtora metra przed nim. Zaparł się mocno na lewej stopie i kopnął na oślep prawą, celując w miejsce na wysokości krocza. Trafił jednak w coś, co znajdowało się niżej, ułamek sekundy wcześniej, niż się spodziewał. Może w rzepkę kolanową. Co nawet mu pasowało. Tak czy owak, jeden z ludzi Crosellego miał się zaraz wywrócić, a pozostali trzej o niego potknąć.

Reacher obrócił się na pięcie i poszukał w ciemności pleców Chrissie. Objął ją prawym ramieniem, lewą odszukał Hemingway, i na pół je popychając, na pół ciągnąc, ruszył z powrotem do baru, gdzie migotało słabe, zasilane akumulatorem światelko. To oznaczało, że nie przekrecono po prostu włącznika. Prąd wysiadł w całym budynku.

Znalazł korytarz prowadzący do toalety i popychając Crissie przed sobą i ciągnąc Hemingway za sobą, ruszył w stronę tylnych drzwi, przez które wybiegli na ulicę.

Na której panowały egipskie ciemności.

Mimo to ruszyli do przodu, szybko, znów w obezwładniającym upale, z pamięcią mięśniową i instynktem, które podpowiadały, że powinni jak najprędzej oddalić się od drzwi i poszukać jakiegoś ciemnego miejsca, tyle że w tym momencie ciemno było wszędzie. Bowery było czarnym jak smoła, posępnym wąwozem, długim i prostym; po jego obu stronach stały czarne jak smoła posępne budynki; ich nieoświetlone masywne fasady były teraz ciemniejsze od nocnego nieba. Wieżowców, które widniały zwykle na horyzoncie czterdzieści przecznic na południe i czterdzieści przecznic na północ, po prostu nie było, istniały tylko w negatywnym sensie, bo tam, gdzie zasłaniały blask przeświecających przez cienkie chmury gwiazd, w dolnej części nieba widać było nieruchome martwe palce.

– Prąd wysiadł w całym mieście – powiedziała Hemingway.

– Posłuchaj – mruknął Reacher.

– Czego?

– No właśnie. Odgłosów miliarda niepracujących silników elektrycznych. I miliarda wyłączonych obwodów.

– To niesamowite – szepnęła Chrissie.

– Nie czeka nas nic dobrego – stwierdziła Hemingway. – Za jakąś godzinę zaczną się zamieszki, podpalenia i plądrowanie sklepów. Więc wy dwoje idźcie na północ, tak daleko i tak szybko, jak tylko zdołacie. Nie idźcie na wschód ani na zachód. Nie korzystajcie z tuneli. Nie zatrzymujcie się, dopóki nie dojdziecie do Czternastej.

– A pani dokąd się wybiera? – zapytał Reacher.

– Do pracy.

– Jest pani zawieszona.

– Nie mogę stać z boku i nic nie robić. A ty masz odprowadzić swoją znajomą tam, gdzie ją znalazłeś. To są chyba nasze podstawowe obowiązki – powiedziała Hemingway, po czym pobiegła na południe, w stronę Houston Street, i po paru sekundach zniknęła w mroku.

• • •

Uliczne latarnie na Great Jones Street już się nie paliły, ale niebieski chevrolet chevette wciąż stał pod jedną z nich, szary i bezkształtny w ciemnościach, jeszcze nietknięty. Chrissie otworzyła go i oboje wsiedli do środka. Uruchomiła silnik i wrzuciła bieg, lecz nie zapaliła świateł, co Reacher całkowicie rozumiał. Zakłócenie totalnej ciemności wydawało się czymś niewłaściwym. I w ogóle niemożliwym. Wielkie miasto było ogłuszone i bierne, olbrzymi organizm legł bez ruchu i nie zwracał uwagi na przemykające chyłkiem drobne ludzkie postacie. W zasięgu wzroku było ich coraz więcej. Otwierano okna i ludzie z niższych pięter schodzili po schodach i wylegali na ulicę; zatrzymywali się w pobliżu swoich drzwi i rozglądali z podziwem i lękiem. Upał nie dawał za wygraną. W ogóle nie robiło się chłodniej. Czterdzieści stopni, a może więcej, ściskające za gardło, a teraz dumne i niepokonane, nieosłabiane przez wiatraczki, klimatyzację i inne stworzone przez człowieka gadzety.

Great Jones Street była jednokierunkowa i prowadziła na zachód. Przecięli Lafayette Street i Broadway i jechali dalej Wschodnią Trzecią. Chrissie prowadziła powoli i niepewnie, z prędkością niewiele przekraczającą szybkość pieszego – ciemny samochód w ciemności, jeden z niewielu. Być może kierowcy, ulegając powszechnemu paraliżowi, poczuli się zmuszeni zjechać na bok. Nie działała żadna sygnalizacja świetlna. Każda kolejna przecznica wydawała się dziwnie nowa, nieruchoma i cicha, pusta i szara, kompletnie nieoświetlona. Skręcili na północ przy LaGuardia Place i poruszając się odwrotnie do wskazówek zegara, podjechali do dolnego prawego rogu Washington Square, pod kafejkę. Chrissie zaparkowała w tym samym miejscu co wcześniej i wysiedli. Cisza była obezwładniająca, powietrze gęste jak zupa.

W kafejce było oczywiście ciemno i przez zakurzone szyby nic nie można było dostrzec. Klimatyzator nad zamkniętymi drzwiami nie działał. Reacher i Chrissie osłonili dłońmi oczy i zajrzeli do środka, ale nie zobaczyli nic poza niewyraźnymi czarnymi konturami. Nikogo z personelu. Żadnych gości. Może chodziło o kwestie

sanitarno-epidemiologiczne. Skoro wysiadły lodówki, wszyscy musieli opuścić statek.

– Dokąd mogły pójść twoje koleżanki? – zapytał Reacher.

– Nie mam pojęcia – odparła Chrissie.

– Mówiłaś, że macie jakiś plan.

– Jeśli któreś z nas dopisze szczęście, miałyśmy się tu spotkać o północy.

– Przykro mi, że tobie zbyt nie dopisało.

– Na razie się nie skarzę.

– Nadal jesteśmy na południe od Czternastej Ulicy.

– Po ciemku tamci na pewno cię nie znajdą – powiedziała Chrissie.

– A czy my znajdziemy po ciemku twoje koleżanki?

– Po co mielibyśmy ich szukać? Wrócą tu o północy. Do tego czasu powinniśmy się pokręcić i przeżyć to wszystko. Nie sądzisz? To coś niebywałego.

I rzeczywiście było to coś niebywałego. Coś wielkiego. Nie jedno pomieszczenie, budynek albo przecznicą, ale całe miasto wokół nich zastygło w bezruchu i skapitulowało, zupełnie jakby legło w ruinach, jakby umarło, stało się reliktem z przeszłości. I może awaria nie objęła tylko Nowego Jorku. Nigdzie na horyzoncie nie było widać łuny. Nic nad żadną z rzek, nic na północy i nic na południu. Może wyłączony był cały Północny Zachód. Może cała Ameryka. Albo cały świat. Ludzie zawsze mówili o tajnych rodzajach broni. Może ktoś wcisnął guzik.

– Obejrzyjmy Empire State Building – zaproponowała Chrissie. – Może już nigdy tak nie wyglądać.

– Dobrze – zgodził się Reacher.

– Pojedźmy samochodem.

– W porządku.

Pojechali na północ University Place, a potem Dziewiątą Ulicą do Szóstej Alei, gdzie znów skręcili na północ. Szóstej Alei jakby nie było. Po prostu długa czarna dziura i mały prostokąt nocnego nieba tam, gdzie kończyła się przy Central Parku. Jechało nią kilka samochodów. Wszystkie dość powoli. Większość miała zgaszone światła. Podobnie jak chevette. Chyba instynktownie. Wspólne przeświadczenie. Psychologia tłumu. Reacher wyczuwał unoszący w powietrzu lęk. *Ukryj się w ciemnościach. Nie wyróżniaj się. Nie pozwól, by cię spostrzegli.*

Na Herald Square byli ludzie. Tam gdzie Szóstą Aleję przecinał Broadway, przy Trzydziestej Czwartej Ulicy. Większość stała pośrodku trójkątnego skweru, w pewnym oddaleniu od budynków, próbując dostrzec niebo. Niektórzy formowali się w ruchome grupy, niczym kibice opuszczający stadion po zwycięskim meczu, z tego samego rodzaju żywiołową energią. Ale okna domu towarowego Macy's były nietknięte. Na razie.

Jechali dalej aż do Trzydziestej Ósmej Zachodniej, mijając w żółtym tempie niedziałającą sygnalizację i poprzeczne ulice, nigdy nie wiedząc, czy przepuścić nadjeżdżający z boku pojazd, czy się nie zatrzymać, ale okazało się, że tak naprawdę nie grozi im stłuczka ani jakaś konfrontacja, bo wszyscy przemieszczali się powoli i z szacunkiem: *Pan pierwszy, nie, pani pierwsza.*

Dominował na razie duch współpracy. Przynajmniej na jezdni. Reacher zastanawiał się, jak długo to potrwa.

Skręcili na wschód w Trzydziestą Ósmą, a potem w Piątą Aleję, cztery przecznice na północ od Empire State Building. Nic nie zobaczyli. Wyłącznie szeroką ciemną fasadę, jak przy każdej innej przecznicy, a wyżej kompletnie nic. Wyłącznie widmowa ciemność. Zaparkowali przy krawężniku Piątej Alei, na północ od Trzydziestej Czwartej Ulicy, i wysiedli, żeby podejść bliżej. Trzydziesta Czwarta była dwa razy szersza od innych, z otwartym widokiem na wschód i zachód, ciemna na całej długości z wyjątkiem pomarańczowej łuny gdzieś daleko nad Brooklynem. Wybuchły tam pożary.

– Zaczyna się – powiedział Reacher.

Usłyszeli radiowóz jadący na północ Madison Avenue i po chwili zobaczyli, jak przecina przecznice dalej sześć pasów Trzydziestej Czwartej. Światła na jego dachu wydawały się niezwykle jasne. Po chwili zniknął im z oczu i znów zapadła cisza.

– Dlaczego wysiadła elektryczność? – zapytała Chrissie.

– Nie wiem – odparł Reacher. – Może doszło do przeciążenia sieci przez te wszystkie klimatyzatory, a może w stację przesyłową uderzył piorun. Albo nastąpił impuls elektromagnetyczny po eksplozji nuklearnej. Albo ktoś nie zapłacił rachunku.

– Po eksplozji nuklearnej?

– To znany efekt uboczny. Ale nie sądzę, żeby do niej doszło. Zobaczylibyśmy błysk. I gdyby nastąpiła gdzieś blisko, spalilibyśmy się na węgielek.

– W jakim służysz rodzaju sił zbrojnych?

– W żadnym. Mój ojciec jest w piechocie morskiej, a brat będzie oficerem wojsk lądowych, ale to dotyczy ich, nie mnie.

– A ty kim zostaniesz?

– Nie mam pojęcia. Chyba nie adwokatem.

– Myślisz, że twoja znajoma z FBI miała rację co do zamieszek i plądrowania?

– Może nie dojdzie do tego na Manhattanie.

– Nic nam nie grozi?

– Nic nam nie będzie. Jeśli zawiedzie wszystko inne, zrobimy to, co robili ludzie w dawnych czasach. Zaczekamy na świt.

• • •

Skręcili w Trzydziestą Czwartą i dojechali najbliżej, jak tylko można, do East River. Zatrzymali się na zaśmieconym placu pod estakadą FDR Drive i spojrzeli przez szybę na leżące za rzeką pogrążone w mroku dzielnice. Dokładnie przed sobą mieli Queens, po prawej Brooklyn, daleko po lewej Bronx. Pożary w Brooklynie wydawały się rozszerzać. Paliło się również w Queens. I w Bronxie, ale Reacher słyszał, że w Bronxie zawsze wybuchają jakieś pożary. Nic za nimi, na Manhattanie. Na razie. Ale słyszeli dużo syren. W ciemności wzbierał gniew.

Może z powodu upału. Reacher zastanawiał się, czy okna Macy's dalej są nietknięte.

Chrissie nie wyłączyła silnika, ze względu na klimatyzację. Bak był mniej więcej w połowie pełny. Jej bluzka zupełnie zasłaniała szorty. Można by pomyśleć, że nic pod nią nie ma. Co wyglądało wspaniale. Była bardzo ładna.

– Ile masz lat? – zapytał.

– Dziewiętnaście.

– Skąd jesteś?

– Z Kalifornii.

– Podoba ci się tutaj?

– Na razie tak. Mają tu pory roku. Ciepłą i zimną.

– Zwłaszcza ciepłą.

– A ty ile masz lat? – zapytała.

– Nie jestem nieletni – odparł. – Tyle tylko musisz wiedzieć.

– Tylko tyle?

– Mam nadzieję.

Uśmiechnęła się i wyłączyła silnik. Zablokowała swoje drzwi i nachyliła się nad Reacherem, żeby zablokować te od jego strony. Poczul zapach rozgrzanej młodej dziewczyny.

– Będzie nam gorąco – powiedziała.

– Mam nadzieję – powtórzył, po czym objął ją ramieniem, przyciągnął do siebie i pocałował. Wiedział, jak to się robi. Miał ponad trzy lata praktyki. Położył wolną dłoń na jej biodrze. Chrissie wspaniale się całowała. Jej pocałunki były wilgotne, ciepłe, z języczkiem. Z zamkniętymi oczami. Reacher podciągnął nieco w górę jej bluzkę i wsadził pod nią rękę. Miała szczupłe, jędrne ciało. Gorące i trochę mokre.

Ona też wsadziła rękę pod jego koszulę i przesunęła nią po boku Reachera, po piersi i w dół aż do pasa. A potem wsunęła mu palce pod pasek, co uznał za zachęający sygnał.

Zaczerpnęli powietrza i zaczęli od nowa. Położył wolną dłoń na jej kolanie i przesunął ją po wspaniale gładkiej skórze uda, z czterema palcami po zewnętrznej i kciukiem po wewnętrznej stronie, aż do skraju szortów i z powrotem w dół na drugie kolano, w górę, po drugim udzie, tak samo gładkim i ponętym, tym razem z czterema palcami po wewnętrznej i kciukiem po zewnętrznej stronie, przez cały czas usiłując bez skutku wyobrazić sobie coś wspanialszego od dotyku ciepłej dziewczęcej skóry. Tym razem dotarł odrobinę dalej, aż jego palec wbił się w twarde szew między jej nogami, tuż przy początku suwaka. Chrissie ścisnęła mu z całej siły rękę, co z początku wziął za upomnienie, ale potem zdał sobie sprawę, że chodzi jej o coś innego, dlatego nie cofnął dłoni i czując, jak dziewczyna kręci biodrami, wciskał palce jeszcze głębiej, podnosząc ją niemal z fotela. Nagle westchnęła, odetchnęła spazmatycznie, po czym osunęła się na fotel i po raz kolejny zaczerpnęli powietrza, a on przesunął dłoń, której przed chwilą omal mu nie zmiażdżyła, do guzików jej bluzki, próbując odzyskać

czucie w palcach. Udało mu się to już po chwili i zaczął odpinać guziki, jeden, drugi, trzeci, aż mógł rozchylić poły bluzki.

Pocałowali się znowu, zaczynając trzeci maraton i jego dłoń powędrowała w inne rejony: najpierw dotknął jedwabnego biustonosza z zewnątrz, a potem wsunął palce pod spód i przesunął go do góry, dzięki czemu jej małe wilgotne piersi należały teraz do niego. Ustami błdził po jej karku, a potem po brodawkach piersi i znowu wsunął dłoń tam, gdzie była wcześniej, a Chrissie znów zaczęła poruszać biodrami, powoli i długo, powoli i długo, aż westchnęła po raz drugi, złapała kurczowo powietrze i osunęła się na Reachera, jakby nie miała w ciele żadnych kości.

Następnie położyła mu rękę na piersi i odsunęła od siebie, w stronę okna, co ponownie wziął za upomnienie, ale ona uśmiechnęła się tak, jakby wiedziała o czymś, o czym on nie ma pojęcia, i rozpięła mu spodnie. Jej szczupłe brązowe palce zajęły się suwakiem, i właśnie w tym momencie naprawdę zrozumiał, co oznacza powiedzenie „Umarł i poszedł do nieba”. Jej głowa znalazła się na wysokości jego bioder; poczuł dotyk chłodnych warg i języka. Zamknął oczy, a potem z powrotem je otworzył i rozejrzał się, postanawiając zapamiętać każdy szczegół tej sceny: gdzie i kiedy to było, a także jak, kto i dlaczego, zwłaszcza dlaczego, bo jego świadomy umysł nie widział logicznego związku między dworcem autobusowym Zarządu Portu a tym, co musiało być rodzajem zaczarowanego królestwa. *New York, New York. It's a wonderful town.* To nie ulegało kwestii. Rozglądał się, rejestrując to wszystko: rzekę, leżące za nią bezkształtne dzielnice, odległe pożary, ogrodzenie z siatki i szare betonowe filary podtrzymujące biegnącą wyżej estakadę.

I w tym momencie zauważył mężczyznę, który stał w mroku jakieś trzydzieści metrów od nich. Jego postać odcinała się na tle lśniącej wody. Sądząc po posturze, miał dwadzieścia kilka lat; był średniego wzrostu, z potężnym torsem i dziwnie uformowaną czupryną. Miał włosy, które powinno się strzyć o wiele krócej, ale był rok 1977. W prawej ręce coś trzymał.

Chrissie wciąż była zajęta. Była bezsprzecznie najlepsza. Bez porównania. Nikt się do niej nie umywał. Reacher zastanawiał się, czy w Sarah Lawrence studiują także chłopcy. Mógł złożyć tam papiery. Równie dobrze jak na Uniwersytet Nowego Jorku. Nie żeby zaraz brali ślub czy coś w tym rodzaju. Ale może miała koleżanki. Albo siostrę. Właściwie wiedział, że ma koleżanki. Dwie blondynki. „Zaczekają. Tak się umówiliśmy”. Do północy zostało im dwie godziny, które nagle wydały mu się krótką chwilką.

Facet przemieścił się w ciemności. Obszedł ostrożnie filar, wystawił zza niego głowę, zerkając w prawo i w lewo, po czym ruszył szybkim krokiem prosto w stronę następnego filaru.

I w stronę chevette.

Obszedł drugi filar, żeby sprawdzić nowe otoczenie, zerkając w prawo i w lewo, a potem cofnął się i jego sylwetka zlała się z betonem. Znów był prawie niewidoczny. Cały czas bardzo ostrożnie obchodził się z przedmiotem, który trzymał w ręce, jakby było to coś szczególnie cennego lub kruchego.

Chrissie wciąż była zajęta. I robiła świetną, naprawdę fantastyczną robotę. Fraza „Umarł i poszedł do nieba” nie oddawała tego nawet w przybliżeniu. Właściwie nie oddawała w ogóle. Była obraźliwa. Tego rodzaju skąpe pochwały mogą doprowadzić do incydentu dyplomatycznego.

Facet znów się przemieścił. Trzymał się tej samej rutyny co wcześniej, dwa spojrzenia w lewo i w prawo, a potem do następnego filaru, jeszcze bliżej chevette. Jego sylwetka znów zlała się z betonem, ale ręka znieruchomiła ostatnia. Facet uważał, żeby przedmiot, który w niej trzymał, nie dotknął przypadkiem filaru.

Dlatego też trzymał go w pewnej odległości od siebie, na tle lśniącej wody.

Reacher wiedział już, co to jest.

To był skierowany lufą w dół rewolwer, kołyszący się na osłonie spustu, w którą facet wsadził wskazujący palec prawej ręki. Pękaty i gładki, na górze masywny, podobnie jak sam facet, z zaokrągloną rękojeścią, dziewięciocentymetrową lufą i niewieloma wystającymi częściami. Najprawdopodobniej pięciostrażkowy charter arms bulldog, solidny, najczęściej ładowany nabojami .44 Special. Łatwy w obsłudze. Nienadający się do strzelania do celu. Ale dobry w walce z bliska.

Chrissie wciąż była zajęta. Facet znów się przemieścił. Jeszcze bliżej chevette. Patrzył prosto na samochód. Zanim Reacher wszedł do autobusu w Pohang, matka dała mu do przeczytania swoje gazety. Na temat Nowego Jorku. Na temat fali morderstw. I Syna Sama. Który podpisywał się tak w swoich listach. Zanim zaczęły przychodzić, nazywano go jednak inaczej. Ochrzczono go Zabójcą Kaliber .44. Bo używał takich nabojęw. I strzelał z rewolweru.

Dokładnie rzecz biorąc, jak poinformowała policja, z charter arms bulldog.

Chrissie wciąż była zajęta. I nie był to odpowiedni moment, żeby jej przerwać. W żadnym wypadku. Przerwanie jej było, prawdę mówiąc, czystą niemożliwością. Fizycznie, mentalnie i pod każdym innym względem. Nie mieściło się absolutnie w porządku dnia. Znajdowało się na zupełnie innej półkuli niż porządek dnia. W zupełnie innym wszechświecie. To był fakt biologiczny. Po prostu nie mogło do tego dojść. Facet gapił się na samochód. Reacher gapił się na niego. *Zabija ludzi. Pary siedzące w samochodach.* Tak właśnie można odejść, pomyślał Reacher. Zrób to teraz. Odejdę na wysokiej nucie. Najwyższej nucie w całej historii wysokich nut.

Jack Reacher, niech spoczywa w pokoju. Umarł młodo, ale z uśmiechem na ustach.

Facet się nie poruszał. Po prostu się gapił.

Reacher gapił się na niego.

Facet nadal się nie poruszał.

Pary siedzące w samochodach.

Ale oni nie byli parą. Nie z perspektywy kogoś z zewnątrz. Chrissie trzymała głowę na jego kolanach. Reacher był w samochodzie sam. Zwyczajny kierowca, który zjechał z drogi i przesiadł się na fotel pasażera, żeby mieć więcej miejsca na nogi.

Facet gapił się na Reachera. Reacher gapił się na niego. Chrissie wciąż była zajęta. Facet przeszedł do następnego filaru, a potem następnego i zniknął mu z oczu.

A praca Chrissie była na ukończeniu.

•••

Później zminimalizowali, jak tylko umieli, szkody, poprawiając ubrania, zapinając się i czesząc.

– To było lepsze niż Blondie? – zapytała Chrissie.

– Skąd mogę wiedzieć? – odparł.

– Miałam na myśli Blondie na żywo na scenie w CBGB.

– O wiele lepsze. Nie ma porównania.

– Ale lubisz Blondie, prawda?

– Są najlepsi. To znaczy w pierwszej piątce. Albo dziesiątce.

– Zamknij się.

Chrissie uruchomiła silnik, nastawiła na maksa klimatyzację, zsunęła się w dół w fotelu i podniosła poły bluzki, żeby powietrze dmuchało jej prosto na skórę.

– Widziałem kogoś – powiedział Reacher.

– Kiedy?

– Przed chwilą.

– Co robił?

– Gapił się na nasz samochód.

– Kto?

– Jakiś facet.

– Naprawdę? To przyprawia o gęsią skórę.

– Wiem – odparł Reacher. – I naprawdę mi przykro, ale muszę odnaleźć Jill Hemingway. Powinienem jej o tym powiedzieć. Zasluguje na to, żeby jej pomóc.

– O czym chcesz jej powiedzieć?

– O tym, co widziałem.

– Co takiego widziałeś?

– Coś, o czym powinna wiedzieć.

– To był jeden z facetów Crosellego?

– Nie.

– Więc dlaczego to takie ważne?

– Będzie mogła wykorzystać tę informację.

– Gdzie ona jest?

– Nie mam pojęcia. Wysadź mnie na Washington Square, dalej pójde sam. Założę się, że jest gdzieś na północ od Houston Street.

– Wrócisz dokładnie tam, skąd daliśmy nogę.

– Nazwijmy to kolejną fazą naszego rekonesansu.

– Co zrobisz tym razem?

– Najłatwiejszym sposobem znalezienia Hemingway jest poszukanie Crosellego.

– Nie zamierzam ci na to pozwolić.

- Jak możesz mnie powstrzymać?
 - Powiem, żebyś tego nie robił. Jestem twoją dziewczyną. Przynajmniej do północy.
 - Tego właśnie uczą was w Sarah Lawrence?
 - Mniej więcej.
 - Mnie to pasuje – odparł Reacher. – Poczekamy chwilę w miejscu i zobaczymy, czy się nie pojawi.
 - Naprawdę?
 - Mówię serio.
 - Jakim cudem?
 - Prawa fizyki. Przypadkowe spotkanie nie staje się bardziej prawdopodobne tylko dlatego, że obie osoby są w ruchu.
 - Dobrze, w takim razie gdzie?
 - Powiedzmy, na rogu Bleecker i Broadwayu. To może zwiększyć szanse, że się na nią natkniemy.
 - To kawał drogi na południe.
 - Ale do Houston Street jest tam tylko jedna przecznica. W razie czego możemy zwać na południe.
 - Możemy?
 - Czy to nie ty chciałaś, żebym trzymał się blisko ciebie?
 - To czysty obłąd.
- Reacher pokiwał głową.
- Rozumiem – przyznał. – Naprawdę rozumiem. Możesz mnie wysadzić na Washington Square. Tak będzie najlepiej. Nie myśl, że kiedykolwiek o tobie zapomnę.
 - Naprawdę?
 - Jeśli załatwię sprawę przed północą, przyjdę się pożegnać.
 - Pytałam, czy naprawdę mnie nie zapomnisz. To bardzo słodkie.
 - I bardzo prawdziwe. Do końca życia.
 - Powiedz coś więcej o facecie, którego widziałeś.
 - Moim zdaniem, to był Syn Sama – odparł Reacher.
 - Teraz to już naprawdę ci odbiło.
 - Mówię serio.
 - A ty tu po prostu siedziałeś?
 - Sądziłem, że to najlepsze, co mogę zrobić.
 - Jak blisko podszedł?
 - Na odległość jakichś sześciu metrów. Przyjrzał mi się dobrze i odszedł.
 - Syn Sama był sześć metrów ode mnie?
 - Nie widział cię. Chyba dlatego odszedł.
- Chrissie rozejrzała się i wrzuciła bieg.
- Synem Sama zajmuje się nowojorska policja, nie FBI – powiedziała.
 - Myślę, że każdy, kto przekaże o nim informację, dostanie medal. Tak to chyba funkcjonuje.
 - Co to za informacja?

– Sposób, w jaki się poruszał.

Za nimi słyhać było kolejne policyjne syreny. Na Pierwszej i Drugiej Alei, na ulicach dolnego, środkowego i górnego Manhattanu roilo się od gliniarzy. Nastrój się zmieniał. Reacher wyczuwał to w powietrzu.

– Pojadę z tobą – rzuciła Chrissie. – Żeby to przeżyć. Takie rzeczy pamięta się do końca życia.

• • •

Pojechali ponownie Trzydziestą Czwartą, wracając do środka wyspy, do jądra ciemności. Miasto nadal pogrążone było w kompletnym mroku, nadal martwe niczym gigantyczne zwierzę, które padło na grzbiet. Część szyb w sklepach była powybijana. Ulicami szły grupki ludzi, dźwigając różne rzeczy. Policyjne samochody i wozy straży pożarnej pędziły z miejsca na miejsce, całe oświetlone, z włączonymi modulowanymi syrenami, ale ich światła nie rozpraszały czerni, a syreny nie robiły prawie wcale wrażenia na ludziach. Kiedy pojawiali się gliniarze i strażacy, chowali się po prostu w bramach. Przypominali Reacherowi małe nocne stworzenia, pracujące nad trupem, penetrujące jego skórę, eksplorujące go, żywiące się nim, odzyskujące jego składniki odżywcze, poddające recyklingowi jego części: podobnie jak milion morskich żyjątek żywi się leżącym na dnie morza martwym wielorybem.

Przy Empire State Building skręcili w Piątą Aleję i jechali powoli środkowym pasem, mijając ludzi; dwaj dźwigali zrolowany dywan, a trzech ładowali wypełnione czymś pudła do bagażnika dużego poobijanego samochodu. Na wysokości Dwudziestej Trzeciej skręcili w lewo w Broadway, minęli upiorny Flatiron Building i jechali dalej na południe, wokół Union Square, i przecinając Czternastą, od której zaczynało się wrogie terytorium. Im dalej na południe, tym więcej było kradzieży i zniszczeń. Broadway przypominał biegnący przez mroczny pejzaż niski rów, i wszędzie były powybijane szyby i ludzie, którzy przemieszczali się grupkami, szybko, chyłkiem i w milczeniu, zupełnie niewidoczni, gdyby nie żarzące się punkciki papierosów. Minęli Czwartą, a potem Trzecią Ulicę, gdzie byli wcześniej, i Chrissie zaczęła zwalniać.

– Zmiana planów – odezwał się Reacher. – Wydaje mi się, że lepszy będzie róg Szóstej Alei i Bleecker.

– Dlaczego? – zapytała Chrissie.

– Czym najbardziej przejmuje się teraz Croselli?

– Żeby nie zgarnęli mu towaru. Jak każdy. Jeśli ma jakiś towar.

– Moim zdaniem, ma. Pytanie brzmi, z czego ciągnie zyski między Houston Street i Czternastą? Być może z pobierania haraczy, prostytutki i tak dalej, ale przede wszystkim z handlu prochami. Więc musi gdzieś mieć ich zapas. Ale gdzie? Nie w swoim rodzinnym domu w Little Italy, bo ten jest daleko na południe od Houston.

– Dość dobrze orientujesz się w geografii.

– Studiowałem ją z daleka. Poza tym facet odszedł z Waverly na zachód. Po tym incydencie z agentką Hemingway. W stronę Szóstej Alei. Najwyraźniej wracał do siebie, żeby zatelefonować. W mojej sprawie. Więc jego kwatera główna musi być na zachód od Waverly.

– Uważasz, że Hemingway wie, gdzie ona jest?

– Jestem tego pewien. I jestem pewien, że obserwuje ją w tej chwili. Zakładam, że nikt nie przydzielił jej żadnego zadania na dzisiejszą noc, bo jest zawieszona. Więc nadal działa na własną rękę. Ma nadzieję, że jakaś banda włamie się do Crosellego i dzięki temu będzie mogła ustalić, co ma tam w środku. Może nawet trafić na moment, kiedy Croselli będzie bronił towaru, co byłoby strzałem w dziesiątkę. Bez względu na to, jakiego rodzaju zawarł umowę z FBI, pewnych rzeczy federalni po prostu nie mogliby zignorować.

– Towaru nie będzie bronił sam Croselli. Ma dwunastu zakapiorów.

– Teraz już tylko dziesięciu – sprostował. – Dwaj są w szpitalu. Albo próbują się do niego dostać. Ale nie będziemy im wchodzić w paradę. Zależy nam na Hemingway.

– Niełatwo jest znaleźć po ciemku jedną kobietę.

– Przynajmniej spróbujmy.

Potoczyli się więc dalej, w stronę Houston Street, mijając duży sklep ze sprzętem stereo, ze zbitymi dwiema szybami i niewielką ilością pozostawionego towaru, po czym skręcili w prawo, na zachód, mijając z lewej strony pograżone w mroku, zapuszczone ulice Soho: Mercer, Greene, Wooster, West Broadway, Thompson, Sullivan i MacDougal Street. Potem skręcili w prawo w Szóstą Aleję i przejechali jedną przecznicę na północ, do nieregularnego skrzyżowania Bleecker, Downing i Minetta Street. Sklepy były tutaj dziadowskie, niektóre zbyt dziadowskie nawet dla złodziei, inne z wyłamanymi drzwiami i ogołoczone. Szósta Aleja w kierunku na północ była taką samą długą czarną dziurą jak wcześniej, z takim samym wąskim pionowym prostokątem nocnego nieba na samym końcu.

– Mam tu zaparkować? – zapytała Chrissie.

– Objedźmy parę przecznic.

– Powiedziałeś, że poczekamy chwilę i zobaczymy, czy ona się nie pojawi.

– Eskalacja misji. Ryzyko zawodowe. Jak wtedy, gdy marynarka transportuje piechotę morską.

– Studiuję anglistykę.

– Daj mi pięć minut. Dobrze?

Ale nie potrzebowali nawet pięciu minut. Udało im się znaleźć Hemingway już po sześćdziesięciu sekundach. Skręcili ostro w lewo w Downing, a potem w prawo w Bedford i znowu w prawo w Carmine i gdy zmierzali z powrotem w kierunku Bleecker, w bramie po prawej stronie ulicy Reacher dostrzegł bladą plamę twarzy i blond włosów. Wskazał ją ręką i Chrissie wdepnęła hamulec. Jill Hemingway wyłoniła się z mroku i pochyliła nad szybą od strony Reachera niczym seulka prostytutka dobijająca targu z poborowym.

Spodziewał się, że wścieknie się na jego widok, ale tak się nie stało. Pewnie dlatego, że poczuła się zdemaskowana. Poczula, że Reacher odkrył jej obsesję. Bo

rzeczywiście ją miała. Wyglądało, jakby trochę się tego wstydziła.

– Czy Croselli ma tu gdzieś swoją melinę? – zapytał.

Pokazała ręką nieoznakowane wrota po drugiej stronie ulicy. Były wysokie i szerokie, niczym dawna brama dla pojazdów konnych, dość duże, by przejechał przez nie powóz i para koni. W świetle dnia mogły mieć kolor ciemnozielony. W skrzydle z prawej strony były małe drzwi, przez które mogła przejść jedna osoba. Brama prowadziła zapewne na wewnętrzny dziedziniec. Budynek miał dwie kondygnacje. Na górze były biura albo magazyny. W głębi stała większa, ciemna i masywna budowla. Być może kościół.

– On tam jest? – zapytał Reacher.

Hemingway pokiwała głową.

– Ilu ma ze sobą ludzi?

– Jest sam.

– Naprawdę?

– Zajmuje się ściąganiem haraczy. Między innymi. Więc teraz musi się wywiązać z umowy. Wszyscy jego ludzie są na terenie dzielnicy i pilnują klientów.

– Nie sądziłem, że na tym polega branie haraczów. Myślałem, że ściągają pieniądze od ludzi, tak po prostu.

– W zasadzie to prawda. Ale Croselli musi zachować jakieś pozory wiarygodności. I nie chce, żeby jego najwięksi płatnicy wypadli z interesu. Dziś wieczorem doszło do wielu zniszczeń. Wiele firm upadnie. Nie będzie ich stać na haracze. A rozsądny człowiek dba o swoje dojne krowy.

Reacher spojrzał na podwójne wrota.

– Ma pani nadzieję, że ktoś się tam włamie?

– Nie wiem, dlaczego tak długo z tym zwlekają. Na tym polega problem z ćpunami. Nie potrafią się zmobilizować.

– Co on tam ma?

– Wszystkiego po trochu. Nie ma zbyt dużych zapasów, bo przez New Jersey Turnpike i Holland Tunnel idą do niego przez cały czas szybkie dostawy, co jest akurat strategią, której uczą teraz w szkołach biznesu. Mimo to założę się, że to, co tam zgromadził, powinno wystarczyć na jakiś tydzień.

– Nie zasłaniamy pani widoku? Może powinniśmy zaparkować w innym miejscu?

– Powinniście wrócić do domu. To nie wasz interes.

– Muszę z panią pomówić.

– O czym?

– O Synu Sama.

– Croselli ci już nie wystarcza?

– Widziałem go.

– Kogo?

– Widziałem mężczyznę trzymającego w ręce rewolwer Charter Arms Bulldog i zaglądnącego do samochodów.

– Mówisz serio?

- Zaglądał do naszego samochodu.
 - Gdzie?
 - Przy East River, na wysokości Trzydziestej Czwartej.
 - Chyba znasz się na broni? – mruknęła Hemingway. – Skoro służysz w piechocie morskiej i tak dalej.
 - Mój ojciec służy w piechocie morskiej – uściślił Reacher. – To był ten rewolwer.
 - Wszędzie są egipskie ciemności.
 - W wodzie odbijało się światło księżycy i gwiazd.
- Hemingway pochyliła się jeszcze bardziej nad oknem chevette i spojrzała na Chrissie.
- Ty też go widziałaś?
 - Nie.
 - Jak to?
 - Nie patrzyłam w tamtą stronę.
 - Nie wiem, co robić – mruknęła Hemingway. – W porządku, powiedzmy, że mamy do czynienia z potwierdzonym zgłoszeniem... Ale co z tego? Wiemy już, że Syn Sama jest w Nowym Jorku. Na tym właśnie polega problem. Fakt, że go widziałeś, nic nam nie daje. Potrzebujemy czegoś więcej. Musimy wiedzieć, kim jest. Wiesz, kim jest?
 - Nie – odparł Reacher. – Ale wiem, kim był.

• • •

Zaparkowali na Bleecker, mając zamiar wrócić na piechotę i dołączyć do czatującej w bramie Hemingway, ale nagle na Bleecker zaroilo się od ludzi, których część przemieszczała się większymi grupami, a część parami. Niektóre z tych grup i par dźwigały rzeczy zbyt ciężkie, by można było je przenieść na dłuższy dystans i z tego względu wypatrywały środków lokomocji, na przykład małych hatchbacków, idealnych do przewiezienia dużego telewizora. Reacher i Chrissie właśnie wysiedli z chevette, zatrzasnęli drzwi, ale jeszcze ich nie zamknęli, i wtedy zaczęła się wojna na spojrzenia. Dwaj faceci uginający się pod ciężarem olbrzymiego pudła z odwróconym do góry nogami napisem SONY szli prosto w ich stronę, przez cały czas wpatrując się w chevette.

- Nie zatrzymujcie się, panowie – powiedział Reacher.
- Facet z lewej strony nie był zbyt umięśniony i stękał cicho z wysiłku.
- A może jednak się zatrzymamy? – odparł.
- Wtedy skopię wam tyłki i zabiorę telewizor.
- Może nas podwieziesz?
- Po prostu się nie zatrzymujcie – powtórzył Reacher.

Ale oni się zatrzymali. Postawili ostrożnie pudło na ziemi, wyprostowali się i głęboko odetchnęli, dwie ciemne postaci w ciemności. Nawet z odległości dwóch metrów trudno było dokładnie dostrzec szczegóły, lecz ich dłonie nie powędrowały jeszcze do kieszeni, co było dobrym znakiem. Oznaczało, że

zbliżająca się walka odbędzie się bez użycia broni. Reacher dorastał w kulturze skrajnej przemocy – trudno inaczej opisać zasady panujące w amerykańskim korpusie piechoty morskiej – i uczył się w lot, dzięki czemu od ponad dziesięciu lat nie przegrał ani jednej bójki: z dorastającymi w tej kulturze innymi dzieciakami marines i z różnymi rywalizującymi z nimi lokalnymi wyrostkami, którzy uważali, że amerykańskie siły zbrojne są niewarte funta kłaków, i chcieli to udowodnić, szukając przeciwnika zastępczego, na ogół bez sukcesu. Dwaj główniarze na pogrążonej w mroku nowojorskiej ulicy nie powinni stwarzać jakiegoś poważniejszego problemu, chyba że mieli noże lub pistolety, co było w tym momencie dużą niewiadomą.

– Może zabierzemy ze sobą dziewczynę – odezwał się facet z prawej strony. – Moglibyśmy się trochę zabawić.

– Daj nam po prostu kluczyki i nikomu nie stanie się krzywda – powiedział ten z lewej.

I w tym momencie klamka zapadła. Zaskoczenie jest zawsze korzystne. Zwłoka nigdy dobrze się nie kończy. Ludzie, którzy czekają, aż sytuacja sama się rozwinie, proszą się na ogół o kłopoty. Reacher ruszył na faceta z lewej strony niczym baseballista przyjmujący wybitą przez pałkarza piłkę, stawiając dwa sprężyste kroki i wcale nie zwalniając. Wbiegł prosto na niego, wbijając mu łokieć w twarz, i kiedy tylko poczuł, że złamał facetowi nos, gwałtownie się zatrzymał, odwrócił i ruszył na drugiego, który próbował się uchylić i przyjął całą masę Reachera na plecy. Uderzony poleciał do przodu, jakby potrąciła go ciężarówka, i kiedy dostał kopniaka w głowę, legł bez ruchu na jezdni.

Reacher sprawdził ich kieszenie. Nie mieli, co zdarza się najczęściej, noży ani broni palnej. Ale sami sobie zgotowali ten los. Mogli się nie zatrzymywać. Reacher przyciągnął ich do siebie, tak że leżeli ramie przy ramieniu, podniósł ciężkie pudło niczym siłacz w cyrku, chwiejąc się i prężąc mięśnie, po czym dał dwa krótkie kroki do przodu i zrzucił je z wysokości jednego metra na ich głowy.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała Chrissie.

– To kwestia zasad – odparł. – Wygrana to nie wszystko. Ten drugi musi wiedzieć, że przegrał.

– Tego właśnie uczą w piechocie morskiej?

– Mniej więcej.

– Kiedy się ockną, zniszczą mi samochód.

– Nie zniszczą. Wyrzygają się i popełnią do domu. W tym czasie ty będziesz daleko stąd.

Chrissie zamknęła więc auto na klucz i wrócili w upale na Carmine Street, gdzie czekała Hemingway.

– Nic się nie dzieje? – zapytał Reacher.

– Na razie nic – odpowiedziała.

– Może powinniśmy kogoś zwerbować. Na Bleeker Street jest sporo ludzi.

– To oznaczałoby nakłanianie do przestępstwa.

– Cel uświęca środki.

– Co chciałeś powiedzieć o tym facecie z rewolwerem?

- Zdołasz to jakoś wykorzystać?
- Zależy, co to jest.
- Oczywiście było ciemno – zaczął.
- Ale?
- Powiedziałbym, że miał dwadzieścia kilka lat. Średniego wzrostu, z masywną klatką piersiową i masywnymi ramionami, dość blady, z kręconymi włosami, z tych co to trudno je uczesać.
- Trzymał buldoga kaliber czterdzieści cztery?
- Większość buldogów jest kalibru czterdzieści cztery. Ale nie mam rentgena w oczach.
- Jak daleko był od ciebie?
- W pewnym momencie w odległości sześciu metrów.
- Jak długo się w niego wpatrywałeś?
- Może przez dwadzieścia sekund.
- Dwadzieścia sekund z odległości sześciu metrów – powiedziała Hemingway.
- W kompletnych ciemnościach. Trudno będzie to sprzedać. Założę się, że dziś w nocy będzie tysiąc podobnych zgłoszeń. Po ciemku ludzie wpadają w panikę.
- Był wyszkolony – dodał Reacher.
- Wyszkolony w czym?
- W tym, jak sprawdzał teren. To były żołnierze. Odbył szkolenie w wojskach lądowych.
- Podobnie jak wielu innych mężczyzn. Słyszałeś o Wietnamie?
- Jest za młody na Wietnam. Ten facet był w wieku poborowym sześć albo siedem lat temu. Pobór praktycznie się wtedy kończył. Trzeba było mieć pecha, żeby trafić do armii. I nie sądzę, żeby kiedykolwiek brał udział w działaniach wojennych. Widziałem sporo ludzi, którzy wrócili z Wietnamu. Są inni. Dla tego faceta istnieje wyłącznie teoria i szkolenie. Ma to wszystko mocno wpojone, to jasne, ale nigdy nie trafił na pole walki. I nie sądzę, żeby był z piechoty morskiej. Oni też są inni. Moim zdaniem, był z wojsk lądowych. I uważam, że był w Korei. To coś jak odcisk palca. Myślę, że odbył podstawowe szkolenie, ze specjalizacją miejską, i myślę, że służył w Seulu. To szczególne połączenie. Cały czas to oglądam. Była pani tam kiedyś? Seul uczy człowieka poruszać się w specyficzny sposób. Ale nasz facet odszedł z wojska co najmniej dwa lata temu. Bo zdążył zapuścić włosy i przybrał mocno na wadze. Sądzę, że zgłosił się na ochotnika, kiedy miał osiemnaście lub dziewiętnaście lat. I odsłużył trzy lata. Takie odniosłem wrażenie.
- To cholernie szczegółowe wrażenie.
- Może pani zaproponować, żeby sprawdzili, czy jacyś podejrzani pasują do tego wzorca.
- To było dwadzieścia sekund w kompletnych ciemnościach.
- Lepsze to niż nic.
- Przypuśćmy, że im to proponuję.
- Przypuśćmy, że to coś da. Przypuśćmy, że złapią faceta. Będzie pani coś z tego miała?

- Oczywiście, że tak.
 - Więc jakie są minusy?
 - To, że wydam im się zdesperowana i żałosna.
 - Pani decyzja.
 - Powinna pani spróbować – odezwała się Chrissie. – Ktoś musi złapać tego gościa.
- Hemingway nie odpowiedziała.

• • •

Czekali, czając się w bramie naprzeciwko kwatery Crosellego, i absolutnie nic się nie działo. Słyszeli syreny policyjne i urywki rozmów prowadzonych na Bleecker Street. Tak jakby czytali nagłówki gazet. Temperatura wynosiła już tylko trzydzieści dwa stopnie. Na stadionie Shea światła zgasły pod koniec szóstej rundy, kiedy Metsi przegrywali z Cubsami dwa do jednego. Pasażerowie metra spędzili pod ziemią kilka strasznych godzin, ale powoli udawało im się wydostać na powierzchnię. Rabusie wyrywali sklepowe żaluzje, podjeżdżając samochodami i podczepiając do nich liny i łańcuchy. Splądrowano nawet salon Brooks Brothers przy Madison Avenue. Płonęły Crown Heights i Bushwick. Poszkodowanych było wielu gliniarzy i aresztowano mnóstwo osób.

W końcu minęli ich ostatni przechodnie i na Carmine Street znowu zapadła cisza. Zegar w głowie Reachera wskazywał, że zbliża się północ.

- Odprowadzę cię do samochodu – zwrócił się do Chrissie. – Czekają na ciebie koleżanki.

- Zostajesz tutaj? – zapytała.
- Chyba tak. Mój autobus już odjechał.
- Myślisz, że drogi nie są zablokowane?
- Są szeroko otwarte. Chcą, żeby ludzie wynieśli się stąd do diabła.
- Dlaczego?
- Będzie mniej gąb do nakarmienia.
- To całkiem logiczne – przyznała Chrissie.

Ruszyli razem do skrzyżowania, skręcili na rogu i podeszli do chevette, która była cała i nietknięta. Dwaj faceci nadal leżeli na jezdni przygnieceni wielkim pudłem. Zupełnie jak w komiksie. Jeszcze oddychali.

- Chcesz, żebym z tobą pojechał? – zapytał Reacher.
- Nie – odparła Chrissie. – Wracamy same. Tak się umówiliśmy.
- Wiesz, jak jechać?
- W górę Szóstą, potem Czwartą i będę na miejscu.
- Zgadza się.
- Uważaj na siebie, dobrze?
- Będę uważał – odparł Reacher. – I ty też. Nigdy cię nie zapomnę.
- Zapomnisz.
- Sprawdź za rok, zobaczysz, że nie zapomniałem.

– W porządku. Zobaczymy, kto pamięta. Wieczór tego samego dnia, to samo miejsce. Umowa stoi?

– Będę tam – obiecał Reacher.

Chrissie wsiadła do samochodu, ruszyła powoli z miejsca, po czym skręciła w lewo w Szóstą Aleję, pomachała mu przez otwarte okno i zniknęła z pola widzenia.

• • •

– Wrzucę to do systemu – oświadczyła Hemingway. – To znaczy twoje wrażenia. Mam w tym swój ukryty cel. Oni to oczywiście zignorują, ale rzecz zostanie w aktach. Mogę potem zawsze powiedzieć: a nie mówiłam. Jeśli się nie mylisz. Zawsze zarobię dzięki temu kilka punktów. Może nawet więcej. Świadomość, że miało się wcześniej rację, to wspinała rzecz.

– To tylko zawężenie kręgu podejrzanych – odparł Reacher. – Nic więcej. Chodzi o większą skuteczność.

– Ale ja nadal chcę dorwać Crosellego.

– Syn Sama nie przywróci pani do łask?

– Chcę dorwać Crosellego.

– Dlaczego?

– Bo doprowadza mnie do szału.

– Czytała pani książkę pod tytułem *Moby Dick*?

– W porządku, rozumiem. I przyznaję się. Croselli jest moim wielkim białym wielorybem. Mam na jego punkcie obsesję. Ale co mogę na to poradzić? Co może poradzić ktokolwiek, kiedy biały wieloryb zwalił się na głowę?

– Tak właśnie się pani czuje? Jakby wieloryb zwał się pani na głowę?

– Dokładnie tak.

– W takim razie proponuję wymianę.

– Coś za coś?

– Potrzebuję kogoś, kto podwiózłby mnie na północ.

– Kiedy?

– Jak najszybciej. Brat na pewno się o mnie zamartwia. Muszę położyć kres jego mękom.

– Nie mam firmy taksówkarskiej.

– Ma pani samochód.

– Nie jestem też szoferem.

– Mogłaby mi go pani pożyczyć.

– Jak byś go zwrócił?

– Nie wiem.

– Masz w ogóle prawo jazdy?

– Niekoniecznie.

– W takim razie nic z tego.

– W porządku – zgodził się Reacher.

– Co zrobiłbyś w zamian? – zapytała Hemingway.

– Przypuśćmy, że jakiś nieznany sprawca włamie się do kwatery Crosellego i będzie pani mogła zajrzeć do środka. Potem nieznany sprawca ucieknie, ale pani będzie zbyt zajęta zabezpieczeniem tego, co pani znalazła, żeby go ścigać.

– Czekam dwie godziny, żeby do tego doszło. Ale nic się nie dzieje.

– Ja to zrobię.

– Masz szesnaście lat.

– Jakie to ma znaczenie?

– Sama taka policyjna prowokacja jest już naganna. Prowokacja z udziałem nieletniego jest o wiele gorsza.

– Kto będzie o tym wiedział poza mną i panią?

– Nie mam możliwości podwieźć cię na północ – mruknęła.

Reacher przez chwilę się zastanawiał.

– Może powinniśmy dopracować trochę ten plan – powiedział w końcu.

– Jaki plan? – zachnęła się. – Nie mamy żadnego planu.

– Chyba lepiej będzie, jeśli to nie pani dokona odkrycia. Wyglądałoby to na osobistą wendetę. Adwokaci Crosellego mogliby to wykorzystać. Chyba lepiej będzie, jeśli zamiast FBI zajmie się tym ktoś inny. Na przykład nowojorska policja. Nie sądzi pani? Niezależna instytucja, która nie boksuje się z Crosellim. Jeśli odkryją, że jest dealerem, i zajmą jego towar, nie będzie można tego zamieść pod dywan. Sprawa się posypie. Pani ludzie będą musieli zapomnieć o zawartej z nim umowie i przyznać, że od samego początku miała pani rację. Może pani zostać przywrócona do służby i przy okazji dadzą pani medal.

– Nowojorska policja ma dziś pełne ręce roboty.

– Ale mają na pewno wydział do spraw narkotyków. Niech pani do nich wcześniej zadzwoni. Oceni, ile mniej więcej zajmie im dojazd, i spróbujemy to zsynchronizować. Ja włamię się do środka, a pani zostanie na zewnątrz i będzie miała oko na to, co się dzieje, aż do przyjazdu gliniarzy. A potem oboje się stąd zmyjemy i będzie pani mogła podwieźć mnie na północ. Tymczasem policja zgromadzi wszystkie potrzebne dowody i kiedy wróci pani do miasta, rozwiną przed panią czerwony dywan.

– Jak daleko na północ chcesz jechać?

– Do West Point. To kawał drogi.

– Wiem, gdzie to jest.

– Więc umowa stoi?

Hemingway nie odpowiedziała.

• • •

Mniej więcej pół godziny później, tuż przed pierwszą, w końcu się zgodziła. Ale plan od razu spalił na panewce. Najpierw nie mogli znaleźć działającego telefonu. Przeszli w jedną i drugą stronę całą Carmine Street, spróbowali w budce na rogu z Siódmą Aleją, na rogu z Bleecker i na rogu z Szóstą, niestety, wszystkie telefony, jakie znaleźli, były nieczynne. Nie wiedzieli, czy to wynik awarii energetycznej, czy po prostu ogólnego stanu zaniedbania. Reacher, który uważał,

że telefony są zasilane ze źródeł niezależnych od miejskiej sieci elektrycznej, był za tym, żeby kontynuować poszukiwania, ale Hemingway nie chciała się za bardzo oddalać, w obawie że przegapi coś, co wydarzy się przy kwaterze Crosellego. Wróciła więc na swój posterunek w bramie, a Reacher ruszył samotnie dalej; przeciął Szóstą Aleję i na rogu Minetta Street i Minetta Line znalazł automat z sygnałem w słuchawce.

Było zbyt ciemno, by zobaczyć cyfry na klawiaturze, wcisnął więc po omacku zero, żeby połączyć się z centralą, i czekał bardzo długo, zanim ktoś odebrał. Poprosił o połączenie z szóstym komisariatem nowojorskiej policji i tym razem czekał jeszcze dłużej.

– Tak? – warknął w końcu jakiś głos.

– Chciałbym zgłosić skład nielegalnych narkotyków w West Village – powiedział Reacher.

– Co takiego?

– Właśnie włamano się do magazynu przy Carmine Street. Jest tam pełno narkotyków.

– Są jakieś trupy?

– Nie.

– Czy ktoś próbuje w tym momencie kogoś zabić?

– Nie.

– Czy się pali?

– Nie.

– W takim razie przestań mi pan zawracać głowę – powiedział głos i połączenie się urwało.

Reacher odwiesił słuchawkę i pospieszył z powrotem, pocąc się w trzydziestu stopniach upału, o pierwszej nad ranem. Przekazał informację Hemingway, a ona pokiwała w ciemności głową.

– Powinniśmy się tego domyślić – rzuciła. – Mają tam teraz istne pandemonium.

– Może posłużymy się pani ludźmi?

– Zapomnij o tym. Nie odbiorą ode mnie zgłoszenia.

– Nadal ma pani ten magnetofon od młodszej siostry? – zapytał Reacher.

– Jest mój.

– Ale nadal go pani ma?

– Dlaczego pytasz?

– Może zdołałbym nagrać, jak się przechwala.

– Ty?

– Już pani mówiłem. To nie może wyglądać na osobistą wendetę.

– Nie mogę ci na to pozwolić. Ty i on, twarzą w twarz? Zostały mi jeszcze resztki sumienia.

– Co mi może zrobić?

– Zatluc cię na śmierć.

– To mafioso – odparł Reacher. – Ma od tego swoich żołnierzy. Mokłą robotę zleca innym. To znaczy, że wyszedł z wprawy. Jest mocny tylko w gębie.

Widzieliśmy to już na Waverly. Każdy dwunastolatek na Filipinach mógłby mu zwinąć lunch.

– Tak mówicie w piechocie morskiej?

– Nie służę w piechocie morskiej.

– Jak dostaniesz się do środka?

– Zakładam, że kościół za jego budynkiem jest zamknięty.

– Dzisiaj na pewno. Jeśli nie każdej nocy.

– Coś wymyślę.

– Jak zabrałoby się do tego wojsko?

– Siły lądowe czy piechota morska?

– Siły lądowe.

– Wezwaliby na pomoc artylerię. Albo lotnictwo.

– A piechota morska?

– Podłożyliby chyba ogień. Ci, co są w środku, wieją wtedy na ogół, aż się kurczy.

– Nie możesz tego zrobić.

– Nie służę w piechocie morskiej – powtórzył Reacher i spojrzał na budynek po drugiej stronie ulicy. W oknach na piętrze oczywiście nie paliły się światła. Co oznaczało, że Croselli może wyglądać przez jedno z nich. Niewiele jednak widząc. Człowiek, który siedzi gdzieś po ciemku i obserwuje oświetloną ulicę, ma niewątpliwą przewagę. Ale człowiek, który siedzi gdzieś po ciemku i obserwuje ciemną ulicę, równie dobrze może to sobie darować i nie psuć wzroku.

Reacher przeciął ulicę, podszedł do bramy i położył na niej dłoń. Przypominała w dotyku papier ścierny. Położona pięćdziesiąt lat wcześniej farba plus pięćdziesiąt lat dymu, brudu i kurzu. Postukał w nią, najpierw paznokciami, a potem lekko kłykciami. Drewno było stare, grube i solidne, jakby przywieziono je sto lat temu z jakiejś puszczy na zachodzie. Przesunął palcami po jego powierzchni i znalazł mniejsze drzwi. Ta sama farba, ten sam brud, to samo drewno. Poszukał zawiasów, ale żadnych nie znalazł. Kciukiem wymacał zamek. To był mały okrągły yale ze zużytego mosiądzu, prawdopodobnie tak samo stary jak farba.

Zawrócił na pięcie i podszedł do Jill Hemingway.

– Te wrota mają prawdopodobnie pięć albo nawet siedem centymetrów grubości. Osadzone w nich drzwi są z jednego kawałka. Wszystko z porządnego drewna, które zdążyło stwardnieć na kamień.

– Więc może jedynym wyjściem jest taktyka sił lądowych.

– Może nie. Mniejsze drzwi otwierają się do środka. Zamykane są na stary zamek typu Yale, zamontowany z pięćdziesiąt lat temu. Zakładam, że nie wydrążyli otworu w środku. Nie w takim twardym drewnie. Nie w tamtych czasach. Ludzie nie mieli wtedy takiej obsesji na punkcie bezpieczeństwa. Zakładam, że zamek jest zamontowany z tyłu, na skrzydle drzwi. Bolec wchodzi w coś w rodzaju małego pudełka przykręconego do framugi najwyżej dwiema śrubkami.

– Dalej będą kolejne drzwi. Przy wejściu z dziedzińca do budynku. Mogą mieć nowszy zamek.

– W takim razie zapukam i zdam się na swój wrodzony wdzięk.

– Nie mogę ci na to pozwolić.

– Przynajmniej to mogę dla pani zrobić. Pokrzyżowałem pani wcześniej szyki. Mogła pani coś od niego wyciągnąć. Chciała pani przymknąć oko na ten policzek i pozwolić mu mówić dalej.

– Odkrył już wtedy, że go nagrywam.

– Ale to arogancki cham. Ma wybudowane ego. Mógłby perorować mimo to, tylko żeby pani dokuczyć.

– Taką miałam nadzieję.

– W takim razie niech mi pani pozwoli to wyprostować.

• • •

Reacher obrócił się, podciągnął koszulę i obnażył plecy przed Hemingway. Poczul gorące palce obmacujące jego pasek, odciągające go do tyłu i wciskające plastikowe pudełko za gumkę szortów. Następnie przewód i dłoń wsuwającą się pod jego koszulę, wędrującą w górę pleców, aż do łopatki, a potem nad ramieniem. Przez chwilę czuł na karku jej oddech, a potem odwróciła go, żeby stanął ponownie twarzą do niej, wsunęła drugą rękę pod przód jego koszuli, znalazła mikrofon na ramieniu i pociągnęła go w dół, tak że znalazł się na wysokości klatki piersiowej. Przez moment przytrzymała go otwartą dłonią. Między jej ręką i skórą Reachera nie było nic prócz małego technologicznego gadżetu.

– Ja wcisnęłam go pod biustonosz – powiedziała. – Ale ty nie masz biustonosza.

– Niech pani sobie wyobrazi – mruknął.

– Nie mam nic, żeby przymocować mikrofon.

Reacher czuł pot między swoją piersią i jej ręką.

– Ma pani w torebce plaster opatrunkowy? – zapytał.

– Bystry z ciebie chłopak – odparła i rozchyliwszy torbę dwoma łokciami, zaczęła ją przetrząsać. Kiedy wykręciła szyję, żeby do niej zajrzeć, usta Reachera musnęły jej czoło, tylko przez chwilę, jakby w pocałunku. Jej wilgotne włosy pachniały truskawkami.

W końcu zawiesiła torbę z powrotem na ramieniu i podniosła coś, co lekko zachrząściło. Domyślił się, że to plaster, wciąż tkwiący w sterylnej osłonce. Wziął go od Hemingway i ściągnął osłonkę, a ona odebrała go i przykleiła nim mikrofon do jego skóry. Następnie wygładziła kilka razy plaster, wyjęła ręce spod jego koszuli i położyła mu dłoń na piersi, przyciskając ją mocno do wilgotnej bawełny, tak samo jak zrobił to wcześniej Croselli.

– Znajdzie go – powiedziała.

– Niech się pani nie martwi – odparł Reacher. – Jeśli spróbuje mnie dotknąć, zatłukę go na śmierć.

Hemingway się nie odezwała.

– Tak mówią w piechocie morskiej – wyjaśnił.

•••

Egipskie ciemności nie ułatwiały Reacherowi zadania. W żadnym razie go nie ułatwiały. Stał przy przeciwległym krawężniku niczym szykujący się do startu lekkoatleta, ale nie widział dokładnie, dokąd zmierza. Musiał dokonywać korekt w trakcie biegu. Ruszył do przodu, powoli i dostojnie, częściowo z powodu ciemności, a częściowo, ponieważ był fatalnym biegaczem; sadził długie ciężkie susy i na trzy kroki przed celem zobaczył wrota; na dwa kroki – osadzone w nich drzwi; a na jeden krok – zamek, i wtedy podniósł stopę, zatoczył nią łuk i wbił piętę tak blisko małego kółka yale, jak tylko zdołał, wkładając w to całą swoją stukilową masę, którą w znaczący sposób zwielokrotniło przyspieszenie jego stopy i fakt, że poruszał się, nawet jeśli nie szybko, to dość żwawo.

Ale to wystarczyło. Drzwi ustąpiły prawie bez żadnego oporu i Reacher wbiegł przez powstały w ten sposób prostokątny otwór w przestrzeń tak ciemną, że nie dostrzegał w niej absolutnie nic. Pod stopami czuł kocie łby, w nozdrzach smród śmieci, a wokół siebie, po prawej, lewej i na wprost wznoszące się pionowo mury.

Obmacując ściany po prawej stronie, dotarł do końca dziedzińca, gdzie znalazł kolejne drzwi. Pofałdowana szyba na górze, drewniany panel na dole, gładka stalowa klamka oraz zamek, który robił wrażenie nowszego. Szyba była prawdopodobnie hartowana i zbrojona. Zamek był zapewne wpuszczony w drzwi i framugę. Całkowicie inne wyzwanie.

Czekał, czy Croselli nie zejdzie na dół i sam ich nie otworzy. Co było całkiem możliwe. Musiał słyszeć trzask wyłamywanych zewnętrznych drzwi. Ale nie zszedł. Reacher odczekał trzy minuty, dysząc ciężko i natężając wzrok, naprawdę pragnąc coś zobaczyć. Bezskutecznie. Podszedł ponownie do drzwi i zbadał rękami ich kształt. Najslabszym elementem był chyba panel pod szybą. Prawdopodobnie ze sklejki, na centymetr grubej, pomalowanej i obsadzonej w ramie za pomocą ćwierćwałków. Miał na nogach buty, które kupił na lotnisku w Londynie dwie przeprowadzki temu, kanciasty brytyjski wyrób, z podeszwami i czubkami twardymi jak stal. Tej nocy rozbiły już kilka głów i kolan. Sklejka nie powinna stanowić dużego problemu.

Dał krok do tyłu i dotknął stopą drzwi, żeby sprawdzić odległość. A potem koncentrując się na rogach panelu, kopnął je, *łup, łup*, mocno i głośno, aż w końcu drewno ustąpiło i ćwierćwałki się obluźowały.

Reacher zastygł w bezruchu i nasłuchiwał.

Z wnętrza budynku nie dochodził żaden dźwięk.

Nie było to korzystne. Wolałby spotkać się z Crosellim twarzą w twarz na parterze. Nie uśmiechało mu się wchodzenie po schodach ze świadomością, że przeciwnik czai się w gotowości na górze.

Odczekał jeszcze chwilę.

Nic.

Opierając się plecami o framugę, przykucnął i zaczął walić łokciem w panel, który wygiął się w końcu do środka niczym zawieszony na kilku ocalałych gwoździach miniaturowe drzwiczki. Wtedy Reacher obrócił się, wsadził rękę w dziurę i dość szybko znalazł klamkę. Miał ręce długie jak goryl. Na wszystkich zdjęciach z dzieciństwa poniżej rękawów widać było piętnaście centymetrów przedramienia.

Drzwi otworzyły się. Reacher wyprostował się i cofnął o metr, na wszelki wypadek. Z wewnątrz nie dobiegały żadne odgłosy. Croselli nie zszedł na dół. Reacher widział przed sobą wyłącznie mrok. Gorący i zalatujący stęchlizną.

Wszedł do wąskiego pomieszczenia, które mogło być przedsionkiem, z podłogą wyłożoną płytkami. Szurając po nich stopami, trafił na pierwszy stopień. Poręcz znajdowała się po lewej stronie, po prawej, niecały metr dalej, miał pomalowaną olejną farbą ścianę, mokrą od pary.

Ruszył na górę, prawą rękę wyciągając przed siebie, lewą trzymając się poręczy. W połowie schodów był szeroki na metr podest, za którym zakręcały o sto osiemdziesiąt stopni, a na górze przedsionek o rozmiarach dwa na jeden metr, z lepkiem dywanem i drzwiami po każdej stronie. Do pokoju wychodzącego na ulicę i do pokoju wychodzącego na podwórko. Spod drzwi tego od podwórka sączyło się niewyraźne ciepłe światło.

Reacher popatrzył na nie tak, jak człowiek na pustyni patrzy na szklanę z zimnym napojem. To była chyba świeczka. Pierwsze sztuczne światło, jakie zobaczył od ponad trzech godzin.

Wsadził rękę pod koszulę na plecach i wcisnął przycisk, który pokazała mu wcześniej Hemingway. „Jest czerwony”, powiedziała, co nie na wiele się zdało, bo nie miał oczu z tyłu głowy, a poza tym było kompletnie ciemno. Wymacał go więc palcami, po czym klepnął się w pierś, żeby stuknięcie zaznaczyło początek nagrania, i położył dłoń na klamce.

•••

Nacisnął klamkę, pchnął drzwi – raz-dwa, szybko i mocno – i wszedł do pokoju, który oświetlała migocząca świeczka. Jej płomyk zatańczył w przeciągu. Pomieszczenie miało rozmiary siedem na siedem metrów. Na wprost było ciemne okno, po lewej rząd staroświeckich sejfów, jakby żywcem przeniesionych z czarno-białych westernów o napadach na banki, po prawej szafki na akta i biurko. Za biurkiem siedział Croselli na skórzanym odchylanym fotelu, który odsunął i obrócił, żeby mieć przed sobą drzwi.

W rękę trzymał pistolet.

To był Colt M1911, samopowtarzalny pistolet kalibru .45, od sześćdziesięciu sześciu lat na wyposażeniu armii. Robił wrażenie mocno porysowanego i poobijanego. Oświetlała go świeczka, stojąca na biurku na porcelanowym talerzyku, w kałuży stearyny. Zwykła domowa świeczka za kilka centów, w tym momencie jasna jak słońce.

– To ty – mruknął Croselli.

Reacher nie odpowiedział.

Mafioso zdjął wcześniej marynarkę i rozluźnił krawat, ale nadal miał mokrą koszulę.

– Spodziewałem się Hemingway – rzucił. – Kim ty jesteś, jej rycerzem w lśniącej zbroi? Wysłała tu chłopca, żeby zrobił to, co powinien zrobić mężczyzna?

„Jest uzbrojony?“, zapytał wcześniej Reacher. „Nie w mieście“, odpowiedziała Hemingway. „W mieście nie może sobie na to pozwolić“. Najwyraźniej zakaz nie obejmował jego siedziby. Co nie było korzystne. Reacher spojrział na stojące w rzędzie sejfy. Było ich łącznie sześć; każdy miał mniej więcej dziewięćdziesiąt centymetrów szerokości i metr osiemdziesiąt wysokości. Zamki były zwykłe, nie cyfrowe. Sejf na samym końcu był otwarty i pusty. Tam trzymali arsenał, domyślił się Reacher. Na wypadek zagrożenia. Takiego jak dzisiejsze. Żołnierze Crosellego byli teraz najwyraźniej uzbrojeni, wszyscy znajdowali się na ulicach – pełnili wartę.

– Ma pan broń – powiedział Reacher, na użytek nagrania.

– Bronię swojej własności.

– To pana lokal?

– Nie jestem jakimś tam włamywaczem.

Reacher dał krok do przodu. Lufa colta lekko się uniosła.

– Na akcie własności widnieje pana nazwisko? – zapytał Reacher.

– Nie jestem taki głupi.

– W takim razie to nie jest pana lokal.

– Tylko formalnie. Wierz mi, gówniarzu, wszystko, co tutaj widzisz, należy do mnie.

– Co jest w tych sejfach?

– Zapasy.

– Pańskie?

– Już ci mówiłem.

– Muszę to usłyszeć w krótkich żołnierskich słowach.

– Po co?

– Moglibyśmy ubić interes – odparł Reacher.

– Interes?

– Właśnie.

– Ty i ja?

– Jeśli ma pan trochę oleju w głowie.

– Wyłamałeś moje drzwi.

– Wpuściłby mnie pan, gdybym zapukał?

– Jakiego rodzaju interesy moglibyśmy robić, ty i ja?

– Korzysta pan z New Jersey Turnpike i Holland Tunnel. To oznacza, że zaopatruje się pan w Miami i dostarcza towar międzystanową dziewięćdziesiątkąpiątką. A to z kolei oznacza, że grubo pan przepłaca i traci część towaru na rzecz niesolidnych kurierów i regularnych patroli drogówki. Mogłbym temu zaradzić.

– Jak?
– Sprowadzam towar bezpośrednio z Dalekiego Wschodu. Wojskowymi samolotami. Nie podlegają kontroli. Mój ojciec jest oficerem piechoty morskiej.
– Jaki dokładnie towar?
– Wszystko, co pan chce.
– Za jaką cenę, gówniarzu?
– Pokaże mi pan, co ma, i powie pan, ile zapłacił. Wtedy zaproponuję panu złoty interes.
– Pokieraszowałeś dwóch moich ludzi.
– Mam nadzieję, że trwale. Musi pan zrozumieć jedno: ze mną się nie zadziera.
– Reacher dał kolejny krok do przodu. Lufa colta uniosła się jeszcze wyżej. – Kupuje pan u Martineza?
– Nigdy nie słyszałem o żadnym Martinezie.
– W takim razie przepłaca pan jeszcze bardziej. Od kogo pan kupuje?
– Od chłopaków z Medellin.
– Ze mną może pan zaoszczędzić czterdzieści procent.
– Moim zdaniem, chrzanisz głupoty – stwierdził Croselli. – To podpucha, którą wymyśliła Hemingway.
– Przecież zamknął jej pan usta – przypomniał mu Reacher.
– I zapłaciłem za to sporo szmalu. Oczekując, że zamknie się raz na zawsze. Jeśli tak się nie stanie, naprawdę się wkurzę.
– To nie ma nic wspólnego z Hemingway.
– Podciągnij koszulkę.
– Po co?
– Chcę zobaczyć przewody. Zanim cię zastrzelę.
Niezarejestrowana broń, pomyślał Reacher, brak aktu własności na ten lokal, bezpośrednia wzmianka o kartelu Medellin, bezpośrednia wzmianka o łapówce. Miał na taśmie dosyć. Wziął głęboki oddech i dotknął palcami skraju T-shirtu. A potem wychylił się gwałtownie do przodu i zdmuchnął świeczkę.

• • •

W wypełnionym ciepłym światłem pokoju w ułamku sekundy zapadły egipskie ciemności, a Reacher skoczył do przodu, wciskając się między fotel i biurko Crosellogo, który obrócił colta w jego stronę i strzelił. Chybił jednak o kilometr, a płomień wylotowy oświetlił go niczym stroboskop, więc Reacher mógł wybrać odpowiednie miejsce i walnął go prawym prostym w kark, dokładnie tam, gdzie miękkie tkanki przechodzą w twarde. Croselli spadł z krzesła i wylądował na kolanach, a Reacher złapał fotel, podniósł go wysoko za boczne poręcze i walnął go nim w plecy. Słyszając brzęk toczącego się po podłodze colta, odsunął fotel na bok i macając i waląc na oślep, złapał przeciwnika lewą ręką za kołnierzyk koszuli, po czym zadał mu serię krótkich prawych sierpowych w bok głowy, ucho i szczękę, raz, dwa, trzy, cztery, potężne bezlitosne ciosy, aż w końcu poczuł, że z faceta uchodzi para. Wtedy złapał go za rękę i wykręcił je do

tyłu, wysoko i boleśnie, i zacisnął palce na obu nadgarstkach, jakby zakładał mu ludzkie kajdanki, co było sztuczką, którą doprowadził do perfekcji w minionych latach, możliwą dzięki temu, że miał niewiarygodnie silne palce i z ich uścisku nikt nigdy nie zdołał się wyrwać, nawet jego brat, który był równie potężnie zbudowany jak on, i nawet ojciec – drobniejszy, lecz silniejszy. Reacher pomógł Crosellemu wstać i klepał go przez chwilę po kieszeniach spodni, aż w końcu usłyszał brzęk kluczy. Mafioso odzyskał częściowo siły i zaczął się wściekle szarpać, więc Reacher obrócił go lekko na bok, uciszył potężnym hakiem w nerkę i wyłuskał klucze z kieszeni.

– Gdzie masz zapalniczki? – zapytał.

– Umrzesz, główniarzu – wycharczał Croselli.

– Oczywiście – zgodził się Reacher. – Nikt nie żyje wiecznie.

– Umrzesz już dzisiaj, główniarzu.

Reacher wziął w palce jeden z kluczy i wbił końcówkę wysoko w policzek mafiosa.

– Jeśli umrę, ty tego nie zobaczysz – powiedział. – Bo najpierw wyłupię ci oczy.

– Zapalniczki są w szufladzie biurka – wyjąkał szybko Croselli.

Reacher znów go obrócił i wałnął krótkim prawym w brzuch, żeby go czymś zająć, po czym zaprowadził rzygającego i zgiętego wpół do biurka. Wolną ręką zaczął otwierać i przetrząsać po omacku szuflady. Były tam najróżniejsze rzeczy. Zszywacze, długopisy, rolki scotcha z dyspenserami i bez, ołówki, spinacze do papieru. I pudełko zapalek, trochę rozmiękłe i wilgotne.

Zapalenie zapalniczki jedną ręką jest praktycznie niemożliwe, więc Reacher obrócił Crosellego w stronę ściany z oknem, puścił go i mocno popchnął do przodu, po czym wykorzystał kilka uzyskanych w ten sposób sekund, żeby wyjąć zapalniczkę z pudełka, zapalić ją i przytknąć do knotu świeczki. W tym momencie Croselli zaczął szykować się do ataku, w związku z czym Reacher podszedł do niego i kiedy pokój ponownie rozjaśniło przytulne światło świecy, znokautował ciosem w splot słoneczny.

Powinno mu to dać przynajmniej minutę spokoju. Wykorzystał ją, by podnieść z podłogi colta, opróżnić magazynek oraz komorę, postawić z powrotem fotel, posadzić na nim faceta, znaleźć w biurku taśmę biurową i przymocować nią jego przedramiona do poręczy.

Scotch jest słabszy od innych taśm, ale Reacher nadrabiał to długością, owijając wiele razy prawą, a potem lewą rękę, wskutek czego facet wyglądał, jakby miał dwa złamane nadgarstki i założony na nie jakiś nowy typ przezroczystego żółtawego gipsu. Następnie skrępował mu nogi w kostkach. Łącznie zużył sześć rolek taśmy i kiedy skończył, facet nie miał prawa się ruszyć.

W tym momencie w drzwiach stanęła Hemingway.

Spojrzała najpierw na świeczkę, potem na Crosellego.

– Na nagraniu przyznał się, że wszystko tutaj należy do niego – powiedział Reacher.

– Słyszałam strzał.

– Chybił. Kula przeleciała mniej więcej dwadzieścia stopni na prawo ode mnie.

- Martwiłam się.
- To Ojciec Chrzestny powinien się martwić. O swojego człowieka.
- Co się nagrało na taśmie?
- Niech mi pani wyjmie zza paska magnetofon i sama posłucha.

Hemingway zrobiła to. Reacher znów poczuł jej szybkie gorące palce i dłoń, która wsunęła się pod koszulę i przełożyła mikrofon do drugiej ręki. Następnie wcisnęła jeden przycisk, a potem następny i w pokoju zabrzmiał metaliczny głos Crosellego, potwierdzający, że wszystko, co tu jest, należy do niego, przyznający się do konszachtów z kartelem z Medellin, do wręczenia łapówki i do tego, że była znaczna.

- Masz jego klucze? – zapytała.
- Trzymam je w ręce.
- Otwórz sejfy.

Reacher zrobił to; zaczął od tego sąsiadującego z pustym arsenałem i oddalał się od okna, aż w końcu wszystkie stanęły otworem. We wszystkich były gładkie, zawinięte w plastik cegielki, niekiedy w kolorze brązowym i zielonym, ale w większości białe i żółte.

– Możesz włożyć mu z powrotem klucze do kieszeni? – poprosiła i Reacher zrobił to.

- Co teraz? – zapytał.
 - Czy jego telefon działa?
- Podniósł słuchawkę.
- Działa.

Hemingway podała mu numer.

- To nasza wewnętrzna gorąca linia w sytuacjach realnego zagrożenia.

Reacher wybrał numer i podał dokładny adres składu Crosellego, ale się nie przedstawił.

– Ich czas reakcji mieści się między pięcioma i dziesięcioma minutami – powiedziała Hemingway i położyła plastikowy magnetofon przy stopach mafiosa.

– Powinniśmy już iść. Mój samochód stoi dość daleko.

- To wystarczy? – zapytał Reacher.

– Aż nadto. Medellin jest toksyczny. I dowody są jak na dłoni. Jak na fotografii. To fotogeniczny akt oskarżenia. Nie ma znaczenia, kogo przekupił. Nikt nie zdoła nigdy podważyć tego, co tu znajdują. To będzie jak tsunami.

– Jeszcze tylko jedno – rzucił Reacher i odwrócił się do Crosellego. – Kobiet nie bije się w twarz. Jesteś podobno mężczyzną, a nie ciotą.

Croselli się nie odezwał.

Reacher podniósł rękę.

- Jak byś sobie tego życzył? – zapytał.

– Nie uderzysz człowieka przywiązanego do fotela – powiedział mafioso.

– Żebyś się nie zdziwił – odparł Reacher, po czym uderzył faceta w twarz, mocno i z rozmachem, prawdziwe *prask*, wilgotne czy nie, i fotel przechylił się, zakołysał i zachybotał, a potem przewrócił na bok, z obracającymi się w górze kółkami i głową Crosellego odbijającą się od podłogi jak kulka we flipperze.

I wtedy się stamtąd zmyli, i przepowiednia Hemingway o pięciu do dziesięciu minutach okazała się trafna, bo mniej więcej po sześciu zobaczyli pędzące samochody, którym towarzyszyły dwie spore furgonetki. Duża siła ognia. Trudno się dziwić, skoro zagrożenie było realne.

• • •

Samochód Hemingway stał cztery przecznice dalej, przy Sullivan Street. Ten sam ford granada, który Reacher widział wcześniej, z niebieską karoserią, winylowym dachem i agresywną kratą chłodnicy.

– Jesteś pewna, że cię odwieszą? – zapytał.

– Możesz na to liczyć, dzieciaku. Świadomość, że miało się wcześniej rację, to wspaniała rzecz.

– Więc możesz mnie podwieźć za miasto.

– Powinam tu zostać.

– Daj im czas, żeby się ogarnęli. Daj im czas, żeby uznali, że tak naprawdę to był ich własny pomysł. Widziałem cały ten syf już wcześniej. Wszystkie rządowe instytucje są takie same. Na jeden dzień musisz się przyczaić. Nie wolno ci znaleźć się w świetle reflektorów.

– West Point?

– Przez Thruway i Tappan Zee Bridge.

– Jak długo mnie nie będzie?

– Rozwiną przed tobą czerwony dywan, Jill. Daj im po prostu czas, żeby go znaleźli.

• • •

Jechali bardzo długo w kompletnych ciemnościach, a potem dotarli do miejsca, gdzie nie wysiadła elektryczność, z sygnalizacją świetlną, latarniami ulicznymi i gdzieś tam jasnymi oknami. Billboardy były oświetlone i wszędzie skrzyły się na czarnym aksamitnym tle znajome pomarańczowe romby.

– Muszę zadzwonić – powiedziała nagle Hemingway.

– Do kogo? – zapytał Reacher.

– Do Biura.

– Po co?

– Muszę wiedzieć, czy to zadziałało.

– Jestem pewien, że tak.

– Muszę wiedzieć.

– Więc zatrzymaj się. Możemy napić się kawy.

– Jest czterdzieści stopni.

– Teraz musi być poniżej trzydziestu.

– I tak jest zbyt gorąco na kawę.

Hemingway skręciła na prawy pas, a potem zjechała z autostrady w miejsce, które, zdaniem Reachera, było supermocarstwową wersją normalnego przydrożnego zajazdu, z tysiącami toalet, stacją benzynową dostosowaną do wielkich ciężarówek, pokojami motelowymi dla znużonych kierowców i nie jakimś zwykłym barem, ale restauracją tak dużą, że mogło się w niej stołować całe Syracuse. A także z automatami telefonicznymi. Stały w długim rzędzie przed wielkimi jasno oświetlonymi oknami restauracji. Hemingway zadzwoniła z jednego z nich i z uśmiechem odwiesiła słuchawkę.

– Zadziałało – powiedziała. – Croselli został aresztowany.

– Co z twoim wielorybem? – zapytał Reacher.

– Odpłynął.

Przez chwilę wyglądała, jakby zakręciło jej się w głowie, a potem uśmiechnęła się szeroko i objęła Reachera. W jej mocnym uścisku wyczuł jakiś rodzaj ulgi i ekstazy, wyczuł też wystające żebra i trzepoczące serce. Biło bardzo szybko.

Następnie podeszła do innego aparatu, wybrała inny numer, podała swoje nazwisko i zdała długi raport o potwierdzonym rozpoznaniu Syna Sama przez, jak to określiła, zaufanego informatora, posiadającego, jak to określiła, wojskowe doświadczenie.

– To może się wydać wariactwem – powiedziała, odwieszając słuchawkę – ale naprawdę chcę wynająć tu pokój i wziąć prysznic.

– Dla mnie to żadne wariactwo.

– Czy to dla ciebie ważne, kiedy tam dojedziemy? – spytała.

– Jeden czy dwa prysznice nie zrobią różnicy.

– Więc zrobmy to.

– Oboje?

– Z obopólną korzyścią.

– Kto pierwszy wchodzi pod prysznic?

– Ja.

– Zgoda – odparł Reacher.

Hemingway zapłaciła w recepcji zwitkiem banknotów, które, jego zdaniem, musiały stanowić opłatę za całą noc, i wróciła z kluczem do pokoju numer 15, usytuowanego daleko z tyłu, w ostatnim domku przed lasem.

– Chcesz, żebym zaczekał w samochodzie? – zapytał.

– Możesz poczekać w pokoju – odparła.

Weszli więc tam razem, do gorącego śmierdzącego pokoju ze znajomym wyposażeniem. Hemingway zajrzała do łazienki i wyszła z niej z naręczem ręczników.

– Są twoje – rzuciła, po czym wróciła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

Czekał na łóżku, aż w końcu, po długim czasie, wyszła, cała rozgrzana, różowa i owinięta ręcznikami.

– Twoja kolej – powiedziała i przeszła przez pokój trochę niepewnym krokiem, jakby zrobiło jej się duszno albo dopadło ją w końcu zmęczenie.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Reacher.

– Nic mi nie jest.

Odczekał chwilę, po czym wszedł do łazienki, w której było parno jak w saunie. Na zaparowanym lustrze widniały smugi pozostawione przez sprzątaczkę. Reacher rozebrał się, powiesił wilgotne ciuchy na haczyku, puścił ciepłą wodę z prysznica, wszedł do wanny i zasunął kotarę. Namydlił się i użył szamponu, wyszorował się i opłukał, a potem stał jeszcze przez całą minutę pod ciepłym strumieniem wody.

Biorąc pod uwagę temperaturę i wilgotność, wytarcie się do sucha nie wchodziło w rachubę. Wziął ręcznik, przesunął nim z miejsca na miejsce krople na skórze, po czym włożył z powrotem wilgotne ubranie, przeczesał włosy palcami i wyszedł w obłoku pary z łazienki.

Jill Hemingway leżała na wznak na łóżku. Z początku myślał, że zasnęła. A potem zobaczył, że ma otwarte oczy. Wziął ją za nadgarstek i zbadał tętno.

Nic.

Sprawdził tętno na szyi.

Nic.

Zawieszona w czynnościach z przyczyn medycznych. To serce, pomyślał. O które na pewno trzeba było się zatroszczyć. Czuł wcześniej, jak bije i trzepocze. Widział, jak się chwiała. Przeszedł przez pokój i wyjrzał przez okno. Nadal był środek nocy. Za drzewami zobaczył światła jadących autostradą samochodów. Słyszał ich szum, niewyraźny i jednostajny. Wrócił do łóżka i ponownie sprawdził tętno na nadgarstku i na szyi. Nic.

Wyszedł na parking, zamknął za sobą drzwi i ruszył w stronę rzędu automatów przy restauracji. Wybrał na chybił trafił jeden z nich i wykręcił numer wewnętrznej gorącej linii, który mu dała. Zgłosił jej śmierć, dodał, że przyczyny wydają się naturalne, i podał adres motelu, ale się nie przedstawił.

Jill Hemingway, niech spoczywa w pokoju. Zmarła młodo, lecz z uśmiechem na twarzy.

A potem ruszył dalej w stronę stacji benzynowej; minął dystrybutory dla aut osobowych i ciężarówek i dotarł do wyjazdu. Postawił jedną stopę na jezdni, drugą na krawężniku i uniósł kciuk. Zatrzymał się drugi mijający go samochód. Jasnoniebieski chevrolet chevette, nienależący jednak do Chrissie. Za kółkiem siedział dwudziestokilkuletni facet jadący do Albany. Wysadził go przy zjeździe i dalej Reachera zabrała furgonetka mleczarza. Następnie przeszedł dwa kilometry do skrzyżowania Akademii, zjadł coś w przydrożnym zajeździe i po przejściu kolejnych dwóch kilometrów zobaczył w oddali światła West Point. Wiedząc, że nikt nie będzie się zrywał z łóżka przed szóstą, do której zostały jeszcze dwie godziny, położył się na ławce przy przystanku autobusowym i zasnął.

•••

Nazajutrz po awarii o siódmej rano przywrócono dostawy energii w części Queens, a niedługo potem w części Manhattanu. W porze lunchu prąd był już w połowie miasta. O jedenastej wieczorem w całym. Awarię spowodowały

zaniedbania techniczne. Uderzenie pioruna w Buchanan w stanie Nowy Jork – w trakcie długiej letniej burzy, którą obserwował z oddali Reacher – spowodowało przerwanie obwodu, a poluzowana nakrętka kontruująca nie zamknęła go natychmiast z powrotem, tak jak to powinna. W rezultacie w ciągu następnej godziny doszło do szeregu wyłączeń i przeciążeń sieci, aż w końcu od prądu odcięte zostało całe miasto. Do rana splądrowano ponad tysiąc sześćset sklepów, doszło do ponad tysiąca pożarów, rannych zostało ponad pięciuset funkcjonariuszy i aresztowano ponad cztery tysiące osób. Wszystko z powodu jednej obluźwanej nakrętki.

• • •

Dwadzieścia osiem dni po awarii niecałe siedem kilometrów od Sarah Lawrence College ujęty został przed swoim domem przy Pine Street w Yonkers Syn Sama. Skończyła się trwająca cały rok seria zabójstw, których był sprawcą. Okazało się, że nazywa się David Berkowitz i ma dwadzieścia cztery lata. W chwili aresztowania miał przy sobie ukryty w papierowej torbie rewolwer Charter Arms Bulldog. Natychmiast przyznał się do popełnionych zbrodni. Potwierdził też, że w wieku osiemnastu lat zgłosił się na ochotnika do amerykańskiej armii i odsłużył w niej trzy lata, częściowo na terenie Stanów, ale w większości w Korei Południowej.

CZARNA OWCA

Oficer prowadzący Reachera powiedział mu, że nie będzie łatwo. Na pewno napotka trudności. Wiele i różnego rodzaju. To będzie prawdziwe wyzwanie. Ten facet po prostu nie wie, co to takt. Zwykle prowadzący zaczynają od dobrych wiadomości.

Może po prostu nie ma żadnych dobrych informacji, pomyślał Reacher.

Prowadzącym był pułkownik wywiadu, Cornelius Christopher. Właściwie to pretensjonalne imię i nazwisko było jego jedyną wadą, poza tym wydawał się całkiem przyzwoitym facetem, prostolinijnym i pragmatycznym. Reacher pewnie by go lubił, gdyby spotkali się w innym czasie. Tajne działania podejmowane we współpracy z nieznanym prowadzącym oznaczają zwykle problemy z realizacją zadania. Albo coś jeszcze gorszego.

– Co ci powiedzieli wczoraj? – spytał Christopher.

– Wczoraj byłem we Frankfurcie, w Niemczech. Nikt mi nic nie powiedział. Kazali mi tylko wsiąść do samolotu lecącego do Dulles i zameldować się tutaj.

– Rozumiem. – Oficer prowadzący skinął głową.

– Co powinni byli mi powiedzieć?

– Naprawdę nic o tym nie wiesz?

– Tyle, że mają jakieś problemy z miejscowymi oficerami sztabowymi.

– Więc jednak coś ci powiedzieli.

– Nikt mi niczego nie mówił. Jestem śledczym, zarabiam w ten sposób na życie, więc niektóre rzeczy są dla mnie dość oczywiste. Pracuję tu od niedawna, w dodatku głównie za granicą, więc na pewno nie znają mnie oficerowie sztabowi, którzy nie lubią wyjeżdżać zbyt daleko.

– Co to znaczy „zbyt daleko”?

– Choćby poza miasto. Powiedzmy nie dalej niż trzy kilometry od tego biura. Chyba że mają jakąś chatkę nad jeziorem, gdzie jeżdżą czasem na ryby, ale to nie są miejsca, w których można mnie spotkać.

– Nie jesteś zadowolony z tego zadania, co?

– Miewałem bardziej obiecujące.

– No dobrze. W czym problem?

– Kiedy to się zaczyna?

– Dziś po południu.

– No właśnie, w tym problem. Mam prowadzącego, którego nigdy wcześniej nie widziałem na oczy, i zadanie, o którym nic nie wiem.

– Boisz się?

– To nieprofesjonalne. Amatorskie i byle jakie. Bo wy zawsze jesteście tacy sami. Zresztą można się tego domyślić po samej nazwie.

- Jakiej nazwie?
- Waszej. Wywiad wojskowy. Teoretycznie oba te słowa powinny mieć dla was znaczenie. I jedno zwykle ma. Ale tylko jedno naraz, jeśli wiesz, o czym mówię. Na przemian, inaczej rzecz ujmując.
- Chętnie wysłucham twojej opinii.
- Co muszę wiedzieć? – spytał Reacher.

• • •

W tym samym momencie, w miejscu odległym od biura Christophera Corneliusa, z podjazdu powoli wycofał się samochód z napędem na przednie koła, czemu towarzyszył jęk ścieranych opon. Nie był to pisk świadczący o zrywności i szybkości auta. Wręcz przeciwnie. Taki dźwięk można usłyszeć na bogatych przedmieściach, kiedy guma opon ociera się o wypielęgnowany czarny asfalt, równie charakterystyczny jak zapach trawy podlewanej spryskiwaczami w ciepły letni dzień.

Samochód przystanął na moment, a potem ruszył na południe i powoli pokonywał progi zwalniające, które umieszczono tu na wniosek człowieka prowadzącego samochód, ze względu na bezpieczeństwo dzieci.

Potem skręcił na zachód, w stronę autostrady, by włączyć się w strumień pojazdów zmierzających do stolicy.

• • •

Pułkownik Cornelius Christopher oparł się na blacie biurka – najpierw złączył dłonie, a potem rozłożył ręce na boki, spychając wszystkie niepotrzebne przedmioty. Był to bardzo wyrazisty, ale wyłącznie metaforyczny gest. Na blacie biurka nie było bowiem nic. Nawet kurzu. Facet ma jednak podejście do ludzi, przemknęło Reacherowi przez głowę. Pozwolił, żebym się wygadał, a teraz przejdziemy od razu do rzeczy.

– Sprawa jest całkiem bezpieczna. Trzeba będzie tylko trochę pogadać – oznajmił Christopher.

– O czym?

– Miałeś rację, chodzi o oficerów sztabowych. Jest ich czterech, a jeden z nich jest zły. Wszyscy utrzymują kontakty z politykami, Kongresem i z Senatem. Praktycznie tam mieszkają. Znasz ten typ. Robią szybkie kariery, mają ustosunkowanych przyjaciół, lepiej nie wchodzić im w drogę.

– Konkrety?

– Armia potrzebuje nowego karabinu snajperskiego. Przedstawiamy argumenty jakiejś nowej podkomisji. Właściwie błagamy o to naszych ustawodawców. Choć i to nie do końca jest prawdą, bo nawet nie rozmawiamy z kongresmenami czy senatorami. Przysyłają na spotkania urzędników.

– Teraz ty nie wyglądasz na zadowolonego.

– Nie po to tu jestem. Nasi oficerowie łącznikowi oczywiście biorą udział w posiedzeniach komisji. I jeden z nich wynosi informacje na zewnątrz. Dane o kryteriach konstrukcji, amunicji, zasięgu, rozmiarach, kształcie, wadze i budżecie.

– Komu je przekazuje?

– Przypuszczamy, że jakiemuś zagranicznemu oferentowi. Czyli producentowi. Komuś, kto chce zdobyć ten kontrakt. I kto lubi grać nieuczciwie.

– Czy ten interes jest wart takiego ryzyka? Ile karabinów snajperskich kupujemy? I ile za nie płacimy?

– Nie chodzi tylko o nasze zamówienia. Producent wybrany w przetargu może sprzedawać kopie karabinu po pięć tysięcy za sztukę na wolnym rynku, czyli za równowartość przyzwoitego używanego samochodu. W każdej ilości. Jakby sprzedawał heroinę.

– Kto jeszcze bierze udział w tych posiedzeniach?

– Czterech naszych oficerów łącznikowych, czterech urzędników wyższego szczebla, których chcemy przekonać do tego projektu, przedstawiciel głównego kwatermistrzostwa, przedstawiciel kwatermistrzostwa marines, do tego jeszcze snajper rangersów i snajper marines, na wypadek gdybyśmy potrzebowali jakichś praktycznych rad.

– Biorą w tym udział marines?

– W mniejszym stopniu. Nie przysłali nawet swojego oficera łącznikowego. Ale to wspólny projekt, bez dwóch zdań. Czegoś takiego nie da się przeprowadzić inaczej.

– Więc skąd wiadomo, że to nie któryś z marines wynosi informacje? Człowiek z ich kwatermistrzostwa albo snajper? Dlaczego zakładacie, że to któryś z naszych?

– Dane są przekazywane faksem z budynku Kapitolu, a tam właśnie mają swoje biura nasi oficerowie.

– Jesteście tego pewni?

– Całkowicie.

– Może to któryś z urzędników. Oni też mają biura na Kapitolu.

– Używają innej sieci telefonicznej. Kongres i Senat mają jakiś nowy super hiper system. My jesteśmy jeszcze w epoce maszyny parowej.

– Rozumiem. – Reacher skinął głową. – Więc to jeden z naszych.

– Niestety.

– Motyw?

– Pieniądze – odparł Christopher. – Bo co innego? Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby ktoś nawiązał głęboką ideologiczną więź z europejskim producentem broni, a ty? Tymczasem tacy oficerowie ciągle ocierają się o wielkie pieniądze. Codziennie spotykają się z prawnikami wielkich firm i lobbystami. W takim towarzystwie mogą się czuć jak ubodzy krewni.

– Nie możemy po prostu obserwować tego faksu?

– Nie w budynku Kapitolu. Oni tam nie lubią, jak ktoś patrzy im na rękę. Mogłoby to mieć przykre konsekwencje.

- Nasz podejrzany wysłał faks pod zagraniczny numer?
- Nie, miejscowy. Ale producenci broni zatrudniają miejscowych jako agentów i lobbystów.
- Więc na czym polega moje zadanie?
- Dowiedzieć się, który z naszych oficerów jest czarną owcą. Po prostu musisz z nimi porozmawiać.
- Gdzie?
- Najpierw w komisji. Snajpera rangersów odwołano, z powodów osobistych. Ty zajmiesz jego miejsce.
- Jako kto?
- Inny snajper rangersów.
- W obecności snajpera marines? Jeśli spytają mnie o opinię, od razu mnie zdemaskuje.
- Więc będziesz snajperem z Delta Force, a nie rangersem. Nie odzywaj się. Bądź tajemniczy i intrygujący. Zapuść brodę.
- Przed dzisiejszym popołudniem?
- Tym się nie przejmuj. Widzieliśmy twoje akta. Znasz się na rzeczy. Wierzymy w ciebie.
- Dziękuję.
- Musisz wiedzieć coś jeszcze.
- Tak?
- Nasi oficerowie łącznikowi to kobiety.
- Wszyscy?
- Tak, cała czwórka.
- Czy to coś zmienia?
- Mam nadzieję. Część tych rozmów musi mieć charakter czysto towarzyski. Z kobietami to łatwiejsze. Możesz spotykać się z nimi w pojedynkę. Faceci zawsze wolą pić w grupie.
- Więc przyjechałem tu po to, żeby zabierać kobiety do barów, stawiać im drinki, a przy okazji pytać, czy nie sprzedają tajnych informacji jakiejś zagranicznej firmie. Na tym to polega?
- Musisz być trochę subtelniejszy. Ale owszem, w gruncie rzeczy to rodzaj przesłuchania. A ty podobno jesteś w tym dobry. Ponoć zarabiasz w ten sposób na życie.
- W takim razie dlaczego nie aresztujecie wszystkich czterech i nie przesłuchacie ich, jak należy?
- Bo trzy z nich są niewinne. Nie ma dymu bez ognia i tak dalej. Ich kariery mogłyby na tym ucierpieć.
- Dotąd jakoś wam to nie przeszkadzało.
- Nigdy dotąd nie mieliśmy takich ludzi. No wiesz... ze znajomościami, pozycją i tak dalej. Nie możemy tego zniszczyć. Poza tym jedna z nich mogłaby się z tego wykaraskać i szukać zemsty.
- W porządku, po prostu staram się ustalić reguły walki – wyjaśnił Reacher.

– Więc możesz robić wszystko, byle rzecz nie trafiła do sądu i nie wyszła stamtąd jako przykład rażącej nieuczciwości.

– Rażącej?

– Takiej, o której trąbią wszystkie media.

– Może być aż tak źle?

– Nie powinniśmy tolerować takich zachowań. Nie w przypadku, kiedy mamy do czynienia z zagranicznym producentem. Musimy zadowolić polityków, a ci muszą chronić swoich donatorów. Amerykańskich donatorów.

– Którzy lubią nieuczciwą grę.

– Są dwa rodzaje nieuczciwości. Nasza i ich.

– Rozumiem. – Reacher skinął głową.

– Zadanie jest całkowicie bezpieczne – powtórzył Christopher. – Musisz tylko pogadać z tymi kobietami.

– Więc w czym problem? Co może być tu trudnego?

– To skomplikowane. – Christopher westchnął.

• • •

Samochód włączył się do ruchu na autostradzie. Stał się jednym z tysięcy podobnych mu pojazdów, które zmierzały w tym samym kierunku, opływowych i metalicznych, przypominających olbrzymie pociski wystrzelone z olbrzymiego karabinu gdzieś daleko z tyłu. Kierowca bardzo lubił takie porównanie. Naprawdę był pociskiem, nieubłaganym i niepowstrzymanym, skupionym na swoim zadaniu. Zmierzał prosto do celu i nie mógł chybić.

Po drugiej stronie bariery, na przeciwległym pasie autostrady, było pusto. O tej porze wszyscy jechali w pośpiechu i tłoku w jedną stronę, do widocznego w oddali miasta.

• • •

Christopher powtórzył swój ulubiony gest, oczyszczając z niepotrzebnych rzeczy – których nie było – biurko i rozmowę. Gotów na nowy temat. Trudności.

– Chodzi o czas – zaczął. – Musimy zrobić to szybko, a jednocześnie zachować wszystko w tajemnicy przed marines. Nie mogą podejrzewać, że mamy przeciek. To oznacza, że musimy działać normalnie, bo inaczej domyślą się prawdy. Ale nie wolno nam dopuścić, żeby za granicę przekazywano kolejne informacje. Krótko mówiąc, nie ma czasu do stracenia.

– Więc to ma być coś w rodzaju szybkich randek?

– Jesteś nowy w mieście, więc dlaczego nie miałbyś tego robić?

– Robiłbym to bardzo chętnie, uwierz mi. To byłoby spełnienie moich marzeń. Ale do tanga trzeba dwojga. A ja jestem realistą. Jeśli dopisze mi szczęście, mogę zainteresować sobą jedną kobietę. Może dwie. Ale nie cztery naraz.

Christopher skinął głową.

– To trudne – przyznał. – Też się nad tym zastanawialiśmy. W dodatku te kobiety są onieśmiałające. Absolwentki West Point, nieprzeciętna inteligencja, znajomości, szybka kariera. Tylko spróbuj to sobie wyobrazić.

– Nie muszę. Byłem w West Point.

– Wiemy. Sprawdziliśmy. Nie spotkałeś żadnej z nich.

– Któraś ma męża? Rodzinę?

– Na szczęście nie. Kobiety, które robią szybką karierę, nie wychodzą za mąż. Odkładają to na później, na odpowiednią porę.

– Jakież poważne związki?

– Ta sama odpowiedź.

– Są ode mnie starsze czy młodsze?

– Starsze. Dwadzieścia dziewięć i trzydzieści lat.

– Kolejny problem. Większość kobiet spotyka się ze starszymi facetami. Jaki mam mieć stopień?

– Będziesz sierżantem. Jak większość snajperów.

– Takie kobiety nie lubią mężczyzn niższych rangą.

Christopher ponownie skinął głową.

– Owszem. Powiedziałem na początku, że to nie będzie łatwe. Ale pomyśl logicznie. Być może nie będziesz musiał spotykać się ze wszystkimi czterema. Może dopisze ci szczęście i trafisz za pierwszym razem. Albo drugim. Albo bez randek będziesz wiedział, która to. Musimy zakładać, że winowajczyni będzie unikać wszelkich kontaktów. Może trzy się zgodzą, a jedna odmówi. W takim wypadku to będzie właśnie ona.

– Wszystkie będą unikać kontaktów. Wszystkie odmówią.

– Może jedna bardziej stanowczo od pozostałych.

– Nie wiem, czy będę umiał to zauważyć. Dla mnie zawsze wygląda to tak samo. Raczej kiepski ze mnie psycholog.

– Naszym zdaniem, to jedyny sposób.

Reacher skinął głową ze zrozumieniem.

– Macie dla mnie mundur?

– Mamy garnitur.

– Dlaczego?

– Bo będziesz rangerem. Albo żołnierzem Deltą. Jedni i drudzy lubią się pokazywać w cywilnych ciuchach. Czują się wtedy jak tajni agenci.

– Nie będzie pasował.

– Garnitur? Oczywiście, że będzie. W aktach są informacje o twoim wzroście i wadze. Równie dobrze mógłbyś go zamówić w sprzedaży wysyłkowej.

– Macie życiorysy tych kobiet?

– Szczegółowe – potwierdził Christopher. – I sprawozdania z posiedzeń komisji. Chyba od nich powinieneś zacząć. To, co te kobiety mówią, powie ci o nich więcej niż życiorysy.

• • •

Osiem kilometrów dalej na zachód, po drugiej stronie rzeki Potomac, trzydziestoletnia kobieta zapięła na pasie saszetkę biodrową i przesunęła ją tak, by jej nie przeszkadzała. Potem pochyliła się do przodu, odrzuciła włosy do tyłu i założyła na głowę opaskę. Zsunęła ją nieco niżej, aż ułożyła się we właściwym miejscu. Przed wyjściem kopnęła listwę przypodłogową w przedpokoju – na szczęście, czubkiem lewego buta i czubkiem prawego – otworzyła drzwi i gdy tylko znalazła się na zewnątrz, zaczęła biec. Najpierw truchtała w leniwym tempie, by się rozgrzać, rozluźnić, przygotować do właściwego zadania.

Osiem kilometrów.

Trzydzieści minut.

Wykonalne.

Zasadniczo wszystko będzie zależało od świateł. Jeśli na ponad połowie przejść będzie zielone, uda jej się. Pięćdziesiąt jeden procent. To jej wystarczy. Jeśli zielonych świateł będzie mniej, nie da rady. Prosta arytmetyka. Realia życia. Żaden wstyd.

A jednak... Porażka to zawsze wstyd.

Wzięła głęboki oddech, potem jeszcze jeden, włączyła stoper i ruszyła biegiem ścieżką prowadzącą obok chodnika. Pierwszy prosty odcinek pokonywała, stawiając długie, sprężyste kroki, spokojne, ale mocne – równy oddech, równe ruchy. Włosy kołysały się za nią na boki w regularnym rytmie, niczym metronom.

Na pierwszych światłach było zielone.

• • •

Reacher zaczął od sprawozdań z posiedzeń podkomisji. Był to zapis rozmów z dwóch różnych sesji. Pierwsza z nich odbyła się dwa tygodnie wcześniej, a druga przed tygodniem. To tłumaczyło pośpiech. Wkrótce miało się odbyć trzecie spotkanie.

Transkrypcje wyglądały dokładnie tak, jak powinny wyglądać takie dokumenty. Każdy dźwięk wydany przez uczestników dyskusji został przeniesiony na papier. Wszystkie „ee”, „yy” i „no”, każde zająknięcie, powtórzenie i niedokończone słowo, najbardziej zagmatwane i przerwane w połowie zdania. Czytając ten zapis, Reacher miał niemal wrażenie, że słyszy głosy rozmówców. Ale nie do końca. Bo tak naprawdę było to jedynie odbicie rzeczywistości. Żywa mowa nigdy nie zostaje odtworzona do końca na papierze, bez względu na to, jak sprawnie została zapisana.

Najpierw głos zabrał jeden z urzędników Senatu. Reacher mógł go sobie bez trudu wyobrazić. Niezbyt młody. Przysyłając tam jakiegoś dzieciaka, Senat okazałby brak szacunku, chyba że byłby to wyjątkowy bystrzak – ale nikt nie kazałby wyjątkowemu bystrzakowi marnować szesnastu godzin na słuchanie czczych dyskusji tylko po to, żeby na koniec odmówić armii. Więc był to starszy facet, solidny, poważny i doświadczony, lecz z drugiej ligi, bo pierwszoligowcom

też nie każe się marnować szesnastu godzin na słuchanie czczych dyskusji tylko po to, żeby na koniec i tak wszystko odrzucić.

Ten konkretny drugoligowiec wydawał się nadęty i apodyktyczny. Zaczął od tego, że sam wyznaczył się na przewodniczącego posiedzenia. Po prostu oznajmił to innym. Nikt nie protestował, co wcale Reachera nie zdziwiło. Facet miał już pewnie dobrze ustalone relacje z innymi urzędnikami, a dlaczego niby wojskowych miałyby obchodzić, kto się tym zajmie? Facet przeszedł więc od razu do następnego punktu i przedstawił oficjalny cel spotkania, czyli „omówienie dostępnych działań i środków dotyczących domniemanego zapotrzebowania na broń – nowy karabin snajperski – dla wojsk piechoty”.

Reacherowi ani trochę nie podobało się to sformułowanie. Przede wszystkim ze względu na słowo „domniemanego”. Najwyraźniej założono z góry, że w takim właśnie kierunku ma zmierzać ta dyskusja. „Tak naprawdę, wcale tego nie potrzebujecie”. „Owszem, potrzebujemy”. „Dlaczego?” Takie ujęcie sprawy było klasyczną biurokratyczną pułapką, w którą mogli wpaść obecni na zebraniu snajperzy. Czy kiedykolwiek chybili do celu z powodu kiepskiego sprzętu? Pewnie, że nie, my nigdy nie chybiamy. Do diabła, możemy strzelać ze wszystkiego. Moglibyśmy sami sobie zrobić te cholerne karabiny, wystarczyłaby stara dubeltówka dziadka, kawałek rynnny i taśma, proszę pana.

Z kolei przedstawiciele kwatermistrzostwa zapędziliby się za daleko w drugą stronę i zaczęli przemawiać jak zafascynowani bronią maniacy albo członkowie NRA piszący list do świętego Mikołaja. Wszystko to wyglądało jak rytualny taniec o ustalonej od lat choreografii. Armia nie miała żadnych szans. Był rok 1986, wszystko kręciło się wokół samolotów, pocisków, komputerów i zintegrowanych systemów naprowadzania laserowego. Od broni palnej ziało nudą. Sprawa była z góry przegrana, ale przed ostateczną klęską przedstawiciele wojska informacje o ich wymarzonej karabinie miały trafić za granicę. Europejski producent mógł się przygotować i czekać na następną próbę przeforsowania wniosku w Ameryce. Albo od razu skonstruować karabin i sprzedać go Związkowi Radzieckiemu.

Reacher przeglądał kolejne strony transkrypcji. Posiedzenie przebiegało mniej więcej tak, jak się tego spodziewał. Nadęty i apodyktyczny facet spytał, dlaczego potrzebują nowej broni, i nikt mu nie odpowiedział. Wtedy poprosił, by udawali, że jest idiotą, który nic nie wie na ten temat. Reacher pomyślał, że to dość łatwe zadanie. Potem głos zabrał człowiek z głównego kwatermistrzostwa, a maszynistka musiała niemal bez ustanku uderzać w klawisze z samogłoskami: „Yyy... Eee... Aaa... (Pauza) To znaczy... Jaa...”.

Nadęty facet powiedział, że mogą do tego wrócić. Potem spytał, czego konkretnie szukają, i dyskusja wróciła na bezpieczny grunt. Uczestnicy przerzucali się uwagami dotyczącymi cech dobrego karabinu snajperskiego. Na czele listy znajdowała się oczywiście celność strzałów oddawanych z nierozgrzanej broni. Często snajper ma szansę tylko na jeden strzał, więc z założenia lufa karabinu jest wtedy zimna. Pocisk musi jednak trafić w cel. Dlatego też lufa musi mieć idealnie dopracowane wymiary wewnętrzne, musi być wykonana z odpowiedniej ciężkiej stali, odpowiednio skrzyta i ewentualnie

żłobkowana, dzięki czemu stanie się lżejsza i sztywniejsza, należycie osadzona w łożu, które nie może się rozszerzać ani kurczyć w zależności od pogody, ani też nie może być zbyt ciężkie, gdy przyjdzie je nieść trzydzieści kilometrów. I tak dalej.

Kobiety pełniące rolę oficerów łącznikowych mówiły często i długo. Pierwsza z nich, opisana inicjałami C.R., powiedziała: „Rozmawiamy tu o niezwykle zaawansowanej technologii obróbki metalu. Będziemy też potrzebowali najnowocześniejszej optyki. Może uda nam się ją połączyć z laserowym pomiarem odległości. To byłoby bardzo ekscytujące. Przy okazji ktoś mógłby przeprowadzić niezwykle ciekawe badania”.

Inteligentna. Mówiła pełnymi, składnymi zdaniami. Starła się być zasadnicza i interesująca, dawała też do zrozumienia, że można by wydać sporo pieniędzy w jakimś innym obszarze, a każdy senator jest łasy na takie okazje, bo w ten sposób trafia mu się okazja wyświadczenia komuś przysługi, za którą zażąda kiedyś rewanzu. Dobra strategia.

Niestety, nieskuteczna. Przewodniczący posiedzenia spytał: „Kto zapłaci za to wszystko?”.

W tym momencie w transkrypcji pojawiała się słowo: „Pauza”.

Reacher sięgnął do życiorysów i dowiedział się, że C.R. to Christine Richardson, z hrabstwa Orange w Kalifornii. Prywatne gimnazjum, prywatne liceum. West Point. Miała trzydzieści lat i już dosłużyła się stopnia podpułkownika. Szybka kariera, z pewnością po części dzięki pracy z politykami. Świetna praca, jeśli tylko uda się ją dostać.

• • •

Trzydziestoletnia kobieta z saszetką biodrową i opaską na głowie przebiegła przez trzy skrzyżowania na zielonym świetle, lecz na kolejnych trzech musiała czekać. Na siódmym zapaliło się zielone, nim jeszcze tam dotarła, lecz tłum ludzi wcale się nie spieszył, utknęła więc za ich plecami na całe dwie sekundy, potem zaczęła się przepychać, raz na lewo, raz na prawo. Nie chciała przebiegać ulicy na ukos, bo wtedy dystans wyniósłby mniej niż pełne osiem kilometrów i należałoby to uznać za oszustwo, a ona nigdy nie oszukiwała. Przynajmniej nie w kwestiach związanych z bieganiem. Przedarła się przez tłum na drugą stronę ulicy i skręciła w lewo, odznaczając w głowie stosunek świateł zielonych do czerwonych jako pół na pół. Nie była to katastrofa, ale i nie rewelacja, zawsze bowiem wolała nazbierać więcej zielonych przed dotarciem do centrum, gdzie utrzymanie właściwych proporcji było jeszcze trudniejsze.

Biegła dalej, pokonując kolejny prosty odcinek, nadal stawiała długie, sprężyste kroki, ale teraz już nieco przyspieszała. Wciąż oddychała miarowo, poruszała się ze swobodą, a jej włosy kołysały się symetrycznie na boki, równo i jednostajnie jak metronom.

Na następnym przejściu paliło się czerwone światło.

• • •

Mężczyzna w samochodzie utknął w korku w pobliżu miejsca, gdzie droga 270 łączyła się z obwodnicą. Rzecz nieunikniona i oczekiwana. Wszyscy uczestnicy ruchu zwalniali i przesuwali się powoli; wciąż przypominało to tysiąc pocisków wystrzelonych z ogromnej strzelby, które teraz jednak sunęły przez powietrze w zwolnionym tempie. Mężczyzna wiedział, że 355 prowadząca do Wisconsin Avenue również będzie zakorkowana, postanowił więc pozostać na drodze 270 i skręcić dopiero w Szesnastą Ulicę, na wschód od Rock Creek Park. Tam również nie będzie mógł pędzić jak po torze wyścigowym, ale przynajmniej utrzyma przyzwoite tempo. Poza tym Szesnasta Ulica doprowadzi go do Scott Circle i Mass Avenue, którą dostanie się pod sam Kapitol.

Był pociskiem i wciąż zmierzał do celu.

• • •

– No dobra, czytelnia już się zamyka – powiedział Cornelius Christopher, wstając z krzesła po drugiej stronie biurka. – Idź teraz po garnitur. Możesz zabrać dokumenty ze sobą, ale nie wolno ci wyciągać ich z budynku.

Magazyn znajdował się dwa piętra niżej. Reacher nie znalazł tam eksplodujących piór wiecznych ani kamer ukrytych w kwiatku do butonierki, ale dostrzegł sporo innych ciekawych gadżetów i masę rzeczy, które pozwalają zmienić uczciwego człowieka w oszusta. Garnitur był dobrze dobrany. Niezbyt drogi ani niezbyt modny, ale i nie tandetny. Szarą marynarkę i spodnie wykonano z materiału zwanego „skórą rekina”, w którym z pewnością znalazło się trochę – albo i całkiem sporo – sztucznych włókien. Szerokie klapy przywodziły na myśl trendy sprzed co najmniej pięciu lat. Właśnie coś takiego zawodowy podoficer włożyłby na spotkanie w banku lub na posiedzenie komisji. Nie brakowało umiejętnie przygotowanych zagniecień, które pozostałyby na garniturze po kilku latach leżenia w szafie, a nawet odrobiny kurzu na kołnierzu. Wyglądało na to, że rzeczywiście będzie pasował – z wyjątkiem rąk i barków. Reacher miał sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu, ważył sto trzynaście kilogramów i zasadniczo był proporcjonalnie zbudowany, wyłączając ręce długie jak u goryla i barki potężne jak dwie piłki do koszykówki.

Zapinana koszula z pewnością miała za wąski kołnierzyk, ale Reacher nie uważał tego za wadę, bo żołnierze w garniturach zwykle wyglądają niezdarnie i sztywno. Do niebieskiej koszuli dołączono czerwony krawat z małymi niebieskimi koronami. Mógł go dostać w klubie strzeleckim lub w podobnej instytucji, co również pasowało do ogólnego wizerunku snajpera w cywilu. Zwykle białe bokserki i podkoszulek pochodziły z magazynów wyposażenia armii – i bardzo dobrze, bo Reacher nie słyszał, by jakikolwiek amerykański wojskowy kupował bieliznę. Do tego dołączono jeszcze parę czarnych skarpetek, także z wyposażenia armii, oraz czarne buty do garnituru, chyba we właściwym rozmiarze.

– Przymierz to wszystko – powiedział magazynier. – Jeśli coś nie będzie pasowało, wprowadzimy poprawki. Jeśli wszystko okaże się w porządku, nie zdejmuj tego. Przywyknij do tych ubrań, ponoś je trochę. Gdybyś rzeczywiście miał tu skąd przyjechać, byłbyś już w samolocie albo w autobusie.

Rękawy koszuli były przykrótkie, a kołnierzyk się nie dopinał, ale efekt był zadowalający. Wszyscy sierżanci w cywilu, których Reacher widział, rozpinali kołnierzyk i najpóźniej po dziesięciu minutach luzowali krawat. Marynarka opinała go w ramionach, a rękawy sięgały mu do nadgarstków. Obciągnął wszystko i stanął przed lustrem.

Idealnie. Żołd sierżanta był żenująco bliski minimum socjalnego. Poza tym sierżanci nie czytają „GQ”. Przynajmniej większość z nich. Całość wyglądała dokładnie tak, jak strój za sto dolarów wydanych z bólem serca w outlecie na tydzień przed drugim ślubem szwagierki.

– Ujdzie – ocenił magazynier. – Nie zdejmuj tego.

O resztę drobiazgów Reacher miał zadbać sam, z wyjątkiem dowodu tożsamości, który również dostał od magazyniera. Na dokumencie znajdowało się jego prawdziwe imię i nazwisko oraz fotografia, którym przypisano jednak stopień sierżanta i numer jednostki piechoty na tyle pospolity, że rzeczywiście mógł stanowić przykrywkę dla żołnierza sił specjalnych, strzelającego do celów z odległości półtora kilometra.

– Jak skontaktuję się z pułkownikiem? – spytał Reacher.

– Można do niego zadzwonić – odparł burkliwie magazynier.

– Czasami w pośpiechu trudno znaleźć telefon.

– Sprawa jest całkiem bezpieczna – zapewnił go mężczyzna, powtarzając słowa Christophera. – Trzeba tylko trochę pogadać.

• • •

Kobieta z saszetką biodrową i opaską na głowie przebiegła nad Potomakiem po moście Francisa Scotta Keya, wysoko ponad powierzchnią wody. Pędziła wspaniałym równym sprintem prosto przed siebie, przez gorące wilgotne powietrze. Zmierzała w stronę Georgetown, choć wcale nie planowała tam dotrzeć. Chciała skręcić w prawo, w M Street, która zamieniała się w Pennsylvania Avenue, dobiec do Washington Circle, stamtąd New Hampshire Avenue dotrzeć do Dupont Circle, a na koniec pobiec Mass Avenue do samego Kapitolu.

Taka trasa wydawała się bezsensownie pokręcona i skomplikowana, ale przy każdym innym układzie miałyby albo mniej, albo więcej niż osiem kilometrów, a chciała pokonać równy dystans. Co do centymetra. Ktoś inny odmierzyłby zapewne tę odległość, korzystając z samochodu i wybierając się na przejażdżkę w jakiś spokojny niedzielny poranek, lecz ona kupiła drogomierz, duże żółte koło z uchwytem, i czterokrotnie przemierzyła z nim wybraną trasę, aż określiła, gdzie kończy się dokładnie osiem kilometrów, ani kroku więcej, ani kroku mniej. Precyzja była ważna.

Biegła dalej. Pot spływał jej strumieniami po plecach, czuła pieczenie w wysuszonym gardle. Nad wolno płynącą rzeką wisiała widoczna gołym okiem chmura zanieczyszczeń, ale kobieta nie zwalniała ani na sekundę, sadziła długie kroki, poruszając szybko nogami i pracując mocno rękami. Opaska na głowie nasiąkała potem, ale kobieta nie zwracała na to uwagi, zadowolona, że dobiega do kolejnego punktu przed czasem.

Niewiele przed czasem. Ostateczny sukces zależał jeszcze od kilku zmiennych, ale miała spore szanse. Osiem kilometrów w trzydzieści minut. Osiem tysięcy metrów w tysiąc osiemset minut. Prawie cztery i pół metra na sekundę. Nie był to dystans uznawany przez międzynarodowe organizacje lekkoatletyczne, nie istniał więc też oficjalny rekord świata. Nie słyszała też o rekordzie krajowym ani olimpijskim. Przypuszczała jednak, że najlepsi mogliby go pokonać w dwadzieścia cztery minuty, więc czas w granicach trzydziestu minut był do przyjęcia. Dla niej, w mieście, z uwzględnieniem świateł na skrzyżowaniach i tłumów zalegających ulice.

Parła nieprzerwanie naprzód, oddychając głęboko, stawiając równe kroki i wciąż trzymając się w wyznaczonej strefie czasowej.

• • •

Na Szesnastej Ulicy panował duży ruch, samochody przesuwają się w ślimaczym tempie, przystając przy każdej przecznicy – przy Juniper Street, przy Iris, przy Hemlock, Holly, Geranium i Floral. Potem mijały Walter Reed z zielonym, kojącym parkiem po prawej. Kierowca nie był już pociskiem. W najlepszym przypadku był szrapnelem, podległym siłom aerodynamicznym, zmieniającym raz po raz pasy, by zyskać choć trochę na czasie. Miasteczko o ulicach budowanych z myślą o koniach, powozach i statecznych dżentelmenach w kapeluszach i kamizelkach teraz dusiło się od nadmiaru lśniących w słońcu pojazdów, nad którymi drżało rozgrzane silnikami powietrze.

Mężczyzna nadal miał przed sobą długą drogę. Wyglądało na to, że się spóźni.

• • •

Reacher przechadzał się po korytarzach, aż wyczuł biuro wyposażone w ekspres. Wszedł do środka i nalał sobie kawy, wcielając się w rolę sierżanta piechoty, człowieka na pozór spokojnego i uprzejmego, który jednak w każdej chwili potrafi przejść do czynu i działać z zabójczą skutecznością. Biuro było jednak puste, więc nikt nie mógł docenić jego aktorskiego kunsztu. Kawa z kolei była przepalona i letnia, ale tak czy inaczej zabrał ją ze sobą. Trzymając w jednej ręce kubek, a w drugiej plik dokumentów, wrócił do gabinetu oficera prowadzącego.

– Wyglądasz jak najprawdziwszy sierżant z sil specjalnych – powiedział Cornelius Christopher.

– Naprawdę?
– W twoich aktach napisali, że nieźle sobie radzisz z karabinem.
– Robię, co mogę.
– Mógłbyś naprawdę być snajperem.
– Za dużo czekania. Za dużo błota. Najlepszymi snajperami są zawsze chłopcy ze wsi.

– A ty jesteś chłopakiem z miasta?
– Jestem chłopakiem znikąd. Wychowywałem się w bazach marines.
– I mimo to wstąpiłeś do normalnego wojska?
– Zawsze byłem przekorny.
– Przeczytałeś już wszystko?
– Jeszcze nie – odparł Reacher.
– Szukaliśmy nieprawidłowości finansowych. Albo nadmiernych wydatków. Ale żadna z tych kobiet nie żyje ponad stan. Mają normalne mieszkania, niezbyt wypasione samochody, porządne ciuchy, ale bez przesady, skromną biżuterię. Nie jeżdżą na ekstrawaganckie wakacje, nie robiłyby tego zresztą, nawet gdyby miały dość pieniędzy. Ludzie, którym zależy na szybkiej karierze, nie mają na to czasu. Nie mogą pozwolić sobie na dłuższy urlop, jeśli kiedyś chcą zostać szefem sztabu. Albo lobbystą w Ministerstwie Obrony.

Reacher przełożył akta trzydziestoletniej podpułkownik Christine Richardson na sam dół pliku i zajął się dokumentami drugiej kobiety, dwudziestodwuletniej major Briony Walker, córki emerytowanego oficera marynarki wojennej, która wychowywała się głównie w Seattle i San Diego, uczęszczała do publicznej szkoły podstawowej i średniej, gdzie była prymuską, potem studiowała w West Point.

– Mam nadzieję, że to nie ona – rzucił Christopher.
– Dlaczego? – spytał Reacher.
– Powiązania z marynarką wojenną.
– Lubisz marynarkę?
– Niespecjalnie, ale to jednak rodzina wojskowych.

Trzecią kandydatką była trzydziestoletnia podpułkownik Darwen DeWitt. Reacher od razu wiedział, że ta nie pochodzi z rodziny wojskowych. Nie z takim nazwiskiem. Rzeczywiście, okazało się, że jest córką biznesmena z Houston, właściciela sieci około stu franczyzowych warsztatów lakierniczych. Uczennica prywatnych szkół, gwiazda softballu, absolwentka West Point.

Ostatnia z oficerów łącznikowych, Alice Vaz, miała trzydzieści lat i stopień podpułkownika. Była wnuczką podpułkownika, który nazywał się Michał Wasiliewicz i służył w Armii Czerwonej. Rosjanin. Jego syn, czyli ojciec Alice, w ostatniej chwili uciekł z Węgier, zabierając ze sobą żonę w ciąży. Alice urodziła się już w Stanach Zjednoczonych, w Kalifornii, uczęszczała do szkół publicznych, a potem skończyła West Point.

– Zauważyłeś coś interesującego? – spytał Christopher.
– Ich imiona układają się w porządku alfabetycznym – odparł Reacher. – Alice, Briony, Christine i Darwen.

- No dobrze, ale poza tym?
- Dwie z nich pochodzą z bogatych rodzin. Jak to się ma do twojej teorii o motywach finansowych?
- Może bogaci ludzie zawsze szukają okazji do zarobku. Może dlatego właśnie dorabiają się majątków. Coś jeszcze rzuciło ci się w oczy?
- Nie.
- Nam też nie.

•••

Kobieta z saszetką biodrową i opaską na głowie biegła New Hampshire Avenue, pnąc się systematycznie na zbocze wzniesienia. W oddali widziała już osnute mgiełką Dupont Circle. Miała zapas dwóch zielonych świateł, oczami wyobraźni widziała się już na schodach Kapitolu, gdzie sięga do nadgarstka i zatrzymuje stoper, chwytając ciężko powietrze, jeden, drugi, trzeci oddech, pochyla się z dłońmi opartymi na kolanach, w końcu się prostuje, podnosi powoli rękę, ociera pot z oczu i spogląda na wyświetlacz, na którym widnieją magiczne cyfry: dwadzieścia dziewięć i coś tam jeszcze. Mogła tego dokonać.

Parła dalej, stawiając na pochyłości krótsze kroki, dysząc ciężko, boleśnie, lecz nie zwalniając tempa.

•••

Mężczyzna w samochodzie nadal był na Szesnastej Ulicy. Choć klimatyzacja pracowała na pełnych obrotach, czuł na plecach pot. Wszystko przez tę plastikową tapicerkę i czterocyldrowy silnik, któremu brakowało mocy na porządną klimatyzację. Minął właśnie Harvard Street i dotarł do okolicy, w której zmuszeni byli mieszkać młodzi urzędnicy i asystenci na dorobku. Nie mieli samochodów. Szli do pracy na piechotę, poruszając się mniej więcej w tym samym tempie co on.

Obserwował przez chwilę młodą dziewczynę, która pomimo upału włożyła rajstopy, a do nich brzydkie białe adidas z podkolanówkami. Pomyślał, że eleganckie, choć niewygodne buty schowała zapewne do dużej torby, którą niosła wraz z plikiem dokumentów kryjących bez wątpienia listę zagadnień do omówienia wraz z uwagami. Może włożyła tam też zestaw do makijażu, licząc po cichu, że kiedy wszyscy inni będą zajęci, uda jej się wystąpić przez moment w telewizji i wygłosić komentarz.

Większość mijanych mężczyzn nosiła ubrania kupione na wyprzedaży w Brooks Brothers. Wszyscy trzymali wysoko głowy i stawiali długie kroki. Z każdą kolejną przecnicą było ich coraz więcej; zmierzając energicznie w tym samym kierunku, szli dwójkami i trójkami, aż wypełnili cały chodnik. Wyglądali jak urzędnicza armia, niepowstrzymana siła złożona z młodych ludzi prowadzących zdrowy tryb życia i walczących o dobro swego kraju.

Wszystko wskazywało na to, że dotrą do pracy szybciej od niego. Centrum miasta było okropnie zakorkowane.

•••

Jak wynikało ze sprawozdania, na drugim posiedzeniu członkowie komisji podjęli dyskusję mniej więcej w tym samym miejscu, w którym ostatnio ją przerwali, pozostając na bezpiecznym gruncie technicznych detali, takich jak osada, zamek, spust czy luneta. Wyglądało to tak, jakby zawarto niepisaną umowę o unikaniu nieprzyjemnych tematów i wypełnianiu czasu posiedzenia zagadnieniami, o których chętnie rozmawiają wszyscy strzelcy.

Cztery kobiety nieustannie zasypywały specjalistów pytaniami i wyciągały od nich najdrobniejsze szczegóły i po lekturze raportu Reacher był w stanie dokładnie wyobrazić sobie nową broń. Trzy robiły to głównie dla podtrzymania rozmowy, lecz czwarta wydawała się ogromnie zaangażowana. Bez wątplenia wyobrażała sobie już, jak zagraniczny łącznik czyta jej faksy i nie może uwierzyć, że dostał do ręki tak kompletny i szczegółowy opis zamówienia.

Kim była ta czwarta?

Najwięcej mówiły Christine Richardson i Darwen DeWitt. Sprawozdanie przypominało scenariusz filmu z C.R. i D.D. w rolach głównych. Obie zajmowały mnóstwo czasu przeznaczonego na posiedzenie, ale prezentowały odmienne podejście. Richardson występowała z pozycji orędowniczki armii, konstruowała wszystkie pytania i argumenty tak, jakby chciała wzbudzić w politykach poczucie winy, że nie chcą uczynić ze świata bezpieczniejszego miejsca. DeWitt starała się podchodzić do tego projektu z punktu widzenia Kongresu, właściwie oceniała go niemal równie sceptycznie jak urzędnicy. Być może jako córka finansisty z założenia wolała nie wydawać pieniędzy, jeśli nie było to naprawdę konieczne. Rozmawiając jednak o kwestiach technicznych, była równie zainteresowana i drobiazgową jak pozostali.

Briony Walker i Alice Vaz mówiły mniej. Walker stawiała przede wszystkim na precyzję. Marynarska rodzina. Chciała, by karabin był jak działa na okrętach jej tatusia, funkcjonalny i niezawodny. Przejawiała też osobliwe zainteresowanie efektem końcowym. Pytała o strzały w głowę i w pierś, chciała wiedzieć, co czuje snajper, czekając, aż pocisk uderzy w cel, i co widzi potem przez lunetę. Opisy przedstawiane na jej życzenie wydawały się Reacherowi wręcz perwersyjne.

Alice Vaz zadawała ogólniejsze pytania. Kiedy inni debatowali o osadach wykonanych z materiałów kompozytowych, które nie będą się kurczyć ani rozszerzać bez względu na warunki, ona pytała właśnie o te warunki. W których częściach świata używano by karabinu? W jakich temperaturach? Na jakiej wysokości? Przy jakiej wilgotności? Nie otrzymywała jednoznacznych odpowiedzi, więc w końcu się poddała. Na ostatnich dwudziestu stronach raportu jej nazwisko w ogóle się nie pojawiało.

– Jakież przeczucia? – spytał Christopher.

– Tylko na podstawie tego? – upewnił się Reacher.

– Czemu nie?

– Hm... w takim razie powiedziałbym, że to Christine Richardson. To ona napędza dyskusję. Chce znać wszystkie szczegóły i każdy punkt widzenia. Nie uznaje czegoś takiego jak tajemnica.

– Może próbuje dobrze sprzedać ten projekt. Może wydaje jej się, że wzbudzi w ten sposób zainteresowanie polityków.

– Nie. Dobrze wie, że ich to nie zainteresuje. Ale i tak nie przestaje mówić. Nie uznaje żadnych ogólników i niedomówień, wszystko musi być opisane w szczegółach. Dlaczego?

– Może ma nerwicę natręctw.

– A co to takiego?

– Inaczej zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Jak układanie bielizny alfabetycznie.

– Jak można układać bieliznę alfabetycznie?

– To była przenośnia.

– Więc uważasz, że Richardson jest w porządku?

– Nie. – Christopher pokręcił głową. – My też podejrzewamy, że to ona. Przynajmniej na podstawie sprawozdań z posiedzeń. Chodzi jednak o to, żeby to udowodnić.

• • •

Kobieta z saszetką biodrową i opaską na głowie była na Mass Avenue, zbliżała się do Scott Circle, i mężczyzna w samochodzie, jadąc Szesnastą Ulicą, również zbliżał się do Scott Circle. Przez kilka ostatnich minut oboje poruszali się mniej więcej z podobną prędkością, jakieś szesnaście kilometrów na godzinę, choć ona przemieszczała się w jednostajnym tempie, z zawziętością i wiarą w sukces, podczas gdy on, coraz bardziej sfrustrowany, to kawałek podjeżdżał, to czekał. Ona parła naprzód, pchana pragnieniem zwycięstwa, pokonania własnych ograniczeń, podczas gdy on myślał tylko o tym, że się spóźni, i wyrzucał sobie, że nie zostawił samochodu na parkingu i nie pojechał metrem.

Wyglądało to tak: ona biegła chodnikiem po lewej stronie Mass Avenue, a on jechał prostopadłe do niej, skrajnym lewym pasem Szesnastej Ulicy, by dostać się stamtąd na rondo. Ona patrzyła prosto przed siebie, obserwując ruch uliczny i najbliższe światła, próbując ocenić, kiedy się zmienią, przekonana, że jeśli nie zdąży, poniesie klęskę. On patrzył na lewo, trzy samochody dalej, obserwował pojazdy wjeżdżające na rondo, na którym obowiązywała zasada pierwszeństwa z prawej. Czekał na moment, gdy otworzy się przed nim choć odrobina wolnej przestrzeni, miał nadzieję, że wtedy wciśnie się między pojazdy i wjedzie na rondo.

Ona biegła coraz szybciej i szybciej, a on przesuwiał się do przodu, wciąż patrząc w lewo, wypatrując luki między samochodami. Zobaczył odstęp między dwoma pojazdami, który szybko się zmniejszał, ale to była jego ostatnia szansa, zaryzykował więc, wcisnął gaz, wykręcił mocno kierownicę i ruszył gwałtownie

do przodu. Uderzył w nią, gdy wbiegła na jezdnię między dwa samochody, przekonana, że żaden kierowca nie spróbuje wjechać na rondo, wykorzystując tak mały odstęp między pojazdami.

Wyleciała w górę i przy akompaniamencie niewiarygodnie głośniego łomotu i brzęku spadła na przednią szybę. Gdy zahamował z piskiem opon, przetoczyła się po lśniącym dachu, odbiła od podniesionego bagażnika i poleciała głową naprzód ku czarnej powierzchni asfaltu.

• • •

Reacher wyrównał wszystkie dokumenty i odłożył je na biurko Christophera.

– Właściwie możesz już zabierać się do pracy – powiedział oficer prowadzący.
– Znasz numer pokoju, w którym odbywają się posiedzenia?

– Tak – potwierdził Reacher.

– Wiesz, gdzie to jest?

– Nie.

– To dobrze. Ja ci tego nie powiem. Chcę, żebyś błąkał się po budynku jak zagubiony chłopiec. Chcę, żeby to wszystko wyglądało tak realistycznie, jak tylko się da.

– W tej sprawie nie ma nic realistycznego. I nic z niej nie wyjdzie.

– Myśl pozytywnie. Może dopisze ci szczęście i okaże się, że jedna z nich lubi ostry seks. Dostaniesz wszystko na koszt armii.

Reacher zignorował tę uwagę. Wyszedł drzwiami od F Street, skręcił w prawo, a potem w lewo do New Jersey Avenue i znalazł się naprzeciwko Kapitolu, odległego niecały kilometr, wielkiego, białego i lśniącego w słońcu. Dotarł na plac i wszedł po schodach do wejścia. Ochroniarz spojrział na jego kartę i opisał mu drogę do właściwego pokoju w sposób tak zagmatwany, że Reacher musiał potem jeszcze dwukrotnie pytać o wskazówki, najpierw kolejnego ochroniarza, a potem gońca.

Do pokoju posiedzeń wchodziło się przez imponujące drzwi z polerowanego mahoni, a w środku stał równie imponujący stół z takiego samego drewna. Siedziały przy nim cztery osoby. Jedną z nich był mężczyzna w koszulce z krótkimi rękawami, przed którym stała maszyna do pisania; najwyraźniej to on pisał raporty. Reacher domyślił się, że trzej pozostali to przedstawiciele głównego kwaterymistrzostwa armii i marines oraz snajper z marines. Ci z kwaterymistrzostwa mieli na sobie mundury, a snajper tani garnitur. Służył pewnie w zwiadzie i marzył o przejściu do Delta Force. Dwaj mundurowi wymienili z Reacherem uściski dłoni, a snajper obdarzył go nieznacznym skinieniem głowy. Reacher odpowiedział mu tym samym, co w przypadku dwóch domniemych snajperów było wręcz wylewnym przywitaniem, a biorąc pod uwagę fakt, że spotykali się tutaj sierżant piechoty z marine, te skinienia głowy należało uznać za odpowiednik ekstatycznego uścisku połączonego z tarzaniem się po podłodze.

Do sali nie dotarli jeszcze urzędnicy ani żadna z czterech kobiet. Chronometr w głowie Reachera podpowiadał mu, że posiedzenie powinno się rozpocząć najpóźniej za minutę. Zegar zawieszony na ścianie spieszył się właśnie o minutę, więc według czasu obowiązującego na Kapitolu spotkanie już powinno było trwać. Ale nic się nie działo. Nie wydawało się też, by ktokolwiek się tym przejmował. Snajper z marines milczał, a ludzie z głównego kwatermistrzostwa najwyraźniej równie chętnie marnowali czas, próżnując, jak poświęcając go na dyskusje o z góry przegranej sprawie.

Zegar tykał. Wszyscy milczeli. Snajper wpatrywał się w przestrzeń, nieruchomy jak skała. Mężczyźni w mundurach rozsiedli się wygodniej na krzesłach. Reacher zachowywał się tak jak snajper.

W końcu do sali weszli urzędnicy, a za nimi trzy kobiety w wojskowych mundurach wyjściowych klasy A. Trzy kobiety, nie cztery. *Oficerski mundur wyjściowy klasy A przeznaczony dla kobiet: plakietka z nazwiskiem dopasowana jest do figury danego żołnierza i ułożona poziomo, po prawej stronie, co najmniej dwa i pół centymetra i co najwyżej pięć centymetrów nad najwyższym guzikiem marynarki.* Reacher przejrzał szybko czarne plastikowe plakietki. Na posiedzenie przyszły DeWitt, Vaz i Walker. Brakowało Richardson. A, B i D były obecne, C nie dotarła. Nie było Christine.

Czterej urzędnicy wyglądali na poruszonych, a trzy kobiety miały bardzo nieszczęśliwe miny. Wszyscy usiedli na przypisanych sobie miejscach, pozostawiając jedno krzesło puste.

– Panowie, mam, niestety, bardzo smutne wieści – powiedział facet zasiadający u szczytu stołu. – Dziś rano pułkownik Richardson została potrącona przez samochód, gdy biegła do pracy. Na Scott Circle.

Biegła? – pomyślał w pierwszej chwili Reacher. Dlaczego? Była spóźniona? Potem jednak zrozumiał. Bieganie, fitness, prysznic i ubranie w biurze. Widział już ludzi, którzy funkcjonowali w podobny sposób.

Tymczasem facet mówił dalej:

– Kierowcą samochodu jest pracownik działu pocztowego Kapitolu. Z relacji naocznych świadków wynika, że obie strony nie zachowały należytej ostrożności.

– Jak ona się czuje? – spytał mężczyzna z kwatermistrzostwa. – Jak czuje się Christine?

– Zginęła na miejscu.

W pokoju zapadła cisza.

– Odniosła poważne obrażenia głowy – dodał urzędnik. – Albo wtedy, gdy uderzyła o ramę przedniej szyby, albo gdy spadła na ziemię.

Znów cisza, przerywana jedynie stukotem maszyny do pisania, bo obsługujący ją człowiek zapisywał wszystko, co zostało powiedziane. Potem ucichła także maszyna.

– W związku z tym proponuję – odezwał się w końcu urzędnik zasiadający u szczytu stołu – byśmy zamknęli tę sprawę i powrócili do niej w dogodniejszym czasie.

– Czyli kiedy? – spytał jeden z tych z kwatermistrzostwa.

- Podczas następnej rundy dyskusji o budżetowych.
- A konkretniej?
- Mniej więcej za rok.

Cisza.

Tym razem jako pierwsza odezwała się Briony Walker.

– Nie, proszę pana. Mamy obowiązek do wypełnienia. Musimy zakończyć ten proces. Pułkownik Richardson nie zgodziłaby się na nic innego.

Urzędnik milczał.

– Armia zasługuje na to, by jej sprawa została należycie przedstawiona, a jej potrzeby i wymagania oficjalnie zapisane – kontynuowała Walker. – Ludzie zapomnieliby szybko, dlaczego zrezygnowaliśmy z tego projektu. Uznaliby, że tak naprawdę wcale nam na nim nie zależało. Proponuję więc, byśmy zrealizowali do końca naszą misję, precyzyjnie określając i zapisując wszelkie parametry i szczegóły. Wtedy nasi ustawodawcy będą przynajmniej wiedzieli dokładnie, co mają zatwierdzić. Albo odrzucić, bo i tak się może zdarzyć.

– Czy ktoś jest przeciwko temu rozwiązaniu? – spytał facet zasiadający u szczytu stołu.

Milczenie.

– Zgoda. – Urzędnik skinął głową. – Zrobimy to, co zaproponowała major Walker, i przejrzymy dziś ponownie wszystko, co ustaliliśmy do tej pory. Upewnimy się, czy nic nie umknęło naszej uwadze.

I tak też zrobili. Reacher rozpoznawał kolejne punkty i dyskusje opisane w raportach. Zaczęli od pierwszego z poruszanych zagadnień i omawiali je po kolei. W większości przypadków tylko powtarzali i potwierdzali to, co zostało powiedziane już wcześniej, lecz niektóre kwestie wciąż wywoływały ożywioną dyskusję. Briony Walker była zdecydowanie za zamkiem czterotaktowym. Marynarska rodzina. Kwestia precyzji. Karabin z zamkiem czterotaktowym przeładowuje się ręcznie, jeśli zrobi się to spokojnie, broń nie podlega żadnym mikroskopijnym drżeniom. Z kolei w karabinie samopowtarzalnym przeładowanie następuje w wyniku wybuchu prochu, więc zawsze przez chwilę jeszcze drży, a ta chwila może decydować o powodzeniu akcji.

– Ile to czasu? – spytał jeden z urzędników.

– Ile czasu może decydować o powodzeniu akcji? – upewniła się Walker.

– Nie, jak długo karabin drży.

– Zwykle ułamki sekundy.

– A jak silne jest to drżenie?

– Z pewnością dość silne, by wpływać na precyzję strzału z odległości tysiąca pięćset metrów lub większej.

– Panowie? – Urzędnik rozejrzał się wśród obecnych.

Jeden z mężczyzn z kwatermistrzostwa spojrział na swojego kolegę po fachu z marines, ten z kolei spojrział na swojego snajpera, który wpatrywał się w przestrzeń. Potem wszyscy popatrzyli na Reachera.

– Jakie zagadnienie omawialiście na samym początku? – spytał Reacher.

– Dokładność strzału z zimnej broni – odparł urzędnik.

- A dlaczego to ważne?
- Bo snajper często ma okazję tylko do jednego strzału.
- Pociskiem, który został wprowadzony do komory w jakim czasie?
- O ile pamiętam, mówiono nam, że może się to stać nawet kilka godzin wcześniej. Długie oczekiwanie to część tej pracy.
- Co oznacza, że wszystkie drżenia dawno już ustały. Pocisk można wprowadzić do komory choćby młotkiem. Jeśli założymy, że najważniejsze strzały zawsze oddawane są pojedynczo, w dużych odstępach czasu, czyli kilku godzin, a nawet dni, to sposób przeładowania nie ma znaczenia.
- Więc zaakceptowałyby pan samopowtarzalny karabin snajperski?
- Nie. - Reacher pokręcił głową. - Major Walker ma rację. Nie zawsze ten najważniejszy strzał jest pierwszy. A precyzja strzału to rzecz, do której warto dążyć zawsze i wszędzie. Zamki czterotaktowe są wytrzymałe, niezawodne, proste, łatwe w utrzymaniu. Do tego tanie.

Potem nastąpiła więc dyskusja o tym, które zamki czterotaktowe są najlepsze. Na sali byli zwolennicy klasycznego remingtona, ale i winchestera, sako czy rugera. W tym momencie Alice Vaz zaczęła serię swoich ogólnych pytań.

- Żeby zrozumieć nasze wymagania dotyczące nie tylko zamków, ale i osad oraz innych części, trzeba wiedzieć, gdzie i jak będą używane te karabiny. Na jakiej wysokości? Pod jakim ciśnieniem atmosferycznym? W jakich zakresach temperatur i wilgotności? W jakich nowych środowiskach?

Żeby zamknąć jej usta, człowiek z głównego kwatermistrzostwa armii omówił pokrótce praktycznie wszystko, nad czym pracował wydział operacji wojennych. Oczywiście nie podawał konkretnych nazw czy szczegółów, ale związane z nimi warunki meteorologiczne. Duża wysokość i zamarzająca mgła, piasek i bardzo gorące, suche powietrze, wilgotność typowa dla lasów deszczowych i wysoka temperatura otoczenia, siarczysty mróz i śnieg, obfite opady deszczu i tak dalej.

Potem jeden z urzędników stwierdził stanowczo, że stal potrzebna do produkcji luf musi pochodzić z krajowych hut – co nie stanowiło większego problemu. Następnie inny urzędnik dodał, że optyka też musi być produkowana w kraju – co stanowiło już większy problem. Reacher obserwował kobiety siedzące naprzeciwko. Darwen DeWitt mówiła niewiele, co po jej gwiazdorskich występach podczas poprzednich posiedzeń wydawało się nieco zaskakujące. Jej wzrost określiłby jako odrobinę wyższy od średniego, nadal była szczupła i zwinna, podobnie jak w czasach, gdy uchodziła za gwiazdę softballu. Miała ciemne włosy i jasną cerę, a jej rysy należałoby opisać raczej jako silne niż ładne, choć uroku dodawały jej żywe, ekspresyjne oczy. Były ciemne, poruszały się powoli, lecz nieustannie, lśniły inteligencją i jakimś wewnętrznym ogniem. Może spalała nadmiar IQ, by nie eksplodowała jej głowa.

Briony Walker była córką oficera marynarki wojennej i tak też wyglądała – porządna, opanowana i surowa. Do tego wizerunku nie pasowały jedynie jej niesforne, gęste włosy, których nie udało się okiełznać nawet za pomocą całkiem świeżej, jak się wydawało, i zmyślnej fryzury. Ona również miała wyrazistą twarz i inteligentne, tajemnicze oczy.

Alice Vaz była najładniejsza. Reacherowi brakowało słowa, którym mógłby określić jej urodę. Może chochlikowata? Chłopięca? Prawdopodobnie coś między tym. Miała cerę ciemniejszą od pozostałej dwójki, krótkie ciemne włosy oraz oczy, które w jednej sekundzie skrzyły się radością, a w następnej ciskały pioruny. Była drobniejsza od pozostałych, drobna na europejski sposób, być może też bystrzejsza. Ostatecznie to ona panowała nad dyskusją, ograniczając ją pytaniami zbyt nudnymi, by komuś chciało się na nie odpowiadać. Zmuszała innych do skupienia.

Spotkanie ciągnęło się bez końca. Reacher nie włączał się więcej do dyskusji, czasem tylko wydawał z siebie pomruk akceptacji. Wreszcie umilkli, a facet u szczytu stołu spytał, czy wszyscy uważają, że wnioski i potrzeby armii zostały odpowiednio określone i opisane. Wszyscy podnieśli ręce. Urzędnik zwrócił się z tym samym pytaniem bezpośrednio do Briony Walker, co mogło być wyrazem uprzejmości, ale i złośliwości, bo powtarzał dokładnie jej słowa. Nie wydawała się urażona. Potwierdziła tylko, że owszem, jest usatysfakcjonowana.

W tym momencie czterej urzędnicy wstali z miejsc i bez słowa, błyskawicznie opuścili pokój, jakby czas potrzebny na pożegnanie poważnie zakłócił ich wypełniony do granic możliwości harmonogram. Kobiety również wstały, ale jako następny wyszedł z sali przedstawiciel kwatermistrzostwa armii, który po prostu poklepał swojego kolegę z marines po ramieniu i zniknął. Wtedy ten poklepał po ramieniu snajpera i razem z nim ruszył do drzwi, zostawiając Reachera samego z trzema kobietami.

• • •

Ta sytuacja nie utrzymała się jednak zbyt długo. Kobiety zbiły się w ciasną grupkę. Może nie pochylały się ku sobie, ale ustawiły w trójkącie, ramię przy ramieniu, dotykając się jak to kobiety, choć być może w wersji West Point. Równym krokiem przeszły do wyjścia, Alice Vaz pożegnała jeszcze Reachera uprzejmym spojrzeniem, po czym i one zniknęły na korytarzu.

Został w sali. Nigdzie się nie spieszył. I tak nic już z tym nie mógł zrobić. Może istnieli faceci, którzy jakoś by z tego wybrnęli. „Hej, przykro mi z powodu waszej koleżanki, nie zdążyłem jej nawet poznać, ale czy mógłbym cię na chwilę oderwać od twoich zrozpaczonych przyjaciółek i zabrać na drinka?” On do takich facetów nie należał.

Z drugiej strony był też pewien, że te kobiety nigdzie się nie wybierają. Wiedział to. Wstał, wyszedł z sali i zobaczył je w miejscu, gdzie korytarz zamieniał się w szeroki hol. Wciąż stały blisko siebie, w ciasnej grupie. I rozmawiały. Musiały przestrzegać wielu reguł społecznych. Reacher zakładał, że w końcu trafią do baru, ale jeszcze nie teraz.

Przeszedł do miejsca, gdzie na ścianie wisiał szereg automatów telefonicznych, i wybrał numer. Oparł się o ścianę. Zobaczył, że Briony Walker zerka na niego, a potem odwraca wzrok. Cóż, zwykły chłopak spoza miasta, który

gdzieś dzwoni. Może do swoich kumpli, którym opowiada, jak minął mu dzień, i pyta, gdzie wybierają się wieczorem.

– Tak? – rozległ się w słuchawce głos Christophera.

– Słyszeliście o Christine Richardson? – spytał Reacher.

– Tak.

– Więc teraz będzie trochę trudniej.

– Albo będzie po wszystkim. Jeśli od początku to była właśnie Richardson.

– A jeśli nie?

– Wtedy może być łatwiej, a nie trudniej. Zostały ci trzy. Emocje pomagają.

Rozwiązują język.

– To nie było wesołe popołudnie. Nikt nie ma ochoty na flirtowanie. Gadają ze sobą. Nie mam szans, żeby się do tego włączyć.

– Wykorzystaj wszystkie okazje, jakie się nadarzą.

– Nie jesteś w Kapitolu, ale monitorujesz wychodzące stąd faksy, tak?

– Zgadza się.

– Dziś wieczorem też?

– Oczywiście. Co wiesz?

– To nie DeWitt.

– Dlaczego?

– Była wstrząśnięta. Ma trzydzieści lat, dotąd jeszcze nikt jej nie umarł.

– To naturalne, że człowiek jest w takiej sytuacji poruszony.

– Ale gdyby realizowała jakiś tajny plan, poradziłaby sobie z tym. Robiłaby swoje. A ona sobie nie radziła. Prawie się nie odzywała. Zachowywała się tak, jakby cała ta historia nie miała sensu. Co było zupełnie normalną reakcją w przypadku kogoś, kto nie realizuje przy okazji swoich planów.

– A któraś z dwóch pozostałych sobie poradziła?

– Alice Vaz nie miała z tym żadnych problemów. Briony Walker podobnie. Walker koniecznie chciała jeszcze raz wszystko omówić. Przeanalizować i opisać każdy szczegół.

– Żeby sprawdzić, czy nie pominęła niczego w dwóch poprzednich faksach?

– Niewykluczone.

– Co robiła Vaz?

– To samo co na poprzednich dwóch sesjach. Szeroka perspektywa, szeroki świat, warunki klimatyczne. Powinna odejść z wojska i założyć biuro turystyczne.

– Co planujesz?

– Jeszcze nie wiem. Na razie monitorujcie faks.

• • •

Reacher odwiesił słuchawkę. Kobiety wciąż stały w holu, wciąż rozmawiały, wciąż nigdzie się nie wybierały. Ruszył w ich stronę swobodnym krokiem, jak facet, który nie ma co robić przez najbliższą godzinę, jak gość w obcym mieście, którego ciągnie do jedynych znanych mu twarzy. Plan A zakładał, że Reacher będzie trzymał się roli i może spróbuje dołączyć do grupy, wykorzystując

zainteresowanie Briony Walker ranami postrzałowymi. Może fascynowali ją snajperzy. Mógł podzielić się z nią różnymi spostrzeżeniami. Strzał w głowę czy w strzał w pierś? „Cóż, proszę pani, osobiście preferuję strzał w szyję. Jeśli czysto się trafi, zabitemu odpada głowa”.

Decydując się na plan B, porzuciłby pozory i ujawnił się jako kapitan żandarmerii wojskowej zatrudniony przez wywiad, a potem zobaczył, do czego go to doprowadzi. Może doprowadziłoby prosto do celu. Gdyby powiedział, że Richardson była główną podejrzaną, a któraś z kobiet próbowała go utwierdzić w tym przekonaniu, to właśnie ona byłaby wtyczką. Gdyby żadna z nich nie podejmowała takich prób, to prawdopodobnie źródłem przecieku rzeczywiście była Richardson.

Szedł dalej.

Plan A czy plan B?

Podjęły decyzję za niego.

Podąży mu ją na talerzu.

Były kobietami kulturalnymi, w sposób właściwy wojskowym odruchowo przestrzegały reguł grzeczności. Reacher szedł prosto na nie. Nie mógł ich ominąć z żadnej strony, więc musiały zwrócić na niego uwagę. Briony Walker patrzyła prosto na niego, ale jako pierwsza odezwała się Darwen DeWitt.

– Nie przedstawiono nas sobie – powiedziała. – Cóż, to nie był dobry dzień na uprzejmości.

– Owszem, proszę pani – odrzekł Reacher. – Nie był.

Podał swoje imię i nazwisko. Widział, jak każda z trzech kobiet zapisuje je w pamięci.

– Przykro mi z powodu pułkownik Richardson – rzucił.

DeWitt skinęła głową.

– To był szok.

– Znałyście ją panie dobrze?

– Pracowałyśmy razem. Zakładałyśmy, że dalej będziemy razem robić karierę.

– Towarzysze broni – powiedział Reacher. – A właściwie towarzyszki.

– Wszystkie tak to czułyśmy.

Skinął głową. Mogły sobie na to pozwolić. Nie rywalizowały ze sobą. Na razie. Dopóki nie doszły do stopnia generała brygady czy generała dywizji, nie musiały konkurować o stanowiska z bardzo ograniczonej puli. Potem każda musiałaby już walczyć o swoje.

– Pan na pewno już tego doświadczył, sierżancie – powiedziała Briony Walker.

– Na pewno zginął ktoś z bliskich panu ludzi.

– Kilka osób.

– I co zwykle robi pan w takie dni?

– Cóż, zazwyczaj wybieramy się do baru i pijemy za nich. Zaczyna się smutno, a kończy wesoło. To ważne. Dla dobra jednostki.

– Jakiej jednostki? – spytała Alice Vaz.

– Tego nie wolno mi wyjawiać, proszę pani.

– Do jakiego baru?

- Najbliższego.
- Przecnicę dalej jest Hyatt – zauważyła DeWitt.

• • •

Poszli do Hyatta. Ale niezupełnie razem. Nie we czworo. Raczej troje i jedno, choć skład trójki się zmieniał. Reacher udawał, że nie dostrzega rzuconych w jego stronę aluzji, a kobiety były zbyt uprzejme, by dawać mu to do zrozumienia, że im przeszkadza. Mimo to ten krótki spacer był dla niego okropnie krępujący. Przeszli Constitution Avenue do New Jersey Avenue, minęli Louisiane Avenue i D Street, po czym dotarli do drzwi hotelu Hyatt. Reacher podszedł do nich szybko i otworzył na całą szerokość, świadom, że potrzebne jest natychmiastowe działanie, tu i teraz. Gdyby stali niezdecydowanie na chodniku, aluzje stałyby się dosadniejsze.

Przepuścił najpierw Vaz, potem DeWitt, na końcu Walker; Reacher zamykał pochód. Odszukali bar. Reacher raczej nie bywał w takich miejscach. Po pierwsze, nie było tu barowego kontuaru. Tylko niskie stoliki, niskie krzesła i obsługa kelnerska.

Walker spojrzała na niego i spytała:

– Czego się napijemy?

– Najchętniej zamówiłbym dzban piwa, ale wątpię, czy mają tu coś takiego – odparł.

Gdy do stolika podszedł kelner, kobiety zamówiły szprycery z białym winem. W końcu było lato. Reacher zdecydował się na czarną kawę, bez cukru. Nie chciał zaśmiecać blatu dzbankami, miskami i łyżeczkami. Kobiety cicho rozmawiały między sobą, od czasu do czasu zerkając na niego przepraszająco. Nie wiedziały, jak się go pozbyć, nie umiały być wobec niego niegrzeczne.

– Czy te posiedzenia zwykle tak wyglądają? – spytał. – Oczywiście pomijając sprawę pułkownik Richardson.

– To pańskie pierwsze posiedzenie? – odpowiedziała pytaniem Vaz.

– I mam nadzieję, że ostatnie, proszę pani.

– Naprawdę? – rzuciła Walker. – Było warto. Nie mogą odmawiać nam wszystkiego. Więc postarałyśmy się zwiększyć prawdopodobieństwo, że wkrótce w końcu na coś się zgodzą.

– Lubi pani swoją pracę?

– A pan swoją, sierżancie?

– Tak, proszę pani, zazwyczaj.

– Mogłabym powiedzieć to samo.

Kelner przyniósł napoje i kobiety powróciły do swojej trójstronnej konwersacji. Reacher dostał kawę w szerokiej, płytkiej filiżance, nie było jej tam zbyt wiele. Zaledwie kilka łyków dzieliło go od kolejnej niezręcznej chwili. Nie pozbyły się go, wychodząc z Kapitolu ani wchodząc do hotelu. Koniec pierwszej kolejki był następną oczywistą okazją. Wystarczyłby krótki rozkaz: „Sierżancie, możecie odejść”. Nie mógłby z tym nic zrobić, nawet gdyby przeszedł do planu B.

Polecenie „Kapitanie, możecie odejść” jest równie skuteczne, gdy padało z ust majorów i podpułkowników.

Jednak to Darwen DeWitt wyszła jako pierwsza. Nadal rzadko się odzywała i najwyraźniej nie bawiła się dobrze. Nie przeżywała żadnego katharsis. Powiedziała, że ma dużo pracy, i wstała od stołu. Nie było żadnych czułości na pożegnanie, tylko skinienia głowy, dzielne uśmiechy i znaczące spojrzenia. Kiedy DeWitt wyszła, Vaz i Walker popatrzyły na Reachera, a on wytrzymał ich spojrzenia. Wszyscy milczeli. Wtedy na szczęście wrócił kelner. Vaz i Walker znów zamówiły szprycery, a Reacher znów zamówił kawę.

Po drugim drinku Walker nieco się rozluźniła. Spytała Reachera, co czuje, gdy pociąga za spust, strzelając do człowieka. Zacytował jednego ze znajomych, który powiedział, że czuje wtedy odrzut karabinu. Walker spytała, jaka była największa odległość, z jakiej zdarzyło mu się strzelać. W rzeczywistości były to jakieś cztery metry, ponieważ był żandarmem wojskowym, odpowiedział jednak, że tysiąc metrów, bo grał przecież snajpera. Chciała też wiedzieć, z czego strzelał. W rzeczywistości z beretty M9, ale na użytek Walter zamienił ją na M21 z lunetą ART II i pociskiem 7,62 używanym przez NATO.

- Gdzie to było? – spytała Walter.
- Przykro mi, proszę pani, ale nie wolno mi tego wyjawiać – odparł.
- Wygląda mi to na jakąś operację sił specjalnych.
- Zapewne tak właśnie wygląda.
- Tysiąc metrów to nie największa odległość jak na pański fach.
- Praktycznie żadna, proszę pani.
- Jakieś tajne zlecenie dla CIA czy całkiem legalne dla nas?
- Nie wolno mi tego wyjawiać, proszę pani.

Wydawało się, że ta formułka dodała mu wiarygodności. Obie kobiety stopniowo rezygnowały z obronnych gestów i póż. Nie znaczyło to, że niechęć zastąpiło zainteresowanie jego osobą. Żadna z nich nie liczyła na to, że kiedykolwiek będzie dowodzić wojskami na polu walki. Obie były zmuszone szukać innej drogi i obu się to nie podobało. W idealnym świecie walczyłyby u boku mężczyzn, a wtedy potrzebowałyby najlepszej dostępnej broni. Zwykła przyzwoitość wymagała więc, by najlepsza dostępna broń trafiała do tych, którzy walczyli obecnie – nie w tak idealnym świecie. Zwykła sprawiedliwość. I zwykła zapobiegliwość. Ich siostry nigdy nie trafią na pole walki, ale być może uda się to kiedyś ich córkom.

Walker spytała Reachera o jego prywatną opinię o konstrukcji karabinu, który był tematem ich posiedzenia. Czy powinni coś dodać? Coś ująć?

– Wydaje mi się, że wszystko jest takie, jak trzeba, proszę pani – odparł, po części dlatego, że tak właśnie sierżant odpowiedziałby oficerowi, ale i dlatego, że była to prawda.

Walker wydawała się zadowolona z tej odpowiedzi.

Potem obie poszły do łazienki. Reacher też chętnie skorzystałby z toalety, ale nie chciał iść zaraz za nimi. Wyglądałoby to dziwnie i podejrzanie, zwłaszcza po niedawnym spacerze z Kapitolu. Więc czekał. Widział, jak po drodze Vaz

skorzystała z automatu telefonicznego. Kilka aparatów w drewnianych osłonach, umieszczonych w rzędzie, wisiało na tylnej ścianie sali. Vaz zatrzymała się przy środkowym. Walker nie czekała na nią, przeszła prosto do łazienki. Vaz rozmawiała nie dłużej niż dziesięć sekund, po czym odwiesiła słuchawkę i poszła dalej.

• • •

Walker nie wróciła do stolika. Vaz usiadła sama i oznajmiła swobodnym tonem, że jej koleżanka poszła do biura. Wyszła drzwiami od D Street. Miała dużo pracy. Czy Reacher jeszcze się czegoś napije?

Reacher i Vaz we dwoje. Walker sama, na wolności.

– Pani stawia? – spytał.

– Jasne.

– W takim razie poproszę.

– Więc chodź za mną – powiedziała. – Znam lepszy lokal.

• • •

Lepszy lokal krył się w zaułku przy torach na tyłach Union Station. Był lepszy o tyle, że mieli tu prawdziwy bar, ale gorszy pod każdym innym względem. Przede wszystkim znajdował się w paskudnej okolicy, pełnej brzydkich ceglanych budynków i ruder, pośród ciemnych ulic, uliczek i podwórek, pod gęstwiną różnego rodzaju drutów i kabli. Lokal przypominał do złudzenia portową knajpę, przeniesioną jakimś cudem na środek kontynentu. Był niski i rozległy, podzielony cienkimi ściankami na mniejsze części. Reacher usiadł w rogu, skąd widział zarówno frontowe, jak i tylne drzwi. Vaz zajęła miejsce obok niego, niezbyt blisko, ale i niezbyt daleko. Wyglądała atrakcyjnie. Atrakcyjniej, niż powinna. Kobięcy mundur oficerski klasy A nie był zbyt twarzowy. Właściwie miał kształt walca. Może uniform Vaz był szyty na miarę. Tak właśnie musiało być. Koszula miała wyraźne wcięcie w talii, dobrze się układała. Dopasowana spódnica była obcisła. I odrobinę za krótka. Tylko odrobinę, ale w sposób dostrzegalny gołym okiem.

– Mam nadzieję, że nie posiedzę już zbyt długo w tym wydziale – zaczęła Vaz.

– A co potem?

– Operacje wojenne, mam nadzieję.

– Docenią tam panią?

– Pytasz, czy uznają moje referencje? Oczywiście. Polityka i operacje wojenne? To praktycznie to samo.

– Więc kiedy?

– Jak najszybciej.

– Ale martwi się pani, że ta historia z pułkownik Richardson utrudni sprawę. Nikt nie lubi zamieszania, prawda? Może nie zechcą panią puścić.

- Jesteś całkiem bystry jak na sierżanta.
- Stopień nie ma nic wspólnego z inteligencją, proszę pani.
- Opowiedz mi o sobie.
- Pani pierwsza.
- Nie ma o czym opowiadać. - Wzruszyła ramionami. - Dziewczyna z Kalifornii, West Point, najpierw chciałam zobaczyć świat, a później chciałam go kontrolować. A ty?
- Chłopak z marines, West Point, najpierw chciałem zobaczyć świat, a potem chciałem w nim przeżyć.
- Nie kojarzę zbyt wielu absolwentów West Point, którzy zostali potem sierżantami.
- Niektórzy to robią. Od czasu do czasu. Na swój sposób.
- Rozumiem.
- Czyżby?
- Jesteś tajnym agentem - rzuciła. - Zawsze wiedziałam, że kiedyś nadejdzie ten dzień.
- Jaki dzień?
- Kiedy w końcu się zorientujecie. Na przykład, że główne kwatermistrzostwo jest od lat przeżarte korupcją. Że nie potrzebujecie nowego karabinu snajperskiego. Wiecie o tym. Ale ci faceci już sprzedali osadę nowego modelu. Może te pieniądze już zostały wydane. Więc muszą to jakoś zrealizować. W jakikolwiek sposób. Słyszałeś, jakich używali argumentów?
- Gdzie jest ich biuro?
- Czyje? Główne kwatermistrzostwo to wielki dział.
- Na przykład tego faceta, którego widziałem dzisiaj.
- On ma biuro w Kapitolu.
- Z faksem?
- Oczywiście.
- Ktoś inny o tym wiedział?
- W dziale politycznym? Wszystkie wiedziałyśmy. Jak myślisz, dlaczego Walker ich zmusiła, żeby jeszcze raz wszystko dziś omówili? Bo chciała doprowadzić do wysłania trzeciego faksu.
- Dlaczego?
- Dodatkowy materiał dowodowy dla was. Wiedziałyśmy, że w końcu się połąpicie.
- Dlaczego któraś z was nie dała nam wcześniej znać?
- To nie nasza sprawa.
- Chcesz powiedzieć, że nie zgadzał się bilans zysków i strat. Jedna z was musiałaby się odsłonić, a mogłaby przegrać. Bo w sądzie wojskowym wszystko jest możliwe. To oznaczałoby, że jej kariera jest skończona. Nie mogłyście podjąć takiego ryzyka. Za daleko zaszłyście na tej drodze.
- Na drodze do czego?
- Do tego, kim planujecie zostać.

– Przez chwilę myślałyśmy, że poprzedni snajper był agentem. Ten, którego zastąpiłeś. Pozwalał, żeby ten z kwatermistrzostwa prowokował go do kolejnych żądań. Ale w końcu uznałyśmy, że to zwykły snajper. Więc w innych okolicznościach od razu połapałybyśmy się, że jesteś agentem, tyle że dziś nikt o tym nie myślał.

– Z powodu Richardson? Co ona o tym sądziła?

– To samo co my. Zaopatrzenie armii to bagno i wcześniej czy później musieliście to zauważyć.

– Kim planujesz zostać?

– Kimś szanowanym. Może w zamkniętej społeczności, ale jednak.

– Do tej pory brakowało ci szacunku?

– Nawet nie wiesz jak. – Obróciła się na ławce w jego stronę, jej kolana zbliżyły się do jego kolan, ciemna skóra obciągnięta ciemnym nylonem. – Wychodzę z założenia, że mogę zaufać swojemu instynktowi i że rzeczywiście jesteś młodszy ode mnie. Poza tym pracujesz tam, gdzie znacznie trudniej o awans i uznanie. Dlatego jestem od ciebie wyższa stopniem.

– Jestem kapitanem – powiedział Reacher. – Proszę pani.

– Więc gdyby nasze kariery zawodowe w jakikolwiek sposób zazębiały się ze sobą, nawiązywanie bliższych stosunków byłoby czymś niewłaściwym. Powstaje wobec tego pytanie, czy nasze kariery zawodowe w jakikolwiek sposób się zazębiają?

– Myślę, że są od siebie tak daleko, jak tylko mogą być.

– Poczekaj tutaj – rzuciła Vaz. – Zaraz wrócę.

Wstała i poszła w stronę toalet na tyłach sali, lawirując między przepierzeniami. Minimum pięć minut, pomyślał Reacher. Przeszedł za nią do automatu telefonicznego. Był to stary podrapany aparat zawieszony na ścianie czarnej od dymu i brudu.

Wybrał numer i przedstawił się.

– Tak? – odezwał się Cornelius Christopher.

– Skończyłem – oznajmił Reacher.

– Co to ma oznaczać? Rezygnujesz?

– Nie, to ma oznaczać, że skończyłem swoją robotę.

– Co wiesz?

– Walker jest już na pewno w Kapitolu. Wyszły stamtąd jakieś fakсы?

– Nie.

– Myliliście się. Nikt nie wysyła informacji zagranicznemu producentowi broni. I nigdy nie wysyłał. Po co miałby to robić? Wszyscy wiedzą, na ile dobry powinien być karabin snajperski. To oczywiste. Nie wymaga wyjaśnień. Podstawowe zasady znane są od wieku. Nikt nie musi gromadzić takich danych, bo nie ma takiej potrzeby.

– Więc o co w tym wszystkim chodzi?

– Czekam na ostateczny dowód. Powinienem go dostać za jakieś pięć minut, może wcześniej.

– Dowód czego?

– To Alice Vaz – powiedział Reacher. – Przypomnij sobie raporty z posiedzeń komisji. Ogólne pytania Alice Vaz. Dziś znów zadała kilka. Chciała wiedzieć, gdzie dokładnie będzie używany ten nowy karabin. Pytała, w jakich środowiskach musi się sprawdzić?

– Więc?

– Próbowwała dotrzeć do planów wojennych tylnymi drzwiami. A facet z kwatermistrzostwa dał się na to nabrać. Nie podał konkretów, ale mnóstwo informacji o pogodzie. Każdy mógłby sporządzić mapę naszych światowych celów na podstawie tych danych.

– Na przykład?

– Mówił o dużej wysokości i marznącej mgle.

– Afganistan – mruknął Christopher. – Wcześniej czy później będziemy musieli się tam wybrać.

– Piasek i bardzo gorące suche powietrze.

– Bliski Wschód, najprawdopodobniej Irak.

– Wilgotność typowa dla lasów deszczowych, wysoka temperatura.

– Ameryka Południowa, Kolumbia i tak dalej. Wojny narkotykowe.

– Mróz i śnieg.

– Jeśli będziemy musieli się wybrać do Związku Radzieckiego.

– Widzisz? Dostała od tego faceta skrócony opis wszystkich naszych planów wojennych. Analitycy wywiadu uwielbiają takie zawoalowane informacje.

– Jesteś pewien?

– Dałem jej dwie sekundy na reakcję, a ona oskarżyła o korupcję kwatermistrzostwa. Brzmiało to całkiem wiarygodnie. Jest bardzo bystra.

– Który wróg? Czyj wywiad?

– Sowiecki, oczywiście. Miejscowy numer faksu, prawdopodobnie w ich ambasadzie.

– Jest ich agentką?

– I to nie byle jaką. Pomyśl tylko. Robi szybką karierę. Pnie się na sam szczyt, czyli co najmniej do Połączonego Kolegium Szefów Sztabów. Ale może i wyżej. Taka kobieta mogłaby nawet zostać prezydentem.

– Ale jak ją zwerbowali? I kiedy?

– Prawdopodobnie zanim jeszcze się urodziła. Jej dziadek był jakimś wielkim bohaterem Armii Czerwonej. Więc być może jej ojciec wcale nie był prawdziwym uchodźcą. Może KGB przeniosło go na Węgry, żeby mógł stamtąd uciec i udawać dysydenta. Jego córka urodziła się już jako Amerykanka i została naprawdę głęboko ukrytym uspionym szpiegiem. Prawdopodobnie od samego urodzenia przygotowywano ją do szybkiej kariery. Ci ludzie działają długodystansowo.

– Dość śmiała teoria.

– Dowód pojawi się tutaj za jakieś trzy minuty. Albo i nie.

– Ale po co ryzykować utratę tak cennego agenta w podobnej sprawie? Bo jeśli masz rację, to sprawa jest ważna, ale bez przesady. To nie bomba wodorowa.

– Myślę, że to zwykły przypadek. Pewnie natknęła się na to, pełniąc swoje normalne obowiązki. Ale nie mogła się pohamować i nie podrzucić tego komuś.

Nawyk albo poczucie obowiązku. Jeśli jest prawdziwą idealistką.

– Jaki to dowód masz dostać za pięć minut? Czy za trzy?

– Teraz już prawdopodobnie za dwie – sprostował Reacher. – Zadzwoiła do kogoś z hotelu Hyatt. Zastanów się. Jest cennym agentem. Może najcenniejszym w całej ich historii. Zmierza na sam szczyt. Teraz ma dotrzeć do planów wojennych, co samo w sobie jest nie lada osiągnięciem. Muszą ją chronić. Nikogo jeszcze tak nie chronili. I nabiera wobec mnie podejrzeń. Może to standardowa paranoja. Byłem nowy. Kręciłem się koło nich. Więc wezwała pomoc. Powiedziała chłopakom od mokrej roboty z ambasady, gdzie będę i kiedy. A potem zwabiła mnie w pułapkę. Teraz mam być przekonany, że pójde z nią do łóżka.

– Idą po ciebie sowieckie zbiry?

– Będą tu za jakąś minutę. Mam zostać ofiarą nieudanego napadu rabunkowego. Znajdą moje ciało na rogu ulicy.

– Gdzie jesteś?

– Na zadupiu za Union Station.

– Nie ściągnę tam nikogo w ciągu minuty.

– Nie zakładałem, że to zrobisz.

– Poradzisz sobie?

– Zależy, ilu ich przysła.

– Możesz aresztować Vaz, zanim tam dotrą?

– Już dawno jej tu nie ma. Jestem pewien, że od razu wyszła przez okno w łazience. Będziecie musieli ją zgarnąć. Pójdzie do swojego biura.

W tym momencie w tylnych drzwiach baru stanął mężczyzna.

– Muszę iść – rzucił Reacher. – Zaczyna się.

• • •

Odwiesił słuchawkę. Facet przy tylnych drzwiach miał twarz bandziora i umięśnione ciało opięte czarnym garniturem. Poruszał się lekko i swobodnie. W pewnym sensie przypominał Vaz, jakby pochodził z tej samej grupy etnicznej co ona, choć był od niej o jakieś dziesięć lat starszy. Nie miał nic w rękach. Na razie. Nie w miejscu publicznym. Reacher przypuszczał, że facet wszedł tylnymi drzwiami, by zapędzić go do frontowego wyjścia, gdzie czekały główne siły. Łatwiej zaaranżować nieudany napad na ulicy niż na podwórku za barem. Bo nie była to ulica, która zachęca do spacerów. Nie była to też dzielnica, do której warto zapuszczać się po zmroku. Rozbite latarnie, podejrzane cienie, mnóstwo bram i uliczek, przechodnie, którzy nauczeni doświadczeniem, unikają kontaktu wzrokowego i milczą.

Facet rozglądał się po sali. W Hyacie Vaz rozmawiała przez telefon bardzo krótko. Wypowiedziała zaledwie kilka słów. Prawdopodobnie nie więcej niż „wielki facet, bardzo wysoki, szary garnitur”. Reacher czuł na sobie spojrzenie oprycha. Niemal widział, jak ten odznacza w głowie kolejne punkty. Wielki facet, jest. Bardzo wysoki, bez dwóch zdań. Szary garnitur, to nasz chłoptaş. Mężczyzna ruszył w głąb sali.

Reacher skierował się do wyjścia.

Mędrzec zapytany: „Kiedy najlepiej posadzić drzewo?” odpowiedział: „Pięćdziesiąt lat wcześniej”. Więc na pytanie, kiedy najlepiej podjąć decyzję, mędrzec odpowiada, że pięć sekund przed pierwszym ciosem.

Facet w czarnym garniturze ważył jakieś dziewięćdziesiąt pięć kilogramów i szedł z prędkością około trzech kilometrów na godzinę. Reacher ważył sto dwadzieścia kilogramów i poruszał się z prędkością pięciu kilometrów na godzinę. Suma prędkości wynosiła więc osiem kilometrów na godzinę, a siła zderzenia, gdyby do niego doszło, wyniosłaby ponad trzydzieści kilogramów na centymetr kwadratowy.

Do zderzenia doszło.

Ale nie przy prędkości ośmiu kilometrów na godzinę. Wartość ta gwałtownie wzrosła, gdy Reacher odepchnął się mocno tylną nogą i zamachnął szeroko łokciem, który uderzył w cel z siłą wielokrotnie przekraczającą połączoną masę ich ciał. Trafił przeciwnika dokładnie na linii kość policzkowa–nos–kość policzkowa, a trzask i chrzęst był nawet głośniejszy od tupotu stóp na podłodze. Facet runął do tyłu jak motocyklista, który nadział się na sznur rozwieszony w poprzek drogi. Reacher ominął go i wyszedł na zewnątrz tylnymi drzwiami.

Nikt czy ktoś?

To było jedyne pytanie, a nie ma większej różnicy niż ta między kimś a nikim. Czy wszyscy czekali przy frontowych drzwiach, czy też zostawili tu jeszcze jednego oprycha jako wsparcie?

Zostawili. Ciemne włosy, ciemne oczy, grubsza kurtka niż na koledze, który został w barze. Pewnie wyjątkowy bystrzak, ale każdy człowiek, któremu wydano wcześniej instrukcje, znajduje się w niekorzystnej sytuacji. „Wasz cel to wielki facet, bardzo wysoki, w szarym garniturze”. I choćbyś był najbystrzejszy i najszybszy, odpowiedź na te dwa, trzy pytania zajmuje kilka cennych milisekund, potrzebnych na „wielki facet, tak, bardzo wysoki, tak, szary garnitur, tak” albo coś w tym rodzaju. Problem pojawia się wtedy, gdy wielki facet w szarym garniturze wykorzystuje te same kilka milisekund, podchodzi do ciebie i rozbija ci czaszkę łokciem. Reacher przeszedł dalej, do miejsca, gdzie ceglany łuk prowadził z podwórza do alejki.

• • •

Alejka była na tyle szeroka, by mógł nią przejechać jednoosiowy wózek z piwem zaprzężony w dwa konie. Po prawej znajdował się łuk prowadzący na kolejne podwórze, a po lewej wyjście na ulicę. Buty Reachera nie robiły hałasu. Buty zestawu mundurowego klasy A, a więc podeszwa ze sztucznego tworzywa. Nikt nie chciał skórzanych. Tylko większa powierzchnia do pastowania. Reacher zatrzymał się tuż przy wyjściu na ulicę i przywarł plecami do ściany po lewej stronie. W filmie u jego stóp znalazłby się porzucony odłamek lustra. Mógłby go wysunąć i sprawdzić, co dzieje się za rogiem. Ale nie był w filmie. Przesunął się więc na sam skraj muru i wyjrzał zza niego jednym okiem.

Dziesięć metrów dalej czterech mężczyzn. W sumie sześciu. Sześciu ochroniarzy, facetów od mokrej roboty w zagranicznej ambasadzie. Na stałe. Dla niej. Nikogo jeszcze tak nie chronili. Taka kobieta mogłaby zostać prezydentem. Po drugiej stronie ulicy stały dwa samochody z dyplomatycznymi rejestracjami. Pewnie nigdy nie opłacali mandatów za złe parkowanie. Sowieni stali w półkolu, przy drzwiach baru, odwróceny plecami do Reachera, i rozmawiali o czymś, jak to czasem chłopaki przed barem.

Reacher nie miał kawałka lustra, ale za to znalazł ćwiartkę cegły, mniej więcej wielkości piłki do baseballu. Nie mógł za jej pomocą niczego zobaczyć, ale i nie miał już takiej potrzeby. Podniósł ją, wyszedł na ulicę i skręcił w lewo.

• • •

Dziesięć metrów to dziesięć kroków. Reacher pokonał w równym tempie połowę tego dystansu, potem wziął szeroki zamach, rzucił cegłą w najbliższy samochód i przyspieszył tak gwałtownie, że gdy rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a cztery głowy jednocześnie odwróciły się w stronę tego dźwięku, jego łokieć uderzył w pierwszą z tych głów. Zrobił to wszystko jednym płynnym ruchem, w ciągu niecałej sekundy.

Pierwszy facet runął jak kłoda, zwalony potężnym, zamaszystym ciosem. Reacher natychmiast odwrócił się w drugą stronę, trafiając tym samym łokciem w głowę drugiego zbira. Zostało mu jeszcze dwóch facetów, jeden blisko, drugi niedogodnie daleko. Udał więc, że zmierza do tego dalszego, a potem obrócił się na pięcie i uderzył z byka bliższego, jakby próbował wbić głowę słup w twardą, wysuszoną ziemię. Ten, który został, bez namysłu poderwał się do biegu.

Reacher pozwolił mu uciec. Pewnych rzeczy po prostu nie lubił robić, a bieganie było jedną z nich.

• • •

Dwadzieścia cztery godziny później był z powrotem we Frankfurcie, gdzie zatrzymał się na tydzień, a potem poleciał do Korei na standardową turę. Ani on, ani ktokolwiek inny nie usłyszał więcej o Alice Vaz. Reacher nie miał pojęcia, czy jego analiza okazała się słuszna czy błędna, bliska prawdy czy wyszana z palca, ale miesiąc po przybyciu do Seulu dowiedział się, że przedstawiono jego kandydaturę do odznaczenia, konkretnie do Legii Zasługi, choć nie podano żadnego konkretnego powodu prócz krótkiej notki o następującej treści:

Odznaczony za wyjątkowo chwalebny postawę i wybitne zasługi podczas pełnienia służby na rzecz Stanów Zjednoczonych.

MAŁE WOJNY

Wiosną 1989 roku Caroline Crawford została awansowana do stopnia podpułkownika. Z tej okazji kupiła sobie srebrne porsche. Ludzie mówili, że ma bardzo bogatą rodzinę. Może dostała pieniądze z funduszu powierniczego. A może od jakiegoś dalekiego krewnego. Jej mundury na miarę szyto w tym samym zakładzie, w którym powstawały garnitury dla prezydenta. Uważano ją za najbogatszą kobietę w stanie, choć trzeba przyznać, że nie miała tu zbyt dużej konkurencji.

Awans wiązał się z przenosinami na inną placówkę, więc podczas swej pierwszej dłuższej podróży srebrne porsche pokonało trasę z Wydziału Planów Wojennych w Pentagonie do Fort Smith w stanie Georgia. Wszystko to należało do typowej metody stosowanej przez Wydział Planów Wojennych. Tworzenie planów, których nie można potem zrealizować, nie miało sensu. Kluczem do sukcesu była między innymi łączność oficerów wysokiego szczebla w miejscu działań bojowych, połączona z odrobiną dyskretnej obserwacji tego, co dzieje się za kulisami sprzymierzonych jednostek. Tak wyglądała pierwsza misja każdego nowego podpułkownika. Crawford chętnie do niej przystąpiła, mimo że Fort Smith okazał się małą bazą ukrytą w podmokłych lasach i pełną zdesperowanych typów, głównie z różnych formacji sił specjalnych. Zero mundurów szytych na miarę. Co wcale nie przeszkadzało pani podpułkownik. Uznała to nawet za obiecujące. Mogła ich wykorzystać jako surowy materiał do jednostek nowego typu, których będzie kiedyś potrzebowała. Własny wkład na wczesnym etapie mógł okazać się bardzo ważny. Kto wie, może nawet nazwą te jednostki jej imieniem. W ciągu półtora roku dochrapie się stopnia pułkownika. Potem szybko dostanie pierwszą generalską gwiazdkę. Poza tym ma prawo realizować własne pomysły, prawda? Łączność działa w dwie strony. Mogła im sugerować, co powinni robić, i słuchać, czego zrobić nie mogą.

Pierwszy tydzień ułożył się całkiem nieźle, choć sporo padało. Poczta pantoflowa działała błyskawicznie: w ciągu godziny wszyscy w bazie wiedzieli, że jest panną i nie ma chłopaka, ale lepiej do niej nie uderzać, bo Plany Wojenne to poważna sprawa. Relacje były więc serdeczne, ale i pełne niedomówień, co dodawało im pikanterii. Kwatery oficerskie sprawdzały się pod każdym względem. Przypominały motel, tyle że o poważniejszym wystroju. Wiecznie wilgotne lasy ciągnęły się na przestrzeni wielu kilometrów, ale nie brakowało w nich dróg, od leśnych traktów i dróg pożarowych po asfaltowe szosy z podświetlonymi reklamami na błotnistych poboczach, prowadzących ku odległym o godzinę jazdy knajpom z grillem czy barów z tańcami. Dało się żyć.

Pod koniec pierwszego tygodnia Crawford wyjechała srebrnym porsche z Port Smith w swoim szarym na miarę mundurze klasy A. Na pierwszym dużym rozjeździe zjechała z drogi hrabstwa i dotarła do węższej, ukrytej wśród drzew trasy donikąd, zalanej słońcem, prostej i puste. Po takiej drodze cudownie jedzie się z opuszczonymi szybami, wdychając zapach wilgotnej ziemi z poboczy i wsłuchując się w warkot silnika, który odbija się echem od drzew, głęboki i donośny.

Potem zobaczyła przed sobą zepsuty samochód. Sedan stał ukośnie na środku drogi, miał maksymalnie skrócone przednie koła i otwartą maskę. Nad silnikiem pochylał się jakiś facet, wysoki, co widać było nawet z odległości stu metrów. Mocno zbudowany. Z wielkimi stopami.

Zwolniła, celowo późno i gwałtownie, ot tak, dla zabawy. Zredukowała bieg, a dźwięk, który wydobył się wtedy z rury wydechowej, przypominał kanonadę sztucznych ogni. Zobaczyła, że unieruchomione auto to produkt z Detroit, pokryty zielonym lakierem. Facet pochylony nad silnikiem wyprostował się i odwrócił w jej stronę. Był naprawdę wysoki, miał ponad dwa metry wzrostu. Nosił standardowy mundur polowy, w leśnej wersji.

Jako że był zbudowany proporcjonalnie do wzrostu, nie wyglądał na mimozę, poruszał się jednak z wdziękiem. Wydawał się szczupły, choć taki nie był.

Caroline zatrzymała auto. Oparła łokieć na drzwiach, a brodę na łokciu, i patrzyła, po części z ciekawością, po części z rezygnacją, gotowa pomóc, ale może po krótkich przekomarzankach. Nic nie wzbudzało jej podejrzeń. Podniesiona maska obudziła w niej jakiś ukryty instynkt z czasów początku motoryzacji. Współczucie i solidarność. Do tego dochodził jeszcze znajomy mundur.

Facet podszedł bliżej. Trochę niezdarnie stawiał wielkie stopy w znoszonych brązowych butach, ale kroki były długie i sprężyste, co równoważyło ten efekt. Nie nosił czapki. Miał krótko przycięte jasne włosy i zakola. Niebieskie oczy, otwarte spojrzenie, jednocześnie naiwne i przejmujące. Poza tym jego twarz wydawała się raczej przeciętna, nie odpychała, ale i nie intrygowała.

Na kołnierzu nosił insygnia pułkownika. Na plakietce nad prawą kieszenią widniał napis *U.S. Army*, a na tej nad prawą *Reacher*.

– Proszę wybaczyć, że przerwałem pani podróż, ale nie mogę tego zepchnąć z drogi – powiedział. – Nie mogę obrócić kierownicy. Chyba zepsuło się wspomaganie.

– Przykro mi to słyszeć, panie pułkowniku – odparła Crawford.

– Przypuszczam, że pani samochód nie ma haka holowniczego.

– Mogę pomóc panu popchnąć.

– To bardzo uprzejme z pani strony, ale do tego trzeba by z dziesięć osób.

– Czy jest pan tym, za kogo pana biorę? – spytała kobieta.

– To zależy.

– Nazywa się pan Joe Reacher. Właśnie objął pan dowództwo nad kontrwywiadem.

– Zgadza się – odparł. – Miło mi panią poznać.

Spojrzał na jej plakietkę z nazwiskiem przyczepioną do szytego na miarę munduru. Białe napisy na czarnym tle. Plakietka z nazwiskiem powinna być dopasowana do figury żołnierza i ułożona poziomo, po prawej stronie, co najmniej dwa i pół centymetra i co najwyżej pięć centymetrów nad najwyższym guzikiem marynarki. Spojrzał na insygnia jej jednostki i na stopień.

– A pani to zapewne Caroline Crawford. Gratulacje.

– Słyszał pan o mnie?

– To część mojej pracy. Ale wiedza o mnie nie jest częścią pani pracy.

– Owszem, ale należy do moich zainteresowań. Lubię śledzić kluczowych graczy.

– Nie jestem kluczowym graczem.

– Bzdura, panie pułkowniku. Z całym szacunkiem.

– Chodzi o zainteresowania czysto akademickie czy związane z karierą?

Uśmiechnęła się, wzruszając lekko ramionami, ale nie odpowiedziała.

– Jedno i drugie, tak? – spytał Joe Reacher.

– Nie widzę w tym nic złego.

– Jak wysoko pani mierzy?

– Trzy gwiazdki – odparła. – Może Połączone Kolegium Szefów Sztabów. Cała reszta jest w rękach bogów.

– Cóż, życzę powodzenia – powiedział, po czym włożył rękę do kieszeni munduru polowego, wyjął z niego służbowy pistolet samopowtarzalny Beretta M9 i strzelił z niego do Caroline Crawford, dwa razy w pierś i raz w głowę.

•••

W tym samym tygodniu, w którym do Fort Smith przybyła Caroline Crawford, nową placówkę miał objąć major żandarmerii wojskowej David Noble. Odkomenderowano go do Fort Benning w stanie Georgia, gdzie miał nadzorować śledztwa kryminalne we wszystkich okręgach wojskowych na południowym wschodzie. Reorganizacja. Projekt z góry skazany na niepowodzenie, ale chwilowo ważny. Tyle że Noble w końcu nie wziął w nim udziału. Po drodze miał wypadek samochodowy. W Karolinie Południowej, sąsiednim stanie, niemal u celu. Przeżył, ale trafił do szpitala wojskowego imienia Waltera Reeda w Waszyngtonie. Miał zapadnięte płuco i problemy z oddychaniem. Wybrano więc szybko jego zastępcę, odszukano go, ściągnięto z obecnej placówki i przewieziono do Fort Benning. Tak to zawsze wygląda w wojsku. Całkiem normalna sytuacja. Ważne zadanie, kandydat z łapanki, spóźniony o tydzień. Pocieszano się myślą, że ten nowy facet jest bystry i pracowity. Może sobie poradzi. Jeśli od razu zabierze się do pracy.

I tak w tym samym momencie, w którym Joe Reacher powiedział „Nie jestem kluczowym graczem”, nieco ponad sto pięćdziesiąt kilometrów dalej jego młodszy brat Jack Reacher wszedł do swojego nowego gabinetu, a potem zaraz z niego wyszedł w poszukiwaniu kawy, niemal gotów, by rozpocząć nadzorowanie

śledztw kryminalnych we wszystkich okręgach wojskowych na południowym wschodzie.

• • •

Porsche znaleziono nazajutrz, wczesnym rankiem. Natrafili na nie czterech żołnierze w humvee, którzy zgubili się podczas nocnych manewrów i próbowali znaleźć drogę na skróty do Fort Smith. Z daleka rozpoznali srebrne auto, które zyskało sobie już lokalną sławę w ich bazie. Nowa pułkownik z Planów Wojennych. Seksowna, inteligentna i bogata. Nie żeby im to w czymś przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Może złapała gumę. Może potrzebowała pomocy. Kiedy podjechali bliżej, pomyśleli najpierw, że samochód jest pusty.

Potem zmienili zdanie.

Przejechali powoli obok auta, zaglądając z góry do środka, gdzie zobaczyli kobietę w mundurze klasy A leżącą na siedzeniach, postrzeloną dwukrotnie w pierś i raz w głowę.

Zaparkowali w pobliżu i zameldowali o wszystkim przez radio, a potem czekali w swoim pojeździe. Nie mieli prawa ani ochoty badać miejsca zbrodni. Po czterdziestu minutach przyjechała żandarmeria wojskowa. Z Fort Smith. I dwaj prawnicy z JAG, Wojskowego Biura Śledczego. Też z Fort Smith. Wszyscy obejrzeni miejsce zbrodni, a potem się wycofali. Chodziło o kwestię jurysdykcji. Droga należała do hrabstwa. Dlatego też wezwali miejscowego szeryfa. Nie mieli wyjścia. Ludzie z biura szeryfa już do nich jechali. Wspólnie musieli zdecydować, kto poprowadzi śledztwo.

• • •

W Fort Benning dowiedziano się o sprawie niemal natychmiast. Reorganizacja. Na tyle świeża, że jeszcze nikt nie zdążył jej spieprzyć. Poprzedniego wieczoru Reacher do późna przeglądał nowy podręcznik jednostki, analizował otwarte sprawy, czytał akta i rozmawiał z ludźmi. Potem przespał się kilka godzin i wstał z gotowym planem w głowie. Miał mnóstwo pracy. Baza tonęła w papierach, a źle dobrani podoficerowie nie radzili sobie z tym. Reacher już dawno się przekonał, że sprawność jednostki zależy od jej sierżantów. Chciał doświadczonych biurokratów, ale nie ludzi, którzy kochają biurokrację. Ta różnica miała duże znaczenie. Chciał ludzi traktujących zadania jak wrogów, z którymi należy się rozprawić szybko, sprawnie i bezwzględnie. Wręcz nienawistnie. „Nie przyślą mi już więcej tego formularza!” W jego nowej jednostce brakowało takich ludzi. Wszyscy byli zbyt wygodni. Miękcy. Jak ten facet, który przyniósł mu rano teleks. Miękki, wyluzowany. Brakowało mu ducha, którego Reacher chciał widzieć u swoich podwładnych, choć nie umiałby go dokładnie opisać. Brakowało mu pazura. Ten facet nie wyglądał niebezpiecznie.

W teleksie napisano: „Jeden, powtarzam, jeden (1) członek personelu w czynnej służbie znaleziony martwy piętnaście kilometrów na północ od Fort Smith. Prawdopodobnie zastrzelony. Okoliczności nieznane”.

Reacher pomyślał od razu o bójce w barze. Szeregowy albo starszy szeregowy posprzeczał się pewnie z miejscowym. Może przewrócił się harley na parkingu albo wylała się szklanka piwa. Bary w pobliżu baz wojskowych zawsze były pełne krewkich cywilów z bronią, którzy chcieli udowodnić, że i oni potrafią być twardzi.

– Przynies mi szczegóły, gdy tylko coś przyślą – polecił Reacher.

Miękki sierżant skinął głową i wyszedł z pokoju.

Reacher sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do swojego nowego dowódcy. Podczas krótkiej rozmowy powiedział między innymi:

– Potrzebuję tu lepszego sierżanta. Przyślij mi Frances Neagley. Najlepiej jeszcze dziś.

• • •

Szeryf, który przyjechał na miejsce zbrodni, znał wartość błota jako materiału dowodowego. Zaparkował z dala od porsche i przez chwilę uważnie oglądał pobocze i drogę, przykucając co jakiś czas obok śladów odcisniętych w czarnej ziemi, która pokrywała również większość asfaltu, przy czym najgrubsza warstwa znajdowała się przy skraju jezdni, a najcieńsza w pobliżu środka. Śladów było sporo, niektóre z nich zdążyły już zaschnąć, z niektórych wciąż sączyła się wilgoć, a niektóre zostały rozjechane przez humvee czterech żołnierzy.

Szeryf doszedł w ten sposób do grupki wojskowych w Port Smith. Przedstawili się sobie, uścisnęli dłonie i przez chwilę stali w milczeniu, być może oceniając atmosferę spotkania, a być może powtarzając argumenty. Jako pierwszy odezwał się przedstawiciel hrabstwa.

– Stacjonowała w Port Smith? – spytał.

– Tak – odpowiedział prawnik z JAG.

– Na pewno nie był to bratobójczy ogień? – Co miało oznaczać: Czy to nie przypadkiem jakaś wewnętrzna wojskowa sprawa, o której nie muszę wiedzieć? Wszystko zostaje w rodzinie?

– Nic nam o tym nie wiadomo – zapewnił go prawnik.

– Więc jest moja. Przynajmniej dopóki nie będę miał pewności, że zabójca nie był cywilem. Muszę zwracać uwagę na takie rzeczy. Być może po moich lasach krąży jakiś wariat. Jak ona się nazywała?

– Crawford.

– Co robiła w Fort Smith?

– Tego, niestety, nie mogę panu powiedzieć.

– To była pułapka – oznajmił szeryf. – Jestem tego pewien. Ślady są wyraźne. Ktoś udawał, że zepsuł mu się samochód. Zatrzymała się, żeby mu pomóc. Sprawca miał wielkie stopy.

– Co teraz? – spytał jeden z żandarmów.
– To wykracza poza moje kompetencje. Tak stanowi prawo hrabstwa. Muszę to przekazać policji stanowej. Nie mam wyboru.
– Kiedy?
– Już do nich dzwoniłem. Wkrótce tu będą. Wtedy zdecydują, czy zrobią to sami, czy prześlą stanowemu oddziałowi FBI.
– Nie możemy czekać bez końca.
– Nie będziecie musieli. Może pół dnia.
To powiedziawszy, szeryf wrócił do swojego samochodu, zamknął się w środku i siedział tam sam.

• • •

Następny teleks przyszedł godzinę później. Ten sam miękki sierżant oderwał taśmę z wiadomością od urzędnika i przyniósł ją do biurka Reachera. Treść brzmiała następująco: „Ofiara postrzału została zidentyfikowana jako podpułkownik Caroline C. Crawford. Znaleziono ją martwą w jej prywatnym samochodzie na leśnej drodze z dala od zabudowań”. Podpułkownik. Prywatny samochód. Znaleziona martwa. To wszystko oznaczało, że sprawa jest poważniejsza, niż można było sądzić. Bardzo niewielu znanych Reacherowi wysokich rangą oficerów wdawało się w bójki w barach. Z pewnością jeszcze rzadziej w takie bójki wdawali się wysocy rangą oficerowie o imieniu Caroline. A gdyby nawet doszło do takiej sytuacji, nie znaleziono by ofiary w jej własnym samochodzie, na leśnej drodze, z dala od ludzkich osiedli.

Krótko mówiąc, nie była to bójka w barze.

– Kim była ta kobieta? – spytał Reacher.

– Nie wiem – odparł sierżant.

W tym rzecz. Porządny podoficer przed wizytą w gabinecie zwierzchnika zajrzałby do książki lub zadzwonił w odpowiednie miejsce i przyniósł przynajmniej garść informacji o ofierze oraz kopię bieżących rozkazów. Frances Neagley miałaby to wszystko pięć minut temu. I zdjęcie. I kosmyk włosów, gdyby była taka potrzeba.

– Idź, dowiedz się, kto to był – polecił Reacher.

• • •

Dyskusja dotycząca jurysdykcji trwała dłużej, niż zakładano. Policjant stanowy, który przyjechał na miejsce zbrodni, zastanawiał się, czy lasy nie są własnością federalną. Tereny Fort Smith z pewnością były. Może jego niezagospodarowane okolice również. Szeryf stwierdził, że droga jest utrzymywana przez hrabstwo. Co do tego nikt nie miał wątpliwości. Samochód stał na drodze, a ofiara leżała w samochodzie. Prawnicy z Wojskowego Biura Śledczego utrzymywali, że zabójstwo pracownika federalnego to przestępstwo

federalne, a podpułkownik armii Stanów Zjednoczonych z pewnością była takim właśnie pracownikiem. I tak dalej, i tak dalej. Na niebie zbierały się ciemne chmury. Zanosilo się na deszcz, który rozmyje ślady odcisnięte w błocie. Zaproponowano więc kompromis. Śledztwo poprowadzi policja stanowa, ale armia będzie na bieżąco o wszystkim informowana i będzie miała do wszystkiego dostęp. Wojskowi zgodzili się na takie warunki. Sekcja zwłok zostanie przeprowadzona w Atlancie. To również przyjęto bez zastrzeżeń, bo wszyscy wiedzieli, jakie będą wyniki badania: „Zdrowa prócz podwójnego strzału w pierś i strzału w głowę”. Zawarto więc umowę, po czym wszystkie trzy grupy zabrały się pospiesznie do fotografowania miejsca zbrodni. Potem zaczął padać ulewny deszcz, przykryto więc porsche plandeką i wszyscy czekali w swoich samochodach na karetkę i auto pomocy drogowej.

•••

Reacher podniósł wzrok i zobaczył, że przed biurkiem stoi sierżant. W ręce trzymał kartkę papieru. Nie podał jej Reacherowi, lecz powiedział:

– Panie majorze, mogę zadać panu pytanie?

Takie słowa padające z ust podoficera jednostki nie wróżyły niczego dobrego. Pozornie nieszkodliwe, kryły w sobie przekaz o całkiem innej treści. Znaczyły mniej więcej tyle co: „Kochanie, musimy porozmawiać” wypowiedziane przez dziewczynę.

Reacher skinął głową.

– Wal.

– Słyszałem, że nie podoba się panu moja praca i że chce mnie pan przenieść gdzie indziej.

– Ani jedno, ani drugie.

– Naprawdę?

– Upodobania i uprzedzenia należą do sfery emocji. Oskarżacie mnie o uleganie emocjom, sierżancie?

– Nie, panie majorze.

– Oceniam waszą pracę chłodno i racjonalnie, posługując się kryterium, które sam ustaliłem. Można je streścić w jednym pytaniu: Czy jesteście facetem, do którego mógłbym zadzwonić w środku nocy w razie jakiejś trudnej sytuacji?

– I jestem?

– Ani trochę.

– Więc zostanę przeniesiony.

– Nie.

– Panie majorze, nie chcę w żadnym wypadku podważać pańskiej opinii, ale wiem, że ma się tu wkrótce zameldować sierżant Neagley.

– Widzę, że podoficerska poczta pantoflowa działa coraz szybciej. – Reacher się uśmiechnął.

– Ona przychodzi, ja odchodzę. Jak inaczej mogłoby to wyglądać?

– Ano tak, że zostaniecie tutaj i czegoś się nauczycie. Tak właśnie będzie. Neagley będzie składała meldunki mnie, a wy jej. Co jakiś czas będzie wam też udzielała rad i wskazówek, które pozwolą wam poprawić pracę.

– Jesteśmy równi stopniem.

– Wyobraźcie sobie, że ona pochodzi z planety o dwukrotnie większej sile ciężenia. Jej stopień jest wart więcej niż wasz.

– Jak długo tu będzie?

– Tyle, ile trzeba. Musicie nauczyć się patrzeć w przyszłość. Skutki tej reorganizacji będą całkiem odwrotne od zamierzonych. Nie skończy się wcale na tym, że będzie patrzeć z góry, jak robota sama się za was odwała. Będziecie w głębokiej dziurze, przysypani papierami. Bo ta jednostka będzie kozłem ofiarnym. Wszyscy będą nam o wszystkim meldować, więc jeśli cokolwiek się spieprzy, to będzie nasza wina, bo nie zadziałaliśmy w porę. Dlatego musicie mieć bardzo agresywne podejście do papierkowej roboty. Jeśli się zawahacie, pochłonie was.

– Tak jest, panie majorze.

– I dlatego też musicie ufać swojej intuicji. Wybierać te sprawy, która są naprawdę ważne. Nie ma czasu na dokładną analizę wszystkich. Jesteście agresywną osobą, która ufa swojej intuicji, sierżancie?

– Chyba jeszcze w za małym stopniu, panie majorze.

– Co jest na tej kartce, którą trzymacie w ręce?

– To faks, panie majorze. Informacje o przydziałach pułkownik Crawford.

– Przeczytaliście to po drodze?

– Tak, panie majorze.

– I?

– Była w Wydziale Planów Wojennych. Teraz współpracowała ze szkołą operacji specjalnych w Fort Smith.

– I co nam to mówi?

– Nie wiem, jak to ująć, panie majorze.

– Własnymi słowami, sierżancie.

– Typowa mądrała.

– Mądrała do kwadratu. Plany Wojenne to szczególny wydział. Zwykle mądrale nawet nie mają tam wstępu. Mówimy tu o prawdziwych bystrzakach. Zastrzelona. Powinniśmy się martwić?

– Myślę, że tak, panie majorze.

– Intuicja. – Reacher pokiwał głową. – Cudowna rzecz.

– Jakież konkretne działania?

– Zaczniście odgrywać złych gliniarzy przed chłopakami ze Smith. Powiedźcie im, że potrzebujemy więcej informacji, i to szybko. Właściwie każcie im przesłać kopie wszystkiego, co mają. Kompletne akta, jak w przepisach.

– Zdaje się, że nie wiadomo jeszcze, czy będziemy prowadzić tę sprawę.

– Udawajcie, że wszystko jest ustalone. Muszą się nauczyć, że tak to zawsze będzie wyglądać.

– Tak jest, panie majorze.

– I zamknijcie za sobą drzwi.

Sierżant wypełnił jego polecenie. Reacher sięgnął po słuchawkę i wybrał numer. Pentagon.

Przypuszczał, że to telefon do recepcji przed gabinetem, gdzie z pewnością dyżurował jakiś sierżant.

– Jest tam? – spytał Reacher. – Mówi jego brat.

– Chwileczkę, panie majorze.

Potem Reacher usłyszał wołanie, przytłumione dłonią, którą sierżant zakrył słuchawkę:

– Joe, twój brat na drugiej linii.

Potem ciche kliknięcie i głos Joego:

– Jesteś jeszcze w Ameryce Środkowej?

– Nie, ściągnęli mnie stamtąd i wysłali do Benning, bo nowy komendant miał po drodze wypadek.

– Co jest w Benning?

– Nowa jednostka po reorganizacji. Dostajemy masę raportów. Możemy nad tym zapanować tylko dzięki odpowiedniej selekcji. Dlatego właśnie dzwonię. Potrzebuję trochę informacji o Wydziale Planów Wojennych. Gdzie indziej musiałbym na to czekać cały dzień.

– Co się dzieje w Planach Wojennych?

– Zginęła ich pracownica.

– Czym ty się właściwie zajmujesz w tym Benning?

– Nowa jednostka ma nadzorować wszystkie śledztwa kryminalne w okręgach wojskowych na południowym wschodzie. Prawdopodobnie wcześniej czy później zmieni się w jedną wielką szafę z papierami.

– Kto miał tam dowodzić?

– Facet nazywa się David Noble. Nie poznałem go. Prawdopodobnie zasnął za kółkiem. Za bardzo mu się tu spieszyło.

– Więc ty zająłeś jego miejsce.

– Los tak chciał.

– A jak się nazywała ta kobieta z Planów Wojennych?

– Caroline Crawford.

– Więc ty będziesz prowadził śledztwo w tej sprawie.

– Ktoś będzie musiał to zrobić.

– Jak zginęła?

– Została zastrzelona na leśnej drodze.

– Kto to zrobił?

– Nie wiemy.

– Była wielką gwiazdą. Na pewno zaszłyby wysoko – powiedział Joe. – Mierzyła co najmniej w generała broni, pewnie dostałaby się też do Połączonego Kolegium Szefów Sztabów.

– Czym się zajmowała?

– Zimna wojna może się rozwijać w trzech kierunkach. Albo dojdzie do zaostrzenia konfliktu, albo nic się nie zmieni, albo też Związek Radziecki

rozpadnie się pod własnym ciężarem. Człowiek rozsądny i zapobiegliwy weźmie pod uwagę ten trzeci scenariusz i będzie się zastanawiał, co nastąpi po upadku Sowietów. A nastąpią małe wojny. Przeciwno upierdliwym krajom rządonym przez idiotów. Głównie na Bliskim Wschodzie. Caroline Crawford zajmowała się Irakiem. Pracowała nad tym długo i ciężko, ale rezultaty były fantastyczne. Zostałaby autorką doktryny bliskowschodniej. Pracownik Planów Wojennych nie może marzyć o niczym więcej.

– Zakładam, że to wszystko działo się za zamkniętymi drzwiami. I że w związku z tym nie muszę szukać irackich zabójców.

– Rozsądek podpowiadałby, że Irakijczycy nie wiedzieli, kim jest Crawford. Jak sam zauważyłeś, wszystko działo się za zamkniętymi drzwiami, a właściwie za całym szeregiem mocno zatrzaśniętych drzwi. Poza tym była zbyt młoda i zbyt niska stopniem, żeby przyciągnąć ich uwagę.

– Jacyś zewnątrzni wrogowie? – spytał Jack.

– Co masz na myśli?

– Wrogów Stanów Zjednoczonych. Armii albo całego narodu.

– Nic nie przychodzi mi do głowy.

– Rozumiem. Dzięki. U ciebie wszystko dobrze?

– Co z tym zrobisz? – odpowiedział pytaniem Joe.

– Z czym?

– Ze sprawą Crawford.

– Pewnie nic. To chyba nie moja jurysdykcja, więc zajmie się tym policja stanowa. Zdaje się, że w Atlantycie otworzyli nowe prosektorium. Są z niego bardzo dumni. Z taką ofiarą będą się czuli jak właściciele teatru, który dostaje najlepsze sztuki.

– Tak, u mnie wszystko dobrze. Masz czas, żeby wpaść do mnie na kolację?

– To przecież z tysiąc pięćset kilometrów.

– Nie, dokładnie tysiąc sto siedem. Nie tak daleko.

– Może wpadnę na weekend.

– Daj znać, co ze sprawą Crawford. To znaczy, jeśli pojawi się coś dziwnego. To też część mojej pracy, rozumiesz.

– Jasne – odparł Reacher i odłożył słuchawkę.

W futrynę drzwi zapukał sierżant. Wszedł do gabinetu i położył na biurku przefaksowany raport oraz kilka zdjęć.

– Przysłała to żandarmeria z Fort Smith. To wszystko, co na razie mają. Wiemy tyle co oni.

– Przeczytaliście to po drodze?

– Tak jest, panie majorze.

– I?

– Na drodze są ślady opon i butów. Pewnie zatrzymał ją drugi samochód. Sprawca to prawdopodobnie wysoki mężczyzna z dużymi stopami, który stawia długie kroki. Co ciekawe, na miejsce zbrodni przyjechali też prawnicy z JAG. Ofiara została postrzelona trzykrotnie, dwa razy w pierś i raz w głowę.

– Dobra robota, sierżancie.

– Dziękuję – odpowiedział mężczyzna i wyszedł z biura. Minutę później weszła tam Frances Neagley.

• • •

Neagley miała posturę boksera wagi muszej, lecz bez trudu pobiłaby znacznie większego zawodnika, gdyby tylko nie pilnował jej sędzia. Była w mundurze polowym, czystym i wyprasowanym. Miała krótko przycięte, ciemne włosy i świeżą opaleniznę. Najwyraźniej spędziła zimę w ciepłych krajach.

– Słyszałam o zabitej mądrali – powiedziała.

Reacher uśmiechnął się do siebie. Podoficerska poczta pantoflowa.

– Co u ciebie?

– Kiepsko. Przerwałeś mi łatwy tydzień w Fort Bragg. Praktycznie wakacje.

– Co tam robiłaś?

– Ochraniałam dowództwo sił specjalnych. Równie dobrze poradziliby sobie beze mnie. Co nie znaczy, że nie cieszę się z tego spotkania.

– Co wiesz o Fort Smith?

– Teoria i praktyka wojny partyzanckiej. Nazywają to szkołą.

– Po co trzymają tam na stałe prawników z JAG?

– Pewnie potrzebują ich do zajęć praktycznych. Zasady walki i tak dalej. To ma być nowatorskie przedsięwzięcie.

– Mój brat mówi, że ta zabita mądrala pracowała nad nową doktryną dla Bliskiego Wschodu. Chciała stworzyć plan B. Jeśli nie wybuchnie duża wojna, będziemy mieli kilka mniejszych. Być może zaczniesz się od Iraku. Ta babka chciała chyba wciągnąć w to siły specjalne. Oni nie pasują do dużej wojny, sprawdzają się tylko w tych małych. Ktoś mówił o tym w Bragg?

Neagley pokręciła głową.

– Takie rzeczy zaczynają się w Smith. To trochę jak wywiad. Trzeba przeniknąć do serca decydentów. Albo jak kampania polityczna. Musisz zbudować swój elektorat, zdobyć poparcie.

– Rozumiem. Więc jeśli ona wygra, to kto przegra?

– Nikt. Nie zabrałaby środków przeznaczonych na dużą wojnę. Dostałaby dodatkowe. Prezydent jest republikaninem.

– Więc była kobietą bez wrogów.

– Była bogata – zauważyła Neagley. – Wiedziałaś o tym?

– Nie.

– Ludzie mówią, że ma dzianą rodzinę. Kupiła sobie sportowy samochód, żeby uczcić awans.

– Jaki?

– Niemiecki.

– Volkswagena?

– Chyba nie.

Reacher zajrzał do przefaksowanego raportu.

– Porsche – powiedział. – W nim ją znaleźli.

Przejrzał szybko resztę raportu. Słowa, mapy, wykresy. I zdjęcia. Błoto, ślady, rany. Podał raport Neagley. Ona również go przejrzała, w takiej samej kolejności, słowa, mapy, wykresy, błoto, ślady i rany.

– Dwa w pierś i jeden w głowę. To egzekucja – stwierdziła.

Skinął głową.

– Kobieta bez wrogów. Ale nie do końca. Bo to nie było przypadkowe zabójstwo. I nie napad rabunkowy. Nie zrobił tego jakiś zwykły oprych, inaczej zabrałby samochód, jeździł nim do rana, a potem spalił.

– Dwa w pierś i jeden w głowę to wojskowy standard. W określonych okolicznościach i w niektórych jednostkach. Możesz to sprawdzić.

– To wyłącznie wojskowa praktyka?

– Chyba nie.

– W Georgii mieszka mnóstwo weteranów. Nie powinniśmy zbyt ograniczać puli podejrzanych. Nie możemy mieć kłapek na oczach.

Neagley spojrzała na ostatnią stronę raportu.

– Równie dobrze możemy założyć te kłapki. To nie nasza sprawa. Zajęła się tym policja stanowa.

– Ilu bogatych ludzi pracuje w armii?

– Niewielu.

– Ilu z nich jest przy tym na tyle bystrych, żeby błyskawicznie awansować?

– Bardzo niewielu.

– Myślisz więc, że to było przypadkowe zabójstwo?

– Nie. Przepadkowy zabójca nie strzelałby w ten sposób.

– Więc ktoś celowo zwabił ją w pułapkę i wykonał egzekucję.

– W błocie widać ślady opon. Facet zaparkował w poprzek drogi. Podjechał parę razy do przodu i do tyłu, żeby to lepiej wyglądało. Potem wysiadł i czekał. Miał duże stopy. W ten sposób możemy ograniczyć liczbę podejrzanych. Facet nosi buty o rozmiarze czterdzieści dziewięć.

Reacher z powrotem wziął od niej raport i otworzył go na mapach. Nie był to plan w rodzaju tych, jakie można kupić na stacji benzynowej, lecz szczegółowa wojskowa mapa topograficzna, na której odwzorowano lasy, strumienie, drogi i ścieżki.

– Ale ta droga prowadzi donikąd – zauważył. – Może to tylko przecinka. Nie ma żadnego logicznego powodu, żeby z niej korzystać. Trzeba do niej dojechać, a potem wrócić do głównej szosy, żeby gdziekolwiek się dostać. Logicznie rozumując, nikt nie mógł przewidzieć, że ona pojedzie właśnie tędy. Z każdym kolejnym rozjazdem prawdopodobieństwo maleje. Mogła skorzystać z którejkolwiek innej drogi. Szanse, że wybierze właśnie tę, wynosiły w najlepszym wypadku jeden do dziesięciu. A kto zastawia pułapkę w miejscu, do którego ofiara prawie na pewno nie pojedzie? To chyba jednak było przypadkowe zabójstwo.

– Więc zostawmy je policji stanowej. Pewnie będą szukać po numerze buta. Ten facet to chyba jakiś koszykarz. Jaki nosisz numer?

– Czterdzieści pięć.

– To dużo czy mało?

– Nie wiem.

– No dobrze, a na przykład Joe?

Reacher nie odpowiedział.

– Co? – zaniepokoiła się Neagley.

– Nic, przepraszam, myślałem o czymś.

– O czym?

– O nawykach Joego związanych z obuwiem. Nosi chyba taki sam numer jak ja. Może o pół numeru większy.

– Jest też o trzy centymetry wyższy, o ile dobrze pamiętam, i do tego przystojniejszy, możemy więc przyjąć, że faceci waszego wzrostu zwykle noszą numer czterdzieści pięć albo czterdzieści sześć. Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę jakieś genetyczne wahania i zaokrąglimy to do rozmiaru czterdzieści siedem, to musimy założyć, że facet z takimi stopami nie jest niższy od was, a prawdopodobnie wyższy, co oznacza, że to jakiś potwór, który mieszka w lesie. Raczej łatwo będzie go znaleźć i wyeliminować innych podejrzanych. Policja stanowa na pewno sobie z tym poradzi.

– Mamy to nadzorować. Prawnicy z JAG załatwili nam dostęp.

– Zdaje się, że dostaliśmy już pełną dokumentację z Fort Smith.

– Musimy chyba być aktywniejsi.

– W jaki sposób?

– Skuteczny. Z jednej strony, to musiało być przypadkowe zabójstwo, a z drugiej, nie mogło takie być. Mamy tu całą masę założeń, ale przynajmniej jedno z nich jest błędne. Wcześniej czy później, będziemy musieli to rozgryźć. Bo policja stanowa nas o to zapyta. I to raczej wcześniej niż później. To pewne jak amen w pacierzu.

– Rozumiem. Zrobimy, co będziemy mogli. Niedługo powinniśmy też dostać wyniki sekcji.

• • •

Wyniki autopsji, które nadeszły dwie godziny później, potwierdzały to, czego wszyscy się spodziewali. Poza tym zdrowa. Do zgonu doprowadził prawdopodobnie już pierwszy strzał w pierś. Sprawca nie mógł być tego pewien, więc strzelił jeszcze dwukrotnie. Trójkąt równoramienny o wąskiej podstawie. Pierś, pierś, głowa. Sprawa załatwiona.

Wszystkie trzy pociski znaleziono w porsche. Były zniekształcone, ale niemal na pewno były to parabellum kalibru dziewięć milimetrów. Rana wlotowa na czole miała dokładnie dziewięć milimetrów. Kąt strzału również pasował do sytuacji, w której wysoki mężczyzna strzelał do kobiety siedzącej w samochodzie, co z kolei pasowało do zdjęć wykonanych na miejscu zbrodni. Duże stopy podeszły bliżej, potem przesuwały się kilka razy w miejscu, prawdopodobnie podczas rozmowy, a następnie cofnęły się o krok i lekko rozsunęły. Na chwilę prawdy. Pistolet kalibru dziewięć milimetrów nie miał silnego odrzutu, ale przed

strzałem zawsze lepiej przybrać stabilną pozycję. Reacher ocenił, że strzały oddano z niecałych trzech metrów. Precyzyjnie. Pierś, pierś, głowa. Trudno chybić z takiej odległości. Na drodze nie znaleziono żadnych łusek. Facet je pozbiarał, a potem odjechał swoim samochodem.

Wszystko zrobione sprawnie i umiejętnie.

Egzekucja.

– Opis kariery dość typowy jak na mądralę – powiedziała Neagley. – Gwiazda roku w West Point. Przyzwoita sprawność fizyczna, ale jeszcze lepsza intelektualna. Dlatego zawsze przydzielano ją do pracy za biurkiem. Cały czas pięła się w górę, ale naprawdę rozkwitła dopiero w Wydziale Planów Wojennych. Jakoś wyjątkowo jej to pasowało. Usamodzieliła się. Trochę rozluźniła. Zaczęła nawet wydawać pieniądze. Może wcześniej czuła się z tym głupio. Wtedy zaczęła kupować mundury na miarę.

– Wiesz już coś o pieniądzach? – spytał Reacher. – Skąd je właściwie miała?

– Myślisz, że chodziło o pieniądze?

– Kto wie? Z bogatymi ludźmi nigdy nic nie wiadomo. Nie są tacy jak ty czy ja.

– Muszę skontaktować się z rodziną. Dziś to oczywiście nie będzie łatwe. Poza tym musimy przestrzegać procedur. Skończy się pewnie na rozmowie z rodzinnym prawnikiem. Nie szkodzi. Takie sprawy bywają skomplikowane, więc pewnie i tak będziemy go potrzebować.

– Jakies ciekawe wieści od policji stanowej?

– Szukają wysokiego faceta z dużymi stopami. Niekoniecznie wojskowego. Mają otwarte umysły. Wiedzą, że jest tu sporo weteranów. I mnóstwo dzieciaków, które widziały w telewizji wszelkiego rodzaju egzekucje. I które mają broń. I samochody.

– Motyw?

– Napad rabunkowy. Facet zarzuca sieć i czeka na ofiarę. Coś jak łowienie ryb w leniwe popołudnie.

– Na drodze donikąd?

– Mówią, że ludzie czasami jeżdżą tą drogą. Ona ją wybrała.

– Małe prawdopodobieństwo.

– Ale odosobnione miejsce.

– Niczego nie ukradziono.

– Sprawca spanikował i uciekł.

– Policja naprawdę w to wierzy?

– Nie. To uprzejma hipoteza. Stają na głowie, żeby zachować obiektywizm, bo prawnicy z JAG patrzą im na ręce. Ale podobno są pewni, że to żołnierz. Przypuszczają, że chodziło o sprawę sercową, bo nie powiedziano im jasno, jaka była z niej mądrala.

– Rzeczywiście mogło chodzić o sprawy sercowe?

– Nic nie wskazuje na to, żeby miała chłopaka, teraz czy wcześniej. Albo dziewczynę.

– Kobieta bez wrogów. Ona wygrywa, nikt nie przegrywa. Dodatkowe środki. Wszystko pięknie. Ale nie do końca. Jeden z tych faktów to fałsz. Tylko który?

– Powiedziałeś przed chwilą, że to było przypadkowe zabójstwo. Droga donikąd.

– Jaki samochód miał zabójca? Wiedzą?

– Wiadomo, że jeździł na oponach Firestone w przeciętnym rozmiarze. Używa się takich do średniej wielkości samochodów osobowych i pick-upów. I zanim zapytasz, powiem ci, że owszem, wojsko też takich używa. Są nawet na samochodzie, którym tu przyjechałam.

– Przyjechałaś z Fort Bragg samochodem?

– To nie tak daleko. W odróżnieniu od ciebie normalni ludzie lubią prowadzić.

– Poproszą nas o listę numerów butów z Fort Smith – mruknął Reacher. – I to lada moment.

– W Smith stacjonują tylko siły specjalne. Ci faceci zwykle są drobniejsi od przeciętnych żołnierzy. Założę się, że wszyscy noszą numer czterdzieści dwa.

– Nie o to chodzi. Nie możemy im dać czegoś takiego. Nie bez prawników. Będą negocjować całymi miesiącami. Ta sprawa zamieni się w koszmar.

• • •

Pół godziny później dostali faksem szczegółowy opis sekcji zwłok, a chwilę później nowy raport z Fort Smith. Lekarz sądowy w Atlancie zmierzył ciało, zważył, zbadał i prześwietlił. Crawford była szczupła, lecz umięśniona. Wszystkie narządy wewnętrzne w doskonałym stanie. W dzieciństwie miała złamany prawy obojczyk i prawe przedramię, o czym świadczyły ślady na zrośniętych kościach. Niedawno przeszła też kosmetyczny zabieg dentystyczny.

Badania toksykologiczne niczego nie wykazały, lekarz nie znalazł również śladów stosunku seksualnego. Crawford nigdy nie była w ciąży. Serce i płuca jak u nastolatki. Wszystko w najlepszym porządku – z wyjątkiem kul.

Teleks z Fort Smith był przejawem inicjatywy tamtejszych żandarmów, którzy przygotowali opis działań Crawford z zeszłego tygodnia. Z całych siedmiu dni, które spędziła na nowej placówce. Dużo gadania. Mnóstwo spotkań. Różne cele, różni rozmówcy. Nie tylko oficerowie. Kontaktowała się także z podoficerami i szeregowcami. Dwa razy jadła kolację w kantynie, pięć razy poza fortem. Zasięgnęła rady u pracowników kantyny, wychodząc ze słusznego założenia, że skoro służą w Smith dłużej niż inni żołnierze, to na pewno znają też okoliczne lokale. Większość z nich znajdowała się co najmniej o godzinę jazdy od bazy, przy drogach prowadzących przez las. Reacher sięgnął ponownie do map i odszukał wszystkie tego rodzaju punkty – były wśród nich zwykle bary, grille, restauracja rodzinna, a nawet kino. Do każdego z nich można było dojechać różnymi, dość określonymi trasami o podobnej długości. Miejscowe drogi miały służyć potrzebom związanym z leśnictwem, a nie ułatwiać dojazd nielicznym mieszkańcom. Zastanawiano się, czy nisko zawieszona porsche poradzi sobie na leśnych traktach, ale Crawford nie zgłaszała żadnych problemów. Pięciokrotnie wyjeżdżała i wracała bezpiecznie. Młody oficer sztabowy, który wyrwał się w końcu z Waszyngtonu i chciał poużywać życia. Reacher widział to już nieraz.

Do gabinetu weszła Neagley.

– Nie mogą znaleźć jej rodziców – oznajmiła. – Przypuszczają, że ojciec nie żyje, ale nie są pewni. I nie mają numeru do matki. Ani jej adresu. Nadal szukają.

W drzwiach pojawił się miękki sierżant z teleksem w ręce.

Policja stanowa Georgii aresztowała podejrzanego.

Nie był to żołnierz.

Ani weteran.

• • •

Reacher zadzwonił do Fort Smith, by dowiedzieć się czegoś więcej. Podejrzany był Afroamerykaninem, który mieszkał samotnie w chacie na błotnistym brzegu jeziora położonego sześćdziesiąt kilometrów na północny zachód od fortu. Miał dwa metry i pięć centymetrów wzrostu i nosił buty w rozmiarze czterdzieści dziewięć. Jeździł pick-upem, fordem rangerem, z oponami Firestone, i miał pistolet kalibru dziewięć milimetrów.

Wszystkiemu zaprzeczył.

Reacher podniósł wzrok na stojącego przed nim sierżanta i powiedział:

– Teraz wy tu dowodzicie, żołnierzu. Sierżant Neagley i ja jedziemy do Fort Smith.

• • •

Pojechali służbowym samochodem Neagley z Bragg, zielonym chevroletem z oponami Firestone. Fort Smith leżał na wschód od Benning, w odległości około stu siedemdziesięciu kilometrów. Większość trasy prowadziła przez las, za oknem auta przesuwały się wiosenne, jasnozielone liście oblane słonecznym blaskiem.

– Nazwiemy to teorią zarzucania sieci – powiedział Reacher. – Coś jak wędkowanie w leniwe popołudnie. Co jakiś czas facet przyjeżdża tu znad jeziora, zasadza się na bocznej drodze i łapie coś. Jak Robin Hood. Albo ogr spod mostu. Robi to w każdą pełnię księżycy. Albo kiedy jest głodny. Albo jeszcze kiedy indziej. Jak w bajce.

– A może przyjeżdża tu codziennie, ale tylko czasami coś łapie. To też możliwe. To lasy Georgii. Pomyśl o kradzieży samochodów w Los Angeles. Albo napadach rabunkowych w Nowym Jorku. Normalka. Może to lokalna wersja. Dostosowana do otoczenia.

– Więc dlaczego złodziej samochodów nie zabrał samochodu? Dlaczego zastrzelił Crawford z zimną krwią?

– Nie wiem.

– I dlaczego ona w ogóle się zatrzymała?

– Bo zablokował drogę.

– Nie musiała podjeżdżać tak blisko, żeby pogadać z tym facetem. To, że służyła w Planach Wojennych, nie oznacza jeszcze, że była kompletną idiotką. Studiowała w West Point. Jest kobietą, jedzie sama. Powinna była się zatrzymać jakieś sto metrów od niego i ocenić sytuację.

– Może to zrobiła.

– Tak czy nie?

– Tak. Zrobiła. Była kobietą i jechała sama.

– W takim razie doszła do wniosku, że facet nie stanowi zagrożenia. Podjechała do niego i otworzyła okno. Zrobiłaby to w obecności dziwnego, wielkiego mężczyzny, którego nie widziała nigdy wcześniej? Z zepsutym pick-upem? Na pewno widziała takie filmy. Z piłami łańcuchowymi i muzyką na banjo.

– No dobrze, więc nie bała się tego faceta. Może go znała. Albo wydawało jej się, że go zna. Albo znała ten typ.

– Otóż to – zgodził się Reacher. – A to znaczy, że był żołnierzem. Prawdopodobnie w mundurze. Może nawet miał wojskowy samochód. Nie mógł być znacznie niższy rangą od niej. Może miał taki sam stopień albo nawet wyższy. Tylko wtedy czułaby się swobodnie w jego towarzystwie. To było skomplikowane przedsięwzięcie. Muszę wytypować właściwego faceta. Inaczej nie będzie to miało sensu. A nauczyłem się już, że dużo łatwiej złapać właściwego faceta, jeśli nie łapie się niewłaściwego.

– Powiedzą, że ten facet ma odpowiednie opony.

– Jak milion innych ludzi.

– I ma odpowiednie naboje.

– Jak milion innych ludzi.

– I ma odpowiednie stopy.

• • •

Neagley sporo czytała o badaniach dotyczących pierwszego wrażenia, tych bezlitosnych ułamków sekundy, gdy jeden człowiek nieświadomie i błyskawicznie ocenia drugiego, stosując milion różnych kryteriów, niczym komputer, by potem podjąć prostą i jednoznaczną decyzję, tak czy nie, powinienem zostać czy uciekać? Niestety, człowiek zatrzymany przez policję wywierał fatalne pierwsze wrażenie, i to pod każdym względem. Neagley wiedziała, że definicja zagrożenia stosowana przez Crawford różniła się zapewne o cały rząd wielkości od tego, co sama uznawała za niebezpieczne, ale nawet ona trzymałaby się od tego człowieka z dala, a jeśli już musiałaby się zbliżyć, robiłaby to bardzo ostrożnie, zamknąwszy najpierw drzwi na klucz i trzymając w ręce pistolet.

Zobaczyli podejrzanego w areszcie biura szeryfa hrabstwa, które znajdowało się zaledwie o dziesięć minut jazdy od Fort Smith. Mężczyzna najwyraźniej miał jakieś zaburzenia wzrostu, być może związane z nieprawidłowym funkcjonowaniem przysadki, z nadmiarem jakiegoś hormonu. Powinien mieć

przeciętne rozmiary, ale długie kości w jego rękach i nogach rozrosły się znacznie bardziej, niż planowała to natura. Miał olbrzymie dłonie i stopy, a także bardzo długą twarz z wydatną, spiczastą brodą i wąskim czołem.

– Ma już adwokata? – spytał Reacher.

– Zrzekł się – odpowiedział szeryf. – Mówi, że niewinni ludzie nie potrzebują adwokatów.

– Może chce, żebyśmy go uznali za niepoczytalnego.

– Nie, chyba naprawdę tak myśli.

– Więc może to prawda. Czasami podejrzani okazują się niewinni.

– Ma odpowiednie stopy, broń i opony. To rzadkie połączenie.

– Facet z takimi wielkimi dłońmi woli strzelbę.

– Powiedział nam, że ma dziewiątkę.

– Być może. Ale czy jej używa?

– Myśli pan, że powinienem go zapytać? Wiadomo przecież, co powie.

– Porównaliście obuwie?

– Mamy tylko zdjęcia. Deszcz wszystko rozmył, a zresztą i tak nie moglibyśmy zrobić odlewów. Takie błoto się do tego nie nadaje. To raczej płynny torf. Zbyt gąbczasty. W imieniu stanu Georgia przepraszam za kiepską jakość błota. Wiem, że nie tego oczekiwaliście. Ale zmierzylismy ślady linijką. To były buty w rozmiarze czterdzieści dziewięć. Dokładnie takie, jakie miał ten facet, kiedy go tu przywieźli.

– Więc opon też nie możecie dopasować. Nie precyzyjnie. Nie porównacie stopnia zużycia bieżnika ani drobnych uszkodzeń.

– Na podstawie zdjęć można jednoznacznie ustalić markę.

– Mówił, gdzie wtedy był?

– W domu, sam. Żadnych świadków.

– Więc sprawa jest zamknięta?

– Policja stanowa wyraża głębokie zadowolenie z wyników śledztwa, ale sprawa nie jest zamknięta, dopóki nie postanowi tak ława przysięgłych.

– Więc nadal szukają podejrzanych?

– Nie tak energicznie jak wcześniej. W czym problem, majorze?

– Facet mieszka sam w chacie na odludziu. Wie pan dlaczego? Bo ludzie się go boją. Nawet nie chcą na niego patrzeć. Jest odrażający. Słyszy to już od dzieciństwa. Takie problemy ze wzrostem zaczynają się bardzo wcześnie. Więc dlaczego miałyby zarabiać na życie jako wygadany oszust, który wabi przypadkowych kierowców złudnym poczuciem bezpieczeństwa? Jak mógłby oczekiwać, że sprawdzi się w tej roli, skoro przez całe życie traktowano go w taki, a nie inny sposób? Uważam, że jest brzydki, ale niewinny. Właściwie uważam, że jest niewinny, bo jest brzydki.

– Wielu ludzi wygląda trochę dziwnie. Ale jakoś nie przeszkadza im to robić złych rzeczy.

– Często zdarzają się tu takie napady? Macie z tym problem? Ludzie nagminnie udają, że zepsuł im się samochód, żeby kogoś obrabować?

– Nigdy wcześniej się z tym nie spotkałem.

- Więc ten facet sam to wymyślił?
- Ma odpowiednie stopy, broń i opony – powtórzył szeryf. – To rzadkie połączenie.

•••

Dali Reacherowi pokój Caroline Crawford w kwaterach oficerskich dla gości. Żandarmeria zabrała stamtąd wszystkie rzeczy zmarłej, potem całe pomieszczenie starannie wysprzątało. Niektóre powierzchnie były jeszcze wilgotne. Neagley zamieszkała w kwaterach podoficerskich. Spotkali się z samego rana w jej kantine, a po śniadaniu i kawie poszli do biura żandarmerii, by spojrzeć na mapy. Funkcję dowódcy pełnił kapitan Ellsbury, człowiek niezwykle sumienny i dumny – całkiem słusznie – ze swej sprawnie zarządzanej jednostki. Pokazał im wszystkie mapy, jakimi dysponował, między innymi rządowe plany, które widzieli już wcześniej – zszyte w atlas mapy topograficzne o dużej skali, a nawet darmową mapkę AAA południowej części stanu.

Reacher zaczął od drugiego końca potencjalnej podróży Crawford, czyli od miejsca nazwanego na rządowej mapie po prostu barem, a na znacznie starszym topograficznym planie – Negro Night Club. Lokal znajdował się w odległości niecałych pięćdziesięciu kilometrów od Fortu. Mniej więcej godzina jazdy samochodem, biorąc pod uwagę skomplikowaną sieć dróg. Nie dało się tam dojechać bezpośrednio, jedną drogą. Potencjalny klient z Fort Smith mógł wybrać jedną z dziesięciu tras, wszystkie równie kręte i niedogodne. Ta wybrana przez Crawford nie miała żadnych zalet, które stawiałyby ją ponad innymi, przynajmniej jeśli chodzi o odległość. Właściwie musiałyby nadłożyć ze dwa kilometry, gdyby chciała dojechać nią do klubu.

- Dlaczego facet z wielkimi stopami zastawił pułapkę właśnie tutaj? – zastanawiał się głośno Reacher. – Przecież mógłby tam czekać całymi dniami na jakiś samochód. A gdyby się w końcu doczekał, to najpewniej trafiłby na żołnierzy. Stąd. Co to za plan? Postanowił zarabiać na życie, napadając na komandosów z Delta Force i rangersów? Powodzenia...

- Dlaczego ktokolwiek miałby tam zastawiać pułapkę? – odpowiedział mu pytaniem Ellsbury. – Ale wiemy, że jednak to zrobił.

- Myślisz, że to ten facet, którego przymknęli? Dwa strzały w pierś i jeden w głowę? To wyuczona technika. W środek ciężkości, przesunąć na lewo, drugi raz w środek ciężkości, przesunąć w górę, jeszcze raz w głowę, na wypadek, gdyby strzały w pierś nie były śmiertelne. To precyzyjna, przeciwiczna procedura.

- Uczą jej też tutaj. Ale wiadomo, gdzie wszyscy przebywali, kiedy Crawford stąd wyjechała. Na pewno nie zaczął się na nią żaden z naszych ludzi.

- Wątpię też, żeby był to ten facet z zaburzeniami wzrostu, które przekładają się też pewnie na problemy ruchowe.

- Ma opony, broń i wielkie stopy. Jest dziwnym czarnym facetem, który mieszka samotnie na odludziu. Mamy rok osiemdziesiąty dziewiąty, ale to

Georgia. Czasami nadal jest tu pięćdziesiąty dziewiąty. Ten gość im wystarczy. Nie będzie pierwszy ani ostatni.

– Chcę zobaczyć tę drogę na własne oczy – powiedział Reacher.

• • •

Neagley prowadziła, Reacher siedział obok niej, a Ellsbury z tyłu. Na pierwszym rozwidleniu zjechali z drogi hrabstwa, przez chwilę kluczyli w sieci innych, aż w końcu wyjechali na wąską asfaltową szosę pośród drzew, prostą i zalaną słońcem. Po ostatnich deszczach błoto na poboczach znów było gładkie i nienaruszone. Ellsbury patrzył do przodu między siedzeniami. Kiedy pokonali łagodny zakręt, wskazał na miejsce odległe o jakieś trzysta metrów.

– To tam – oznajmił.

Neagley miała mnóstwo miejsca na ocenę sytuacji i potencjalnego zagrożenia. Wyobraziła sobie, że dostrzega zepsuty samochód, zwolniła i w leniwym tempie pokonała odcinek dzielący ją od miejsca zbrodni. Mogła się zatrzymać w odległości dwustu metrów albo stu, albo pięćdziesięciu, albo gdzie tylko zechciała. Zahamowała dokładnie w punkcie wskazanym przez Ellsbury'ego. Nie było tu czego oglądać. Błoto było gładkie, tu i ówdzie widniały tylko małe wyżłobienia pozostawione przez krople deszczu. Ale ślady utrwalone na fotografiach nie pozostawiały wątpliwości. Parkował tu samochód, ustawiony w poprzek wąskiej drogi, wysiadł z niego facet, który stał przed pojazdem i prawdopodobnie udawał, że zagląda pod maskę.

Wszyscy wysiedli, zostawiając nowe ślady, głębokie i ociekające wodą tam, gdzie warstwa błota była gruba, a płytkie i niewyraźne tam, gdzie była cienka. Reacher obejrzał się za siebie, a potem popatrzył do przodu.

– W porządku – rzucił. – To mi wystarczy.

Potem ponownie spojrzął do przodu, bo zbliżał się do nich samochód. Czarno-biały. Radiowóz. Policja stanowa. Reflektor przy drzwiach, kogut na dachu, jak mały czerwony kapelusik. Jeden funkcjonariusz.

Radiowóz zatrzymał się przed samochodem Neagley, maska w maskę. Wysiadł z niego młody policjant o jasnych włosach i czerwonej twarzy. Zbudowany jak półtusza wołowa. Miał małe, głęboko osadzone oczy, które nadawały mu wygląd małostkowego złośliwca.

– Wojsko ma nas informować z wyprzedzeniem o wizytach na miejscu zbrodni – oświadczył.

– Pracujesz nad tą sprawą? – spytał go Reacher.

– Chciałem tylko zobaczyć, z ciekawości.

– Więc spadaj.

– Słucham?

– Spadaj.

Policjant podszedł bliżej i spojrzął na pierś Reachera. *U.S. Army. Reacher.*

– To ty jesteś tym chłoptasiem, któremu nie podoba się nasze śledztwo – powiedział.

– Jestem chłoptasiem? – powtórzył Reacher.

– Myślisz, że złapaliśmy niewłaściwego faceta.

– A ty myślisz, że złapaliście właściwego?

– Jasne. To logiczne. Wielu ludzi ma opony Firestone i wielu ludzi ma dziewięćmilimetrową amunicję, ale niewielu ma stopy w rozmiarze czterdzieści dziewięć, więc taki zbieg okoliczności to jak trzy wisienki w automacie do gry.

– Czy ten facet dostanie adwokata?

– Oczywiście. Z urzędu.

– Czy obrońca z urzędu jest idiotą?

– Oczywiście, że nie.

– Nie martwi cię to? Nie sądzisz, że argument z trzema wisienkami zostanie obalony w ciągu trzech sekund? Byłeś chory, kiedy uczyli myślenia?

– Jesteś nieuprzejmy.

– Jeszcze nie – odparł Reacher. – Zauważysz różnicę.

– To droga publiczna. Mógłbym cię aresztować.

– Teoretycznie to możliwe. I równie prawdopodobne jak to, że pójde na randkę z Miss Ameryki.

– Zamierzasz stawiać opór?

– A może to raczej ja cię aresztuję?

– Za co?

– Jestem pewien, że coś wymyślimy. Trochę tego, trochę tamtego. Znajdziemy nasze trzy wisienki.

– Spróbuj – warknął policjant.

Podszedł do przodu i wyprostował ramiona. *Miejscowi cywile z bronią, którzy chcieli udowodnić, że i oni potrafią być twardzi.*

– Sierżant Neagley, aresztujcie tego człowieka – polecił Reacher.

Podeszła i stanęła twarzą w twarz z mężczyzną.

– Pochylę się teraz i wyjmę pańską broń z kabury – powiedziała.

– Nie wydaje mi się, paniusiu – prychnął policjant.

– Jeśli będzie pan mi w jakikolwiek sposób przeszkadzał, założę panu kajdanki.

Odepchnął ją.

Co było poważnym błędem, i to na kilku różnych poziomach. Regulamin żandarmerii nie dopuszczał aktów przemocy ze strony zatrzymanych. A Neagley nienawidziła kontaktu fizycznego. Nikt nie wiedział dlaczego, ale wszyscy o tym pamiętali. Nie znosiła, gdy ktoś jej dotykał. Nie podawała nawet ręki na powitanie. Nawet przyjaciołom. Dlatego atak ze strony mężczyzny był nie do przyjęcia i musiał wywołać odpowiednią reakcję.

W tym przypadku reakcja oznaczała dla policjanta złamany nos i kopniak w jądra. Neagley odepchnęła się jedną nogą i walnęła faceta w twarz nasadą dłoni, z dołu, niczym bokser wagi muszej uderzający w ciężki worek. W powietrze wystrzelił obłoczek krwi, policjant zachwiał się i cofnął o kilka

kroków, a Neagley dołożyła mu jeszcze kopniaka w krocze. Usiadł ciężko na asfalcie, opierając się plecami o przednie koło radiowozu, sapiąc, dysząc i jęcząc.

– Możesz złożyć oficjalny raport, nie mam nic przeciwko temu. Złożę zeznania pod przysięgą. O tym, jak znokautowała cię dziewczyna. Chcesz to mieć w papierach?

Facet najwyraźniej nie chciał. Machnął tylko rękami w milczeniu, jakby chciał powiedzieć „Spadaj”.

– Przyznaję, że facet był idiotą – powiedziała Neagley, kiedy wracali samochodem do bazy.

– Ale? – spytał Reacher.

– Dlaczego ja? Dlaczego sam tego nie zrobiłeś?

– Jak to mówią w Anglii, po co kupować psa i samemu czekać?

• • •

W bazie sierżant Ellsbury’ego poinformował Neagley, że ktoś do niej dzwonił. Oddzwoniła, po czym wyszła z gabinetu, mówiąc:

– Znaleźli adres rodziców Crawford. Obojga. Teraz uważają, że ojciec jednak żyje. Ale mają numer tylko do mieszkania ich służących. Nie mogą nawet ustalić, czy Crawfordowie są w tym momencie w domu. Chcą, żeby ktoś podjechał, zbadał sprawę.

– Gdzie to jest? – spytał Reacher.

– W Myrtle Beach.

– Czyli w Karolinie Południowej.

– Czyli w sąsiednim stanie. Myślę, że powinniśmy się zgłosić.

– Dlaczego?

– A dlaczego nie? Tu i tak nie mamy już nic do roboty.

• • •

Neagley prowadziła. Sąsiedni stan, ale i tak kilkaset kilometrów do pokonania. Pojechali autostradą międzystanową I-16 do I-95, skierowali się na północ, a po południu przeskoczyli na zwykłą drogę, która miała doprowadzić ich do celu. Znali adres, lecz nie mieli mapy, wypytywali więc na stacjach benzynowych, aż skierowano ich do właściwego miejsca, szykownej enklawy między rzeką a oceanem. Prowadziła tędy starannie utrzymana droga, od której niczym żebra odchodziły krótkie ślepe uliczki. Dom Crawfordów znajdował się przy uliczce bliższej oceanu. Była to wielka rezydencja, zwrócona ku morzu, na dużej parceli z prywatną plażą.

Dom wyglądał na zamknięty.

Okna zasłonięto okiennicami od środka. W pomalowanych powierzchniach odbijało się światło przenikające przez szyby.

– Wygląda na to, że wyjechali – oceniła Neagley. – W takim razie powinniśmy porozmawiać ze służącym. Nie damy się spławić. Łatwo to zrobić przez telefon, znacznie trudniej, kiedy stoi się z kimś twarzą w twarz.

– W porządku. – Reacher skinął głową.

Ruszyli długim brukowanym podjazdem, który stukał głośno pod ich oponami Firestone. Zatrzymali się na moment przy głównym wejściu, ale drzwi były zamknięte na zasuwę, więc trzymając się dalej brukowanego podjazdu, przejechali na tyły rezydencji, lecz również tam drzwi zamknięto na zasuwę. Najwyraźniej obecnie nikt nie korzystał z wejścia dla służby.

– Więc gdzie jest służący? – mruknął Reacher. – Czy aby nie przesadza z tą dyskrecją?

Za domem znajdował się budynek mieszczący kilka garaży. Większość boksów miała drzwi, ale jeden z nich, otwarty na przestrzał, pełnił rolę przejścia do ukrytego w głębi podwórza. W przejściu stał samochód. Stary compact, porysowany i wyblakły od słońca. Pasowałby do służącego.

Nad garażami znajdowało się mieszkanie, złożone na pierwszy rzut oka głównie z okien mansardowych i kiczowatych ozdobników, śliskich od wilgoci niesionej morskim powietrzem. Do drzwi prowadziła zewnętrzna klatka schodowa.

– To miejsce jest tak ekskluzywne i ekstrawaganckie, że nawet ludzie ze społecznych dołów mieszkają na górze – powiedział Reacher.

Pierwszy wspiął się na piętro, Neagley szła tuż za nim. Kiedy zapukał do drzwi, otworzono im natychmiast, jakby ich oczekiwano. Reacher przypuszczał, że tak właśnie było. Ich samochód robił sporo hałasu.

Za drzwiami stała kobieta. Miała około sześćdziesięciu lat i zmęczoną życiem twarz. Podomka. Knykcie jak orzechy włoskie. Życie wypełnione ciężką pracą.

– Tak? – Podniosła na nich wzrok.

– Proszę pani, jesteśmy z armii Stanów Zjednoczonych i chcemy się dowiedzieć, gdzie obecnie przebywają państwo Crawfordowie – wyjaśnił Reacher.

– Czy to dotyczy ich córki?

– Dopóki nie poznam miejsca ich pobytu, nie będę mógł wyjaśnić, czego to dotyczy.

– Powinni państwo chyba porozmawiać z moim mężem. Proszę wejść.

Mąż kobiety raczej nie był służącym, przynajmniej nie takim, jakich pokazywano w filmach i serialach, które widział Reacher. Ten chudy, smutny mężczyzna był robotnikiem fizycznym, który garbił się pod brzemieniem lat i trosk. Być może pracował tu jako ogrodnik.

– Jaki jest państwa numer telefonu? – spytał Reacher.

Gdy podali go, Neagley skinęła głową.

– Czy na terenie posiadłości przebywa obecnie ktoś oprócz państwa?

– Zakładam więc, że przedstawiciele armii dzwoniли właśnie do państwa – powiedział Reacher, kiedy zaprzeczyli. – Z niewiadomego powodu mamy tylko państwa numer.

– Rodzina wyjechała – wyjaśnił mężczyzna.

– Dokąd?

– Powinniśmy wiedzieć, o co właściwie chodzi – zaprotestowała kobieta.

– Nie możecie państwo selekcjonować przeznaczonych dla nich wiadomości. Nie macie do tego prawa.

– Więc jednak chodzi o ich córkę. To jakieś złe wieści, prawda?

Pokój zajmowany przez małżeństwo był mały i ciasny, od góry ograniczał go niski dach. Równie ubogo prezentowały się niezbyt liczne proste meble, które najwyraźniej nie mieściły skromnego majątku małżeństwa. Ważne dokumenty leżały na stole. Rachunki i listy. Podłoga wykonana była ze zwykłych desek. Pod ścianą stał telewizor, a na pobliskiej półce Raucher zobaczył trzy książki i małą, może pięciocentymetrową, pomalowaną na srebrno figurkę żaby. Albo pancernika. Czegóż niskiego i zaokrąglonego. Przycupniętego.

– Przepraszam – rzucił Reacher, podchodząc do półki.

To nie była żaba. Ani pancernik. Samochód. Sportowe coupe. Pomalowane na srebrno. Porsche.

Reacher przeszedł do stołu i sięgnął po otwartą kopertę.

Wyciąg z rachunku oszczędnościowego w banku, na którym znajdowało się niecałe sto dolarów.

Konto należało do H. i R. Crawfordów, a wysłano go pod adres, którym dysponowało wojsko. Numer telefonu również się zgadzał.

Więc jednak nikt nie selekcjonował wiadomości.

Reacher odwrócił się do małżeństwa.

– Proszę państwa, bardzo mi przykro, ale w imieniu naczelnego dowódcy armii muszę państwa poinformować, że państwa córka została dwa dni temu zamordowana poza terenem jednostki. W sprawie nadal toczy się śledztwo, ale wiemy z całą pewnością, że śmierć nastąpiła błyskawicznie, a państwa córka nie czuła bólu.

• • •

Jak większość funkcjonariuszy żandarmerii wojskowej, Reacher i Neagley nieraz już przekazywali rodzinom informację o śmierci ich najbliższych, znali więc dobrze zasady. Nie mogli być zbyt delikatni i taktowni. Oczywiście musieli zachować należytą powagę, ale i podkreślać zarazem znaczenie takich wartości, jak służba, poświęcenie i odwaga. W końcu rodzice zaczęli im zadawać pytania, a oni odpowiadali, jeśli tylko mogli. Udana kariera i pechowa śmierć.

– Proszę nam opowiedzieć o córce – poprosiła w pewnym momencie Neagley.

Reacher przypuszczał, że ta prośba podyktowana była wyłącznie względami zawodowymi, ale doskonale wpasowała się w kontekst psychologiczny.

Opowiadała kobieta. Matka. Słowa same płynęły z jej ust. Była kucharką. Jej mąż pracował jako dozorca. Ojciec. Caroline była ich córką. Jedyńcką. Wychowywała się właśnie tu, nad garażami. Nie lubiła tego miejsca. Chciała tego,

co było w dużym domu. Była od nich dziesięć razy bystrzejsza. Uważała, że to niesprawiedliwe.

– Sprawiała wrażenie, że pochodzi z bogatej rodziny – wtrącił Reacher.

– Nie, na to, co miała, zarobiła sama – powiedział mężczyzna. – Zarabiała fortunę. To rządowa posada. Ludzie dbają tam o swoje interesy. Dostają też pewnie wysoką emeryturę. Mają wszystkie przywileje.

– Nie odziedziczyła żadnego majątku? Żadnego spadku?

– Kiedy wyjeżdżała do West Point, daliśmy jej trzydzieści pięć dolarów. Nie dostała od nas nic więcej. Całą resztę zarobiła sama.

– Mogę skorzystać z telefonu? – spytał Reacher.

Gdy zgodzili się, Reacher zadzwonił do Pentagonu. Pod numer telefonu na biurku przy gabinecie. Odebrał sierżant.

– On tam jest? Mówi jego brat.

Po chwili odezwał się Joe.

– Podaj mi nazwę jakiejś restauracji w Alexandrii, gdzie dają dobre steki i jest otwarta do późna.

Joe podał mu nazwę i adres.

– Spotkamy się tam o dziewiątej wieczorem – powiedział Reacher.

– Dlaczego?

– Żeby przekazać ci bieżące informacje.

– O Crawford? Znalazłeś coś dziwnego?

– Wiele rzeczy. Muszę omówić z tobą pewną hipotezę.

• • •

Neagley prowadziła. Wrócili na autostradę I-95. Znow mieli kilkaset kilometrów do pokonania. Mniej więcej tyle samo, co z Fort Smith do Myrtle Beach. Trzymali się lewego brzegu Potomacu i dojechali do Alexandrii półtorej godziny po zapadnięciu zmroku. Spóźnili się do restauracji o pięć minut. Przy drzwiach stał znudzony mężczyzna w cywilnym ubraniu. Wyglądał nawet dość przekonująco.

Neagley weszła do środka i usiadła przy jednoosobowym stoliku. Potem wszedł tam Jack i przysiadł się do Joego. Białe nakrycia, blask świeczek, czerwone wino, dyskretna atmosfera. Jeszcze jeden facet w cywilnym ubraniu siedział sam przy stoliku po drugiej stronie sali, naprzeciwko Neagley. Symetrycznie.

– Widzę, że zabrałeś ze sobą swojego psa obronnego – powiedział Joe.

– A ty nawet dwa – odparł jego brat.

– Crawford to poważna sprawa. Być może trzeba będzie podjąć natychmiastowe działania.

– Dlatego jest tutaj Neagley.

Złożyli zamówienie. Zupa cebulowa i stek z antrykotu dla Jacka, foie gras i filet mignon dla Joego. Frytki dla obu, czerwone wino dla Joego, kawa dla Jacka. I woda. Żadnych pogaduszek.

– Od początku zastanawiała mnie ta droga – zaczął Jack. – Prowadzi donikąd. Idiotyczne miejsce na pułapkę. Nie mogło być przypadkowe. Ale i nie zaplanowane, bo nie miałyby to sensu. Mogła jechać do trzech albo czterech miejsc i miała do wyboru około czterdziestu różnych tras. Ale potem w końcu zrozumiałem. Naprawdę bystry facet nie zastanawiałby się, dokąd Crawford może jechać. Nie próbowałby przewidzieć, jak dostanie się z A do B czy C lub D. Uznałby, że wszystkie trasy są sobie równe. Przynajmniej jeśli chodzi o czas dojazdu. Ale nie pod innymi względami. Na przykład nie emocjonalnie. Czasami zapominam, że w odróżnieniu ode mnie normalni ludzie lubią jeździć autem. Więc bystry facet zadałby sobie pytanie, którą drogę wybierze Crawford tylko ze względu na jej urodę. Młoda kobieta z nowiutkim sportowym samochodem. Jasna sprawa. To była idealna droga. Prosta, łagodne zakręty, drzewa, słońce, zapach świeżej ziemi. I głos silnika. Po takiej drodze jedzie się z opuszczonymi szybami. Bystry facet potrafiłby to przewidzieć.

– Bystry facet wyszkolony w wojsku – wtrącił Joe.

– Ze względu na te trzy strzały? Zgadza się. To był bardzo stresujący moment. W takiej sytuacji człowiek działa odruchowo. Uruchamia się pamięć mięśniowa. Lata spędzone na strzelnicy. Ten facet był jednym z nas.

– Ale którym z nas i jakie miał motywy?

– Tu właśnie sprawa się komplikuje. Crawford nie była bogata. Teraz to już wiem. Powinienem był wiedzieć już dawno. Miałem tę informację w raporcie z sekcji. Niedawno przeszła kosmetyczny zabieg dentystyczny. Bogata dziewczyna zrobiłaby to wiele lat temu. Jako nastolatka. Nie pochodziła więc z bogatej rodziny. Poznałem jej rodziców. Dali jej na studia trzydzieści pięć dolarów. Myślę, że wszystko sama zarobiła. Rządowa posada. Sądzą, że zarabiała majątek. Ale my wiemy, że tak nie było. Nawet dziesięciu podpułkowników razem wziętych nie mogłoby sobie pozwolić na nowiutkie porsche. A ona takie kupiła. Za co?

– Ty mi powiedz.

– Pracowała w Planach Wojennych. A gdyby tak sprzedawała informacje obcemu rządowi? Na przykład irackiemu. Zapłaciliby jej fortunę. Ona tworzyła plany. Dostawaliby wszystkie wiadomości z pierwszej ręki.

– To możliwe. – Joe skinął głową. – Teoretycznie. Jako najgorszy scenariusz.

– Będziemy mieli jakieś problemy z Irakiem?

– Prawdopodobnie. Chcą zająć Kuwejt. W przyszłym roku albo za dwa lata. Będziemy musieli ich wyrzucić. Zaatakujemy z Arabii Saudyjskiej, marynarka wpłynie do Zatoki Perskiej. Pójdziemy na całość.

– Więc Irak chce tego planu. I płaci za niego, za każde słowo. Dostaje go od kobiety, która nie chce już być biedna. Podobno rozkręciła się dopiero w Wydziale Planów Wojennych. W końcu zaczęła wydawać pieniądze. Tyle że to wcale nie było w końcu. Może to były pierwsze duże pieniądze, jakie kiedykolwiek miała.

Joe milczał.

– Kontrwywiad na pewno miał oko na takie rzeczy. Ale z jakiegoś powodu ją akurat przegapił, więc sprawa ciągnęła się przez długi czas. Zamieniła się w legendę. Majątek rodziny. Najbogatsza kobieta. Najciemniej zawsze pod latarnią. Potem coś się zmieniło. Nagle ktoś ją rozpracował.

– Jak? – spytał Joe.

– Powody mogły być różne – odparł Jack. – Nawet czysty przypadek.

– Albo?

– Może kontrwywiad objął nowy dowódca. Może ten nowy dowódca przyniósł ze sobą brakujący fragment układanki. Nagle wszystko nabrało sensu. Co też byłoby czystym przypadkiem, choć innego rodzaju. Takie rzeczy się zdarzają.

Joe milczał.

– Ale zatrzymajmy się na moment w tym miejscu. Spójrzmy na całą sytuację z punktu widzenia nowego dowódcy. Na razie tylko on ma wszystkie elementy układanki. Tylko on widzi cały obraz. Jako jedyny człowiek na świecie. Jest osamotniony. Nikt inny nie zna prawdy. Ale właśnie o to chodzi. Bo nikt inny nie musi jej znać. Rzecz dotyczy tylko Iraku, ale kto w to uwierzy? Wybuchnie panika. Wszystkie plany zostaną uznane za odtajnione. Strategia sowiecka się rozpadnie. Nic nie będzie już pewne. Więc trzeba zadbać o to, żeby nikt inny się nie dowiedział. Dosłownie. Nigdy. Nikt. Rzecz, o której wiedzą choćby dwie osoby, to już nie tajemnica. Ale tę kobietę trzeba powstrzymać. Zdradę karze się śmiercią. Nowy dowódca dochodzi do wniosku, że musi załatwić to osobiście. Tylko w ten sposób uratuje sytuację. To chwila o niemal historycznym znaczeniu. Świat zostanie uratowany. I nie jest to przesada. Ale świat nigdy się o tym nie dowie. Więc to ironia losu, lecz także strategicznie sprytne rozwiązanie, szlachetne i odważne. Jak patriotyczny obowiązek.

Joe milczał.

– Przypuszczam, że nowy dowódca takiego działu byłby dość bystry, żeby wymyślić ten plan z drogą i sportowym samochodem.

– Ten facet miał wielkie stopy, rozmiar czterdzieści dziewięć – zauważył Joe.

– Miał nie więcej niż czterdzieści dziewięć. Nie można zmniejszyć śladów swoich butów, ale można je powiększyć. Wydaje mi się, że mógłbym włożyć tenisówki albo jakieś inne obcisłe buty i wsadzić stopy do butów w rozmiarze czterdzieści dziewięć. Wszystko byłoby dopasowane i solidne. Nie wyglądałoby jak buty kłowna. Wtedy mógłbym normalnie chodzić i zostawiać ślady jak astronauta na Księżycu. Wiesz, jak przyszło mi to do głowy?

– Nie – odpowiedział Joe.

– Nasz drugi pobyt na Okinawie. Miałeś wtedy sześć lat. Może siedem. Wstawiałeś codziennie wcześniej rano i chodziłeś w butach taty. Nie wiem dlaczego. Może to jakiś zwyczaj pierworodnych synów. Może chciałeś go zastąpić. Słyszałem cię wtedy. A pewnego razu tata musiał się gęsto tłumaczyć przed mamą, bo zostawiłeś ślady na dywanie. Właśnie to naprowadziło mnie na właściwy trop.

– Na pewno wielu ludzi robiło w dzieciństwie takie rzeczy.

– A ilu z nich objęło niedawno dowodzenie nad kontrwywiadem wojskowym?

Joe milczał.

– Trzeba przyznać, że całkiem nieźle sobie radziłeś, kiedy rozmawialiśmy wtedy przez telefon – kontynuował Reacher. – Na pewno byłeś zszokowany. Ale nie zapomniałeś zadać odpowiednich pytań, choćby o to, kto zginął. Dobrze też, że spytałeś, jak do tego doszło. Powiedziałem ci, że Crawford została zastrzelona na leśnej drodze, ale wtedy ty powinieneś był spytać, jak to konkretnie wyglądało, bo na leśnej drodze mogła to być równie dobrze pułapka, jak i snajper. Ale ty o to nie spytałeś. Mogłeś to rozegrać trochę lepiej. I zdenerwowałeś się. Nie potrafiłeś odpuścić. Pytałeś mnie, co zamierzam z tym zrobić. A już całkiem dałeś plamę, mówiąc o tysiącu stu siedmiu kilometrach. Jesteś pedantem, Joe. Nie pomyliłbyś się. I na pewno się nie pomyliłeś. Pomyślałeś, że Benning jest mniej więcej w tej samej odległości, którą dobrze znałeś. Na końcu tego samego promienia. A dobrze znałeś odległość między Waszyngtonem i Fort Smith. Bo pokonałeś ją dwukrotnie samochodem. Kiedy jechałeś tam i z powrotem.

– Interesująca hipoteza – rzucił Joe. – Co hipotetyczny policjant zrobiłby w takiej sytuacji?

– Na pewno czułby się lepiej bez faceta przy drzwiach i faceta w sali.

– Tylko Neagley?

– Prowadzi – odparł Jack. – Ma prawo coś zjeść.

– Crawford to poważna sprawa.

– Wyluzuj. Hipotetyczny policjant nie widzi problemu. Żyje w realnym świecie. Jestem pewien, że po analizie sytuacji wybrałby takie samo rozwiązanie jak hipotetyczny szef kontrwywiadu. Ale jest pewien problem. Przypuszczam, że hipotetyczny rozmiar czterdzieści dziewięć miał utrudnić sprawę na tyle, by na zawsze pozostała nierozwiązana. Ale stało się inaczej. Przez wielkie stopy do paki trafił pewien facet. Nosi buty w rozmiarze czterdzieści dziewięć, ma broń takiego samego kalibru jak hipotetyczny szef kontrwywiadu i takie same opony. Wszystko to czysty przypadek, ale policja uważa, że to coś takiego jak trzy wisienki w automacie do gry. Facet może się z tego nie wykręcić.

– Co hipotetyczny szef kontrwywiadu powinien z tym zrobić?

– Na pewno istnieje jakaś specjalna procedura. Pewnie załatwia się to przez kancelarię prezydenta. Śledztwo zostaje przeniesione. Facet wychodzi z więzienia.

Joe milczał.

– Sprawa pozostaje nierozwiązana.

– Dobrze – odpowiedział w końcu Joe, a po chwili dodał: – Jesteś naprawdę cholernie dobrym policjantem, skoro potrafiłeś sam do tego wszystkiego dojść.

– Nie – zaprzeczył Jack. – Jestem cholernie dobrym policjantem, bo choć nie potrafiłem sam dojść do tego wszystkiego, pokierowałem tobą tak, żebyś to potwierdził. I jestem z ciebie dumny. To musiało pozostać tajemnicą. Nie miałeś wyboru. Świetnie się spisałeś. Dobry plan i niemal perfekcyjne wykonanie.

– Niemal?

– Te trzy strzały to był błąd. Oczywista egzekucja. Powinieneś był to trochę spaprać. Na przykład strzelić w gardło. Wszyscy zakładają, że strzał w gardło to

puddo, że kula miała trafić gdzie indziej. Sprawka amatora. Jeśli chcesz, możesz dorzucić strzał w głowę, ale też trochę niezdarnie, w oko albo w ucho.

– To brzmi jak rady doświadczonego fachowca.

– A jak myślisz, co robię w Ameryce Środkowej?

Potem rozmawiali już tylko o innych rzeczach. O plotkach, o znajomych, o książkach, polityce i rodzinie. Joe martwił się o matkę. Ostatnio nie była sobą.

•••

Reacher i Neagley wrócili do Fort Smith następnego wieczoru. Sierżant Ellsbury powiedział im, że kilka godzin wcześniej mężczyzna zatrzymany przez policję stanową został uwolniony od wszystkich zarzutów i odwieziony do domu. Sprawa została przeniesiona do nowej jednostki śledczej utworzonej w Pentagonie, o której nikt dotąd nie słyszał. Wyniki śledztwa – gdyby się zakończyło – miały zostać przedstawione za rok lub dwa.

Potem przyszedł kolejny teleks. Major David Noble najwyraźniej doszedł już do siebie po wypadku samochodowym i chciał jak najszybciej objąć przeznaczoną mu posadę. Reacher wrócił do Ameryki Środkowej, a Neagley do Bragg, bo Noble przywoził swojego sierżanta. Zreorganizowana struktura nie utrzymała się nawet przez rok. Potem nikt już o niej nie wspominał.

Prawdopodobnie największym osiągnięciem zawodowym w wojskowej karierze Joego Reachera był fakt, że nie podając żadnych konkretnych powodów, zdołał doprowadzić do zmiany planów wojennych dotyczących Iraku. A półtora roku później, gdy na piaski Kuwejtu wkroczyli żołnierze, wszystko odbyło się zgodnie z planem, w ciągu stu godzin – i nieważne, czy był to plan B, czy inny.

NOWA TOŻSAMOŚĆ JAMESA PENNEYA

Proces, w wyniku którego James Penney zmienił się w zupełnie inną osobę, zaczął się dziesięć lat temu, o godzinie pierwszej, w pewne poniedziałkowe popołudnie w połowie czerwca, w Laney w Kalifornii. O gorącej porze dnia, w gorącej porze roku, w gorącej części kraju. Miasto przycupnęło po wschodniej stronie krętej drogi, która biegnie z Mojave do Los Angeles, osiemdziesiąt kilometrów na południe od pierwszego, osiemdziesiąt kilometrów na północ od drugiego miasta. Na zachodzie widać stąd południowy grzbiet Gór Nadbrzeżnych, na wschodzie znika we mgiełce pustynia Mojave. W Laney dzieje się bardzo niewiele. A jeszcze mniej działo się po tym czerwcowym poniedziałku.

W Laney był jeden przemysł. Jedna fabryka. Zajmująca rozległy teren. Obłożona podniszczonym sidingiem długa, niska hala montażowa, zbudowana w latach sześćdziesiątych. Biura na dwóch kondygnacjach znajdowały się w północnej części budynku. Na parterze załatwiano sprawy niższego szczebla. Księgowość, rachunki, telefony. Pierwsze piętro zajmowała dyrekcja i projektanci. W narożnym gabinecie po prawej stronie urzędował kiedyś szef działu kadr. Teraz był to szef działu zasobów ludzkich. Ten sam facet, inna tabliczka na drzwiach.

Na korytarzu przed jego drzwiami stał długi rząd krzeseł. W ten poniedziałkowy ranek ściągnęła je tam i ustawiła sekretarka działu zasobów ludzkich. Na krzesłach siedzieli w milczeniu mężczyźni i kobiety. Co pięć minut do gabinetu wzywana była osoba zajmująca pierwsze miejsce w kolejce. Pozostali przesiadali się wtedy o jedno miejsce bliżej. W ogóle się nie odzywali. Nie musieli. Wiedzieli, co jest grane.

Tuż przed godziną pierwszą James Penney siadł na pierwszym krześle przy drzwiach. Odczekał długie pięć minut i wstał, gdy go wywołano. Wszedł do gabinetu. Usiadł przed biurkiem. Szefem działu zasobów ludzkich był facet o nazwisku Odell. Kiedy James Penney podjął pracę w fabryce w Laney, Odell biegał jeszcze w krótkich spodenkach.

– Panie Penney – powiedział.

Penney nie odezwał się, skinął tylko czujnie głową.

– Musimy panu przekazać pewną wiadomość – podjął Odell i przerwał, jakby potrzebował jakiejś reakcji z jego strony, by kontynuować.

Penney wzruszył ramionami. Wiedział, na co się zanosi. Podobnie jak innym, obilo mu się coś o uszy.

– Niech pan powie krótko, o co chodzi – powiedział.

Odell pokiwał głową.

– Zwalniamy pana – oznajmił.

– Na lato? – zapytał Penney.

Odell pokręcił głową.

– Na dobre.

Penney odczekał, aż wybrzmiały te dwa słowa. Wiedział, że padną, ale uderzyły go tak mocno, jakby były ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał.

– Dlaczego? – zapytał.

Odell wzruszył ramionami. Nie wyglądał, jakby sprawiało mu to przyjemność. Choć z drugiej strony nie robił również wrażenia bardzo zmartwionego.

– Zmniejszamy produkcję – odparł. – Nie mamy innego wyjścia. Tylko w ten sposób przetrwamy.

– Dlaczego? – powtórzył Penney.

Odell odchylił się do tyłu w fotelu i splótł ręce na karku.

– Musimy ciąć koszty – zaczął krótką mowę, którą tego dnia wygłosił już wiele razy. – To bardzo kosztochłonna produkcja. Mały margines zysku. Rynek się kurczy. Wie pan o tym.

Penney wbił wzrok w przestrzeń i słuchał ciszy, która dobiegała z fabrycznej hali.

– Więc zamykacie fabrykę? – odezwał się w końcu.

Szef działu zasobów ludzkich ponownie pokręcił głową.

– Po prostu zmniejszamy produkcję. Fabryka będzie działać dalej. Będziemy się zajmować konserwacją urządzeń. Naprawami, przeglądami. Ale nie będzie to już wyglądało tak jak kiedyś.

– Fabryka będzie działać dalej? – zdziwił się Penney. – Więc jak to się stało, że mnie zwalnacie?

Odell poruszył się w fotelu. Rozplótł palce na karku i skrzyżował obronnym gestem ręce na piersi. Dotarli do trudnego momentu rozmowy.

– To kwestia właściwego połączenia umiejętności – powiedział. – Musimy skompletować zespół z odpowiednimi kwalifikacjami. Włożyliśmy dużo pracy w tę decyzję. I, niestety, pan się nie zakwalifikował.

– Co jest nie tak z moimi kwalifikacjami? – obruszył się Penney. – Mam odpowiednie kwalifikacje. Pracowałem tutaj siedemnaście lat. Co jest nie tak z moimi cholernymi kwalifikacjami?

– Pańskie kwalifikacje są w porządku – odparł Odell. – Ale inni ludzie są lepsi. Musimy patrzeć szerzej. To będzie zredukowana załoga, dlatego potrzebujemy ludzi najlepiej przygotowanych, takich, którzy najszybciej się uczą, którzy mają najlepszy przebieg pracy zawodowej. Wie pan, jak to jest.

– Przebieg pracy? – mruknął Penney. – Co jest nie w porządku z moim przebiegiem pracy? Pracowałem tutaj siedemnaście lat. Twierdzi pan, że nie jestem solidnym pracownikiem?

Odell dotknął leżącej przed nim brązowej teczki.

– Sporo czasu spędził pan na chorobowym. Absencja na poziomie ośmiu procent.

Penney spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Na chorobowym? – powtórzył. – Nie byłem chory. Cierpiałem na stres pourazowy. Po Wietnamie.

Odell znów pokręcił głową. Był zbyt młody.

– Nieważne – mruknął. – Tak czy inaczej, to wysoka absencja.

James Penney siedział, zupełnie otępiały. Czuł się tak, jakby przejechał go pociąg.

– Więc kto zostaje? – zapytał.

– Zależało nam na skompletowaniu zespołu z właściwymi kwalifikacjami – powtórzył Odell. – Generalnie złożonego z młodszych pracowników. Kierownictwo poświęciło temu wiele uwagi. Jesteśmy przekonani, że podjęliśmy właściwe decyzje. Nie jest pan jedyny. Tracimy osiemdziesiąt procent załogi.

Penney wbił w niego wzrok.

– Pan zostaje?

Odell pokiwał głową, próbując bezskutecznie powstrzymać uśmiech.

– Musimy dalej prowadzić interesy – powiedział. – Nadal potrzebujemy kierownictwa.

W dużym narożnym gabinecie zapadła cisza. Na dworze gorący wiatr powiał z pustyni i nad metalowym budynkiem zawirowało powietrze. Odell otworzył brązową teczkę, wyjął z niej niebieską kopertę i podał ją nad biurkiem.

– Dostanie pan pobory do końca lipca – oznajmił. – Pieniądze poszły dziś rano do banku. Powodzenia, panie Penney.

Pięciominutowa rozmowa dobiegła końca. Pojawiła się sekretarka Odella i otworzyła drzwi na korytarz. Penney wyszedł z gabinetu. Sekretarka wywołała następnego pracownika. Penney minął długą cichą kolejkę ludzi i wyszedł na parking. Wsiadł do swojego samochodu. To był półtoraroczny firebird i jeszcze go nie spłacił. Uruchomił silnik i przejechał półtora kilometra do domu. Zatrzymał się na podjeździe i siedział w samochodzie z pracującym silnikiem, mając w głowie kompletny mętlik. A potem usłyszał dobiegający z domu niewyraźny dzwonek. Zanim telefon umilkł, zdążył wejść do środka. To był kumpel z fabryki.

– Ciebie też wykopsali? – zapytał.

Penney wymamrotał coś, nie chcąc odpowiadać wprost, ale tamtemu wystarczył ton jego głosu.

– Jest pewien problem – dodał. – Firma zawiadomiła bank. Zadzwonili właśnie do mnie z pytaniem, jak zamierzam spłacić kredyt. Kupiłeś coś na raty?

Penneya przeszedł zimny dreszcz. Ścisnął mocniej słuchawkę.

– Na kredyt? – powtórzył. – Żebyś wiedział. Prawie wszystko, co mam, jest na kredyt. Dom, samochód, meble. Nic nie jest spłacone. Co ci powiedzieli?

– A jak myślisz, do diabła? – odparł jego kumpel. – To przecież bank, tak? Jak przestanę płacić raty, wyląduję na ulicy. Właśnie wysłali komornika po samochód.

Penney umilkł. Zastanawiał się. Myślał o swoim samochodzie. Nie zależało mu na domu. Ani na meblach. Wszystkie te rzeczy wybierała żona. Tuż zanim odeszła, założyła mu na szyję pętlę tych wszystkich kredytów. Nazwała to szansą na nowe życie. Nowe życie nie wypaliło, a on dalej płacił za jej cholerny dom

i meble. Lecz samochód należał do niego. Czerwony firebird. To auto było jedyną kupioną przez niego rzeczą, której naprawdę pragnął. Nie chciał, żeby je zabrali. Ale wiedział, że za żadną cholerę nie zdoła go spłacić.

– James? – odezwał się facet po drugiej stronie linii. – Jesteś tam jeszcze?

Penney wyobraził sobie komornika, który jedzie po jego samochód.

– Jesteś tam, James? – powtórzył kumpel.

Penney zacisnęła mocno powieki.

– Jestem, ale już wkrótce mnie nie będzie – powiedział. – Spadam stąd.

– Dokąd? – zapytał facet. – Dokąd, do diabła?

Penney poczuł, jak ogarnia go wściekła furia. Rąbnął słuchawką o widełki i odwrócił się od telefonu, a potem wrócił i wyrwał kabel ze ściany. Stojąc pośrodku pokoju, zdecydował, że niczego ze sobą nie weźmie. I niczego po sobie nie zostawi. Pobiegł do garażu i złapał kanister z benzyną. Wrócił pędem do domu i oblał benzyną kanapę byłej żony. Nie mogąc znaleźć zapalek, zapalił kuchenkę gazową i rozwinął rolkę papierowego ręcznika. Przystawił jeden jego koniec do palnika i przeciągnął papier do salonu. Kiedy jego prowizoryczny lont zajął się ogniem, Penney wskoczył do samochodu, uruchomił silnik i ruszył na północ, w stronę Mojave, szykując się na długą jazdę.

Sąsiadka zauważyła pożar, kiedy płomienie przebiły się przez dach. Wezwała straż pożarną, ale strażacy w Laney nie odpowiedzieli. To była ochotnicza straż i wszyscy ochotnicy czekali w kolejce w fabryce, na piętrze, w wąskim korytarzu.

A potem ciepły wiatr wiejący znad pustyni Mojave przybrał na sile i kiedy James Penney przejechał pięćdziesiąt kilometrów, od płomieni buchających z jego domu zapaliły się suche krzaki na trawniku. Gdy dotarł do miasta Mojave i wypłacono mu w banku ostatnie pobory, płomienie objęły trawnik sąsiada i lizały podstawę jego tylnej werandy.

Podobnie jak wszystkie budowane w okresie boomu kalifornijskie miasteczka, Laney powstało w pośpiechu. Fabryka stanęła tam na początku pierwszej kadencji Nixona. Buldożery zrównały z ziemią prawie czterdzieści hektarów gajów pomarańczowych i po postawieniu w ciągu jednego roku pięciuset domów o lekkiej drewnianej konstrukcji ludność miasta zwiększyła się cztery razy. Tak naprawdę domy były całkiem solidne, ale w ciągu trzydziestu jeden lat swojego istnienia widziały deszcz mniej niż dziesięć razy i wyschły na pieprz. Ich belki przez lata piekły się w słońcu i przez lata smagał je suchy pustyński wiatr. Przy ulicach nie było hydrantów. Domy stały blisko siebie i nie było żadnych wiatrochronów. Mimo to do tej pory w Laney nie doszło do żadnego poważnego pożaru. Aż do tego czerwcowego poniedziałku.

Kiedy weranda zajęła się ogniem, sąsiadka Jamesa Penneya po raz drugi zadzwoniła po strażaków. W remizie panował chaos. Dyspozytor poradził jej, żeby wyszła z domu i czekała na ich przyjazd. Gdy straż w końcu dojechała, dom sąsiadki był w zgliszczach. Podobnie jak następny, stojący w rzędzie. Niesiony pustyńnym wiatrem ogień pokonał wąski, dzielący je pas ziemi i mieszkające tam starsze małżeństwo musiało wybiec na ulicę, żeby się ratować. Wezwano na pomoc posiłki z Lancaster, Glendale i Bakersfield i przybyłe z odpowiednim

sprzętem wozy strażackie zdołały opanować żywioł. Suche krzaki polano wodą i ogień przestał się rozprzestrzeniać. Spaliły się tylko trzy domy, Penneya i dwóch najbliższych sąsiadów. Po dwóch godzinach było po wszystkim i kiedy Penney znajdował się osiemdziesiąt kilometrów za Mojave, szeryf Laney pracował już wraz z dwoma inspektorami straży pożarnej nad ustaleniem przyczyn pożaru.

Zaczęli od domu Penneya, bo to od jego strony wiał wiatr, on spalił się pierwszy, więc zdążył już nieco ostygnąć. Spłonął niemal do płyt podłogi, ale rozkład pomieszczeń był nadal widoczny. I można było dostrzec dowody rzeczowe. Tam gdzie kiedyś znajdował się salon, widniała wielka wypalona dziura. Inspektor z Glendale widział już wiele razy coś podobnego. Takie ślady powstają, gdy poleje się benzyną i podpali wypełnioną pianką kanapę lub fotel. Wytłumaczył szeryfowi, jak ogień rozprzestrzenia się wtedy w górę i na boki, jak obejmuje ściany i sufit i po strawieniu krokwi dachu powoduje zawalenie się całego budynku. Jeden z najbardziej oczywistych przypadków podpalenia, jaki zdarzyło mu się widzieć. Tu akurat straty zwiokrotnił wzmagający się pustynny wiatr i niewielka odległość od innych domów.

Następnie szeryf wybrał się na poszukiwanie Jamesa Penneya. Chciał mu zakomunikować, że ktoś podpalił jego dom oraz domy sąsiadów. Podjechał czarno-białym radiowozem do fabryki, wspiął się na piętro i minawszy długą kolejkę oczekujących, wszedł do narożnego gabinetu Odella. Ten opowiedział mu, co się wydarzyło w trakcie pięciominutowej rozmowy tuż po godzinie pierwszej. Szeryf wrócił na miejscowy posterunek, jedną ręką prowadząc samochód i palcami drugiej skubiąc podbródek.

I kiedy oddalony dwieście pięćdziesiąt kilometrów od domu James Penney mijiał potężne wschodnie zbocza Mount Whitney, wydano za nim list gończy. Był podejrzany o celowe podpalenie, co w suchym pustynnym skwarze południowej Kalifornii jest naprawdę ciężką zbrodnią.

•••

California Highway Patrol, czyli kalifornijska drogówka, należy do największych służb policyjnych na świecie. Idealizowana i owiana romantycznym nimbem, cieszy się wielką sławą w Ameryce i poza nią. Obraz dosiadającego swojej potężnej maszyny gliniarza z Zachodniego Wybrzeża to jedna z wielkich narodowych ikon. W brązowej koszuli włożonej na biały T-shirt, w białym kasku, lustrzanych okularach lotniczych, obcisłych spodniach i wysokich, lśniących czarnych butach przemierza bezkresne, słoneczne autostrady, strzegąc, by przemierzająca się bez ustanku ludność wielkiego stanu dotarła bezpiecznie do celu.

Taki jest wyidealizowany obraz. Dlatego Joey Gunston złożył podanie o wstąpienie do służby. Szybko jednak odkrył, że rzeczywistość jest zupełnie inna. Każda organizacja ma swoją jasną i ciemną stronę. Gunston utkwiał po tej ciemnej. Nie przemierzał słonecznych nadbrzeżnych autostrad na wielkim motocyklu. Siedział sam jeden w standardowym policyjnym dodge'u, jeżdżąc w tę

i z powrotem po przecinającej pustynię Mojave drodze numer 91. Nie miał obcisłych spodni i wysokich butów, jego biały podkoszulek był wymiętym szarym łałem, a lustrzane okulary tanią podróbką ray-banów, którą kupił sobie sam w LA i której i tak nie mógł nosić, ponieważ jeździł na nocnej zmianie, od dziewiątej wieczór do szóstej rano.

Dlatego Joey Gunston był człowiekiem, który pozbył się złudzeń. Ale nie był zgorzkniały. Nie należał do tego rodzaju facetów, lecz do ludzi, którzy doznając rozczarowań, nie pękają. Przyłożył się bardziej do roboty, mówił sobie. Będzie pracował ciężko, aż uda mu się uciec z ciemnej strefy i dostanie przydział do jasnej. Uznał, że spłaca jakby swój dług. Uznał, że będzie kursował drogą numer 91 w beżowym dodge'u z plastikową odznaką CHP na drzwiach tak długo, jak długo będzie trzeba, żeby się sprawdzić. Trwało to już trzydzieści jeden miesięcy. I na razie nie było mowy o przesiadce na motocykl i transferze na drogę numer 101. Nikt się nawet o tym nie zająknął. Joey Gunston nie zamierzał jednak w związku z tym obniżyć swoich standardów.

W dalszym ciągu ciężko harował. Czekając na przełom, który, był o tym przekonany, musiał nastąpić. Problem polegał na tym, że możliwości przełomu na autostradzie numer 91 były dosyć ograniczone. To bezpośrednio droga między LA i Las Vegas – co sprawiało, że ruch na niej był dosyć duży – prowadząca przez dość malowniczy region. Odcinek Joeya mierzył niecałe dwieście kilometrów i ciągnął się od Barstow na zachodzie do granicy stanu na zboczach Clark Mountain. Problemem były godziny, w jakich pracował. W nocy ruch się wyraźnie zmniejszał i malownicza sceneria była niewidoczna. Przez trzydzieści jeden miesięcy zatrzymywał wyłącznie kierowców przekraczających szybkość i mniej więcej dwa razy w tygodniu wzywał przez radio ambulans, kiedy jakiś napruty facet zjechał z drogi i rozbił się.

Ale nie tracił nadziei. W ten poniedziałek zerknął o dziewiątej wieczór na tablicę w biurze dyspozytora i zapisał szczegóły w skórzanym notesie, który kupiła mu siostra. Jedną z informacji dotyczyła listu gończego wydanego za facetem z Laney, niejakim Jamesem Penneyem, podejrzanym o podpalenie i uszkodzenie mienia i mogącym podróżować czerwonym firebirdem. Gunston zapisał sobie wielkimi cyframi jego numer rejestracyjny, by móc je odczytać w przyćmionym świetle w samochodzie. Następnie przejechał sto kilometrów na wschód i zatrzymał się na poboczu niedaleko Soda Lake.

Wielu facetów uderzyłoby od razu w kimono. Gunston wiedział, że jego koledzy pracują w dzień jako ochroniarze albo prywatni detektywi w LA, a potem śpią w nocy w stojących na poboczu dodge'ach. Ale on nigdy tak nie robił. Siedział czujny i gotowy, czekając na swój przełom.

I przełom nastąpił godzinę później. O dziesiątej wieczór w tamten poniedziałek. Firebird przemknął obok niego, pędząc na wschód i mając na liczniku sto czterdzieści, może sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Gunston nie musiał nawet zaglądać do notesu. Numery mignęły mu w ciemności przed oczami. Odpalił dodge'a, wcisnął gaz do dechy i włączył koguta i syrenę. Trzymając jedną ręką kierownicę, przesunął kciukiem włącznik mikrofonu.

– Ścigam czerwonego firebirda – zameldował. – Numery zgadzają się z listem gończym.

W głośniku rozległy się trzaski, a potem głos dyspozytora:

– Gdzie jesteście?

– Przy Soda Lake – odparł Gunston. – Przemieszczam się na wschód, szybko.

– W porządku, Joey – powiedział dyspozytor. – Nie pozwól mu prysnąć. I dorwij go przed granicą stanu. Nie chcemy, żeby przejęli go chłopcy z Nevady, prawda?

– Rozumiem, szefie – mruknął Gunston.

Rozpędził dodge'a do stu sześćdziesięciu i z zawodzącą smętnie syreną pomknął w noc. Uznał, że firebird jest jakieś półtora kilometra przed nim. Penney mógł zjechać na bok do miasta Baker, ale jeśli tego nie robi, Gunston na pewno go dopadnie. Być może to będzie przełom, na który czekał.

Dogonił firebirda po pięciu kilometrach. Zjazd do Baker został za nimi. Po drodze było już tylko dziewięćdziesiąt kilometrów Kalifornii, a potem stan Nevada. Gunston podjechał dodge'em całkiem blisko i kiedy miał dwadzieścia metrów do tylnego zderzaka firebirda, włączył niebieskie stroboskopowe światła i przełączył syrenę na ogłuszający elektroniczny sygnał *pok-pok-pok*, który tak lubił. Uśmiechnął się od ucha do ucha. Ale firebird wcale nie zwolnił. Wprost przeciwnie, jeszcze bardziej przyspieszył. Wskazówka szybkościomierza Gunstona chybotąła przy stu osiemdziesięciu na godzinę. Ścisnął mocniej brudną winylową kierownicę.

– Skurwysyn – mruknął pod nosem.

Wcisnął gaz jeszcze mocniej i popędził w ślad za nim. Firebird osiągnął szczyt swoich możliwości przy mniej więcej stu osiemdziesięciu pięciu kilometrach na godzinę. Nadal gnał jak wariat, ale już nie przyspieszał. Gunston uśmiechnął się. Znał dobrze drogę przed sobą. Być może nawet lepiej niż ten facet z Laney. Wzniesienie na zachodnim zboczu Clark Mountain powinno przechylić szalę na korzyść sił ładu i porządku. Firebird musiał zwolnić pod górkę. A dodge ze swoim ośmiocylindrowym silnikiem widlastym z Detroit miał całkiem porządny moment obrotowy. Nowe policyjne radialne opony. I wyszkolonego kierowcę. Zostało mu osiemdziesiąt kilometrów, żeby wykorzystać okazję. Być może autostrada numer 101 i wielki motocykl były na wyciągnięcie ręki.

Ścigał czerwonego firebirda przez pięćdziesiąt kilometrów. Przy jeździe pod górkę oba samochody zwolniły mniej więcej do stu czterdziestu. Syrena dodge'a przez całe dwadzieścia minut wyła jak opętana, czerwone i niebieskie światła waliły po oczach. Gunston doszedł do wniosku, że ten cały Penney musi być psycholem. Żeby podpalić dom, a później próbować uciec po ciemku przed patrolem CHP! Po jakimś czasie zaczął się denerwować. Granica stanu była coraz bliżej. Zadzwonienie i poproszenie o pomoc chłopców z Nevady nie wchodziło w grę. Penney należał do niego. Gunston ścisnął więc jeszcze mocniej kierownicę i zaczął się zbliżać do pędzącego czerwonego samochodu. Na pięć, trzy, dwa metry. Coraz bardziej i bardziej. Próbuje rozwiązać problem siłowo.

Szesnaście kilometrów przed granicą stanu z autostrady numer 91 można skręcić do miasta Nipton. Droga odchodzi ukośnie w dół i biegnie po zboczu, w stronę doliny. Kierowca firebirda wybrał ten zjazd. Mając policyjnego dodge'a pół metra za tylnym zderzakiem, odbił w prawo i po prostu znikł z pola widzenia. Gunston wdepnął hamulec tak mocno, że ze wszystkich zablokowanych czterech kół poszedł gęsty dym. Wrzucił wsteczny bieg i cofając się poboczem z wyciem silnika, zdążył zobaczyć, jak firebird wypada z drogi i toczy się w dół po zboczu. Droga miała złe nachylenie. Gunston wiedział o tym. Penney nie. Zdecydował się na ten desperacki skręt i przegrał. Tylne koła firebirda straciły przyczepność i zsunęły się z jezdni. Czerwony samochód pokoziołkował niczym piłeczka golfowa i wzbił się w górę. Gunston patrzył, jak odbija się od skał. Jakiś głaz zaczepił o podwozie, benzyna zalała gorący tłumik i następną rzeczą, jaką zobaczył Gunston, był wybuchający trzydzieści metrów niżej płomień i tocząca się powoli po zboczu kula ognia.

• • •

Dyspozytor CHP kazał Joeyowi Gunstonowi nadzorować ściąganie spalonego firebirda. Nikt szczególnie nie przejął się wypadkiem. Nikt nie żałował Penneya. W rozmowach, jakie dyspozytor i siedzący w dodge'u Gunston prowadzili na temat podpalacza, który zginął w płonącym samochodzie na zboczu Clark Mountain, słychać było skrywaną ironiczną satysfakcję. Jedynym problemem był rachunek, którego mogli się spodziewać w następnym miesiącu od pomocy drogowej. Zasady regulujące, kto ma płacić za takie rzeczy, nigdy nie były jasne. CHP wpisywała to na ogół w końcu w koszty różne.

Gunston znał kierowcę lawety, który mieszkał w okolicy Soda Lake i prowadził nasłuch policyjnych częstotliwości, złożył więc zamówienie i szybko otrzymał odpowiedź. Następnie zaparkował na poboczu przy zjeździe do Nipton, tuż obok zostawionych na asfalcie śladów własnych opon, i czekał na faceta. Ten pojawił się godzinę później i tuż po północy Gunston i laweciarz schodzili po ciemku po zboczu, ciągnąc za sobą wielki metalowy hak podczepiony do wciągarki.

Czerwony firebird leżał mniej więcej dwieście metrów dalej na zboczu, w miejscu, gdzie kończył się akurat zasięg liny. Nie był już czerwony. Jego karoserię pokrywały fantastyczne brązowe i fioletowe smugi. Całe szkło się stopiło, plastik wypalił. Opony zniknęły. Sam Penney był skurczonym, przypalonym racuchem przyspawanym do zygzakowatych metalowych sprężyn – jedynej rzeczy, jaka pozostała z fotela. Gunston i laweciarz nie przyglądali mu się zbyt długo. Przykucnęli obok, zaczepili wielki hak o wieszak przedniego zawieszenia i ruszyli z powrotem pod górę.

Spoceni i zdyszani dotarli w końcu do lawety, która obstawiona czerwonymi flarami Gunstona stała na ukos na drodze. Na tylnej skrzyni zamontowany był bęben, wychodząca z niego lina znikła w ciemności. Kierowca uruchomił potężny silnik Diesla, który zasiliał hydrauliczną wciągarkę, i bęben zaczął się ze

zgrzytem obracać, nawijając linę i wciągając wrak na górę. Od czasu do czasu wrak firebirda zahaczał o krzaki albo o skałę i pojazd holowniczy przysiadł wtedy na resorach, a potężny silnik zwiększał obroty.

Prawie całą godzinę trwało wciąganie wraku dwieście metrów aż na jezdnię. Firebird przez chwilę szorował po betonowym poboczu, a potem kierowca ustawił swój pojazd pod lepszym kątem i przyspieszył obroty bębna, by wciągnąć wrak na lawetę. Gunston pomógł mu przymocować go łańcuchami. Następnie skinął mu głową na pożegnanie i laweta ruszyła z powrotem na zachód. Gunston podszedł do swojego dodge'a, zgasił obracające się światła i włączył radio.

– Jest już w drodze – poinformował dyspozytora. – Ale wyślijcie mu lepiej na spotkanie ambulans.

– Po co? – zapytał dyspozytor. – Facet jest przecież martwy.

– Martwy jak to tylko możliwe – odparł Gunston. – Ale ktoś musi go zeskrobać z fotela, a ja na pewno tego nie zrobię.

Dyspozytor zarechotał.

– Naprawdę tak się usmażył?

Gunston też się roześmiał.

– Najmocniej usmażony facet, jakiego w życiu widziałeś.

• • •

Był środek nocy, ale szeryf nadal siedział w swoim biurze w Laney. Przewidywał, że czeka go wiele nadgodzin. To był pracowity dzień. A następny powinien być jeszcze bardziej pracowity. Doszło do licznych incydentów, którymi trzeba było się zająć. Zwolnienia w fabryce przyniosły wiele nieoczekiwanych konsekwencji. Wieczorem odnotowano dużo pijackich wybryków. Wywróciły się dwa pick-upy. Kierowcy odnieśli niewielkie obrażenia. W fabryce wybito kilka okien. Celowano w okna pana Odella. Kilka kamieni nie doleciało do celu i wpadło do sortowni poczty. Jeden stłukł przednią szybę stojącego na parkingu auta.

A Penney spalił trzy domy. To był problem. Ale właśnie w tym momencie przestał być problemem. Ciszę na posterunku przerwał terkot teleksu. Szeryf oderwał długą na pół metra wstęgę papieru, przeczytał ją, złożył i dołączył do założonej wcześniej teczki. Następnie podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do CHP.

– Przejmuję w tym momencie to dochodzenie – oznajmił. – Ta sprawa dotyczy hrabstwa Laney. Nasz koroner obejrzy tego faceta. Właśnie jadę z nim do Soda Lake.

Koroner hrabstwa Laney był młodym lekarzem prosto ze Stanfordu i nazywał się Kolek. Polskie nazwisko, ale facet pochodził z rodziny, która mieszkała w Kalifornii dłużej niż większość jej mieszkańców. Ponad czterdzieści lat. Szeryf wybrał się na wschód jego służbowym kombi. Wezwany w ostatniej chwili Kolek w ogóle nie protestował. Nie miał nic przeciwko nocnej pracy. Był młody, nowy i potrzebował pieniędzy. Ale przez całą drogę prawie w ogóle się nie odzywał.

Medycy generalnie niezbyt lubią zajmować się spalonymi ciałami. Szeryf nie wiedział dlaczego. Widział już kilka. Spalone ciało jest podobne do czegoś, co zbyt długo piekło się na rożnie. To na pewno lepsze od wilgotnych robaczywych szczątków, które można znaleźć w lesie. O niebo lepsze.

– Musimy przywieźć go z powrotem? – zapytał Kolek.

– Samochód? – odparł szeryf. – Czy faceta?

– Zwłoki – uściślił Kolek.

Szeryf wyszczerzył do niego zęby i pokiwał głową.

– Gdzieś tutaj mieszka jego była. Może będzie go chciała pochować. Może mają rodzinny grób – mruknął.

Kolek wzruszył ramionami i podkręcił ogrzewanie. I całą drogę z Mojave do Soda Lake przejechali w milczeniu. Dwieście kilometrów bez jednego słowa.

Złomowisko, wciśnięte między drogę do Baker i autostradę i ogrodzone wysokim drewnianym płotem, zajmowało teren wielkości stadionu. Na zewnątrz stały jeden obok drugiego pojazdy holownicze. Kolek zwolnił, minął je i podjechał do bramy. W stojącym tuż za nią drewnianym baraku mieściło się biuro. W środku paliło się światło. Kolek zatrąbił raz i czekał. Z baraku wyszła kobieta. Zobaczyła, kim są, cofnęła się, by włączyć zamocowane na słupach reflektory, i cały teren zalało jasne sine światło. Kobieta zaprowadziła ich do spalonego firebirda, który przykryto spłowiałą plandeką.

Szeryf i Kolek ściągnęli ją z wraku. Nie był aż tak bardzo porozbijany. Rosnące na zboczu zarośla nie pozwoliły mu się rozpędzić. Nie wpadł na żaden głaz ani nic w tym rodzaju. Gdyby się nie zapalił, James Penney mógłby przeżyć.

Kolek zabrał ze swojego samochodu latarki i zestaw narzędzi. Musiał użyć łomu, żeby otworzyć drzwi od strony kierowcy. Zawiasy zablokowały się i zdeformowały pod wpływem wysokiej temperatury. Kiedy szeryf oparł się z całej siły o drzwi, otworzyły się ze zgrzytem na oścież. Dwaj mężczyźni omietli latarkami osmalone wnętrze.

– Pasy bezpieczeństwa są spalone – zauważył Kolek. – Ale miał je na sobie. Klamra jest zapięta.

Szeryf pokiwał głową.

– Poduszka powietrzna zadziałała – powiedział, wskazując ręką.

Plastikowe części kierownicy wszystkie się spaliły, ale tam, gdzie wystrzeliła poduszka, małe metalowe zawiasy były otwarte.

– W porządku – mruknął Kolek. – Teraz najweselsza część programu.

Szeryf przytrzymał obie latarki, a Kolek włożył grube gumowe rękawice i przez chwilę badał sytuację.

– Przyspawał się dość mocno – stwierdził. – Najlepiej będzie przeciąć sprężyny fotela i zabrać je razem z nim.

– Czy worek na ciało nie będzie za mały?

– Chyba nie. Zwłoki nie są takie duże.

Szeryf ponownie zajrzał do środka. Przesunął promień latarki po ciele.

– Penney był całkiem dużym facetem. Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu – zauważył.

Kolek skrzywił się.

– Ludzie w ogniu się kurczą – odparł. – Wyparowują z nich płyny fizjologiczne.

Cofnął się do swojego samochodu, zabrał z niego nożyce do cięcia drutu, po czym zajrzał z powrotem do środka firebirda i zaczął ciąć zygzakowate metalowe sprężyny blisko miejsc, w których stykały się z ciałem. Zajęło mu to trochę czasu. Żeby przeciąć sprężyny z drugiej strony, musiał się nachylić nad trupem.

– W porządku, może pan mi teraz pomóc – powiedział w końcu.

Szeryf wsunął ręce pod zwęglone nogi i złapał sprężyny tam, gdzie Kolek odciął je od ramy. Pociągnął za nie, przekręcił i wywlókł ciało z firebirda, stopami do przodu. Kolek złapał je za ramiona, po czym przenieśli trupa kilka kroków i postawili ostrożnie na ziemi. Kiedy się wyprostowali, przewrócił się do tyłu z podniesionymi groteskowo zgiętymi nogami.

– Cholera! – zaklął Kolek. – Nie znoszę tego.

Szeryf przykucnął i zaświecił latarką w wykrzywioną szparę, która była niegdyś ustami Penneya.

– Nadal ma zęby – powiedział. – Będzie pan mógł dokonać identyfikacji.

Kolek nachylił się obok niego. Widać było wyraźny nagryz pionowy.

– Z łatwością – stwierdził. – Bardzo się panu z tym spieszy?

Szeryf wzruszył ramionami.

– Bez tego nie zamknę sprawy.

Razem wsunęli zwłoki do worka, a potem załadowali je z tyłu kombi. Położyli je na boku, opierając o wypukłość nad kołem zapasowym, i ruszyli z powrotem na zachód, mając za plecami wschodzące właśnie słońce.

• • •

To samo poranne słońce obudziło Jamesa Penneya, wciskając się między listwy żaluzji w motelowym pokoju i padając na jego twarz. Przeciągnął się i leżąc w ciepłym łóżku, obserwował tańczące w powietrzu drobinki kurzu.

Znajdował się nadal w Kalifornii, niedaleko Yosemite, w domku numer dwanaście, w motelu wystarczająco oddalonym od parku narodowego, żeby nie zdzierali z gości. W schowanym pod materacem portfelu były jego sześciotygodniowe pobory. Od których trzeba było odjąć półtora baku benzyny, cheeseburgera i dwadzieścia siedem dolarów pięćdziesiąt centów za pokój. Schował portfel pod materac, bo za dwadzieścia siedem pięćdziesiąt nie dostaje się miejsca w porządnym hotelu. Zamknął oczywiście drzwi, ale facet z recepcji miał klucz uniwersalny i z pewnością nie był pierwszym recepcjonistą na świecie, który wypożycza go na krótko osobom pragnącym dorobić sobie w nocy na boku.

Ale nic się nie wydarzyło. Materac był tak cienki, że Penney czuł portfel pod nerką. Nadal tam był, nadal przyjemnie go uwierał. Penney leżał, śledząc wzrokiem promień słońca i wykonując w pamięci rachunki, próbując podzielić sześciotygodniową wypłatę na dającą się przewidzieć przyszłość. Uznał, że wydając pieniądze wyłącznie na tanie żarcie, tanie motele i benzynę, nie ma się

czym przejmować. Firebird miał nowoczesny silnik, wydajny i jednocześnie ekonomiczny. Mógł nim dotrzeć bardzo daleko i miał dość pieniędzy, by się spokojnie rozejrzeć.

Co będzie potem, nie był już taki pewien. Zapotrzebowanie na metalowca, nawet z siedemnastoletnim stażem, nie było chyba zbyt duże. Ale powinien przecież znaleźć jakąś pracę. Co do tego nie miał wątpliwości. Nawet jeśli miałyby to być prace fizyczne. Był robotnikiem i wcale mu to nie przeszkadzało. Może znajdzie jakieś zajęcie na powietrzu – mogłoby to być odświeżające. Mogłoby mieć w sobie jakiś rodzaj godności. Prosta praca dla prostego uczciwego człowieka, tak bardzo różniąca się od harówki dla tego szczerzącego zęby szczura Odella.

Jeszcze przez chwilę śledził wędrujący po narzucie promyk słońca, po czym ściągnął kołdrę i wyskoczył z łóżka. Skorzystał z toalety, umył twarz i zęby w umywalce i wyciągnął swoje rzeczy ze sterty, na którą je wcześniej rzucił. Potrzebował więcej ciuchów. Miał tylko to, w czym stał. Całą resztę spalił wraz z domem. Wzruszając ramionami, skorygował swoje obliczenia, dorzucając koszt nowych spodni i roboczych koszul. I być może porządnych butów, jeśli miał pracować na świeżym powietrzu. Sześciotygodniowe pobory starczą na trochę mniej. Postanowił jechać wolniej, żeby nie spalać tyle benzyny, i być może mniej jeść. A może nie mniej, lecz taniej. Będzie się stołował w barach dla kierowców ciężarówek, a nie w knajpach dla turystów. Więcej kalorii, mniej pieniędzy.

Uznał, że powinien przejechać naprawdę sporo kilometrów, zanim zatrzyma się na śniadanie. Zadzwoił kluczykami w kieszeni i otworzył drzwi na zewnątrz. I nagle zamarł w bezruchu. Serce zabiło mu szybciej. Asfaltowy plac przed jego domkiem był pusty. Zobaczył tam tylko stare plamy po oleju. Zerknął desperacko w prawo i w lewo. Czerwony firebird zniknął. Penney wrócił na chwiejnych nogach do pokoju, osunął się ciężko na łóżku i oszołomiony zastanawiał się, co dalej.

Uznał, że nie będzie sobie zawracał głowy recepcjonistą. Był przekonany, że maczał w tym palce. Po prostu to czuł. Facet odczekał godzinę, a potem zadzwonił po swoich kumpli, którzy zwarli kable na krótko, wyprowadzili samochód z parkingu i odjechali w siną dal. Musieli już od dawna okradać nieświadomych niczego gości motelu. Frajerów, którzy płacili dwadzieścia siedem pięćdziesiąt za to, że pozbawiano ich najcenniejszej własności. Penneyowi zrobiło się niedobrze. Czuł, jak ogarnia go jednocześnie odrętwienie i biała gorączka. Jego czerwony firebird. Jedyna cholerna rzecz, której naprawdę pragnął w tym pieprzonym życiu. Przepadł. Ukradli go. Pamiętał radość, jaką czuł, gdy go kupował. Po rozwodzie. Kiedy obudził się i zdał sobie sprawę, że może po prostu pójść do dealera, podpisać papiery i mieć go na własność. Bez dyskusji. Bez wyklócania się. Bez złośliwych uwag o zabawkach dla dużych chłopców i wyliczania, że bardziej potrzebują tego lub owego. Nic z tych rzeczy. Po prostu pojechał do dealera, oddał mu swojego starego rżęcha, podpisał papiery na firebirda i w stanie totalnej euforii wrócił nim do domu. Co tydzień mył go i polerował. Śledził telewizyjne reklamy i próbował każdej nowej cudownej pasty, jaka

pojawiła się na rynku. Samochód stał codziennie przed fabryką niczym jaskrawoczerwony symbol sukcesu. Niczym nagroda pocieszenia za cały ten syf i harówkę. Choć brakowało mu tylu innych rzeczy, miał przynajmniej swojego firebirda. Aż do dzisiaj. Teraz firebird dołączył do listy rzeczy, które stracił.

Najbliższy posterunek policji był piętnaście kilometrów na południe. Widział go poprzedniego wieczoru, jadąc na północ. Tupiąc nogami ze złości i frustracji, ruszył tam na piechotę. Słońce wzeszło wyżej i szedł coraz wolniej. Po przejściu kilku kilometrów wysunął kciuk w górę. Zabrał go serwisant firmy komputerowej jadący służbowym buickiem.

– Ukradli mi samochód – poinformował go Penney. – Zeszłej nocy, sprzed cholernego motelu.

Serwisant wydał bliżej nieokreślony pomruk, którym ludzie pragną zasygnalizować współczucie, podczas gdy w rzeczywistości mają cię głęboko w nosie.

– To fatalnie – mruknął. – Był ubezpieczony?

– Jasne, w związku motorowym, wszystko jak trzeba. Ale mam nadzieję, że go znajdą.

Serwisant pokręcił głową.

– Zapomnij pan o tym. Jutro będzie w Meksyku. Jakiś *señor* będzie miał całkiem nową amerykańską brykę. Nigdy jej pan nie zobaczysz, chyba że wybierzesz się pan tam na wakacje i facet nią pana przejedzie.

W tym momencie serwisant wybuchnął śmiechem i James Penney miał ochotę natychmiast wysiąść z buicka, ale słońce grzało coraz mocniej, a on był człowiekiem praktycznym. Jechał więc dalej w milczeniu i wysiadł przy policyjnym parkingu. Buick odjechał, wzbijając za sobą tuman kurzu.

Posterunek był niewielki, ale zatłoczony. Penney stanął w kolejce za pięcioma innymi osobami. Za biurkiem siedział sierżant, który przyjmował zgłoszenia i skargi, robił powoli notatki i potwierdzał wszystko dwa razy. Penney miał wrażenie, że ważna jest każda minuta. Wydawało mu się, że jego firebird pędzi w stronę granicy. Może gliniarz mógł wysłać wiadomość przez radio i spowodować, że go zatrzymają. Sfrustrowany przestępował z nogi na nogę i rozglądał się dzikim wzrokiem. Na tablicy za głową sierżanta wisiły różne informacje. Niewyraźne kopie teleksów i faksów. Komunikaty agentów federalnych. Masa rzeczy. Oczy Penneya wędrowały machinalnie od jednego do drugiego.

I nagle zatrzymały się w miejscu. Zobaczył swoje zdjęcie. Fotografię z prawa jazdy, którą skserowali w czerni i bieli i powiększyli. Pod spodem było jego nazwisko, zapisane dużymi drukowanymi literami. James Penney z Laney w Kalifornii. Opis jego samochodu. Czerwony firebird. Numery rejestracyjne. James Penney. Poszukiwany za podpalenie i uszkodzenie mienia. Wbił wzrok w list gończy, który rósł w jego oczach. Własna twarz spozierała na niego, jakby patrzył w lustro. James Penney. Podpalenie. Uszkodzenie mienia. List gończy. Kobieta przed nim skończyła swoją sprawę i stanął na czele kolejki. Sierżant dyżurny podniósł wzrok.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytał.

Penney pokręcił głową i odszedł na bok. Wyszedł spokojnie na skąpany w jasnym porannym słońcu dziedziniec i pognał niczym szalenię z powrotem na północ. Dopiero po mniej więcej stu metrach, dysząc ciężko, zwolnił pod wpływem upału i zrobił to, co nakazywał mu instynkt: zszedł z jezdni i schronił się w brzozowym lasku. Przez chwilę przedzierał się przez zarośla i w końcu, upewniwszy się, że jest niewidoczny, usiadł, opierając się plecami o cienki szorstki pień, rozłożył przed sobą nogi i ścisnął dłońmi głowę, jakby w każdej chwili mogła wybuchnąć.

Podpalenie i uszkodzenie mienia. Wiedział, co to znaczy. Ale było to zupełnie niezgodne z tym, co w rzeczywistości zrobił. Przecież spalił własny cholerny dom. To tak, jakby spalił swoje śmieci. Miał do tego prawo. Jak można to nazwać podpaleniem? Jeśli ktoś postanawia spalić swój dom, to przecież nie przestępstwo. Żyjemy w końcu w wolnym kraju, tak czy nie? Poza tym mógł to wyjaśnić. Był zdenerwowany. Opierając się o pień brzozy, zaczął spokojniej oddychać. Ale tylko przez chwilę. Ponieważ zaraz potem zaczął myśleć o adwokatach. Miał z nimi złe doświadczenia. Przy okazji rozwodu sporo się na nich wykosztował. Wiedział, jacy są. To adwokaci stanowili problem. Nawet jeśli to w ogóle nie było podpalenie, będzie im musiał słono zapłacić, żeby chcieli to łaskawie udowodnić. Będzie im musiał przez długie lata płacić grubą forszę. Forszę, której nie miał i nigdy już mieć nie będzie. Siedząc na twardej suchej ziemi, zdał sobie sprawę, że wszystko, co ma na tym bożym świecie, bezpośrednio styka się z jego ciałem. Para butów, para skarpetek, bokserki, lewisy, bawełniana koszula, skórzana kurtka. I portfel. Opuścił rękę i dotknął palcami wypchanej kieszeni. Sześciotygodniowe zarobki minus wczorajsze wydatki. Za sześciotygodniowe pobory mógł chyba kupić sześć godzin czasu adwokata. I w ciągu tych sześciu godzin facet zdąży pewnie zapisać jego pełne nazwisko i datę urodzenia. Kolejne sześć zajmie zapisanie numeru jego ubezpieczenia społecznego. Ustalenie, na czym właściwie polega problem, nastąpi dopiero w trakcie trzeciej sześciogodzinnej sesji. Albo czwartej. Takie miał doświadczenia z adwokatami.

Po jakimś czasie wstał. Po szaleńczym biegu zrobiły się w nogach zakwasy. Serce waliło mu w piersi. Oparł się o pień brzozy i wziął głęboki oddech. Przełknął ślinę. A potem przecisnął się z powrotem przez zarośla, wyszedł na drogę i ruszył na północ. Szedł przez pół godziny z rękami w kieszeniach; pokonał jakieś trzy kilometry i w końcu ustąpiło napięcie mięśni i uspokoił mu się oddech. Zaczął dostrzegać jaśniej sytuację. Zaczął rozumieć. Uświadomił sobie, jak poważne konsekwencje może pociągnąć za sobą przypięcie komuś etykiety. Był realistą i zawsze mówił sobie prawdę. Ponieważ uznali go za podpalacza, będzie odtąd podpalaczem. Faza gniewu minęła. Teraz chodziło o podjęcie sensownych decyzji, jednej po drugiej. Wyjaśnienie całego zamieszania było ponad jego siły. Musiał więc pozostawać poza zasięgiem policji. To była jego pierwsza decyzja. To był punkt wyjścia. Ogólna strategia. Z niej powinny wypływać inne taktyczne decyzje.

Mogli go namierzyć na trzy sposoby. Po nazwisku, po twarzy i po samochodzie. Ponownie zszedł z drogi między drzewa. Pokonał dwadzieścia metrów w głąb lasu. Wykopał mały dołek w poszyciu i wyjął z portfela wszystko, na czym było jego nazwisko. Zakopał to w dołku i ubił ziemię obcasami. A potem wyjął z kieszeni kluczyki do swojego ukochanego firebirda i cisnął je wysoko między drzewa. Nie zobaczył, gdzie upadły.

Samego samochodu już nie było. W tych okolicznościach było to korzystne. Ale firebird zostawił po sobie ślad. Mogli go widzieć w Mojave, przed bankiem. Mogli go widzieć na stacjach benzynowych, na których tankował. Jego numery rejestracyjne wpisał zeszłej nocy do formularza w motelu. Razem ze swoim nazwiskiem. Dawało to wyraźny ślad skierowany na północ.

Pamiętał, czego uczono go w Wietnamie. Pamiętał podstawowe zasady. Jeśli chciałeś ruszyć ze swojej kryjówki na wschód, najpierw szedłeś na zachód. Szedłeś na zachód przez jakieś kilkaset metrów, tu łamiąc stopą gałązkę, tam ocierając się o krzak, żeby przekonać żółtków, że idziesz na zachód, że starasz się nie zostawiać śladów, ale oczywiście je zostawiasz. A potem zawracałeś na wschód i teraz naprawdę nie zostawiałeś śladów, robiłeś to, jak należy, mijając miejsce, z którego wystartowałeś, i idąc dalej. Robił tak dziesiątki razy. Pierwotnie miał zamiar udać się na północ, być może do Oregonu. Realizował ten plan przez kilka godzin. Dlatego jego czerwony firebird zostawił ślad prowadzący na północ. Więc teraz musiał podążać przez jakiś czas na południe i zniknąć. Wyszedł z lasu na zakurzone pobocze i ruszył tam, skąd przyszedł.

Nie mógł zmienić twarzy. Widniała na wszystkich plakatach. Pamiętał, jak zobaczył ją na tablicy ogłoszeń w budynku policji. Schludny przedziałek, zapadnięte szare policzki. Zmierzył energicznie palcami włosy, w tę i z powrotem, aż sterczały na wszystkie strony. Pora pożegnać się z przedziałkiem. A potem przesunął dłonią po dwudziestoczworgodzinny zarost i postanowił zapuścić brodę. Tak naprawdę nie miał wyboru. Nie zabrał maszynki do golenia i nie zamierzał teraz wydawać na nią pieniędzy. Szedł w kurzu, kierując się na południe i mając po prawej stronie wysokie zbocza Excelsior Mountain. Po jakimś czasie doszedł do skrzyżowania na zachód, w stronę San Francisco, przez przełęcz Tioga. Zatrzymał się na poboczu i przez chwilę zastanawiał. Podążając dalej na południe, zbliżył się do Mojave. Za blisko domu. O wiele za blisko. Nie bardzo mu się to uśmiechało. Podjął więc nową decyzję. Uda się na zachód, na wybrzeże, i tam postanowi, co dalej.

Po przejściu trzydziestu metrów na zachód wystawił kciuk w górę. Był człowiekiem praktycznym. Wiedział, że na piechotę daleko nie zajdzie. Musiał korzystać z okazji, prosić o podwiezienie anonimowych zapracowanych ludzi. Uznał, że z przyczyn taktycznych lepiej będzie nie korzystać z uprzejmości porządnych obywateli. Takich, którzy mogliby zwrócić na niego uwagę i zapamiętać. Musiał rozumować jak zbieg. Zupełnie nowe doświadczenie.

Po czterdziestu minutach uświadomił sobie z drwiącym uśmieszkiem, że nie musi unikać porządnych obywateli. To oni unikali jego. Stał z uniesionym kciukiem, bez bagażu, z potarganymi włosami, nieogolony i pokryty kurzem,

więc jeden za drugim mijały go kolejne samochody. Kierowcy zerkali na niego i przyspieszali, jakby go tam w ogóle nie było. Słońce wędrowało nad jego głową, chyląc się ku zachodowi, i w końcu Penney zaczął wątpić, czy ktoś się w ogóle zatrzyma. Był głodny, spragniony i bezbronny, sam jak palec, pośrodku najbardziej przytłaczającego i okrutnego pejzażu, jaki znał.

Zbawienie nadeszło w postaci poobijanego i zakurzonego otwartego jeepa w piaskowym kolorze, który tak naprawdę nie był żadnym kolorem. Za kierownicą siedział facet koło czterdziestki. Z długimi siwiejącymi włosami, w brudnej batikowej koszuli: niegdysiejszy hippis, który zabłąkał się w obecne czasy. Jeep zwolnił, zarył w kurzu i zatrzymał się tuż obok Penneya.

– Jadę do Sacramento, przyjacielu! – zawołał kierowca, przekrzykując łomot obluźwanego tłumika i nachylając się nad siedzeniem pasażera. – Ale jeśli chcesz dostać się nad zatokę San Francisco, wysadzę cię w Stockton.

Penney pokręcił energicznie głową.

– Sacramento mi pasuje! Dziękuję bardzo.

Złapał jedną ręką za ramę przedniej szyby, a drugą za oparcie fotela i wskoczył do środka dokładnie tak, jak to robił, wsiadając do jeepów w Wietnamie.

– Możesz się rozsiąść i po prostu podziwiać krajobraz, przyjacielu! – Kierowca wciąż przekrzykiwał hałas. – W tym starym rzęchu niewiele ze sobą pogadamy. Jest zbyt głośny, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

James Penney pokiwał z wdzięcznością głową, a stary hippis puścił sprzęgło i włączył się z powrotem do ruchu.

• • •

Biuro lekarza sądowego hrabstwa Laney zgodnie ze swoją nazwą było tylko biurkiem, do tego marnie wyposażonym. Nie było tam warunków, żeby przeprowadzić sekcję zwłok, chyba że Kolek położyłby zwęglonego trupa na własnym biurku. Zabrał więc torbę ze zwłokami do zakładu w północnej części Los Angeles, z którego korzystało hrabstwo. Była to przestronna, nowoczesna, dobrze wyposażona kostnica i panował w niej duży ruch. Duży ruch wynikał z faktu, że obsługiwała cały pierścień otaczających ją małych hrabstw, a także własną dość pokaźną liczbę nieszczęśników. Kolek przekazał więc ciało do chłodni i zapisał się na najbliższy wolny termin, kiedy mógł przeprowadzić sekcję, czyli tego samego dnia po południu. Miał do dyspozycji pół godziny, ale oceniał, że to aż nadto. Ustalenie przyczyn śmierci Penneya nie powinno nastroczać żadnych trudności. Pozostało tylko rutynowe potwierdzenie tożsamości na podstawie danych stomatologicznych.

W Laney mieli jednego dentystę, który obsługiwał dwutysięczną populację. Penney nigdy go nie odwiedził. Facet był jednak stosunkowo nowy, a szeryf przyznał, że mieszkańcy Laney nie są znani z przesadnej dbałości o zęby. Fabryka zapewniała oczywiście ubezpieczenie zdrowotne, lecz w dość ograniczonym zakresie i zabiegi dentystyczne wymagały wpłaty własnej. Okazało

się jednak, że pielęgniarka stomatologiczna, krępa starsza pani, współpracowała z dwoma poprzednimi dentystami. Zajrzała do archiwum i odnalazła dane Penneya, które leżały tam od jego ostatniej wizyty dwanaście lat wcześniej. W żółtej kopercie był cienki plik kartek i klisza. Kolek wypożyczył ją, rzucił na tylne siedzenie kombi i zerknąwszy na zegarek, pojechał na południe, do kostnicy.

•••

James Penney wysiadł z jeepa starego hippisa na południowym skraju Sacramento, przewiany wiatrem, zmęczony i ogłuszony hałasem. Stanął na poboczu drogi, pomachał facetowi i patrzył, jak odjeżdża i macha mu w odpowiedzi, z długimi siwymi włosami, które powiewały na wietrze. A potem rozejrzał się w nagłej ciszy. Wszędzie przed sobą i za sobą widział las szylców, jaskrawych napisów i neonów reklamujących motele z klimatyzacją, basenem i kablówką, a także najprzeróżniejsze fast foody, knajpy, supermarkety oraz sklepy z częściami samochodowymi. Wyglądało na to, że znalazł się w miejscu, w którym facet może się łatwo zgubić. Duży wybór moteli, stojących jeden za drugim, wszystkich konkurujących ze sobą, wszystkich oferujących najniższe ceny w mieście. Na jego wysokości były trzy. Uznał, że wynajmie pokój w środkowym. Zasyje się i zaplanuje, co robić dalej.

Ale potem postanowił spróbować numeru, o którym czytał kiedyś w przewodniku turystycznym. Numer polegał na tym, żeby zameldować się późno i potargować o cenę. Pod koniec dnia będzie im zależało, żeby wynająć jeszcze jeden pokój. Uznają, że lepszy rydz niż nic. Tak przynajmniej przedstawiono to w przewodniku. Nigdy wcześniej nie sprawdzał tej teorii, ale teraz mógł to zrobić. Zdecydował się więc zjeść późny lunch, wczesną kolację, czy na co tam była pora. Wybrał sieciową hamburgerownię, do której nigdy wcześniej nie zaglądał, usiadł przy oknie i śledził wzrokiem przejeżdżające samochody. Kiedy podeszła kelnerka, zamówił cheeseburgera i dwie cole. W drodze nałykał się kurzu i zaschło mu w gardle.

•••

Czterdziestoletni niegdysiejszy hippis z długimi siwiejącymi włosami dojechał do śródmieścia i zaparkował zakurzonego i poobijanego jeepa tuż przy hydrancie przed główną siedzibą policji w Sacramento. Wyjął kluczyk ze stacyjki, wysiadł, przeciągnął się w ciepłych promieniach popołudniowego słońca i wszedł do budynku.

Biuro Agencji do Zwalczenia Narkotyków w Sacramento mieściło się w kilku pokojach wynajmowanych od miejscowej policji. Można tam było wejść, wyłącznie mijając po drodze stanowisko sierżanta dyżurnego. Agenci musieli się wpisywać, a także pobierać przy wejściu wewnętrzne identyfikatory, które

oddawali przy wyjściu. Działo się tak z dwóch powodów. Po pierwsze, ponieważ z wyglądu przypominali bardziej kryminalistów niż agentów, odznaki pozwalały ograniczyć do minimum ewentualne nieporozumienia. Po drugie, ponieważ pracowali pod przykrywką, nie mogli schować identyfikatora do kieszeni przez roztargnienie albo pomyłkę, i tak po prostu wyjść. Gdyby to zrobili i zostali przeszukani przez ludzi, z którymi starali się zaprzyjaźnić, mogli mieć przerąbane. Przestrzegano więc ściśle zasady, że kiedy agenci nie są w środku i nie noszą identyfikatorów, pozostają one w biurku sierżanta dyżurnego.

Czterdziestoletni hippis stanął w kolejce, żeby odebrać swoją odznakę. Przed sobą miał dwóch mundurowych z jakimś facetem w kajdankach. Dyżur pełnił jeden sierżant. Trzeba było poczekać. Hippis omiół wzrokiem tablicę ogłoszeń. Wysokie zagrożenie pożarowe w lasach. Zaginione dzieci. Nagle zobaczył przed sobą twarz. Na wydruku z teleksu. James Penney. Z Laney w Kalifornii. Podpalenie i uszkodzenie mienia.

– Cholera! – zaklął głośno.

Sierżant i dwaj gliniarze z facetem w kajdankach spojrzeli na niego.

– Ten facet – wyjaśnił hippis. – James Penney. Właśnie go podwiozłem.

• • •

Szeryf w Laney odebrał telefon z Sacramento. Zamykał akurat sprawy dotyczące wydarzeń poprzedniego dnia. Prowadzenie pod wpływem alkoholu, wybite okna, rozbita przednia szyba, pomniejsze wykroczenia. Akta Penneya trafiły już do szuflady, czekały tylko, aż Kolek oficjalnie potwierdzi jego tożsamość, żeby można je było zamknąć.

– Penney? Nie, gość nie żyje. Wczoraj w nocy rozbił się i spalił w drodze do Vegas – poinformował sierżanta dyżurnego w Sacramento i rozłączył się.

Był jednak ostrożnym i sumiennym facetem, dlatego odnalazł numer kostnicy w LA. Wyciągał właśnie rękę po słuchawkę, kiedy telefon zadzwonił znowu. To był Kolek. Telefonował z komórki, stojąc przy stole sekcyjnym.

– Co jest? – zapytał szeryf, choć domyślał się już, o co może chodzić.

– Dwa poważne problemy – powiedział Kolek. – Zęby w ogóle nie pasują do opisu. Penney miał z przodu mostek. Tanią protezę. Tu mamy prawdziwe zęby.

– I co jeszcze? – zapytał szeryf.

– To jest kobieta – odparł Kolek.

• • •

Cztery policyjne radiowozy pojawiły się na ulicy, gdy siedzący w hamburgerowni w Sacramento Penney skończył jeść posiłek. Zostawił już na stole dolara dla kelnerki i szykował się do wyjścia. Właściwie uniósł już tyłek z lepkiej winylowej ławki i przesunął się bokiem w stronę przejścia, kiedy je zobaczył. Cztery radiowozy, zatrzymujące się na zmianę przy kolejnych

motelach. Gliniarze wchodzili do każdej recepcji, trzymając w rękach plik papierów, a potem wychodzili i zaglądali do następnej. Penney z powrotem usiadł. Gapił się na nich przez szybę. Patrzył, jak oddalają się na południe, do momentu, aż zniknęli z pola widzenia. Wtedy wstał i wyszedł. Postawił kołnierz skórzanej kurtki i wstrzymując oddech, ruszył na północ, nie za szybko i nie za wolno.

• • •

Szeryf Laney siedział przy telefonie. Namierzył już Penneya w jego banku. Wiedział o dużej wypłacie poprzedniego dnia. Zerknął na mapę i przyglądając się drodze, która prowadziła z Laney do Mojave, założył całkiem trafnie, że Penney pojedzie dalej na północ, mijając z boku Mount Whitney. Kartkując książkę telefoniczną, zaczął obdzwaniać kolejne, coraz bardziej wysunięte na północ stacje benzynowe, aż w końcu znalazł faceta, który zapamiętał firebirda i jego kierowcę płacącego z grubego pliku gotówki.

Następnie szeryf dokonał w pamięci kilku prostych obliczeń, biorąc pod uwagę szybkość, dystans i czas, i zaczął dzwonić do moteli w rejonie, do którego, jego zdaniem, Penney dotarł pod koniec dnia. Znalazł właściwe miejsce za drugim strzałem: motel Pine Park Holiday, niedaleko Yosemite. Penney zameldował się tam koło dziewiątej, recepcjonista miał jego nazwisko i numer rejestracyjny auta na kopii rachunku.

Nie udało się jednak uzyskać więcej informacji. Szeryf zadzwonił na najbliższy posterunek policji, piętnaście kilometrów na południe od motelu. Nie zgłoszono tam kradzieży firebirda. Ani innych samochodów. W okolicy nie słyszano o kobiecie, która zajmowałaby się kradzieżą samochodów. Szeryf zadzwonił więc do dealera General Motors w Mojave i zapytał, ile można dostać za osiemnastomiesięcznego firebirda w dobrym stanie i z niskim przebiegiem. Dodał tę sumę do kwoty wypłaconej z banku. Wszystko wskazywało na to, że Penney spotkał się z kobietą w motelu i sprzedał jej swój samochód. A teraz uciekał, mając w kieszeni prawie piętnaście kawalków. Sporo forsy. To było jasne. Oczywiście. Wszystko to zaplanował i przygotował.

Szeryf znowu spojrział na mapę. To, że Penneya widziano w Sacramento, było szczęśliwym trafem. Trzeba było to szybko wykorzystać. Facet z pewnością nie zamierzał tam zostać. Zbyt małe miasto, w dodatku stolica stanu, dużo policji. Więc będzie się przemieszczał dalej. Prawdopodobnie w dzikie ostępy Oregonu albo stanu Waszyngton. Albo Idaho lub Montany. Ale nie samolotem. Nie będzie płacił gotówką. Ktoś, kto kupuje w Kalifornii bilet lotniczy za gotówkę, prosi się tylko, żeby aresztowano go za handel narkotykami. Więc będzie tam chciał dotrzeć drogą lądową. Ale Sacramento jest miastem, które po lewej stronie ma dość blisko ocean, a po prawej wysokie góry. Generalnie wychodzi z niego tylko sześć dróg. Więc sześć blokad powinno wystarczyć, być może w odległości piętnastu kilometrów od miasta, żeby nie ucierpieli mieszkańcy najbliższych miejscowości. Szeryf pokiwał głową i zadzwonił do drogówki.

• • •

O zmierzchu w Sacramento zaczęło padać. Rzęsisty, ulewny deszcz. Północna Kalifornia, blisko gór, bardzo różniła się od tego, do czego przywykł Penney. Szedł z pochyloną głową, kuląc się w kurtce i bojąc się zatrzymać jakikolwiek samochód. Radiowozy przy motelach wyprowadziły go z równowagi. Był zmęczony, zrezygnowany i przemoczony do suchej nitki. I rzucał się w oczy. W Kalifornii nikt nie chodzi nigdzie na piechotę. Obejrzał się przez ramię i zobaczył ciemnooliwkowego chevroleta, który wyraźnie zwalniał. Po chwili zatrzymał się na jego wysokości. Długa ręka sięgnęła nad siedzeniem i otworzyła drzwi od strony pasażera.

– Podwieźć cię?! – zawołał kierowca.

Penney nachylił się i zerknął do środka. Kierowca był wysokim mężczyzną koło trzydziestki, umięśnionym i zbudowanym jak zawodowy sztangista. Krótkie jasne włosy, surowa, szczerą twarz. Miał na sobie mundur. Wojskowy mundur. Penney spojrział na dystynkcje i zorientował się, że ma przed sobą kapitana żandarmerii wojskowej. Zerknął na ciemnooliwkową karoserię i zauważył na drzwiach odbity z szablonu numer.

– Nie wiem – mruknął.

– Wskakuj, bo kompletnie przemokniesz – powiedział kierowca. – Takiemu starem żołnierzowi jak ty nie przystoi moknąć na deszczu.

Penney wślizgnął się do środka. Zatrzasnął za sobą drzwi.

– Skąd wiesz, że byłem żołnierzem? – zapytał.

– Po tym, jak chodzisz – odparł kierowca. – Po tym, ile masz lat, i po tym, jak wyglądasz. Facet w twoim wieku, wyglądający tak, jak wyglądasz, i moknący na deszczu, nie zdołał raczej skryć się w college’u przed poborem.

Penney pokiwał głową.

– Nie udało mi się – potwierdził. – Odsłużyłem turę w dżungli, siedemnaście lat temu.

– Więc pozwól, że cię podwiozę – zaproponował kierowca. – Zrobię ci uprzejmość jak żołnierz żołnierzowi. Możesz to uznać za premię dla weterana.

– Dobrze – mruknął Penney.

– Dokąd zmierzasz?

– Nie wiem – odparł Penney. – Chyba na północ.

– W porządku, tak się składa, że jadę na północ. Jestem Jack Reacher. Miło cię poznać.

Penney nie odezwał się.

– Masz jakieś nazwisko? – zapytał facet, który nazywał się Reacher.

Penney zawahał się.

– Nie wiem – mruknął.

Reacher wrzucił bieg, obejrzał się przez ramię, po czym włączył się do ruchu i zablokował dźwignią drzwi.

– Coś takiego przeszkrobał? – zapytał.

– Co przeszkrobałem? – powtórzył Penney.

– Jesteś zbiegiem. Wychodzisz z miasta, zasuwasz w deszczu bez żadnej torby, nie wiesz, jak się nazywasz. Widziałem wielu ludzi, którzy uciekali, i ty jesteś jednym z nich.

– Chcesz mnie wydać?

– Jestem wojskowym gliniarzem – odparł Reacher. – Wyrządziłeś jakąś szkodę armii?

– Armii? – zdziwił się Penney. – Nie, byłem dobrym żołnierzem.

– Więc dlaczego miałbym cię wydać?

Penney zrobił głupią minę.

– Nie wiem – mruknął.

– Co takiego zrobiłeś cywilom?

– Wydasz mnie... – jęknął bezradnie Penney.

Reacher poruszył się za kierownicą.

– No cóż, to zależy... Co takiego zrobiłeś?

Penney milczał. Reacher odwrócił się i spojrzał mu prosto w oczy. Twarde przeszywające spojrzenie o hipnotycznej sile. Mierzył go nim przez sto metrów drogi, w kompletnej ciszy.

– Co zrobiłeś? – zapytał jeszcze raz.

Penney nie był w stanie odwrócić wzroku. Wziął głęboki oddech.

– Spaliłem swój dom – przyznał się. – Niedaleko Mojave. Wywalili mnie wczoraj z roboty. Po siedemnastu latach pracy. Chcieli mi zabrać samochód, więc wściekłem się i spaliłem swój dom. Ich zdaniem to umyślne podpalenie.

– Niedaleko Mojave? – mruknął Reacher. – Nic dziwnego. Tam, na południu, nie lubią pożarów.

Penney pokiwał głową.

– Powinienem o tym pomyśleć. Ale dostałem szału. Siedemnaście lat pracy, i nagle jestem dla nich niewart splunięcia. Zresztą samochód i tak mi ukradziono, pierwszej nocy po wyjeździe.

– Ustawili tu wszędzie blokady drogowe – powiedział Reacher. – Minąłem jedną, wjeżdżając od południa do miasta.

– Myślisz, że to mnie szukają? – zapytał Penney.

– Całkiem możliwe. Tam, na południu, nie lubią pożarów.

– Wydasz mnie?

Reacher znów zmierzył go twardym spojrzeniem.

– To wszystko, co przeszkobałeś? – zapytał.

– Tak, kapitanie, to wszystko, co przeszkobałem.

Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał. Słysząc było tylko mlaskanie opon sunących po mokrym asfalcie.

– Specjalnie mi to nie przeszkadza – przerwał milczenie Reacher. – Kiedy facet odsłużył turę w dżungli, pracował przez siedemnaście lat i wywalili go z roboty, ma chyba prawo wpaść w szal.

– Więc co powinienem zrobić?

– Masz jakieś zobowiązania?

– Rozwiedziony, bez dzieci.

– Zaczynj od nowa w jakimś innym miejscu.

– Znajdą mnie – mruknął Penney.

– Myślałeś już o zmianie nazwiska – stwierdził Reacher.

Penney pokiwał głową.

– Pozbyłem się wszystkich dokumentów – odparł. – Zakopałem je w lesie.

– Więc stwórz sobie nową tożsamość. Zdobądź nowe papiery. Tylko to obchodzi kogokolwiek. Żebyś miał odpowiedni papiererek.

– Niby jak mam to zrobić?

Reacher przez chwilę milczał, ostro główkując.

– To dość łatwe – powiedział. – Klasyczny sposób to pójść na cmentarz, znaleźć grób kogoś, kto zmarł jako dziecko, i na początek zdobyć jego akt urodzenia. Załatwiasz numer ubezpieczenia społecznego, paszport, karty kredytowe, i jesteś nową osobą.

Penney wzruszył ramionami.

– Nie dam rady tego zrobić. To zbyt trudne. I nie mam czasu. Z tego, co mówisz, na drodze jest blokada. Jak mam to wszystko załatwić, zanim nas zatrzymają?

– Są inne sposoby – mruknął Reacher.

– Podrobić papiery?

Reacher pokręcił głową.

– To zły pomysł. Wcześniej czy później odkryją podróbkę.

– Więc jak?

– Trzeba znaleźć faceta, który stworzył już sobie fałszywą tożsamość, i mu ją odebrać.

Teraz Penney pokręcił głową.

– Zwariowałeś. Jak mam to zrobić?

– Może nie musisz tego wcale robić. Może zrobiłem to za ciebie.

– Masz fałszywą tożsamość?

– Ja nie – odparł Reacher. – Mówię o facecie, którego szukałem.

– Jakim facecie?

Trzymając kierownicę jedną ręką, Reacher wyciągnął z wewnętrznej kieszeni munduru plik dokumentów.

– To nakaz aresztowania – powiedział. – Pewien oficer łącznikowy w fabryce broni na obrzeżach Fresno handlował tajnymi planami. Okazało się, że miał trzy fikcyjne tożsamości, wszystkie perfekcyjnie wyszykowane, łącznie ze świadectwami szkolnymi z podstawówki. Co oznacza, że musieli je przygotować Sowieci i że są nie do podważenia. Wracam właśnie z rozmowy, którą z nim odbyłem. On też uciekał i korzystał już z drugiego zestawu papierów. Zabrałem je. Są czyste. Są w bagażniku, w portfelu w kieszeni marynarki.

Samochody przed nimi zwalniały. Przez zalaną deszczem szybę widać było czerwony blask. Migające niebieskie światła. Poruszające się żółte promienie latarek.

– Blokada drogowa – stwierdził Reacher.

– Więc mogę skorzystać z papierów tego faceta? – zapytał podenerwowany Penney.

– Jasne, że możesz – odparł Reacher. – Wyskakuj i weź je. Przynies portfel z marynarki.

Zwolnił i zatrzymał się na poboczu. Penney wysiadł. Obszedł samochód i podniósł klapę bagażnika. Wrócił po chwili pobladły na twarzy.

– Masz go? – zapytał Reacher.

Penney pokiwał w milczeniu głową. Podniósł w górę portfel.

– W środku jest wszystko – poinformował go Reacher. – Sprawdziłem. Wszystko, czego możesz potrzebować.

Penney ponownie pokiwał głową.

– Więc włóż go do kieszeni – poradził mu Reacher.

Penney wsunął portfel do wewnętrznej kieszeni kurtki. Reacher podniósł prawą rękę. Trzymał w niej pistolet. A w lewej kajdanki.

– Teraz siedź spokojnie – nakazał cicho.

Pochylił się i zatrzasnął Penneyowi jedną ręką kajdanki na nadgarstkach. Wrzucił bieg i potoczył się powoli do przodu.

– Po co to? – zapytał Penney.

– Cicho – mruknął Reacher.

Od punktu kontrolnego dzieliły ich dwa samochody. Trzech policjantów w pelerynach kierowało ruch w stronę zwężenia utworzonego przez zaparkowane radiowozy. Ich świetlne pałki świeciły jasno w ciemności.

– Po co? – powtórzył Penney.

Reacher nie odpowiedział. Zatrzymał się po prostu tam, gdzie kazał mu policjant, i otworzył boczną szybę. Do środka wpadło wilgotne i zimne nocne powietrze. Gliniarz nachylił się do okna. Reacher podał mu swoją wojskową legitymację. Policjant oświetlił ją latarką i oddał z powrotem.

– Kim jest pański pasażer? – zapytał.

– To mój więzień – odparł Reacher i podał mu nakaz aresztowania.

– Ma jakiś dowód tożsamości?

Reacher nachylił się i dwoma palcami niczym kieszonkowiec wyjął portfel z wewnętrznej kieszeni Penneya. Otworzył go i podał przez szybę. Drugi gliniarz stanął w świetle reflektorów samochodu Reachera i zapisał w notesie numery rejestracyjne. Potem obszedł maskę i dołączył do kolegi.

– Kapitan Reacher z żandarmerii wojskowej – powiedział pierwszy gliniarz.

Drugi to zapisał.

– Z więźniem, niejakim Edwardem Hendricksem – dodał ten pierwszy.

Jego kolega to zapisał.

– Dziękuję, kapitanie – powiedział pierwszy. – Życzę bezpiecznej drogi.

Reacher precyzyjnie powoli między radiowozami, a potem przyspieszył. Półtora kilometra dalej zatrzymał się na poboczu. Nachylił się, rozpiął Penneyowi kajdanki i włożył je do kieszeni. Penney rozmasował nadgarstki.

– Myślałem, że mnie wydasz – powiedział.

Reacher pokręcił głową.

– Uznałem, że tak będzie dla mnie lepiej – oświadczył. – Mam nakaz aresztowania i mam w samochodzie więźnia, którego wszyscy mogą zobaczyć. Rozumiesz?

Penney pokiwał głową.

– Chyba tak – odparł cicho.

Reacher oddał mu portfel.

– Zachowaj go – mruknął.

– Naprawdę?

– Edward Hendricks. Tak się od tej chwili nazywasz. Do końca życia. To czysta tożsamość i będzie ci służyć. Potraktuj to jako premię dla weterana. Uprzejmość, którą jeden żołnierz robi drugiemu. W porządku?

Edward Hendricks popatrzył na niego, pokiwał głową i otworzył drzwi od swojej strony. Wsiadł na deszcz, postawił kołnierz skórzanej kurtki i ruszył na północ. Reacher patrzył w ślad za nim, aż Hendricks zniknął mu z oczu, a potem ruszył z miejsca i na następnym skrzyżowaniu odbił na zachód. W mieście o nazwie Eureka skręcił na północ i zatrzymał się w miejscu, gdzie był mały ruch i droga biegła tuż przy oceanie. Było tam szerokie wysypane żwirem pobocze, niska barierka i strome urwisko, u którego stóp piętnaście metrów niżej pienił się i kipiał Pacyfik.

Reacher wysiadł z samochodu, otworzył bagażnik i zacisnął palce na klapach marynarki, o której mówił swojemu pasażerowi. Wziął głęboki oddech i dźwignął. Zwłoki były ciężkie. Wyciągnął je z bagażnika i zarzucił sobie na ramię, po czym, chwając się lekko, podszedł do barierki, ugiął kolana i cisnął je w dół. Trup zaczepił o skaliste urwisko, obrócił się, przez chwilę młócił rękami i nogami powietrze, a potem wpadł z głośnym pluskiem do wody i zniknął.

KAŻDY W KOŃCU MÓWI

Istnieją zasady pisane i niepisane. Zetknęłam się z jedną z nich już pierwszego dnia pracy w nowym wydziale. Niepisana zasada głosiła, że nowy detektyw dostaje najgorszą robotę. Tego ranka wiązało się to akurat z przestrzeganiem całkiem oficjalnych – pisanych – reguł: miejskie szpitale miały obowiązek informować policję o wszystkich ofiarach postrzałów z broni palnej, a policja musiała badać każdy z tych przypadków. Nudna i zwykle bezowocna praca. Ale zasady to zasady.

Dwukrotnie ważniejsze dla kobiety w świecie mężczyzn.

Więc zajęłam się tym.

Oczywiście dostałam najgorszy samochód, bez GPS-u, a nawet bez papierowych map, ale całkiem sprawnie dojechałam do właściwego szpitala. Mieścił się w dużym beżowym budynku, położonym na południowy wschód od centrum. Kiedy pokazałam moją nową lśniącą odznakę, skierowano mnie na czwarte piętro. Nie był to oddział intensywnej terapii, ale obowiązywały tu te same reguły. Na tyle restrykcyjne, że musiałam wyłączyć komórkę.

Przy wejściu czekała pielęgniarka, która zaprowadziła mnie do dyżurnej lekarki. Była to kobieta o włosach przetykanych siwizną, sprawiająca wrażenie idealistki, która dysponuje olbrzymią wiedzą, a zarabia grosze. Powiedziała mi, że niepotrzebnie się fatygowałam. Ofiara spała i nic nie wskazywało na to, by wkrótce miała się ocknąć, bo podano jej mieszankę leków przeciwbólowych, moim zdaniem, wyjątkowo skuteczną. Ale byłam wtedy nowa i musiałam napisać raport, więc spytałam lekarzkę o opinię.

– Rana postrzałowa – zaczęła, jakby zwracała się do idiotki. – Pocisk trafił w lewą część tułowia, pod ramieniem, złamał żebro i rozerwał mięśnie. Paskudna rana. Dlatego pacjent dostał tyle środków przeciwbólowych.

– Kaliber? – spytałam.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Na pewno nie wiatrówka.

Powiedziałam, że chcę go zobaczyć.

– Chce pani patrzeć, jak śpi?

– Muszę przygotować raport.

Obawiała się infekcji, ale pozwoliła mi zajrzeć przez okienko. Zobaczyłam faceta, który spał sobie smacznie w szpitalnym łóżku. Bardzo charakterystycznego faceta. Krótkie, rozczochrane włosy, pospolite rysy twarzy. Leżał na plecach. Kołdra okrywała jego ciało tylko do bioder. Od pasa w górę był nagi. Lewe ramię obejmował rękaw ciśnieniomierza. W żyłach na wierzchu dłoni tkwiło kilka igieł połączonych z pojemnikami zawieszonymi przy łóżku, na palcu miał zacisk kardiomonitora. Widziałam zapis pracy jego serca na monitorze.

Silny i równomierny. Taki, jak trzeba. Bo i pacjent był wyjątkowo duży. Prawie większy od łóżka. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a ważył pewnie ze sto dwadzieścia kilogramów. Olbrzym. Dłonie jak rękawice bramkarza. Kawał chłopca. Szczupły i umięśniony. Nie był stary. Ale i nie młody. Wyniszczony i mocno poturbowany. Miał sporo blizn. Wielką starą szramę, która przypominała kształtem rozgwiadę, obrębioną grubymi, prymitywnymi szwami. Stary ślad po kuli na klatce piersiowej. Kaliber .38, na sto procent. Nietuzinkowe życie. Co cię nie zabije, to cię wzmocni.

Spał głęboko i spokojnie.

– Nie wie pani, jak to się stało? – spytałam.

– Prawdopodobnie nie postrzelił się sam – odparła lekarka. – Chyba że jest akrobatą.

– Chodziło mi raczej o to, czy coś pani powiedział.

– Kiedy go tu przywieźli, był przytomny, ale nie odezwał się ani słowem.

– Miał jakieś dokumenty? – spytałam.

– Wszystkie jego rzeczy są w plastikowej torebce – odparła lekarka. –

W pokoju pielęgniarek.

To był mały plastikowy woreczek z suwakiem. Taki, jakich ludzie używają na lotnisku. Na dole leżało trochę drobniaków. W sumie parę dolarów. I zwitek banknotów. Pewnie kilkaset dolców. Może więcej. Zależnie od nominałów. Była tam też karta bankomatowa. I pogięty stary paszport. No i składana szczoteczka do zębów, z plastikową osłonką na włosiu.

– To wszystko? – spytałam.

– Myśli pani, że okradamy pacjentów?

– A mogę mimo wszystko rzucić okiem?

– Jest pani policjantką – odparła lekarka.

Na karcie bankomatowej widniał napis *J. Reacher*. Była ważna jeszcze przez rok. Paszport stracił ważność przed trzema laty. Wystawiono go na Jacka Reachera. Nie Johna. Takie imię musiało się znajdować na akcie urodzenia. Nie miał drugiego imienia, co w Ameryce jest rzadkością. Zdjęcie ukazywało twarz podobną do tej, jaką przez moment widziałam w szpitalnej sali. Była trzynaście lat młodsza, wykrzywiona grymasem lekkiego zniecierpliwienia, jakby facet gotów był dać fotografowi czas potrzebny do zrobienia zdjęcia, ale ani sekundy więcej.

Żadnych kart kredytowych, komórki czy prawa jazdy.

– W co był ubrany? – spytałam.

– Tanie ciuchy – odpowiedziała lekarka. – Spaliliśmy je.

– Dlaczego?

– Zagrożenie biologiczne. Widziałam lepiej ubranych kloszardów.

– Jest bezdomny?

– Mówiłam pani, że nie odezwał się ani słowem. Równie dobrze może być ekscentrycznym miliarderem.

– Chyba jest w dobrej formie, prawda?

– Prócz tego, że leży obandażowany w szpitalu?

- Generalnie.
- Zdrow jak ryba. Silny jak koń.
- Kiedy się ocknie?
- Może dziś wieczorem. Dałam mu końską dawkę.

•••

Wróciłam do szpitala pod koniec mojej zmiany. Nikt mi za to nie płacił, ale byłam nowa i chciałam zrobić dobre wrażenie. Nie dotarły do mnie żadne wiadomości o niedawnej strzelaninie. Żadne plotki. Nikt nie dzwonił na policję, nie było żadnych innych ofiar ani świadków. Co mnie szczególnie nie dziwiło. To miasto takie jest. Półświatek żyje własnym życiem. Jak w Vegas. Wszystko załatwia się we własnym gronie.

Pogrzebałam trochę w bazach danych. Pomyślałam, że Reacher to rzadkie nazwisko, a jeszcze radsze w połączeniu z imieniem Jack. Nie znalazłam jednak żadnych istotnych informacji. Facet nie miał telefonu, nie miał samochodu ani łodzi czy przyczepy, żadnej historii kredytowej, domu czy ubezpieczenia. Nic. Dotarłam tylko do jakichś starych danych z wojska. Pracował w żandarmerii wojskowej, głównie w wydziale kryminalnym, był wielokrotnie odznaczony. Najpierw ucieszyłam się, że pracujemy w tej samej branży, ale potem trochę się zmartwiłam. Miał za sobą trzynaście lat wzorowej służby, a teraz był bezdomny i ranny, nosił ubrania tak toksyczne, że szpital musiał je spalić. Nie takie historie chce poznawać detektyw w pierwszy dzień pracy.

Było ciemno, kiedy wróciłam do szpitala, ale gdy wjechałam na czwarte piętro, okazało się, że facet już nie śpi. Znałam jego nazwisko, więc przedstawiłam się dla równowagi. Z grzeczności. Powiedziałam mu, że muszę napisać raport. Spytałam, co się stało.

– Nie pamiętam – odpowiedział.

Co było prawdopodobne. Uraz fizyczny może spowodować amnezję. Ale nie wierzyłam mu. Miałam wrażenie, że mnie zbywa. Zaczynałam już rozumieć, dlaczego niewiele o nim wiadomo. Trzeba się naprawdę bardzo starać, żeby nieustannie pozostawać w cieniu. Prawdę mówiąc, nie przeszkadzało mi to. Awansowałam, bo umiem skutecznie przesłuchiwać. I lubię wyzwania. Jeden z moich byłych chłopaków powiedział, że na moim nagrobku powinien znaleźć się napis: *Każdy w końcu mówi*.

– Proszę mi pomóc – powiedziałam.

Spojrzał na mnie przytomnymi niebieskimi oczami. Wyglądało na to, że środki przeciwbólowe, które mu podawali, nie mąciły w najmniejszym stopniu jego umysłu. Spojrzenie miał spokojne i przyjazne, ale jednocześnie posępne i niebezpieczne, mądre i prymitywne, ciepłe i drapieżne. Odniosłam wrażenie, że mógłby mi pomóc na sto sposobów, ale potrafiłby też zabić mnie na sto sposobów.

– Dopiero zaczęłam tę pracę. Właściwie to mój pierwszy dzień. Skopiuj mi tylek, jeśli nic nie przyniosę.

– A to byłaby wielka szkoda – odparł. – Bo to bardzo ładny tyłek.

Gdyby któryś z moich kolegów powiedział coś podobnego w pracy, musiałby się potem gęsto tłumaczyć, ale w tej sytuacji nie poczułam się urażona. Facet był ranny, bezradny i półnagi, a do tego miał specyficzny, ujmujący urok.

– Był pan żandarmem wojskowym – powiedziałam. – Widziałam pańskie akta. Pracował pan w zespole. Czy kiedykolwiek ratował pan komuś tyłek?

– Od czasu do czasu.

– Więc teraz proszę uratować mój.

Milczenie.

– Jak to się zaczęło? – spytałam.

– Jest już późno. Nie ma pani domu, do którego trzeba wrócić?

– A pan?

Milczenie.

– Jak to się zaczęło? – spytałam ponownie.

Westchnął, wziął głęboki oddech i oznajmił, że zaczęło się tak, jak się zwykle zaczyna. Co oznaczało, że zwykle w ogóle się nie zaczyna. Powiedział, że większość miejsc, do których chodzi, jest cicha i spokojna. Że w większości z nich nic się nie dzieje.

Spytałam, co ma na myśli.

Odparł, że ma na myśli duże miasta i małe miasteczka, w których załatwia swoje sprawy i nikt o tym nie wie. Je tam posiłki, śpi, bierze prysznic, przebiera się i widzi to, co widzi. Czasami ma szczęście i ktoś pogada z nim przez godzinę. Czasami ma jeszcze większe szczęście i spędza całą noc w czyimś towarzystwie. Ale zwykle nic się nie dzieje. Prowadzi spokojne życie. Czasami między dniami wartymi zapamiętania mijają całe miesiące.

Ale jeśli już coś miało się dziać, zaczynało się od ludzi. Zazwyczaj od ludzi w barach czy restauracjach. Miejscach, gdzie się je i pije, gdzie przychodzi określona społeczność, gdzie przeżuwanie i popijanie pozwala ludziom spokojnie milczeć.

Bo i tak nikt się nie odzywa. Wszyscy tylko patrzą. A właściwie odwracają wzrok. Mogą odwracać wzrok od faceta, który siedzi samotnie w barze, w boksie jadłodajni albo przy restauracyjnym stole. Ludzie stronią od niego, bo się go boją. Bo to jakiś oprych. Nie jest lubiany i dobrze o tym wie. Wie też, że ludzie w jego obecności milkną, odwracają wzrok, przesiadają się – i uwielbia to. Cieszy go władza, jaką ma nad innymi.

– I tak to się właśnie zaczęło? – spytałam. – Wczoraj?

Skinął głową. W barze był facet. Reacher nie znał tego baru. Nie należał do tej społeczności. Nigdy wcześniej nie był w tym mieście. Przez całą noc jechał autobusem, wysiadł na dworcu odległym o dwie przecznicę od Pierwszej Ulicy. Po krótkich poszukiwaniach znalazł bar. Nie było to trudne. W pobliżu dworca zawsze można trafić na jakiś bar. Wszedł do środka i usiadł. Doszedł do wniosku, że woli poczekać na kelnerkę. Nie chciał zajmować miejsca przy kontuarze i spoufalać się z barmanem. Nie miał ochoty na dowcipne rozmówki.

– Chwileczkę – rzuciłam, przerywając jego opowieść. – Przyjechał pan autobusem?

Skinął głową. Już mi to powiedział. Na jego twarzy pojawił się ten sam grymas, który dostrzegłam na zdjęciu w paszporcie. Starał się być cierpliwy, ale wołał, żeby świat dotrzymywał mu kroku.

– Skąd pan przyjechał? – spytałam.

– Czy to ważne?

– Dlaczego przyjechał pan właśnie tutaj?

– Muszę gdzieś być. Pomyślałem, że to miejsce nadaje się tak samo jak każde inne.

– Nadaje się do czego?

– Żeby spędzić w nim dzień lub dwa. Albo godzinę lub dwie.

– Z dokumentów wynika, że nie ma pan stałego miejsca zamieszkania.

– Więc dokumenty mówią prawdę. Co chyba jest pocieszające. Z pani punktu widzenia.

– Co stało się w barze?

Westchnął, wziął głęboki wdech i opowiadał dalej, szczerze i bez niedomówień. Mój gliński urok działał. A może środki przeciwbólowe podziałały na niego jak serum prawdy. Powiedział, że w knajpie było sporo ludzi, ale znalazł miejsce pod ścianą, skąd widział całą salę i oba wejścia. Stare przyzwyczajenie. Żandarmi wojskowi często pracują w barach. Podeszła do niego kelnerka i przyjęła zamówienie. Najpierw poprosił o kawę, ale potem zdecydował się na piwo. Rolling Rock, w butelce. Nie był koneserem. Zadowolony był tym, co dany lokal miał do zaoferowania.

Potem zajął się obserwowaniem faceta siedzącego przy barze. Był to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o posępnych, wyrazistych rysach twarzy. Sprawiał wrażenie człowieka władczego i zadowolonego z siebie. Wszyscy omijali go wzrokiem. Reacher postanowił uciec się do swojej ulubionej strategii, opartej na przekonaniu, że należy liczyć na najlepsze, ale przygotować się na najgorsze. Choć najgorsze w przypadku takiego faceta nie byłoby takie złe. Zlazłby ze stołka i stanął w miejscu, gdzie miałby trochę wolnej przestrzeni. Oczywiście robiłby przy tym groźne miny i posapywał. Zbiry jego pokroju bazują tylko na reputacji, a im gorsza reputacja, tym mniej doświadczenia i praktycznych umiejętności. Bo inni zawsze ustępują. Dlatego taki bandzior dawno już wyszedł z wprawy i właściwie niewiele umie. Prosty szlug rozwiązałby problem. Nazwa pochodziła z czasów, gdy wszyscy palili. Facet rozchyła wargi, żeby włożyć między nie następny papieros i okazać przeciwnikowi lekceważenie, może nawet uśmiechnąć się drwiąco, a wtedy dobrze wymierzony w czasie i przestrzeni hak wali go w podbródek i zamyka mu usta, kruszy zęby, może też przycina język. I po wszystkim, gra skończona – a jeśli nie, sprawę ostatecznie wyjaśni prawy sierpowy wymierzony w szyję. Więc właściwie nie było żadnego problemu. Tyle że w barze nikt nie palił, przynajmniej nie w środku, więc trzeba było zrobić w chwili, gdy facet mówi, co też nie wydawało się trudne, bo wszyscy mówią.

Bandziory przede wszystkim. Gadają i gadają. Grożą i prowokują, pytają, na co się gapisz. Ale trzeba liczyć na najlepsze.

Reacher upił łyk wodnistej piany ze swojej butelki o długiej szyjce i czekał. Kelnerka chwilowo nie miała co robić, więc podeszła do niego, by spytać, czy nie potrzebuje czegoś jeszcze, co bez wątpienia było tylko pretekstem do nawiązania rozmowy. Reacher od razu ją polubił. Może on też przypadł jej do gustu. Wyglądała na profesjonalistkę. Miała jakieś czterdzieści lat. Nie była studentką ani młodą dziunią, która planuje znaleźć sobie wkrótce jakąś lepszą pracę. Ona również omijała wzrokiem faceta przy barze. Obsługiwał go barman, co wyraźnie cieszyło kelnerkę. Nawet nie próbowała tego ukrywać.

– Kim jest ten facet? – spytał Reacher.

– Zwykłym klientem – odparła.

– Nazywa się jakoś?

– Nie wiem. To znaczy, na pewno się jakoś nazywa, ale nie wiem jak.

Reacher jej nie uwierzył. Wszyscy wiedzą, jak nazywa się taki facet. Bo taki facet chce, by wszyscy znali jego imię.

– Często tu przychodzi? – pytał dalej.

– Raz w tygodniu, dokładnie co tydzień.

Zadziwiająca regularność, która musiała coś oznaczać. Ale kelnerka nie chciała o tym rozmawiać, to było oczywiste. Zaczęła od typowych pytań. Nowy w mieście? Skąd? Czym się zajmuje? Wbrew pozorom właśnie takie pytania sprawiały mu największą trudność. Zawsze był nowy w mieście, nie pochodził z żadnego konkretnego miejsca, nie zajmował się niczym konkretnym. Przez całe życie związany był z wojskiem, najpierw jako dziecko oficera, potem jako oficer. Wychowywał się w bazach wojskowych w różnych zakątkach świata, potem służył w bazach wojskowych rozsianych po całym świecie, a kiedy przeszedł do cywila, nie umiał się odnaleźć w takim modelu życia, jakie prowadzili normalni ludzie. Jeździł więc po kraju, oglądał rzeczy, których wcześniej nie miał czasu oglądać, bywał tu, bywał tam, zatrzymywał się na dzień lub dwa, a potem jechał dalej. Bez bagażu, bez planu, bez rezerwacji hotelowych. Bez zbędnych obciążeń można zjechać dalej. Początkowo zakładał, że wkrótce się tym znudzi i w końcu się usatkuje, ale dawno już porzucił tę nadzieję.

– A jak idą tu interesy? – spytał.

Kelnerka wzruszyła ramionami, zrobiła dziwną minę i odparła, że w porządku, nie brzmiało to jednak przekonująco. A kelnerki coś o tym wiedzą. Oglądają wszystko z bliska. Orientują się lepiej niż księgowi, audytorzy czy analitycy. Co tydzień, w dzień wypłaty, widzą smutną twarz właściciela. Co też musi coś oznaczać.

Jedyny bar w pobliżu dworca autobusowego powinien zarabiać krocie. Lokalizacja robi swoje. Z pewnością nie brakowało tu klientów. Wszystkie stoliki były zajęte, ludzie oblegali bar, omijając jedynie miejsce, w którym siedział groźny facet. Butelki i szklanki nieustannie wędrowały na salę i wracały do barmana, piątki, dziesiątki i dwudziestki spływały wartkim strumieniem do kasy.

Reacher postanowił więc przyjrzeć się temu nieco uważniej, powoli wypił pierwsze piwo, a gdy sączył drugie, do lokalu wszedł inny charakterystyczny facet. Atmosfera na sali natychmiast uległa zmianie. Jakby nadeszła w końcu chwila prawdy. Jakby to był kulminacyjny punkt wieczoru. Przybysz był ubrany o klasę lepiej od wszystkich klientów, pewnym krokiem przeszedł od drzwi do baru. W końcu był u siebie. Właściciel. Po drodze witał się z niektórymi, trochę zdawkowo, jakby myślami był gdzie indziej. Wszedł za kontuar i zniknął za drzwiami na tyłach lokalu. Tam pewnie mieściło się jego biuro. Jego królestwo.

Wszedł dwie minuty później, niosąc coś w dłoni. Przecisnął się obok barmana i stanął naprzeciwko groźnego faceta. Patrzyli sobie w oczy, rozdzieleni jedynie mahoniowym blatem. Wszyscy odwrócili wzrok.

Prócz Reachera. Widział, jak właściciel podaje facetowi przedmiot, który wyniósł z biura. Zrobił to szybko i dyskretnie, jakby wykonywał magiczną sztuczkę. Facet na stołku odebrał od niego biały prostokąt i schował go do kieszeni. Wszystko odbyło się błyskawicznie, niemal niezauważalnie.

Ale Reacher widział, co przekazali sobie mężczyźni.

Była to biała koperta wypełniona gotówką.

Prawdopodobnie haracz.

Groźny facet jeszcze przez jakiś czas siedział na stołku i dopijał drinka, ostentacyjnie powoli, jakby chciał wszystkim pokazać, kto tu rządzi. Miał władzę. Był królem. Tyle że tylko na pozór. Bo w rzeczywistości był pionkiem. Osłkiem do wynajęcia. Nikim więcej. Reacher dobrze wiedział, jak to działa. Widział to już wiele razy. Był pewien, że koperta trafi w ręce jakiejś tajemniczej postaci stojącej na początku łańcucha pokarmowego, a ten facet dostanie tylko część haraczu stanowiącą jego zapłatę.

Kelnerka wróciła do Reachera i spytała, czy chce trzecie piwo. Powiedział, że nie, a potem spytał:

– I co teraz będzie?

– Z czym?

– Dobrze wiesz, z czym.

Z zakłopotaniem wzruszyła ramionami, jakby właśnie ujawnił jakąś wstydliwą tajemnicę.

– Będziemy mogli działać przez następny tydzień – odparła. – Nikt nie zdemoluje ani nie podpali lokalu.

– Jak długo to trwa?

– Od roku.

– Próbowaliście coś z tym zrobić?

– Ja nie. Nie chciałabym, żeby coś stało się z moją twarzą. Podoba mi się taka, jaka jest.

– Mnie też.

Kelnerka uśmiechnęła się do niego.

– Właściciel mógłby coś z tym zrobić – zauważył Reacher. – Jest coś takiego jak prawo.

– Nie może nic, dopóki coś się nie stanie. Gliniarze mówią, że najpierw musi dojść do pobicia. Albo czegoś gorszego. Albo do podpalenia.

– Jak nazywa się ten facet?

– Jakie to ma znaczenie?

– Dla kogo pracuje?

Kobieta złożyła razem kciuk i palec wskazujący, a potem przejechała nimi po ustach, jakby zasuwała zamek.

– Moja twarz podoba mi się taka, jaka jest – powtórzyła. – I mam dzieci.

Zabrała pustą butelkę i wróciła do baru.

Groźny facet dopił drinka i odstawił szklankę na blat. Nie zapłacił, a barman nie poprosił go o pieniądze. Bandzior wstał i przeszedł do drzwi przez opustoszały nagle środek sali.

Reacher wysunął się ze swojego miejsca i ruszył za nim. Na Pierwszej Ulicy było ciemno; najbliższa paląca się latarnia znajdowała się dopiero przy następnej przecznicy. Facet z baru wyprzedzał go o jakieś pięć metrów. Dopiero teraz można było dokładnie ocenić jego gabaryty. Miał ponad metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, ważył ponad sto kilogramów. Nie był niski, ale niższy od Reachera. Młodszy, lecz niemal z całą pewnością głupszy. Mniej doświadczony i gorzej wyszkolony. Reacher był tego pewien. Nie spotkał jeszcze człowieka, który przewyższałby go pod tymi względami.

– Hej! – zawołał.

Bandzior przystanął i odwrócił się, zaskoczony.

Reacher podszedł do niego.

– Zdaje się, że masz coś, co do ciebie nie należy – powiedział. – Jestem pewien, że to była jakaś pomyłka. Więc chcę dać ci szansę, żebyś to naprawił.

– Spadaj – odpowiedział facet z baru, ale bez najmniejszego przekonania. Nie był wcale królem dżungli. Nie w tym miejscu i czasie.

– Ile jeszcze lokali zostało ci na dzisiaj?

– Odwal się, koleś. Nie twój interes.

– A czyj?

– Spadaj – powtórzył mężczyzna.

– Wszystko sprowadza się do kwestii wolnej woli. – Reacher westchnął. – Do wyborów. Wiesz, jakie masz opcje?

– Co?

– Możesz powiedzieć mi od razu, jak nazywa się ten facet, albo możesz to zrobić po tym, jak połamię ci nogi.

– Jaki facet?

– Ten, któremu oddasz pieniądze.

Reacher patrzył mu w oczy. Czekał na decyzję. W grę wchodziły trzy scenariusze. Facet mógł uciec, walczyć albo rozmawiać. Reacher miał nadzieję, że gość nie zdecyduje się na ucieczkę, bo wtedy musiałby za nim biec, a nienawidził biegać. Nie sądził też, by chciał z nim rozmawiać, bo nie pozwalało mu na to jego rozdmuchane ego i przekonanie o własnej wielkości. Wszystko wskazywało więc na to, że facet będzie walczył. Albo próbował walczyć.

Okazało się, że Reacher miał rację. Bandzior walczył, a właściwie próbował walczyć. Rzucił się do przodu i zamachnął szeroko lewą ręką, jakby trzymał w niej nóż. Oczywiście chciał tylko w ten sposób odwrócić jego uwagę, a potem uderzyć prawym sierpowym, może nieco z góry. Lecz Reacher nie zamierzał na to czekać. Nauczył się walczyć dawno temu, w gorących, zakurzonych placówkach nad brzegiem Pacyfiku, w zimnych alejkach europejskich miast, w biednych miasteczkach Południa, gdzie musiał stawiać czoło uprzedzonej lokalnej młodzieży i dzieciakom wojskowych z baz, w których sam mieszkał. Później wojsko wszystkiego go oduczyło, a następnie nauczyło na nowo. Wtedy poznał złotą zasadę: kontratakuj pierwszy.

Zrobił krok do przodu, skrócił dystans, i uderzył łokciem w twarz przeciwnika. Wiedział, że skuteczniejszy byłby cios w szyję, ale chciał, żeby facet mógł potem mówić, a nie zadławił się na śmierć krwią spływającą ze zmiażdżonej krtani, zdecydował się więc na górną wargę, tuż pod nosem; złamał mu kość i wybił zęby. Oznaczało to, co prawda, że oprych będzie miał pewne problemy z dykcją, ale przynajmniej będzie w stanie udzielić mu informacji. Łokieć trafił dokładnie tam, gdzie powinien, głowa faceta gwałtownie odskoczyła do tyłu, a gdy sekundę później ugięły się pod nim kolana, usiadł ciężko na chodniku, oszołomiony i zalany krwią.

Reacher był urodzonym awanturnikiem i zabijaką, a każdy zabijaka marzy o tym, by po nokautującym ciosie całkowicie wykończyć przeciwnika kopniakiem w głowę, lecz tym razem musiał się powstrzymać, bo chciał wyciągnąć od swojej ofiary ważną informację.

– Ostatnia szansa, przyjacielu – powiedział.

– Kubota – odparł facet. A właściwie wybełkotał, z trudem poruszając opuchniętymi, pełnymi krwi i wybitych zębów ustami.

– Przeliteruj mi to – poprosił Reacher.

Facet posłusznie i szybko wypełnił jego polecenie. Nie był już królem dżungli i twardzielem. Co cieszyło Reachera, bo trudno łamie się ludzkie nogi. Trzeba w to włożyć sporo wysiłku.

– Gdzie znajdę pana Kubotę? – spytał.

Mężczyzna podał mu adres.

• • •

W tym momencie Reacher zamilkł, wziął głęboki oddech i z powrotem położył głowę na szpitalnej poduszce.

– I co dalej? – spytałam.

– Na dziś wystarczy – odparł. – Jestem zmęczony.

– Muszę wiedzieć.

– Proszę wrócić jutro.

– Znalazł pan Kubotę?

Milczenie.

– Doszło do starcia?

Milczenie.

– Czy Kubota pana postrzelił?

Reacher nie odpowiadał. A potem przyszła lekarka. Ta sama kobieta z pasmami siwizny we włosach. Powiedziała, że ze względów medycznych musi natychmiast przerwać przesłuchanie. Co było frustrujące, ale akceptowalne. I tak miałam już masę cennych informacji. Opuściłam szpital przekonana, że jestem o krok od wielkiego sukcesu. Już pierwszego dnia pracy mogłam zamknąć faceta wymuszającego haracze. Bezcenne. Kobiety muszą pracować dwa razy ciężiej niż mężczyźni, żeby zdobyć uznanie.

Pojechałam prosto do komisariatu. Kubota miał grubą i bogatą kartotekę. Mnóstwo tropów, wiele godzin pracy, ale nigdy dość konkretów, żeby zdobyć nakaz. Tym razem powodów nie brakowało. Przestępstwo popełnione przy użyciu broni. Ofiara postrzału i naoczny świadek zarazem. Być może mieliśmy nawet pocisk, ułożony gdzieś na tacce ze stali nierdzewnej.

Nie moglibyśmy sobie wymarzyć niczego lepszego.

Dyżurny sędzia zgodził się ze mną. Podpisał standardowy nakaz, a ja szybko zebrałam zespół. Mnóstwo mundurowych, samochody, ciężka broń, trzech innych detektywów, wszyscy starsi ode mnie stopniem, ale to ja dowodziłam. Moja sprawa. Niepisana zasada.

O północy zrealizowaliśmy nakaz, jak określa się to w raportach, co w tym przypadku oznaczało, że wyważyliśmy drzwi Kuboty, przewróciliśmy go i parę razy przywaliliśmy jego głową w podłogę. W innym pokoju znaleźliśmy faceta z baru. Był w kiepskim stanie. Jakby wpadł pod ciężarówkę. Kazałam go zawieźć do innego szpitala, oczywiście z obstawą.

Potem mundurowi zabrali Kubotę do aresztu, a ja i trzech moich kolegów po fachu przez większość nocy przeszukiwaliśmy jego dom tak dokładnie, jak byśmy szukali odrobinki chromu, która odpadła od najmniejszej na świecie igły w największym na świecie stogu siana.

Dom Kuboty okazał się prawdziwym skarbcem.

Znaleźliśmy papierowe worki na zakupy wypełnione gotówką o nieznanym pochodzeniu, numery trzydziestu kont bankowych, notesy, księgi rachunkowe, dzienniki i mapy. Już na pierwszy rzut oka widać było, że facet zarabiał grubą forszę na stu różnych lokalach. Jak wynikało z jego notatek, w ciągu ostatnich sześciu miesięcy w trzech miejscach próbowano mu się sprzeciwić. Sprawdziliśmy daty i połączyliśmy je z trzema niewyjaśnionymi dotąd podpaleniami. Dwa inne lokale przez jakiś czas nie płaciły, a gdy porównaliśmy te okresy z danymi ze szpitali, znaleźliśmy informacje o jednej złamanej nodze i pociętej twarzy. Mieliśmy wszystko.

Prócz broni.

Ale to wydawało się zrozumiałe. Użył jej, a potem wyrzucił. Standard. Pewnie leżała gdzieś w rzece, zrzucona z mostu. Podobnie jak jego stare komórki. Telefony na kartę. Wyrzucił też opakowania i wszystkie papiery, ale z jakiegoś niezrozumiałego powodu zatrzymał ładowarki. Znaleźliśmy ich prawie pięćdziesiąt.

O świcie siedziałam twarzą w twarz z Kubotą w pokoju przesłuchań. Był z nim prawnik, wygadany facet w eleganckim garniturze, widziałam jednak po jego minie, że uważa sprawę za przegraną. Po naszej stronie byłam tylko ja jedna, choć domyślałam się, że za lustrem weneckim stoi cały tłum, który chce oglądać, jak prowadzę przesłuchanie. Początkowo szło mi jak z płatka. Staram się zawsze skłonić podejrzanego, by odpowiadał twierdząco na wszystkie moje pytania i przyznawał się do kolejnych rzeczy, więc zaczęłam od tego, co najłatwiejsze. Wymieniałam po kolei wszystkie bary, restauracje i jadalnie, powiedziałam mu, że mamy jego notesy, księgi, dzienniki i wyciągi bankowe, a on do wszystkiego się przyznawał. Po dziesięciu minutach mieliśmy już dość zeznań, żeby wsadzić go za kraty na długie lata. Ale ja cisnęłam dalej, nie dlatego, że potrzebowaliśmy więcej materiału, tylko żeby przygotować go na wielką chwilę.

Która nie nadeszła.

Nie przyznał się do strzelaniny. Utrzymywał, że minionej nocy nie spotkał się z Reacherem. Twierdził, że nie było go wtedy w mieście. Powiedział też, że nie ma broni. Maglowałam go aż do czasu, gdy oficjalnie zaczął się mój drugi dzień pracy w wydziale. Wtedy do pokoju przesłuchań wszedł mój porucznik, wyspany i odświeżony po prysznicu, i kazał mi skończyć.

– Nie warto się męczyć. I tak świetnie sobie poradziłaś. Mamy dość materiału. Pójdzie siedzieć, i to na długo. Cel został osiągnięty.

Tak też uważał cały wydział. Nikt nie miał poczucia porażki. Wręcz przeciwnie. Nowa dziewczyna w pierwszy dzień pracy przymknęła rekietera. Prawdziwy sukces.

Ale mnie się to nie podobało. Nie wykonałam zadania, które powinnam była wykonać, więc postanowiłam pokopać głębiej. Wiedziałam, że w końcu coś znajdę, i tak się rzeczywiście stało. Znalazłam jednak coś innego, niż oczekiwałam.

Właściciel baru, którego widział Reacher, był szwagrem lekarki. Kobiety z siwymi pasmami we włosach. Byli rodziną.

Padalam ze zmęczenia, co w pewnym sensie mi pomogło. Szybko powiązałam ze sobą fakty, na które trzeźwy umysł mógłby nie zwrócić uwagi. Gruba kartoteka Kuboty, pełna nieudanych prób uzyskania nakazu. Poszukiwanie kolejnych sposobów. Konieczność przyłapania go na pobiciu albo czymś gorszym. Miarowy sygnał kardiomonitora, zbyt silny jak na rannego człowieka. Jego jasne oczy i równie jasny umysł po zażyciu środków, które powaliłyby konia.

Wybrałam się do szpitala po raz trzeci. Sala Reachera była pusta. Nic nie wskazywało na to, by niedawno ktoś ją zajmował. Kobieta z pasmami siwizny we włosach zarzekała się, że nie przyjmowała ostatnio żadnej ofiary strzelaniny. Pokazała mi nawet dokumentację, pustą. Przepytałam pielęgniarki, jedną po drugiej. Nikt nie chciał mówić.

Potem wyobraziłam sobie Reachera tamtej nocy, kiedy nie mógł znaleźć Kuboty, bo ten wyjechał z miasta. Wyobraziłam sobie, jak wraca do baru, oddaje pieniądze i omawia z właścicielem plan, który załatwi sprawę na dobre, i jak potem właściciel dzwoni do szwagierki.

Widziałam oczami wyobraźni dworzec autobusowy o północy. Wysoki mężczyzna wsiada do autobusu i po chwili odjeżdża. Żadnych bagaży, żadnych rezerwacji hotelowych, żadnego planu.

Wróciłam do komisariatu. Kiedy weszłam do środka, przywitano mnie owacją.

TO NIE ĆWICZENIA

Jedno prowadzi do drugiego. W przypadku Jacka Reachera ciepły sierpniowy dzień i jazda stopem – niezaladowaną ciężarówką – doprowadziły go do East Millinocket w Maine. To z kolei zaprowadziło go do całkiem przyzwoitego śniadania w przydrożnej restauracji, gdzie nawiązał rozmowę z równie nieufnym jak on kierowcą, dzięki czemu pojechał na północ, do miejsca o nazwie Island Falls. Koszt tej przysługi, choć nieokreślony wprost, równał się cenie kawy i ciastka, które skonsumował kierowca. Na szczęście był to tani lokal, Reacher miał w kieszeni pieniądze i, jak zwykle, nie wybierał się do żadnego konkretnego miejsca, więc przystał na taki układ.

Jedno prowadzi do drugiego.

Okazało się, że facet jeździ starym, mocno przerdzewiałym chevroletem z miękkim zawieszeniem, a Island Falls to przyjemna mała miejscowość nad jeziorem, daleko na północy, tam gdzie stan Maine wpycha się jak palec w tyłek Kanady, naciskany od lewej przez prowincję Quebec, a od prawej przez New Brunswick. Miasteczko znajdowało się bardzo blisko północnego krańca autostrady międzystanowej I-95, co dla Reachera miało istotne znaczenie, bo gdy w grę wchodziły ciekawe punkty na mapie, budziła się w nim natura kolekcjonera. Dobrze znał południowy koniec tej drogi, położony jakieś trzy tysiące kilometrów na południe, tuż za centrum Miami. Był tam wiele razy. Nigdy jednak nie widział północnego kresu I-95.

Nie miał w planach żadnych innych podróży.

Jedno prowadzi do drugiego.

Z Island Falls wydostał się bez trudu. Wypił filiżankę kawy w baraku przy wypożyczalni kajaków, pogrzał się chwilę w blasku słońca na bagnistym brzegu jeziora, pooglądał widoki, a potem obrócił się na pięcie i wyszedł z miasteczka tą samą drogą, którą przyjechał tutaj starym chevroletem, prosto do zjazdu z autostrady. Stał przy wjeździe prowadzącym na północ i czekał. Przypuszczał, że nie potrwa to długo. Był ciepły sierpień, ludzie przyjeżdżali tu na urlop, życzliwie nastawieni do bliźnich. Było jasno, on niedawno się mył, miał na sobie ubranie, które włożył przed zaledwie dwoma dniami, a golił się niecałe trzy dni wcześniej. W sumie idealne warunki.

I rzeczywiście, niecałe dziesięć minut później zatrzymał się przy nim stary jeep z rejestracjami prowincji New Brunswick. Prowadziła kobieta, obok niej siedział mężczyzna. Na oko mieli po trzydzieści pięć lat, bez wątpienia lubili przebywać na świeżym powietrzu, o czym świadczyła głęboka opalenizna i potargane wiatrem włosy. Pewnie wracali do domu po urlopie spędzonym na

aktywnym wypoczynku. Albo z wakacji pod namiotem. Albo z jednego połączonego z drugim. Bagażnik był wypełniony po brzegi.

Facet siedzący na miejscu pasażera opuścił szybę, a kobieta pochyliła się, by spojrzeć na Reachera.

– Niestety, jedziemy tylko do Frederiction, niedaleko stąd – powiedział facet. – Pasuje to panu?

– Czy to jest w Kanadzie? – spytał Reacher.

– Jasne.

– Doskonale. Chcę się tylko dostać do granicy, a potem wrócić.

– Ma pan coś przeciwko Kanadzie?

– Mój paszport stracił ważność.

Facet skinął głową. Minęły już czasy, gdy człowiek mógł niepokoiony przechodzić z jednego kraju do drugiego.

– Ale po drodze nie ma nic ciekawego – zauważył pasażer jeepa. – Przez płot graniczny też nic nie widać. Na pewno tu byłoby panu lepiej.

– Chcę tylko zobaczyć koniec drogi – wyjaśnił Reacher.

– Brzmi poważnie. – Facet się uśmiechnął.

– Dla nas to początek drogi – rzuciła jego towarzyszka.

– Słuszna uwaga. – Reacher skinął głową.

– Niech pan siada z tyłu – powiedział mężczyzna. Odwrócił się w fotelu i przesunął na bok rzeczy zalegające na tylnym siedzeniu. Reacher otworzył drzwi i wsunął się do środka, odpychając biodrem resztę kłopotów. Gdy zatrzasnął drzwi, kobieta wcisnęła pedał gazu. Ruszyli naprzód, by pokonać razem ostatnie pięćdziesiąt parę kilometrów Stanów Zjednoczonych.

• • •

Ostatni zjazd – albo pierwszy z punktu widzenia Kanadyjczyków – prowadził do miasteczka o nazwie Houlton. Potem zaczął się pas przygraniczny o szerokości mniej więcej półtora kilometra, a na koniec krótki sznur samochodów, bariery, budki i znaki. Reacher został w jeepie do momentu, gdy ten był pierwszy w kolejce, potem grzecznie podziękował, pożegnał się, wysiadł i postawił stopę na ostatnim skrawku amerykańskiego asfaltu, tuż pod szlabanem.

Koniec drogi.

Jedno prowadzi do drugiego.

Zawrócił, przeszedł do wjazdu prowadzącego na południe i stanął w odległości około trzydziestu metrów od szlabanów. Chciał, by nadjeżdżający kierowcy mieli dość czasu, bo go dostrzec, ale nie jechali jeszcze na tyle szybko, by nie mogli się zatrzymać. Przypuszczał, że i tym razem nie będzie musiał długo czekać. Sierpień, środek dnia, słońce, mnóstwo urlopowiczów, serdeczni i zrelaksowani Kanadyjczycy, pełni dobrej woli i chęci pomocy. Maksymalnie dziesięć minut, pomyślał. Może pięć. Niewykluczone, że będzie to pierwszy samochód.

Nie był. Ale za to drugi. Minivan. Ale nie taki, którym z dumą jeździłaby mama rodziny młodych sportowców. Był stary, brudny i poobijany. Kiedy wyjeżdżał

z fabryki, pokrywał go zapewne jasnoniebieski lakier, teraz jednak, wyblakły od wiatru i soli, wydawał się bezbarwny. Prowadził młody mężczyzna, któremu towarzyszyły dwie młode kobiety, jedna siedziała obok niego, druga z tyłu. Samochód miał rejestrację prowincji New Brunswick, a ruszając spod granicznego szlabanu, zostawił za sobą chmurę ciężkich spalin.

Ale Reacher jeździł już pojazdami w znacznie gorszym stanie.

Minivan zwolnił i zatrzymał się obok niego. Szyba przy fotelu pasażera była już opuszczona.

– Jedziemy do Naismith – powiedziała kobieta.

Reacher nigdy nie słyszał o takiej miejscowości.

– Chyba nie wiem, gdzie to jest – przyznał.

– Niedaleko Allagash, stary – wyjaśnił kierowca, przechylając się do okna. – Mniej więcej godzinę na zachód od drogi jedenaście. Najpierw trzeba skręcić trochę na północ. To mała osada. Można tam wejść na szlak prowadzący przez las. Świetne miejsce, naprawdę.

– Na północ stąd? – upewnił się Reacher.

– Piękna okolica, człowieku. Powinieneś zobaczyć ten las. Prawdziwa puszcza. Wystarczy, że zejdziesz ze szlaku, a może się okazać, że jesteś pierwszym człowiekiem, który postawił tam stopę. Dosłownie. Dziesięć tysięcy lat nienaruszonej przyrody. Od ostatniej epoki lodowcowej.

Reacher milczał.

– Jedź tam, póki możesz, przyjacielu. To cudo nie będzie trwać wiecznie. Zmiany klimatyczne wszystko zniszczą.

Nie wybierał się w żadne inne miejsce.

– W porządku, dzięki.

Jedno prowadzi do drugiego.

Przeszedł na drugą stronę minivana i kiedy dziewczyna odsunęła przerdzewiałe drzwi, wsiadł do środka. W bagażniku za jego plecami leżały dwa duże plecaki i plastikowa walizka. Siedzenia okrywała syntetyczna tkanina pociemniała ze starości. Usiadł, zasunął drzwi i minivan ruszył, znów wyrzucając z siebie obłok spalin.

– Dzięki – powtórzył Reacher.

Wkrótce poznał imiona towarzyszy podróży. Dziewczyna z tyłu nazywała się Helen, ta z przodu Suzanne, a kierowca Henry. Henry i Suzanne byli parą. Mieli sklep rowerowy w miejscowości Moncton. Helen była ich przyjaciółką. Henry i Suzanne zamierzali przejść szlakiem na północ od Naismith, do miejsca zwanego Cripps, co miało im zająć cztery dni. Helen miała spędzić te dni na jakichś innych zajęciach – być może na poszukiwaniu antyków na Presque Isle i Caribou – a potem czekać na przyjaciół w Cripps.

– Nie lubię lasu – rzuciła, jakby uważała, że powinna wyjaśnić swój wybór.

– Dlaczego nie? – spytał Reacher, wydawało mu się bowiem, że właśnie tego oczekuje dziewczyna.

– Przeraza mnie – odparła. – Za ciemno. Za dużo robaków.

Minęli Houlton, a potem Henry skręcił na drogę 212, która wkrótce połączyła się z malowniczą jedenastką prowadzącą na północ. Z przodu, po prawej, widać było Saddleback Mountain, a po lewej ciągnące się po sam horyzont lasy i jeziora. Drzewa pyszniły się zielenią, jeziora lśniły w słońcu, a niebo zachwycało błękitem. Piękne okolice, dokładnie tak, jak obiecywał Henry.

– Nie lubię lasu – powtórzyła Helen.

Zdaniem Reachera, miała dwadzieścia kilka lat, góra trzydzieści. Była bledsza od swoich przyjaciół, smuklejsza i bardziej zadbana. Raczej z tych, co wolą ciepłe wnętrza od zimnych otwartych przestrzeni. I miasto od wsi. Jak jej bagaż. Wozila ze sobą plastikową walizkę, a nie plecak. Henry i Suzanne byli bardziej umięśnieni, ogorzali, ubrani w wygodne, a nie eleganckie ciuchy. Lecz nie wydawali się od niej starsi. Może znali się ze studiów i wciąż przyjaźnili przez więcej niż pięć, ale mniej niż dziesięć lat po zakończeniu nauki.

– Las jest naprawdę fantastyczny, Helen – odezwał się Henry łagodnym, pełnym entuzjazmu głosem, pozbawionym choćby cienia pogardy czy agresji. Ot, facet, który uwielbia przyrodę i nie może zrozumieć, dlaczego jego przyjaciółka nie czuje tego samego. Wydawał się naprawdę podekscytowany myślą, że może chodzić w miejsca, gdzie wcześniej nie stąpał jeszcze żaden człowiek.

Reacher spytał, skąd pochodzą. Okazało się, że oboje dorastali na przedmieściach, Henry w Toronto, a Suzanne w Vancouverze i że to Helen jest prawdziwą dziewczyną ze wsi, z dziewiczych pustkowi północnego Ontario, jak sama to określiła. Uznał, że w związku z tym ma pełne prawo do wypowiedzania takich, a nie innych opinii na temat lasu. Jej uprzedzenia miały zapewne całkiem konkretne podstawy.

Potem oni spytali go, skąd pochodzi, a jego historia wypełniła im podróż przez kilkanaście następnych kilometrów. Ojciec marines, ciągle przeprowadzki rodziny, kilkanaście szkół średnich, potem West Point, armia, żandarmeria wojskowa, znów ciągle przenosiny, czasem do tych samych krajów, czasem do nowych, nigdy dość długo w jednym miejscu, by zdążyć się przywiązać. Potem wypalenie zawodowe, przejście do cywila i nieustanna wędrówka. Jazda autostopem, piesze wędrówki. Życie bez celu. Żadnych konkretnych planów. Henry uważał, że to niesamowite, Suzanne nie była aż tak bardzo zachwycona, a Helen wcale się to nie podobało, przynajmniej takie wrażenie odniósł Reacher.

Zwolnili i skręcili w lewo, w wąską jednopasmową drogę prowadzącą przez las prosto na zachód. Na skraju asfaltu stał zardzewiały znak z informacją: „Naismith 60 km”. Być może droga miała kiedyś pobocza, lecz te dawno już zarosły krzakami i drzewami liściastymi sięgającymi kilkunastu metrów wysokości. Miejscami ich gałęzie spotykały się w górze, a wtedy jechali przez zielone tunele, nawet stumetrowej długości. Reacher spoglądał za okna, raz na lewo, raz na prawo, nie mógł jednak przeniknąć wzrokiem dalej niż na dwa metry w głąb roślinności. Zastanawiał się, czy opisywana przez Henry’ego puszcza może być jeszcze gęstsza i jeszcze bardziej pierwotna. Jeżyny spletały się z wysokimi gałęziami krzewów, powietrze wydawało się wilgotne i nieruchome. Ziemia pokryta grubą, żyzną warstwą wilgotnych liści wyglądała na miękką

i gąbczastą. Asfalt poszarzał ze starości, w rozgrzanym powietrzu nad jego powierzchnią kotłowały się drobne owady. Nim przejechali osiem kilometrów, przednią szybę furgonetki pokrywała lepka warstwa złożona z milionów rozgniecionych insektów.

– Byliście tu już kiedyś? – spytał Reacher.

– Raz – odparł Henry. – Poszliśmy na południe, w góry. Nuda. Wolę być między drzewami. Chyba jestem urodzonym mieszkańcem lasu.

– Są tu jakieś zwierzęta?

– Na pewno niedźwiedzie. No i oczywiście mnóstwo drobniejszych zwierzków. Ale podszyt jest nienaruszony, co znaczy, że nie ma tu jeleni i saren. Ciekawe dlaczego. Może z powodu drapieżników. Tylko jakich? Może pum. Albo wilków, choć nikt ich tu nigdy nie widział ani nie słyszał. Ale coś tu musi polować, to pewne.

– Śpicie w namiocie?

– Tak, w małym – odparł Henry. – Wystarczy owinąć jedzenie dwiema warstwami folii i porządnie wyszorować zęby w strumieniu, a zwierzęta niczego nie wyczują. Niedźwiedzie lubią jeść, jeśli jednak nie przygotujesz specjalnie dla nich uczyty, zostawią cię w spokoju. Ale ty pewnie już to wszystko wiesz, prawda? Wojsko ćwiczy przecież w różnych warunkach. Nie wysyłali was do lasu?

– Nie do takiego gęstego jak ten. Trudno się w nim poruszać, na pewno nie można po nim jeździć i strzelać na większą odległość. Usuwanie takiej gęstwiny napalmem i bombami trwałoby całą wieczność. Dlatego musielibyśmy go ominąć. To najlepsza przeszkoda naturalna, jaką można sobie wymarzyć.

Jechali dalej, po coraz gorszej nawierzchni. Krzewy i trawa wykruszały kawałki asfaltu po obu stronach drogi, korzenie drzew miejscami wypychały nawierzchnię w górę, a gdzie indziej tworzyły głębokie dołki, mróz znaczył ją głębokimi pęknięciami, a remonty przeprowadzane przez służby stanowe najwyraźniej były dość rzadkie i wykonywane w pośpiechu. Zawieszenie starego vana skrzypiało i stukalo. Zielony tunel z gałęzi drzew ciągnął się już praktycznie nad całą długością drogi. Miejscami cieńsze witki uderzały o dach samochodu.

Potem, dokładnie godzinę po opuszczeniu drogi numer 11, natrafili na oczyszczony fragment pobocza, gdzie ustawiono drewnianą tablicę z wypalonym na brązowo napisem: *Witamy w Naismith, bramie do dziczy*. Reacher uważał, że powinni byli zobaczyć takie hasło godzinę wcześniej, bo właśnie wtedy, jego zdaniem, minęli tę granicę.

Henry zwolnił, gdy droga zaczęła skręcać w lewo, prosto na polanę wielkości stadionu. Po drugiej stronie polany znajdowało się jezioro w kształcie zgiętego palca, wskazującego najpierw na północ, a potem na wschód. Szosa zamieniła się w szeroki trakt prowadzący prosto do brzegu jeziora, do pomostu dla kajaków. Po obu stronach molo ciągnęły się niskie drewniane budynki z kwaterami dla letników, obok nich był sklep spożywczy i tania restauracja, a nieco dalej stały małe domy. Od głównej drogi odchodziły mniejsze uliczki pokryte takim samym, zniszczonym asfaltem. Naismith w stanie Maine. Miniaturowa osada na kompletnym odludziu.

– Jestem głodna – oznajmiła Suzanne.

– Postawię wam lunch – zaproponował Reacher. – Przynajmniej tak mogę się wam odwdziżyć.

Henry zaparkował przed restauracją i zgasił silnik. Nagle ogarnęła ich cisza. Wszyscy wysiedli i zaczęli się przeciągać. Powietrze miało świeży, ale i wilgotny smak, zapach jeziora mieszał się z aromatem drzew, a ciszę mąciło jedynie brzęczenie milionów owadów. Nawet najłżejsze tchnienie wiatru nie marszczyło powierzchni wody ani nie szeleściło liśćmi. Wszędzie panowała gorąca martwota.

Restauracja była w całości z drewna, zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz; na szorstkich poplamionych deskach widać było jaśniejsze miejsca wytarte przez ręce, łokcie i ramiona klientów. W szklanych gablotach leżały kawałki ciasta, sala mieściła w sumie osiem kwadratowych stolików przykrytych czerwonymi kraciastymi obrusami. Funkcję kelnerki pełniła apatyczna kobieta koło sześćdziesiątki, która nosiła męskie okulary i miękkie kapcie. Dwa stoliki były zajęte przez ludzi, którzy przypominali raczej Henry'ego i Suzanne niż Helen. Kelnerka wskazała pusty stół i poszła po karty dań i wodę.

W leśnej restauracji podawano takie samo jedzenie jak w tysiącach innych lokali tego typu, smakowało jednak całkiem przyzwoicie, a kawa była świeża i mocna, Reacher był więc zadowolony. Inni również nie narzekali, choć wydawało się, że nie zwracają szczególnej uwagi na to, co jedzą i piją. Omawiali najbliższe plany, które nie wydawały się szczególnie skomplikowane. Wszyscy zamierzali spędzić noc w zarezerwowanych wcześniej kwaterach. O świcie Henry i Suzanne mieli wyruszyć na pieszą wędrowkę, a Helen miała wrócić do drogi numer 11 i znaleźć sobie jakieś ciekawe zajęcie na najbliższe cztery dni. Po tym czasie byli umówieni na drugim końcu szlaku. Prosta sprawa.

Reacher uregulował rachunek, pożegnał się i wyszedł. Nie przypuszczał, że jeszcze kiedykolwiek ich zobaczy.

• • •

Prosto z restauracji poszedł na pomost i zatrzymał się na samym jego krańcu, wystawiając palce nad krawędź ostatniej deski. Jezioro przypominało jasnoniebieską włócznię, sięgającą najpierw ku północy, a potem, w oddali, na wschód. Prawdopodobnie miało ponad piętnaście kilometrów długości, ale nie więcej niż kilkaset metrów w najszerszym miejscu.

W górze rozciągała się ogromna kopuła letniego nieba, kompletnie pozbawiona chmur i skalana jedynie białymi smugami kondensacyjnymi, pozostawionymi na wysokości dwunastu kilometrów przez odrzutowce kursujące między Ameryką i Europą. Samoloty z Bostonu, Nowego Jorku i Waszyngtonu leciały nad Kanadą i Grenlandią do Londynu, Paryża czy Rzymu, a potem wracały tą samą drogą, kreśląc linie, które wyglądały prosto na krzywiznie globu, ale nie na płaskiej papierowej mapie.

W dole jezioro oblegał ze wszystkich stron las, nieprzerwany zielony baldachim pokrywający wszystko, co nie było płynne. Ciągnął się na obszarze

setek kilometrów kwadratowych. Henry mówił, że to dziesięć tysięcy lat nienaruszonej przyrody, i rzeczywiście tak to wyglądało. Ziemia się nagrzała, lodowce ustąpiły, wiatr przyniósł nasiona, spadł deszcz, a potem rosły tu i umierały kolejne pokolenia drzew. W innych częściach olbrzymiego kontynentu ludzie je ścinali, przygotowując pola pod uprawę albo zdobywając drewno do budowy domów, na opał czy do napędzania lokomotyw parowych, lecz niektóre obszary pozostały nietknięte i być może miały takie pozostać już na zawsze. Henry wspominał też, że łatwo tu znaleźć miejsca nietknięte jeszcze ludzką stopą, a Reacher nie miał wątpliwości, że to prawda.

Przeszedł obok domków letniskowych, w których panowała kompletna cisza. Ludzie wyszli zapewne w teren, by korzystając z pięknej pogody, realizować swoje plany wakacyjne. Skręcił w lewo, czyli na północ, i natrafił na boczną uliczkę o długości około stu metrów. Przeszedł na drugi jej koniec, gdzie znalazł drewniany łuk zbudowany ze zbrązowiałych, odartych z kory pni. Wyglądało to jak jakaś rytualna konstrukcja, prawdziwa brama do dziczy. Za nią zaczynał się szlak. Wydeptany setkami butów, biegł prosto przez jakieś dwadzieścia metrów, a potem skręcał i znikał. Od następnego przystanku, miasteczka o nazwie Cripps, dzieliły wędrowców cztery dni marszu.

Reacher przeszedł pod łukiem i zatrzymał się o dwa kroki dalej. Potem zrobił kolejne dwadzieścia kroków, do pierwszego zakrętu. Skręcił i przeszedł następne dwadzieścia kroków – dwadzieścia metrów – po czym ponownie się zatrzymał. Ścieżka miała nieco więcej niż metr szerokości. Z obu stron ograniczała ją leśna gęstwina. Z pni wyrastały uschnięte już w większości gałęzie, które spletały się ze sobą niemal po same wierzchołki. Proste i wysokie drzewa walczyły ze sobą o światło. W niektórych miejscach rosły w odległości niecałego metra, prawie wszystkie stykały się z innymi. Jedne były stare, sękate i poskręcane, drugie młodsze, smuklejsze i bledsze, wyrosłe zwykle tam, gdzie pojawiła się wolna przestrzeń, niczym chwasty. Poniżej poziomu piersi Reachera podszyt był gęsty i spleciony, przypominał ciemnozieloną ścianę złożoną z kolczastych pędów, które obejmowały uschłe i kruche gałązki. Dokoła zalegała gęsta, niczym niezmacona cisza. Przyćmiony blask słońca miał zielonkawy odcień. Reacher zatoczył pełne koło. Oddalił się od łuku zaledwie o czterdzieści kroków, ale miał wrażenie, że od cywilizacji dzieli go miliony kilometrów. Zrobił kolejne dwadzieścia kroków. Nic się nie zmieniło. Ścieżka zbaczała nieco w lewo, a potem w prawo. Przypuszczał, że służba leśna przycina podszyt, a stopy wędrowców rozgniatają wszystko, co wyrasta na szlaku. Gdyby nie ludzka działalność, ścieżka zarosłaby zapewne w ciągu roku lub dwóch. Najpóźniej trzech. Nikt by się wtedy nie przedostał. Natura odebrałaby swoją własność. Reacher zakładał też, że tu i ówdzie przy szlaku wycięto nieco większe obszary przeznaczone na obozowiska. Na małe namioty. Może w pobliżu strumieni. Na inny nocleg nie można było tu liczyć.

Postał w miejscu jeszcze przez chwilę, otoczony przefiltrowanym zielonym światłem i niesamowitą ciszą. Potem wrócił do głównej drogi, opuścił Naismith i dotarł do drewnianej tablicy witającej gości. Nikt jednak nie wyjeżdżał z osady, a po chwili Reacher uświadomił sobie, że prawdopodobnie nie złapie tu żadnej

okazji aż do rana następnego dnia. Doba hotelowa w domkach letniskowych kończyła się zapewne o jedenastej lub dwunastej, co oznaczało, że dzisiejszy exodus dobiegł końca. W grę wchodziły jeszcze samochody dostawcze dowożące towary do sklepu i restauracji, ale szanse na to, że któryś z nich będzie wkrótce wracał do głównej drogi, były niewielkie. Reacher stał w milczeniu jeszcze przez kilka minut, tylko dlatego, że sprawiało mu to przyjemność, a potem ruszył ponownie w stronę jeziora.

• • •

Stojące w nieregularnych odstępach domki letniskowe przypominały garść kostek do gry rozrzuconych na stole. Reacher przypuszczał, że najmniejszą popularnością cieszy się kwatery najbardziej oddalona od brzegu jeziora, więc tam skierował kroki. Zgodnie z jego przewidywaniami, w tym właśnie domku mieszkał zarządca ośrodka. Frontowy pokój przerobiono na recepcję, z otwieranym do góry okienkiem, półką, małym mosiężnym dzwonkiem i długopisem umocowanym na łańcuszku. Reacher uderzył w dzwonek i po dobrej chwili do recepcji wszedł starszy mężczyzna. Poruszał się powoli, jakby cierpiał na artretyzm. Tak, miał wolne miejsca. Opłata za jedną noc była skromna. Reacher zapłacił gotówką, podpisał się długopisem na łańcuszku i w zamian dostał klucz do maleńkiego drewnianego domku, rozgrzanego od słońca i przesiąkniętego zapachem stęchlizny. Nie stał w najlepszym miejscu, ale przynajmniej widać było stąd część jeziora. Całą resztę zasłaniał oczywiście las. W środku znajdowało się łóżko i dwa krzesła, była mała łazienka i wnęka kuchenna oraz krótka półka zastawiona pogiętymi i wytartymi książkami w miękkiej oprawie. Na tarasie na tyłach domku stały dwa leżaki z wyblakłym od słońca materiałem. Reacher spędził resztę popołudnia, leżąc na jednym z nich, trzymając stopy na drugim i czytając książkę pozostawioną przez kogoś na półce, zrelaksowany, wypoczęty i samotny. Nie pamiętał, kiedy ostatnio było mu tak dobrze.

• • •

Obudził się o siódmej, ale leżał w łóżku jeszcze przez całą godzinę, rozciągnięty jak rozgwieżdża. Cekał, aż piesi turyści i żeglarze zjedzą śniadanie i zwolnią miejsca w restauracji. Zakładał, że wszyscy chcą wyruszyć jak najwcześniej. Jemu na tym nie zależało. Przypuszczał, że pierwsza fala ludzi opuszczających osadę wybierze się w drogę dopiero około dziesiątej.

Zależało mu przede wszystkim na powrocie do drogi numer 11. Oczywiście byłby bardzo zadowolony, gdyby ktoś podwiózł go do I-95, nie wspominając już o podwózce do Bangor, Portlandu czy jakiegokolwiek innego miejsca położonego dalej na południe. Pomyślał, że wybierze się chyba do Nowego Jorku. O tej porze roku powinien bez trudu dostać bilety na mecz Yankees. Najgorętsze dni lata,

połowa mieszkańców na wakacjach, mnóstwo wolnych miejsc na wyższych, położonych w słońcu siedzeniach.

Wziął prysznic, ubrał się i spakował, czyli złożył szczoteczkę do zębów i schował ją do kieszeni. Dostrzegł sprzątaczkę, która przechodziła właśnie między dwoma innymi domkami, i powiedział jej, że zwolnił już swoją kwaterę. Wyglądała na siostrę kelnerki z restauracji i pewnie nią była. Ruszył, rozmyślając o kawie, naleśnikach, stoliku w rogu cichej, pustej sali i być może czyjejs porzuconej gazecie, którą mógłby poczytać przy jedzeniu.

Sala nie była cicha ani pusta.

Siedzieli w niej Henry i Suzanne oraz jeszcze dziewięć innych osób. Rozmawiali, wyraźnie czymś poruszeni. Przypominało to scenę z filmu, w którym mieszkańcy miasteczka dowiadują się, że kopalnia zatrzuwa ich wodę. Kiedy wszedł do środka, wszyscy odwrócili się w jego stronę.

– Co się stało? – spytał.

– Zamknęli szlak – odparł Henry.

– Kto zamknął?

– Policja. Chyba stanowa. Przeciągnęli taśmę w poprzek wejścia.

– Kiedy?

– W nocy.

– Dlaczego?

– Nikt nie wie.

– Nie chcą nam powiedzieć – dodała Suzanne. – Wypytujemy ich od samego rana. Odpowiadają tylko, że szlak jest zamknięty do odwołania.

– W Cripps też zamknęli – wtrącił inny turysta. – W zeszłym roku zaczynaliśmy od tamtej strony. Dlatego mam numer do motelu. Ta sama sytuacja. Taśma między drzewami.

– To cztery dni marszu, prawda? – upewnił się Reacher. – Na szlaku na pewno jest jeszcze sporo ludzi. Może coś się stało.

– Więc dlaczego nam o tym nie powiedzą?

Reacher milczał. Nie jego problem. On chciał tylko zjeść naleśniki. I – co ważniejsze – napić się kawy. Odszukał wzrokiem kelnerkę, skinął na nią głową i usiadł przy wolnym stoliku.

Natychmiast podszedł do niego Henry.

– Mogą zrobić coś takiego?

– Co takiego? – zdziwił się Reacher.

– Tak po prostu zamknąć szlak.

– Właśnie to zrobili.

– Czy to zgodne z prawem?

– Skąd mogę wiedzieć?

– Pracowałeś w policji.

– W żandarmerii wojskowej. Nie byłem strażnikiem leśnym.

– To miejsce publiczne.

– Na pewno mają dobry powód. Może kogoś zjadł niedźwiedź.

Pozostali turyści, jeden po drugim, podeszli do stołu Reachera i otoczyli go ciasnym kołem. Jedenaścioro ludzi stojących mu nad głową.

- Skąd pan to wie? – spytał facet, który wciąż miał numer do motelu w Cripps.
- Skąd co wiem? – zdziwił się ponownie Reacher.
- Że kogoś zaatakował niedźwiedź.
- Powiedziałem, że może tak się stało. To miał być żart.
- Atak niedźwiedzia to nic zabawnego.
- Może to tylko ćwiczenia – wtrącił inny mężczyzna.
- Jakie ćwiczenia?
- Coś w rodzaju alarmu próbnego. Upozorowany wypadek. Dla służb ratowniczych.
- Tylko dlaczego pisaliby wtedy, że szlak jest zamknięty do odwołania, a nie na przykład do lunchu czy do jutra?
- Do kogo powinniśmy zadzwonić? – spytał jeszcze inny turysta.
- I tak nic nam nie powiedzą... – mruknęła Suzanne.
- Może powinniśmy poinformować biuro gubernatora?
- Jasne, bo oni na pewno nam coś powiedzą, skoro inni nie chcą – parsknęła jakaś kobieta.
- To nie mogą być niedźwiedzie.
- Więc co?
- Nie mam pojęcia.
- Co powinniśmy zrobić? – spytała Suzanne, spoglądając na Reachera.
- Wybierzcie się gdzie indziej.
- Nie możemy. Utknęliśmy tutaj. Helen ma samochód.
- Już wyjechała?
- Nie chciała tu jeść śniadania.
- Nie możecie do niej zadzwonić?
- Nie ma zasięgu. Próbowaliśmy z automatu w sklepie, ale ona też jest gdzieś poza zasięgiem.
- Więc popływajcie kajakami. To chyba równie przyjemne.
- Nie chcę pływać kajakiem – burknął Henry. – Chcę iść na szlak.

• • •

W końcu niezadowolona grupka wyszła z restauracji na zewnątrz, wciąż narzekając i marudząc. Kelnerka odebrała zamówienie od Reachera. Zjadł i wypił kawę w słodkiej ciszy, poprosił o rachunek i zapłacił gotówką.

- Często zamykają ten szlak? – spytał kelnerkę.
 - Nigdy dotąd się to nie zdarzyło.
 - A widziała pani, kto to zrobił?
- Kobieta pokręciła głową.
- Spałam.
 - Gdzie jest najbliższy komisariat policji stanowej?
 - Właściciel wypożyczalni kajaków mówił, że to byli żołnierze.

– Naprawdę?

Kelnerka skinęła głową.

– Mówi, że ich widział.

– W środku nocy?

Ponownie przytaknęła.

– Mieszka przy łuku. Obudzili go.

Reacher dołożył jeszcze dolara do napiwku i wyszedł na zewnątrz. Skręcił w prawo, jakby chciał wyjść z osady, lecz już po kroku zatrzymał się, zawrócił i odszukał ulicę prowadzącą do szlaku.

Przy łuku stali Henry i Suzanne. Tylko oni dwoje. Z plecakami na ramionach. Łuk przewiązany był trzykrotnie, na wysokości kolan, pasa i piersi, białoniebieską plastikową, miejscami poskręcaną taśmą z napisem: *Policja. Nie wchodzić.*

– Widzisz? – rzucił Henry.

– Przecież od razu wam uwierzyłem – odparł Reacher.

– I co o tym myślisz?

– Myślę, że szlak jest zamknięty.

Henry odwrócił się od niego i wbił wzrok w taśmę, jakby mógł ją obrócić w nicosć samą siłą woli. Reacher poszedł do drogi i ruszył w stronę tablicy witającej turystów. Dziesięć minut, pomyślał. Może mniej. Przypuszczał, że tego ranka Naismith opuści więcej osób niż zwykle.

• • •

Jednakże pierwszy pojazd, który zobaczył, wjeżdżał do osady, a nie wyjeżdżał z niej. Wojskowy pojazd. Humvee, dokładnie rzecz biorąc, pomalowany w czarno-zielone barwy maskujące. Z wyciem silnika przemknął obok Reachera i zniknął za zakrętem. W samochodzie siedziało czterech mężczyzn, twardzieli w nowych mundurach bojowych amerykańskiej armii.

Reacher czekał.

Minutę później z osady wyjechał samochód, ale był pełny. Dwie osoby z przodu, dwie z tyłu, brak miejsca dla autostopowicza, szczególnie tak wielkiego jak Reacher. Rozpoznał ludzi, których widział wcześniej w restauracji, rozczarowanych i niezadowolonych, gotowych do wyjścia na szlak, na który nie chciano ich wpuścić.

Czekał.

Następny był kolejny humvee, również zmierzający w stronę jeziora. Ryczący silnik, wysokie obroty, pisk opon, czterech facetów w mundurach bojowych. Reacher odprowadził go wzrokiem do zakrętu, zza którego po chwili dobiegł go dźwięk zmieniającego biegu i wycie silnika wchodzącego ponownie na wysokie obroty. Skręt w prawo, pomyślał. Gotów był się założyć o całkiem przyzwoitą sumkę, że humvee jedzie w stronę drewnianego łuku.

Zamyślony, przez chwilę patrzył w tamtym kierunku.

Potem z osady wyjechało kolejne auto. Sedan. Dwoje ludzi. Wolne tylne siedzenie. Prowadził facet, który wciąż miał numer do motelu w Cripps. Zwolnił i zatrzymał się, a kobieta siedząca na miejscu pasażera opuściła szybę.

– Dokąd pan jedzie? – spytała.

Reacher milczał.

– Bo my jedziemy do Bostonu – dodała.

Co doskonale wpisywałoby się w jego plany. Trzy godziny jazdy od Nowego Jorku. Mnóstwo różnych dróg. Duży ruch.

– Przepraszam, ale zmieniłem zdanie – oznajmił nieoczekiwanie Reacher. – Zostanę tutaj.

Kobieta wzruszyła ramionami i samochód odjechał bez niego.

• • •

Reacher wrócił do recepcji i uderzył w dzwonek. Jego domek wciąż był wolny. Zapłacił za następną noc i dostał w zamian ten sam klucz. Potem poszedł w stronę łuku, a kiedy dotarł na koniec stumetrowej uliczki, zobaczył tam dwa humvee i ich czteroosobowe załogi, które zdążyły już wysiąść. Samochody stały obok siebie, zwrócone maskami do przodu, blokując drogę na całej szerokości. Wszyscy żołnierze byli uzbrojeni w karabiny M16. Obstawiali strefę zamkniętą. Reacher dobrze znał tę procedurę, dwa oddziały, cztery godziny służby, cztery wolne. Żandarmeria wojskowa, bez wątplenia. Regularne wojsko, a nie gwardia narodowa. To nie były ćwiczenia. Nikt nie mógł przejść przez tę strefę.

Nie widział nigdzie Henry'ego i Suzanne.

– Sierżancie? – odezwał się.

Jeden z żołnierzy odwrócił się do niego. Jodelka na naszywce pośrodku piersi. Co najmniej dwadzieścia lat młodszy od Reachera. Całkiem inne pokolenie. Żandarmeria wojskowa nie ma jakichś tajnych znaków czy magicznych słów podkreślających braterstwo broni. I nie ma ochoty wdawać się w pogaduszki z jakimś staruchem, bez względu na to, za kogo się będzie podawał, i jaką kiedyś – dawno temu – pełnił funkcję.

– Musi pan się cofnąć o krok, co najmniej dziesięć metrów – powiedział sierżant.

– To byłby cholernie długi krok, prawda? – odparł Reacher.

Dwaj starsi szeregowi wyciągali z humvee drewniane kozły i deski z napisem *Nie wchodzić*, które mieli ułożyć między nimi.

– Domyślam się, że macie rozkaz nie wpuszczać ludzi do lasu. Nie mam z tym problemu. Męczcie się. Ale jeśli się rozejrzycie, zauważycie pewnie, że las zaczyna się tam, gdzie się zaczyna, a nie na szerokości dwóch humvee i paru desek.

– Kim pan jest? – spytał sierżant.

– Jestem facetem, który przeczytał kiedyś konstytucję.

– Wszędzie tu jest las.

– Zauważyłem.

- Więc proszę się natychmiast cofnąć.
 - Jednostka.
 - Trzysta czterdziesta piąta, żandarmeria wojskowa.
 - Nazwisko?
 - Kain. K-A-I-N. Przez i, a nie jot.
 - Macie brata?
 - Słyszałem to już parę razy.
- Reacher skinął głową.
- Róbcie swoje, sierżancie – powiedział, po czym odszedł.

• • •

Wrócił do recepcji i raz jeszcze uderzył w dzwonek. Gdy starzec przywłókł się do okienka, Reacher zapytał:

- Czy moi znajomi jeszcze tu są? Ludzie, z którymi przyjechałem? Henry jakiś tam i Suzanne jakaś tam.
- Wymeldowali się z samego rana.
- I nie wrócili?
- Nie, proszę pana.

Reacher skinął głową i poszedł do swojego domku, gdzie spędził następne cztery godziny na tarasie, siedząc na jednym leżaku, trzymając stopy na drugim i patrząc na niebo. To był kolejny piękny dzień; znów widać było jedynie błękitną pustkę i białe smugi kondensacyjne odległe o dwanaście kilometrów od ziemi.

• • •

Wczesny popołudniem poszedł do restauracji na lunch. Był jedynym klientem. Osada wyglądała na opustoszałą. Zamknięty szlak, zero ruchu. Kelnerka nie wyglądała na zadowoloną. Ale nie chodziło jej tylko o brak dochodów. Rozmawiała z kimś przez telefon, a właściwie kogoś słuchała, wyraźnie zatroskana. Bez wątpienia nie były to dobre wieści. Po dłuższej chwili odłożyła słuchawkę i podeszła do stolika Reachera.

- Wysyłają oddziały na południe od Cripps – powiedziała. – Szukają turystów. Zgarniają ich i wyprowadzają z lasu. Bardzo szybko.
 - Żołnierze? – spytał Reacher.
- Kobieta skinęła głową.
- Mnóstwo żołnierzy.
 - Dziwne.
 - Ale nie to jest najgorsze. Potem wszystkich przesłuchują. Chcą wiedzieć, czy coś widzieli.
 - To też robią żołnierze?
 - Ludzie w garniturach. Moja przyjaciółka uważa, że to FBI.
 - Kim jest pani przyjaciółka?

- Pracuje w motelu w Cripps.
- Co niby mieli wiedzieć ci ludzie?
- Znamy tylko plotki. Może jakiś wściekły niedźwiedź. Ludożerca. Stado dzikich kojotów, pum, potworów. Albo jakiś okrutny morderca, który uciekł z więzienia. Albo wilki. Albo wampiry.
- Wierzy pani w wampiry?
- Oglądam telewizję, jak wszyscy.
- To nie wampiry – stwierdził Reacher.
- Ale coś w tych lasach jest, proszę pana.

• • •

Reacher zjadł zapiekankę z tuńczykiem, napił się kawy i herbaty, a potem poszedł pod łuk. Bariereki stały na swoich miejscach, dziesięć metrów przed humvee. Czterej żołnierze stali w swobodnych pozach, z karabinami na ramionach. Pokaz siły. *Nie wchodzić*. To nie ćwiczenia. W sumie przyjemna służba, o tej porze roku. W zimie byłoby znacznie gorzej.

Reacher wrócił do osady. W chwili gdy dotarł do głównej drogi, zza zakrętu wyjechał bezbarwny minivan. Za kierownicą siedziała Helen. Zatrzymała się obok Reachera i opuściła szybę.

- Widziałeś Henry’ego i Suzanne? – spytała.
- Ostatnio przy śniadaniu.
- Ludzie mówią, że szlak jest zamknięty.
- Owszem.
- Więc przyjechałam, żeby ich zabrać.
- Powodzenia.
- Gdzie oni są?
- Coś mi się wydaje, że Henry to facet, który nie zmienia łatwo planów.
- Więc poszli tak czy inaczej?
- Tak sądzę.
- Choć szlak był zamknięty?
- Przez krótki czas można tam było wejść. Kiedy na łuku była już taśma, ale jeszcze nie przyjechali żołnierze.
- Słyszałam o żołnierzach.
- Co jeszcze słyszałaś?
- Że w lesie kryje się coś groźnego.
- Może wampiry – mruknął Reacher.
- To nie jest śmieszne. Słyszałam, że to może być zbiegły więzień albo jakiś zbuntowany oddział wojskowy. Coś bardzo niebezpiecznego. Wszyscy o tym mówią, nawet w lokalnym radiu. W Cripps są już dziennikarze.
- Napijesz się kawy?

• • •

Helen zaparkowała przed restauracją, weszli razem do środka i usiedli przy tym samym stoliku, z którego korzystał przed chwilą Reacher. Kelnerka przyniosła kawę, a potem wróciła do telefonu. Pewnie żeby pogadać z koleżanką z Cripps. Poplotkować, dowiedzieć się, co nowego.

– Henry jest idiotą – powiedziała Helen.

– Lubi las – odparł Reacher. – Trudno go za to winić.

– Ale tam coś jest, to oczywiste.

– Pewnie tak.

– Musiał o tym wiedzieć. Do tego nie trzeba być geniuszem. Ale on zachował się jak idiota, choć przecież w sumie nie jest idiotą. I jeszcze wciągnął w to Suzanne. Więc jednak jest idiotą.

– Suzanne mogła odmówić.

– Właściwie jest taka sama jak on. Nie kontroluje swoich zachcianek. Słyszałam, że z Cripps wyszły do lasu ekipy poszukiwawcze.

Reacher skinął głową.

– To prawda. Wiem o tym z pierwszej ręki. No... może troszeczkę z drugiej. Nasza kelnerka ma tam znajomą.

– Czego szukają?

– Ludzi takich jak Henry i Suzanne. Wyciągają ich z lasu i pytają, co tam widzieli.

– Ale nie Henry’ego i Suzanne znajdą, prawda? Zakładają, że przez ostatnią dobę nikt nie wchodził do lasu. Skończą poszukiwania, kiedy znajdą wszystkich ludzi, którzy wyruszyli na szlak wczoraj rano. Henry i Suzanne zostaną. Razem z tym, co się tam kryje. Niedobrze.

– To duży las.

– Ale to coś może krążyć po okolicy i polować. A jeśli to zbiegli więźniowie, na pewno też będą trzymać się szlaku. Henry i Suzanne zostaną tam z nimi sami.

– To nie zbiegli więźniowie – oznajmił Reacher.

– Skąd wiesz?

– Rozmawiałem z żołnierzami przy łuku. To żandarmi wojskowi, jak ja kiedyś. Zasadniczo nie powinni się zajmować zbiegłymi więźniami. Teoretycznie wojsko nie może egzekwować prawa dotyczącego cywilów i wykonywać obowiązków przypisanych policji. To jest obwarowane różnymi przepisami. Ich sierżant bez wahania podał mi numer swojej jednostki. A potem, równie chętnie, podał mi swoje nazwisko. Nawet je przeliterował. Kain, przez i, a nie jot.

– I co to wszystko znaczy?

– To znaczy, że niczego się nie boi. Że jakby co, na pewno nie trafi do więzienia. A to z kolei oznacza, że dostał rozkazy od kogoś bardzo wysoko postawionego. Kogoś, kto jest nie do ruszenia. Więc jeśli jakiś zwykły cywil, taki jak ja czy ty, zacznie bruździć, mogą go bez wahania wyeliminować. Jeszcze dostaną za to medal. Czyli w grę wchodzi bezpieczeństwo narodowe. Wszystko na to wskazuje. A zbiegli więźniowie to nie jest kwestia dotycząca bezpieczeństwa narodowego. Takimi sprawami zajmują się władze stanowe.

Helen przez moment milczała.

– Ale kwestią bezpieczeństwa narodowego mogłaby być jakaś zbuntowana jednostka wojskowa – odezwała się w końcu. – Albo grupa terrorystów. Albo zbieg z więzienia Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Albo jakiś mutant, który wydostał się na wolność. Ofiara eksperymentów genetycznych. Albo eksperyment genetyczny, który celowo wypuszczono na wolność. Może to jest atak. A Suzanne i Henry tam poszli.

– Nie chodzi o żadną z rzeczy, które wymieniłaś – odparł Reacher.

– Skąd wiesz?

– Bo przez cały rano siedziałem na leżaku i obserwowałem niebo.

– No i co z tego?

– Ano to, że nie widziałem żadnych samolotów zwiadowczych, żadnych helikopterów ani dronów. Gdyby polowali na jakieś ciepłokrwiste stworzenie czy stworzenia, szukaliby ich z góry za pomocą kamer termicznych, radarów i różnych innych gadżetów.

– Więc czego, twoim zdaniem, szukają?

– Nie szukają niczego. Już ci to mówiłem. Nie prowadzą obserwacji z powietrza.

– Więc czego szukają?

– Czegoś, co nie wydziela ciepła i jest zbyt małe, by pokazało się na radarze.

– A co to może być?

– Nie mam pojęcia.

– Ale na pewno jest to coś, czego nie powinniśmy zobaczyć. O czym nie powinniśmy wiedzieć.

– Najwyraźniej.

– Może to jakieś zimnokrwiste stworzenie. Jak wąż.

– Albo wampir. Wampiry są zimnokrwiste?

– To nie jest śmieszne. No dobrze, może to nie jest żywa istota. Może to jakieś urządzenie.

– Być może.

– Jak się tu znalazło?

– I to jest istotne pytanie. – Reacher skinął głową. – Myślę, że wypadło z samolotu.

• • •

Poprosili o dolewkę kawy. Helen nie mogła przestać myśleć o swoich przyjaciółach.

– Sytuacja jest naprawdę bardzo poważna – powiedziała w końcu.

– Niezupełnie – rzucił Reacher. – Henry i Suzanne nie muszą się obawiać jakiegoś urządzenia. Nie wyskoczy z krzaków i nie ugryzie ich w tyłek.

– Ależ tak. Właśnie to robi. W przenośni. Przebywają w lesie nielegalnie, weszli tam dwadzieścia cztery godziny później niż wszyscy inni. To wygląda podejrzanie. Jakby chcieli znaleźć tę rzecz i wynieść ją stamtąd ukradkiem. A jeśli to jakaś bomba albo pocisk? To się zdarza, prawda? Czasami bomby i pociski

spadają przypadkowo z samolotów, zgadza się? Czytałam o tym. Choć władze mogą uznać, że tutaj wcale nie był to przypadek. Że to groźny spisek. A jeśli Henry i Suzanne zostaną uznani za oddział, który ma za zadanie znaleźć tę bombę? Nie trzeba do tego bujnej wyobraźni. Zakradają się do lasu, mają dwadzieścia cztery godziny, żeby znaleźć bombę, zanim zrobi to wojsko, potem przekazują ją współnikom, a jakiś czas później na lotnisko JFK nadlatuje uzbrojony samolot i mamy powtórkę z jedenastego września.

– Henry i Suzanne są turystami. Uwielbiają dziką przyrodę. Przyjechali na wakacje. I pochodzą z Kanady, na miłość boską.

– I co z tego?

– Kanadyjczycy to najmiłsi ludzie na świecie. Przebijają ich tylko Szwajcarzy.

– Ale i tak będą ich podejrzewać. Sprawdzą ich z każdej strony.

– Nazwiska i liczby w paru bazach danych. Błahostka.

– Suzanne ma parę grzechów na sumieniu.

– Jakich grzechów?

– Jest cudowną osobą. Musisz to zrozumieć. Życzliwą wobec wszystkich ludzi.

– To jakiś problem?

– Oczywiście, że tak. – Helen westchnęła. – Powiedziałam „wszystkich ludzi”.

Proste. Co oznacza, że jeśli weźmiesz kogoś pod lupę, zobaczysz, że sprzyja też tym, za którymi twój kraj nie przepada. W innym kontekście i z poczuciem odpowiedzialności, ale fakty to fakty.

Reacher milczał.

– Jest też mocno zaangażowana politycznie – dodała. – Bardzo aktywna.

– Bardzo aktywna, czyli jak aktywna?

– Tym się zajmuje. To jakby jej praca. Henry właściwie sam prowadzi sklep rowerowy.

– Czyli jest nie tylko w kilku bazach danych. Raczej w kilkuset. Co najmniej.

– I pewnie w większości ma specjalny status. To znaczy... nie jest Che Guevarą ani przewodniczącym Mao, ale pamięć komputerowa jest teraz bardzo tania, więc muszą ją czymś wypełnić. Jest w pierwszym milionie, to pewne. Na pewno też mają już przygotowane odpowiednie procedury. Ekrany zaświecą się jak choinka, a Suzanne trafi do Egiptu albo do Syrii. Może wypuszczą ją za rok czy dwa, ale nie będzie już sobą. Jeśli w ogóle przeżyje.

– To nie musi być pocisk czy bomba – zauważył Reacher. – Może to jakaś nudna czarna skrzynka z zakodowanymi danymi. Może spadła z satelity, a nie z samolotu. Nikomu się nie przyda. Co oznacza, że teoria spiskowa nie będzie miała sensu. Nikt nie zamierza tracić czasu na rozwiązywanie nieistniejących problemów. Jeśli zobaczą Henry’ego i Suzanne wychodzących zza rogu, ubranych jak turyści, maszerujących jak turyści i mówiących jak turyści, to po prostu uznają ich za turystów. Dadzą im wody i pozwolą iść dalej.

– Nie możemy być tego pewni.

– To jedna z możliwości.

– A jakie są inne? – spytała Helen.

– Niektóre z nich niebezpiecznie przypominają to, czego się obawiasz.

– Ile z nich?

– Praktycznie wszystkie. Bo rzecz sprowadza się do tego, że jest obywatelką innego państwa, notowaną, pośrodku strefy zamkniętej przez wojsko ze względu na bezpieczeństwo narodowe.

– Musimy ich stamtąd wyciągnąć – powiedziała.

• • •

Opór był daremny. Reacher od razu to zrozumiał. Był realistą. Stoikiem, w pierwotnym tego słowa znaczeniu. Facetem, który akceptuje świat takim, jaki jest, i nie próbuje zmieniać go na siłę.

– Jak szybko maszerują? – spytał.

– Niezbyt szybko. Jednoczą się z przyrodą. Schodzą ze ścieżki i stawiają stopy na dziewiczej ziemi. Przyglądają się wszystkiemu. Słuchają ptaków i szumu wiatru. Powinniśmy ich szybko dogonić.

– Lepiej ich wyprzedzić.

– Jak?

• • •

Zaczęli przygotowania już w restauracji, gdzie zdumiony kucharz pożyczył im dwa wielkie noże do mięsa przypominające maczety. Potem przeszli do wypożyczalni sprzętu wodnego i zapłacili za smukły dwuosobowy, jasnopomarańczowy kajak. Krawędzie wgłębień z siedzeniami były zabezpieczone materiałem nieprzemakalnym. Reacher przypuszczał, że obwiązuje się go wokół talii kajakarza. Jakby wkładał nieprzemakalne spodnie w kształcie kajaka. Żeby woda nie wlewała się do środka. Uważał, że to przesada – był piękny letni dzień, a oni zamierzali pływać po jeziorze płaskim i spokojnym jak sadzawka w parku.

Zajął miejsce z tyłu, z trudem wciskając się do okrągłego otworu. Helen usiadła z przodu, znacznie sprawniej. Gdy facet z wypożyczalni odwiązał linę, zabrali się do wiosłowania. Początkowo wyglądało to dość chaotycznie, ale potem było już lepiej. Znacznie lepiej. Wszystko sprowadzało się do wspólnego rytmu. Długie, pewne pociągnięcia. Jak podczas pływania. Tyle że kajak poruszał się szybciej niż człowiek płynący bez dodatkowego sprzętu. I szybciej niż człowiek maszerujący po stałym lądzie. Nie wspominając już o człowieku, który jednoczy się z przyrodą, zostawia ślady w dziewiczej ziemi i słucha ptaków. Może dwa razy szybciej od takiego człowieka. Albo i więcej niż dwa razy. Co bardzo ich cieszyło. Jezioro zakręcało jak zgięty palec, dzięki czemu również mogli zyskać na czasie, płynąc na ukos, prosto do miejsca, gdzie znajdowałby się paznokieć i skąd mogli szybko dostać się do szlaku. Bo za zakrętem jezioro wciskało się w las, tak jak stan Maine wciska się w tyłek Kanady. Niczym ostrze. Jak rana po nożu. Przeciwnie kraniec znajdował się zapewne nie dalej niż kilkaset metrów od ścieżki. Najwyżej

czterysta. Gęsta, najstarsza część lasu nie mogła być zbyt szeroka w tym miejscu. Ze względu na wodę, która tworzyła coś w rodzaju zatoki albo ujścia rzeki.

Wiosłowali dalej. Nie w jakimś szalonym, sprinterskim tempie jak podczas wyścigu na średnim dystansie. Jak na czarno-białym filmie pokazującym chudych dżentelmenów biegnących po żwirowej bieżni. Workowate białe koszule. Wykrzywione twarze. Byle naprzód. Byle wytrzymać do końca. Wielkie noże leżały między stopami Reachera. Przesuwały się do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu, w rytm każdego pociągnięcia wiosła.

•••

Brzeg po przeciwległej stronie jeziora miał kształt litery V. Zamiast piaszczystej plaży przywitało ich niewysokie skalne urwisko, sięgające prosto do korzeni drzew, dzięki czemu mogli bez trudu wysiąść z kajaka, czepiając się skalnych występów. Ale gdy tylko stanęli na brzegu, sprawy się skomplikowały. Musieli przeciskać się między drzewami, raz jednym bokiem, raz drugim, uważając przy tym na korzenie, zupełnie jakby przedzierali się przez zatłoczony pokój, tyle że zastawiony twardymi jak stal posągami, a nie ludźmi. I nie w blasku świateł, lecz w dziwnym zielonym świetle przefiltrowanym przez miliony nieruchomych liści.

Niewiele lepiej sytuacja wyglądała na polanach, bo wszystkie zarośnięte były pnączami i kolczastymi jeżynami. Przedzierali się przez nie z determinacją, ale co chwila musieli korzystać z noży, by uwolnić nogi oplątane dziką roślinnością.

– Dobrze się czujesz? – spytał Reacher.

– W jakim sensie? – zdziwiła się Helen.

– Nie lubisz lasu.

– Chcesz zgadnąć dlaczego? Do trzech razy sztuka? W tej chwili?

Parli dalej. Reacher prowadził, wycinając szeroki korytarz w podszycie, Helen postępowała tuż za nim. Oboje zostawiali ślady w miejscu, gdzie prawdopodobnie nie stąpał jeszcze żaden człowiek. I raczej wyczuwali, niż widzieli, szlak z przodu, szczelinę, przerwę, pustkę. Dziurę w odgłosach lasu. Zmianę w niebie. Gruby szew w okapie drzew. W końcu do niego dotarli, przechodząc nad sękatymi pniami powyginanymi jak kolana, szukając drogi, przeciskając się, aż wreszcie wypadli na coś, co można było nazwać dosłownie „utartym szlakiem”. Powietrze nad gołą ziemią było wilgotne i nieruchome, zauważalnie chłodniejsze.

– Wyprzedziliśmy ich? – spytała Helen.

– Tak myślę – odparł Reacher. – Na pewno, jeśli jednoczą się z przyrodą. Być może nie, jeśli coś ich wystraszyło i mocno podkręcili tempo. Ale jestem prawie pewien, że nam się udało. A jeśli chodzi o takie spekulacje, zawsze jestem bardzo ostrożny.

– Więc poczekamy tu na nich?

– Najlepiej wykorzystamy czas, jeśli wyjdziemy im naprzeciw. Dzięki temu zgarniemy ich bliżej Naismith.

– Ale być może wtedy będziemy się od nich oddalać.

- Cóż, czasem w życiu trzeba ryzykować.
 - Nie podoba mi się to. Może od samego początku się spieszyli, żeby jak najszybciej pokonać szlak, nabić kilometrów. Może przeszli tędy pół godziny temu.
 - Przypuszczam, że się nie spieszyli. Za bardzo to lubią. Idą raczej spacerowym tempem, przystają, żeby obejrzeć to i owo. Zupełnie sami. Tylko oni i las. Zakładam, że mamy nad nimi pół godziny przewagi.
 - Robiłeś już kiedyś coś podobnego, prawda?
 - Od czasu do czasu.
 - I udawało ci się?
 - Czasem tak, czasem nie.
- Helen wzięła głęboki oddech.
- W porządku – zgodziła się. – Miejmy nadzieję, że spotkamy ich w drodze do Naismith. Ale jeśli nie, to powiem ci, co o tym myślę, używając słów, których raczej nie kojarzy się z miłymi Kanadyjczykami. Niektóre mają dużo sylab.
 - Zaryzykuję.
 - Ja pójdę pierwsza.

• • •

Ścieżką szło się znacznie wygodniej, tym bardziej że prowadziła prosto do przodu, nie musieli więc zwalniać na zakrętach i rozglądać się. A było na co patrzeć. W końcu i tak nie byli w stanie dłużej ignorować otoczenia, które spowolniło ich marsz skuteczniej niż jeżyny i pnącza. Słowa „pierwotny” i „prastary” doskonale do niego pasowały. Reacher nie należał może do miłośników przyrody, ale nie mógł zaprzeczyć, że tutaj czuje z nią jakąś prymitywną więź. Być może w tych lasach żyło sto pokoleń jego przodków. Gdzieś musieli żyć. Na pniach widniały plamy porostów i jasnozielonego mchu, drzewa pochylały się, wykręcały, walczyły o światło i przestrzeń. Wydawało się, że ich zamglone postacie rozmawiają ze sobą, że przez las niesie się ich cichy, przytłumiony pomruk. *Świetne miejsce na zasadzkę z przodu i po lewej, więc uważajcie. Dwie pozycje obronne z przodu i po prawej, zajmijcie pierwszą, a w razie potrzeby cofajcie się do drugiej.* Sto pokoleń, które siłą rzeczy musiały przetrwać.

Szli dalej, przez chłodne, nieruchome i wilgotne powietrze, jak we wnętrzu piwnicy. Grunt pod ich stopami był miękki i sprężysty, pokryty ciemną warstwą liści. Jak dywan.

Nikt nie nadchodził z naprzeciwka.

Ani w ciągu pierwszych pięciu minut, ani w ciągu dziesięciu. Co oznaczało, że prawdopodobieństwo spotkania rośnie z minuty na minutę. Dwie pary zmierzające w przeciwnych kierunkach, jedna przemierza się szybko, druga wolno, suną ku sobie już od piętnastu minut. Okienko czasowe, w którym musiało dojść do spotkania, było coraz mniejsze. Jeśli w ogóle miało to nastąpić, musiało nastąpić wkrótce.

Nie nastąpiło.

Nie w ciągu następnych pięciu minut ani nie w ciągu dziesięciu. Co komplikowało sprawę. Trudno było przypuszczać, że Henry i Suzanne idą aż tak powoli. Chyba że się wystraszyli i zawrócili do Naismith. Może uznali, że nie warto ryzykować i lepiej wycofać się z honorem. Może wyszli z samochodu sierzanta Kaina w chwili, gdy Reacher i Helen odbijali kajakiem od pomostu.

Nikt nie mógł tego wiedzieć.

Z naprzeciwnika wciąż nikt nie nadchodził.

– Spieprzyłeś to, Reacher – powiedziała Helen.

– Przejdź od razu do tych mocniejszych określeń. Zawsze jestem ich ciekaw.

– Może coś już im się stało.

– Ale co? Z Naismith nie wychodziły żadne grupy poszukiwawcze. Nie ma tu innych turystów. Zgubiony sprzęt nie mógł wyskoczyć z krzaków i ugryźć ich w tyłek. Nie dosłownie. W przenośni mogłyby to zrobić potem, ale na razie nic im się nie stało.

– Więc gdzie są?

– Musieli się zatrzymać. Może rozbili już namiot. Może znaleźli idealne miejsce.

– A ja myślę, że szli szybko i że się rozminęliśmy. Spieprzyłeś to.

– Czasem w życiu trzeba ryzykować – powtórzył.

• • •

Ruszyli dalej, przyspieszając nieco, ignorując leśne polany po lewej i po prawej, choć każda z nich warta była obejrzenia, jak oddzielne sale w muzeum. W górze podniósł się wiatr, liście szeleściły, gałęzie trzeszczały i pojękiwały. Przez podszycie przemykały drobne zwierzęta. Tu i ówdzie nad ścieżką wisiały chmury owadów, które w miarę możliwości należało omijać.

Potem szlak skręcał gwałtownie w prawo i w lewo, omijając wielki omszały pień o prawie półtorametrowej średnicy. Nieco dalej z przodu, w leśnym półmroku, pojawiły się dwa jasne przedmioty ułożone na ścieżce. Czerwone, pomarańczowe i żółte, nylon, paski i sprzączki. Plecaki.

– Ich – orzekła krótko Helen.

Reacher skinął głową. Widział te plecaki już wcześniej, kilka godzin wcześniej, w pobliżu bramy do dziczy, zarzucone na plecy wędrowców i gotowe do drogi. Podeszli bliżej i zatrzymali się przy bagażu. Plecaki nie zostały porzucone w pośpiechu. Stały prosto, oparte o siebie nawzajem, równo i stabilnie.

– Zeszli ze szlaku – powiedział Reacher. – Mała wycieczka w zarośla. Nie ma sensu ciągnąć plecaków ze sobą.

– Kiedy? – spytała Helen.

– Niedawno, mam nadzieję. Co oznacza, że są niedaleko.

Nadstawili uszu, ale ciszę mąciły jedynie odgłosy żyjącego lasu. Żadnego dyszenia, wołania, trzasku pnączy rozrywanych butami.

Nic.

– Wołamy ich? – zaproponowała Helen.

– Niezbyt głośno – odparł Reacher.

– Henry? Suzanne? – powtarzali tonem przypominającym sceniczny szept, nieco głośniej niż podczas zwykłej rozmowy, ale nie podnosząc głosu do krzyku, z pełną niepokoju, wznoszącą się intonacją.

Cisza.

– Suzanne? Henry?

Cisza.

– Nie mogą być daleko – powiedziała Helen.

Reacher rozejrzał się, popatrzył na zarośla po lewej i prawej. Rozsądek podpowiadał, że jeśli zeszli ze szlaku, to zrobili to w pobliżu swoich bagaży. Nie ma sensu zostawiać plecaków, a potem opuszczać ścieżkę sto metrów dalej. Wiedział więc przynajmniej, gdzie zacząć poszukiwania. Nie był jednak doświadczonym tropicielem. Nie w takiej dziczy. Nie jak w filmach, gdzie facet przykuca, wpatruje się przez chwilę w ziemię, a potem mówi: „Szli tędy trzy godziny temu, a kobieta ma pęcherz na kostce”.

Zauważył jednak w jednym miejscu połamane pędy i rozdarte liście. Bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak ktoś stawia tu stopę, a potem robi krótki, ostrożny krok, a druga osoba idzie za nim, przeciska się najpierw jednym, potem drugim bokiem.

– Spróbujemy? – spytała Helen.

– Zawołajmy ich jeszcze raz.

– Henry? Suzanne?

Cisza. Tylko liście i gałęzie.

Reacher wszedł w zarośla, rozglądając się, wypatrując śladów, zgniecionych patyków na ziemi, nadłamanych gałęzi drzew. Nie było to łatwe. Ślady pojawiały się rzadko, Reacher musiał przystawać co kilka kroków, znów się rozglądać, wybierać najmniej nieprawdopodobną spośród wielu innych, niemal równie nieprawdopodobnych możliwości. Zakładał, że króliki i inne małe zwierzęta mogą wyginać źdźbła trawy tak samo jak ludzkie stopy, że tylko istota równie ciężka jak człowiek może łamać odrośle grubsze od ołówka, opierał więc swoje wybory na obserwacji powierzchni uszkodzonych gałęzi. Jeśli były jasne, złamano je niedawno, jeśli ciemne, stało się to już jakiś czas temu. Krok po kroku, jak algorytm, tak i nie, nie i tak. Coraz głębiej w las.

Co dziesięć metrów przystawali i nasłuchiwali, filtrując normalne dźwięki otoczenia, szukając w nich nieprawidłowości. Nie znaleźli niczego na pierwszym przystanku ani na drugim i trzecim, lecz gdy zatrzymali się po raz trzeci, Reacher odniósł wrażenie, że wyczuwa w pobliżu wstrzymywany oddech, pełną napięcia wibrację, którą pierwotna część jego umysłu przypisała drapieżnikowi lub ofierze, co w obu wypadkach wydawało się godne uwagi. Sto pokoleń, wszystkie przetrwały. Potem usłyszał przytłumiony dźwięk – coś jak kliknięcie i cichy warkot, trzask mechanicznej zapadki – dochodzący z wnętrza zamkniętej przestrzeni. Jak odgłosy aparatu fotograficznego, ale nie do końca. Elektroniczna imitacja tych dźwięków, uogólniona i nieprecyzyjna.

Ktoś robił zdjęcia telefonem komórkowym.

I jeszcze raz.

Reacher ruszył naprzód, trzymając się z dala od pnączy, przeciskając między drzewami, aż nagle zobaczył Henry'ego i Suzanne. Stali ramię przy ramieniu, zaledwie trzy metry dalej, patrzyli w dół i robili zdjęcia obiektowi leżącemu na ziemi. *Coś co nie wydziela ciepła i jest zbyt małe, by pokazać się na radarze.* Wszystko się zgadzało.

• • •

Był to martwy człowiek, ciemnoskóry mężczyzna, drobny i wychudzony, ubrany w pomarańczowy więzienny uniform. Leżał na plecach, jego szyja i kończyny wyginały się pod nienaturalnymi kątami. Wydawało się, że jego ciało jest zadziwiająco miękkie, niemal płynne, jakby jego kości roztrzaskały się na drobne kawałki, a organy wewnętrzne zostały zmiażdżone.

– Wypadł z samolotu – orzekł Reacher. – Przez drzwi. Z bardzo dużej wysokości. Po drodze stracił przytomność, bo zabrakło mu tlenu, a może dostał zawału z zimna, ale tak czy inaczej spadał bezwładnie jak szmaciana lalka, przebił się przez korony drzew i uderzył o ziemię. Z pewnością zginął natychmiast. Gałęzie wróciły na miejsce, więc z góry nie było go widać, a ciało szybko wystygło i przybrało temperaturę otoczenia, dlatego nie mogły go też wykryć kamery termiczne. Z kolei na ekranie radaru wyglądał jak gruby korzeń albo sterta połamanych gałęzi.

– Mam nadzieję, że dostał zawału – powiedziała Suzanne.

– Pozostaje pytanie, czy wyskoczył, czy też go wypchnięto – zastanawiał się głośno Reacher.

– Wyskoczył.

– Kto to jest?

– To obywatel Kanady. Miał spaść na Toronto. Ale nie trafił.

– A kim ty jesteś?

– Innym obywatelem Kanady.

– Dla kogo są te zdjęcia.

– Dla jego rodziny.

– Kim on jest? – powtórzył pytanie Reacher.

– Staram się widzieć obie strony – odpowiedziała Suzanne. – Zrobiłabym wszystko, żeby powstrzymać następny atak, ale to, co się teraz dzieje, to szaleństwo. Przewożą tych ludzi samolotami z Guantanamo do Egiptu i Syrii, gdzie dają im porządną wycisk. Po jakimś czasie ci, którzy przeżyli, muszą wrócić, bo Egipcjanie i Syryjczycy nie mogą trzymać ich u siebie bez końca, ale wy też ich nie chcecie. Bo co z nimi zrobicie? Guantanamo jest zawsze pełne, a nie możecie przecież powiedzieć, że nic się nie stało, i puścić ich wolno, ponieważ oni mają bardzo ciekawe rzeczy do opowiedzenia.

– Więc co się z nimi dzieje? I powiedz mi, skąd to wiesz.

– Istnieje pewna strona dla ludzi, którzy nie chcą się na to godzić, ukryta głęboko w sieci. Ustalono pewne fakty. Wasze załogi naziemne obchodzą pewne zabezpieczenia, dzięki czemu podczas lotu można otworzyć w samolocie drzwi, przy małej prędkości i na niewielkiej wysokości, głównie daleko nad północną częścią Atlantyku, gdzie radary niewiele widzą. Schodzą więc nisko i otwierają właz. Tak się ich pozbywają. Problem rozwiązany.

– Więc?

– Więc wieści się rozchodzą, a ten facet wie, że albo zginie podczas tortur, albo wyrzucą go z samolotu w drodze powrotnej. Nie ma szans na szczęśliwe zakończenie. Postanawia więc wyskoczyć podczas pierwszego lotu, zaskoczyć ich. Gdzieś nad Toronto. Żeby pokazać to światu. Dziennikarze, oburzona prasa zagraniczna, szanse na naciski z zewnątrz.

Reacher skinął głową. *Jak palec w tyłku Kanady*. Toronto było niedaleko stąd.

– Co się stało? – spytał.

– Drobną pomyłką. Ci ludzie mają dostęp do informacji i ekspertów z różnych dziedzin. Znają trasę, która nigdy się nie zmienia, wiedzą, kiedy samolot przelatuje nad określonymi miejscami. Pozostaje tylko odliczyć minuty w głowie i wyskoczyć w odpowiednim momencie. Ale takie odliczanie nie może być precyzyjne. Choć ćwiczył to od miesięcy. Poza tym kierunek i siła wiatru też mają pewnie spore znaczenie. Drobne błędy składają się na jeden duży.

– Dla kogo są te zdjęcia? – spytał ponownie Reacher.

– Dla jego rodziny. Nic więcej nie możemy zrobić. Nie ma żadnej dokumentacji. Natychmiast wszystkiemu by zaprzeczyli, fachowo i przekonująco. Powiedzieliby, że to fotomontaż. Dziwne zielone światło, trochę ziarnisty obraz. Zagraniczni radykałowie ze sklepem rowerowym. Wyciszyliby wszystko w ciągu jednego dnia.

– W Toronto wyglądałoby to inaczej?

– Tak uważali. Miasta i przedmieścia są inne. Mnóstwo świadków, policja, telewizja. Nie tak łatwo zatuszować sprawę. Uważali, że to może być przełomowy moment.

– Sporo wiesz o tym, co i jak myślą ci ludzie.

– Staram się poznać sposób myślenia każdego człowieka. To klucz do zrozumienia. Nie twierdzę, że ten tutaj był niewinnym przyjemniaczkiem. To oprych, rodem prosto ze średniowiecza. Okrutny zabójca. Cieszyłam się, że wyskakuje z samolotu. Ale powiedział im już wszystko, co wiedział, a oni i tak go tam wysyłali. Z przyzwyczajenia. To szaleństwo.

– Skąd wiedzieliście, gdzie go szukać?

– Analiza ekspertów.

– Dlaczego wy?

– Byliśmy najbliżej.

– Spośród ilu innych kandydatów?

– Wielu.

– Łącznie z Helen?

– Oczywiście – odpowiedziała Helen.

– To ona zaproponowała, żeby cię zabrać i tu przywieźć – dodał Henry. – Dzięki temu mamy amerykańskiego świadka. Widziałeś to. Co się zobaczyło, tego się nie „odzobaczy”.

– Musimy wrócić do Naismith – rzucił Reacher.

•••

Nie uszli jednak daleko. Nie wszyscy razem. Wracali do szlaku tą samą drogą, którą przyszli, co dzięki śladom pozostawionym przez Reachera nie było trudne. W odległości około trzydziestu kroków od ścieżki usłyszał jakieś głosy i dostrzegł ruch między drzewami. Podniósł rękę w ostrzegawczym geście, a Suzanne, Helen i Henry natychmiast zastygli w bezruchu. Podkraść się sam do przodu, pochylając się nisko i spoglądając między gałęzie.

Czterej mężczyźni w mundurach bojowych. Jednym z nich był sierżant Kain. Wszyscy patrzyli na plecaki. Starannie ustawione. Jeden oparty o drugi.

Reacher wycofał się ostrożnie, a kiedy wszyscy czworo przykucnęli i pochyli się ku sobie, wyszeptał:

– Odejdźcie w las jeszcze o jakieś sto metrów. Zróbcie pętlę, wróćcie do ścieżki na południe od nich, a potem drałujcie co sił w nogach. Wskoczcie do furgonetki i jedźcie prosto do domu. Powodzenia. Nie wracajcie tu nigdy więcej.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym trójka młodych ludzi ruszyła w drogę. Reacher odczekał trzy minuty i skierował się ku żołnierzom, starając się robić przy tym jak najwięcej hałasu, łamiąc gałęzie i szeleszcząc liśćmi przy każdej okazji. Usłyszeli go z odległości dziesięciu metrów i jak jeden mąż odwrócili się do niego, podnosząc M16. Usłyszał cztery ciche trzaski czterech odbezpieczanych karabinów. Czysty, ostry dźwięk, realny i dobitny, nie jak kiepska imitacja migawki aparatu.

– Karabiny nie nadają się do walki w lesie, sierżancie Kain – powiedział Reacher. – Możecie sobie celować, ile chcecie, ale zawsze po drodze będą drzewa. To wasz pierwszy błąd. Miejmy nadzieję, że również ostatni.

– Czy ci ludzie są z panem?! – zawołał Kain.

– Jacy ludzie?

– Szpiedzy.

– To byli turyści z Kanady. Nie widziałem ich od rana.

– Nie wierzę panu.

– Proszę odpuścić, sierżancie. Dobrze to rozegrać. Nie dostaniecie za to medalu. Jutro rano się okaże, że nic się właściwie nie wydarzyło.

– Mogli widzieć dowody tajnej operacji.

– Widzieli to, co mieli zobaczyć.

– Co to ma oznaczać? – spytał Kain.

– To tak jak z magikiem, który występuje na scenie. Ostentacyjny gest lewą ręką, który przyciąga uwagę publiczności, podczas gdy prawa ręka robi to, co naprawdę ważne. Na świecie jest mnóstwo aktywistów, sierżancie Kain. Nie pozbędziemy się ich. Zawsze będą szukać jakichś powodów do złości

i narzekania. Więc dajmy im coś. Ostentacyjny gest lewą ręką. Coś, czym będą mogli się podniecać. Ale nie za bardzo, bo kogo właściwie obchodzą okrutni zabójcy rodem ze średniowiecza? A w tym czasie prawa ręka spokojnie robi to, co do niej należy. Klasyczny manewr mylący.

– Kim pan jest?

– Kiedyś służyłem w żandarmerii. Byłem szefem szefa waszego szefa. A mój brat służył przez jakiś czas w wywiadzie wojskowym. Poznałem paru jego kolegów. To bardzo sprytni ludzie, sierżancie. Był tam taki starszy facet, niejaki O'Day. Mogę się założyć, że to jego pomysł. Setki ludzi, tajna strona internetowa, spiski i przygotowania. To pochłania mnóstwo energii. Jak gąbka. Dzięki temu zostają tam, gdzie możemy ich obserwować.

Milczenie.

– Opuśćcie, sierżancie – powtórzył Reacher. – Grajcie swoją rolę, czyli róbcie groźne wrażenie przy swoich humvee. Nikt wam nie podziękuje, jeśli się zanadto wychylicie i spieprzycie sprawę. Takie rzeczy wymagają starannego planowania i realizacji.

Cofnął się o krok i zamilkł, pozwalając, by myśl o zaprzepaszczonej karierze zaszczipiona w głowie Kaina zrobiła swoje. Po chwili sierżant wydał rozkaz i wszyscy czterej żołnierze ruszyli truchtem w kierunku, z którego przybyli. Reacher odczekał kolejne pięć minut i ruszył ich śladem. Na wszelki wypadek ostatnie sto metrów przeszedł przez las, do równoległej ulicy. Dwie minuty później stał już przy drewnianej tablicy powitalnej i czekał na samochód, który wywiezie go z osady.

WIGILIJNE TRADYCJE

Zaczął się w mroźną wigilię Bożego Narodzenia w Nowym Jorku, dokładnie w barze przy Bleecker Street, w West Village. Jack Reacher, otulony płaszczem z wysokim kołnierzem, właśnie tamtędy przechodził, gdy z wnętrza dobiegły go interesujące rytmy. Wszedł do ciepłego, wypełnionego muzyką wnętrza, w którym zobaczył saksofonistę i dwóch towarzyszących mu muzyków, którzy występowali na scenie wielkości skrzynki na pomarańcze. Co istotniejsze, zobaczył tam samotną blondynkę siedzącą przy stole dla dwojga. Słuchała muzyki. Okazało się, że pochodzi z Holandii. Miała około trzydziestu lat i ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Przerwę w występie zespołu wykorzystali na rozmowę. Mówiła świetnie po angielsku.

Pracowała jako stewardesa dla holenderskich linii lotniczych KLM. Powiedziała, że nie może zostać zbyt długo. Właściwie musiała wyjść dokładnie za dwadzieścia minut, by wsiąść do autobusu dla załogi. Obsługiwała nocny lot do Amsterdamu.

Porozmawiali jeszcze trochę, a dokładnie po dwudziestu minutach kobieta poprosiła go, by z nią poleciał. Do Amsterdamu. Za darmo. Miała darmowy bilet, bonus dla pracowników. Była Wigilia. Na pewno znajdą się wolne miejsca.

Reacher się zgodził. Nie wybierał się do żadnego konkretnego miejsca, nie miał żadnych konkretnych planów. Wigilia w Amsterdamie brzmiała nieźle. W jednej kieszeni miał paszport, w drugiej składaną szczoteczkę i kartę bankomatową, a w trzeciej zwitek banknotów. Wszystko, czego potrzebował. Jak zawsze, gotów był do drogi.

Gdy dojechali do lotniska, kobieta została wezwana na nadzwyczajną odprawę przed lotem. Właściwie wtedy widział ją po raz ostatni.

•••

Okazało się, że plany linii lotniczych pokrzyżowała śnieżycą, która miała przetoczyć się nad Wielką Brytanią, a potem przesunąć nad wybrzeże Europy. Także nad Amsterdam. Tylko że jeszcze nie teraz. Samolot KLM prawdopodobnie zdążyłby wylądować w Holandii. Ale nie zdążył. Śnieżycą niespodziewanie przyspieszyła. Przykryła całą wielką Brytanię i parła dalej, podczas gdy samolot lecący nad Atlantykiem przekroczył już pewien punkt i nie mógł zawrócić. Komputery wskazywały, że front burzowy będzie miał największą siłę właśnie nad Schiphol, amsterdamskim portem lotniczym. Samolot musiał zboczyć z kursu i wylądować tam, gdzie pas startowy został już przysypany śniegiem

i odśnieżony. Najdogodniejsze okazało się lotnisko w Stansted, w angielskim hrabstwie Essex. Reacher widział z daleka swoją nową przyjaciółkę, bardzo czymś zajęta. O zmianach w locie poinformowała go inna stewardesa. Powiedziała też, że jego przyjaciółka bardzo przeprasza, ale musi zostać z samolotem. Reacher miał spędzić Boże Narodzenie sam.

Wyszedł z terminalu Stansted przed szóstą rano w pierwszy dzień świąt. Było jeszcze całkiem ciemno. Na postoju stała tylko jedna taksówka. Kierowca nosił turban. Reacher spytał, jak nazywają się najbliższe miejscowości. Facet odparł, że miasteczko Harlow w jednym kierunku, miasteczko Chelmsford w drugim oraz, dwa razy dalej na północ, Cambridge.

– Cambridge – powtórzył Reacher. Był tam w interesach, kiedy jeszcze pracował w wojsku. Mieli tam ładny uniwersytet. I bazy lotnicze w pobliżu, co mogło się okazać przydatne. Jego bilet z KLM obowiązywał tylko w jedną stronę. Anglia była pięknym krajem, ale nie mógł tkwić w jednym miejscu bez końca.

– Drogi są w bardzo kiepskim stanie, proszę pana – powiedział kierowca. – Nie dojedziemy do Cambridge.

– Ile śniegu?

– Miejscami ponad pół metra.

– Jakoś tu dziś dotarłeś – zauważył Reacher. – Spróbujemy dojechać do Cambridge.

Ruszyli w drogę i przez pierwsze trzydzieści kilometrów szło im całkiem nieźle. Aż znaleźli się na całkowitym odludziu. Tu opuściło ich szczęście. Wiatr nawiał na jezdnię i murki wielkie zasy śniegu, pod którymi trudno było wypatrzeć choćby zarys drogi.

– Zawracam – oznajmił kierowca.

Wciąż było ciemno. Zewsząd otaczał ich śnieg. W oddali błyszczało światło. Dom – może ktoś zostawił włączoną lampę w pokoju na piętrze. Jakieś trzy kilometry dalej. Sam pośród pól. Wiejska rezydencja.

– Możesz mnie tu wysadzić – powiedział Reacher.

– Żartuje sobie pan?

– Nie lubię zawracać. Wolę iść naprzód. Z zasady.

– Żaden samochód tędy nie przejedzie. Utknie pan tutaj na cały dzień. Zamarznie pan na śmierć.

– Mogę iść na piechotę. Tam jest jakaś rezydencja. Zapukam do kuchennych drzwi. Może mają jakąś tradycję bożonarodzeniową i poczęstują mnie kolacją w pomieszczeniach dla służby. A przynajmniej filiżanką kawy.

– Mówi pan poważnie?

– Kto nie ryzykuje, ten nie ma.

Więc w końcu taksówka odjechała, zostawiając Reachera samego na pustkowiu. Przez moment stał w ciemnościach, a potem ruszył w drogę. Brnął w głębokim po kolana śniegu, czasem zamarzniętym, a czasem sypkim jak pył, który otaczał go małymi obłoczkami. Wiał lodowaty wiatr, który niósł ze sobą drobiny śniegu. Reacher odszukał jezdnię i postanowił się jej trzymać. Wkrótce przekonał się, że prowadzi do przyprószonego śniegiem wysokiego muru

okalającego rezydencję. Ciągająca się kilkaset metrów wzdłuż ogrodzenia droga kończyła się przy zdobionej żelaznej bramie, zawieszanej między kolumnami zwieńczonymi kamiennymi posągami lwów. Albo jakichś mitycznych bestii. Po ciemku trudno było to rozstrzygnąć.

Reacher parł dalej, krok po kroku, aż dotarł do otwartej, jak się okazało, bramy. Dalej zaczynał się długi podjazd pokryty nienaruszoną warstwą śniegu, prowadzący między nagimi drzewami prosto do domu. Jakieś sto metrów, może trochę więcej. Żadnych śladów stóp ani opon. Reacher miał być pierwszym gościem tego dnia.

Na bramie, splecione z innymi wzorami, widniały spawane żeliwne słowa, *Trout* na lewym skrzydle, a *Hall* na prawym. Nazwa rezydencji. W oknach frontowych widać było więcej świateł. Żółtawe żarówki na górze i migoczące czerwono-zielone lampki na dole. Ozdoby bożonarodzeniowe płonące przez całą noc.

Ruszył podjazdem, unosząc wysoko nogi i stawiając niezgrabne, długie kroki. Przy każdym czuł pod stopami żwir ukryty pod śniegiem. Był głodny. Miał nadzieję, że kucharz będzie w dobrym humorze. Nie należało jednak brać tego za pewnik. Widział telewizyjne programy o wiejskich rezydencjach w Wielkiej Brytanii. Czasami kucharze nie reagowali dobrze na niespodzianki.

Dotarł w końcu do domu. Był to duży stary budynek z kamienia. Drzwi kuchenne znajdowały się zapewne po drugiej stronie, więc trzeba było do nich dojść, znów brnąc przez głęboki śnieg. A drzwi były tuż przed nim, w dodatku wisiała przy nich żelazna rączka dzwonka.

Gdy za nią pociągnął, z głębi domu dobiegł donośny głos dzwonka, a potem pospieszne kroki. Kilka sekund później drzwi stanęły otworem. Wyjrzała zza nich kobieta. Na oko koło pięćdziesiątki. Bogata. Była w eleganckiej czarnej sukni. Wyglądała tak, jakby nie spała przez całą noc. I jakby była trudną osobą.

– Bogu dzięki – westchnęła. – Jest pan lekarzem czy policjantem?

– Ani jednym, ani drugim – odparł Reacher.

– Więc kim pan jest?

– Moja taksówka zawróciła z powodu śniegu. Miałem nadzieję, że dostanę tu filiżankę kawy.

– Taksówka? Dokąd?

– Do Cambridge.

– Niemożliwe.

– Na to wygląda. A przy okazji, wesołych świąt.

Kobieta wpatrywała się w niego w milczeniu. Czas podjąć decyzję. Na pierwszy rzut oka nie sprawiał wrażenia idealnego gościa. Był wysoki, potężnie zbudowany, niezbyt przystojny i niezbyt dobrze ubrany.

– Widział pan gdzieś po drodze lekarza albo policjanta? – spytała w końcu kobieta.

– Nie widziałem nikogo. Macie państwo jakiś problem?

– Chyba lepiej będzie, jak pan wejdzie.

Wycofała się w głąb domu, a Reacher przeszedł za nią do holu wielkości boiska do koszykówki. Stała tam choinka o wysokości co najmniej trzech metrów, a obok znajdowały się schody, które miały co najmniej trzy metry szerokości.

– Na pewno nie jest pan policjantem?

– Kiedyś byłem kimś w tym rodzaju. Pracowałem w żandarmerii wojskowej. Ale już się tym nie zajmuję.

– W naszej armii?

– W amerykańskiej.

– Powinam pana przedstawić pułkownikowi. Mojemu mężowi.

– Do czego wam potrzebny policjant? I lekarz?

– Bo ktoś ukradł mój naszyjnik z brylantem, a moja pasierbica rodzi na górze dziecko.

– Sama?

– Jest Boże Narodzenie. Służba wyjechała wczoraj przed śnieżycą. Nikogo tu nie ma.

– Prócz pani i pułkownika.

– Nie mam pojęcia, co robić z niemowlętami. Nigdy nie miałam dzieci. Jestem tylko jej macochą. Prawie godzinę temu dzwoniłam po jej lekarza. I od razu na policję. Myślałam, że pan to przynajmniej jeden z nich.

Po szerokich schodach schodził mężczyzna, trzymając się poręczy i powłócząc nogami. Miał na sobie strój wieczorowy, nie licząc rdzawoczerwonych kapci. Zszedł na parter, wyprostował się i spytał:

– Kim pan jest?

Reacher podał swoje nazwisko i opowiedział pokrótce, co go tu przywiodło. Mężczyzna również się przedstawił, podając stopień pułkownika. Reacher oznajmił, że w takich okolicznościach nie może nadużywać ich gościnności i że natychmiast sobie pójdzie.

– Pan Reacher służył kiedyś w żandarmerii wojskowej – powiedziała kobieta.

– W naszej armii? – spytał pułkownik.

– W armii wuja Sama – wyjaśnił Reacher. – W kilku różnych jednostkach.

– Wolałbym, żeby był pan lekarzem wojskowym.

– A w czym problem?

– To jej pierwsze dziecko, poród zaczął się przed terminem, a nie mamy pomocy lekarskiej. Pewnie przez kłopoty z dojazdem.

– Czy lekarz dobrze zna pana córkę?

– To lekarka. Tak, prowadzi ją od lat. Na pewno się postara.

– Więc pewnie rzeczywiście gdzieś utknęła – przyznał Reacher. – Może próbowała przejść kilka ostatnich kilometrów na piechotę, jak ja. To właściwie jedyny sposób.

– Zamarznie na śmierć. Co powinniśmy zrobić?

Reacher spojrział na okno.

– Powinniśmy poczekać piętnaście minut. Aż zrobi się trochę jaśniej. Potem obejrzymy okolicę z okna na górze. Najlepiej przez lornetkę, jeśli ją państwo

macie. Powinniśmy wypatrywać urywających się śladów prowadzących w tę stronę.

– Na pewno przechodził pan jakieś szkolenia medyczne – powiedział pułkownik. – Nasza żandarmeria ma ich całkiem sporo.

– Nasze nie obejmowały odbierania porodu. Założę się, że wasze też.

– Ja nie mogę tam pójść – oznajmiła pani domu. – To byłoby niestosowne.

• • •

Piętnaście minut później było już na tyle jasno, że widzieli wszystkie detale krajobrazu na przestrzeni paru kilometrów. Zaczęli od okna pułkownika, wychodzącego na zachód. Nie znaleźli niczego ciekawego. Żadnego porzuconego samochodu ani śladów, które zniknęłyby gdzieś pod śniegiem.

Przeszli do okna w holu na piętrze, skąd rozciągał się widok na północ. Tutaj okolica wyglądała podobnie. Nocny wiatr wypolerował powierzchnię śniegu, której nie kalają żadne ślady czy wgłębienia.

To samo zobaczyli na południu. Dziewicza, nienaruszona gładź śniegu.

Sytuacja przedstawiała się inaczej na wschodzie. Jedynym miejscem, z którego rozciągał się widok na tę część okolicy, był pokój służący za salę porodową. Albo za oddział położniczy. Czy jak kto wolał go nazywać. Byle nie OIOM. Pułkownik nie chciał tam wejść. Powiedział, że to nie wypada. Jego żona już wcześniej wyraziła swoją opinię na ten temat.

Reacher zapukał więc uprzejmie, usłyszał przytłumione „Proszę wejść” i otworzył drzwi. Idąc przez pokój, patrzył prosto przed siebie i wyjaśniał całą sytuację. Kiedy podniósł lornetkę do oczu, zobaczył własne ślady prowadzące łagodnym łukiem od prawej, wzdłuż muru i przez bramę.

Ale dostrzegł również inne odciski stóp. Zmierzające z przeciwnego kierunku. Zaczynały się mniej więcej w tym samym miejscu co jego ślady, również zataczały łuk, ale potem nagle, niedaleko muru, zniknęły całkowicie.

– Znalazł pan ją? – doszło go pytanie od łóżka.

– Chyba tak – odparł.

– Proszę na mnie spojrzeć.

Zrobił to. Zaczerwieniona brunetka wiała się z bólu, okryta po samą brodę kołdrą.

– Proszę iść ją uratować – powiedziała. – I przyprowadzić do mnie. Nie poradzę sobie sama.

– Jestem pewien, że pani macocha by tu przysłała, gdyby pani naprawdę tego chciała.

– Nie ona. To jej wina. Zobaczyłam, że włożyła naszyjnik z brylantem. Należał do mojej mamy. Wściekłam się i zaczęłam rodzić. Teraz potrzebuję pomocy.

Reacher skinął głową i wrócił na korytarz. Pozostali zeszli za nim na dół.

– Proszę przygotować gorącą wodę i koce – poleciał. – Lekarka może tam leżeć od dłuższego czasu.

Potem ruszył w drogę. Przeszedł po podjeździe, wykorzystując własne ślady i znów stawiając nienaturalnie duże kroki. Za bramą skręcił w przeciwnym kierunku, zataczając symetryczny łuk, rozglądając się uważnie, zmagając z wiatrem, przedzierając przez nienaruszony śnieg. Początkowo niczego nie mógł wypatrzeć, potem zobaczył jakiś cień, który przybrał postać dołu, a za nim ślady lekarki.

A właściwie ślady dwóch osób.

Duży dół.

Reacher podszedł bliżej. Zobaczył dwoje ludzi leżących w śniegu. Kobieta w parce i policjanta w żółtej policyjnej kurtce. Oboje trzęśli się z zimna i mieli zamknięte oczy. Reacher odtoczył policjanta na bok i podniósł kobietę do pozycji siedzącej. Otworzyła oczy. Policjant usiadł prosto o własnych siłach.

– Jak długo tu jesteście? – spytał go Reacher.

Anglik zerknął na zegarek.

– Ja od jakichś dwóch godzin. Znalazłem jej samochód i poszedłem po jej śladach. Nie uszedłem daleko. – Z trudem wyrzucał z siebie kolejne słowa, szcękając z zimna zębami. Z jego ust buchały kłęby pary.

Kobieta była bardzo zziębnięta.

– Gdzie jest twój radiowóz? – spytał policjanta Reacher. – Daleko stąd?

– Dalej niż dom.

– Więc wybór jest prosty. Ja ją poniosę, a ty weź jej torbę.

– Po co ona w ogóle tu przyjechała? Myślałem, że zaginęła brylant. Ktoś jest ranny?

– Córnka właściciela domu rodzi, sama. A naszyjnik nie zginął. Ale tym zajmujemy się później.

– Kim pan jest?

– Przechodziłem w pobliżu. Pomyślałem, że może poczęstują mnie filiżanką kawy. Albo nawet kolacją wigilijną.

– Dlaczego mieliby to robić?

– Myślałem, że może mają taką tradycję.

– I co powiedzieli?

– Byli zbyt zajęci – odparł Reacher i wziął kobietę na ręce. Wstał, odwrócił się i ruszył w drogę powrotną do domu. Policjant włókł się za nim. Był dużo niższy i nie mógł korzystać z pozostawianych przez niego śladów, więc posuwał się wolniej. Reacher mocno parł do przodu, starając się jak najmocniej rozgrzać i przekazać ciepło swego ciała lekarce, którą przyciskał do piersi. Kobieta powoli odzyskiwała przytomność. Gdy w końcu doszła do siebie, zaczęła się wyrywać, przerażona.

– Jesteśmy w drodze – wydyszał Reacher. – Ona na panią czeka.

– Która jest godzina?

– Jakies trzy godziny później, niż pani zakładała.

– Kim pan jest?

– To długa historia. Zaczyna się od pewnej Holenderki. Ale na razie to nieważne.

- Zaczęły się już skurcze?
- Chyba niezbyt mocne. Na razie nie krzyczy z bólu. Ale jest całkiem sama.
- Jej macocha ma fobię. Chyba jakieś przykre doświadczenia z przeszłości.
- Mówiła, że nie miała dzieci.
- Tacy ludzie zwykle nie mają dzieci.

Reacher skręcił za bramę, zachwiał się na moment i rozpoczął ostatni odcinek wędrówki, w górę podjazdu, człapiąc z jednego starego śladu do drugiego. Policjant, sapiąc i dysząc, szedł jakieś dwadzieścia kroków za nim. Gdy dotarli do drzwi, natychmiast się przed nimi otworzyły, wpuszczając ich pod lawinę gorących ręczników i rozgrzanych koców. W końcu lekarka uznała, że jest już w pełni sił, i pospieszyła na piętro. Wydawało się, że cały dom ucichł i odsapnął. Pułkownik objął wartę w holu na piętrze; przechadzał się nerwowo w tę i w w tę, w starym stylu. Przyszły dziadek denerwował się najwyraźniej tak samo jak pokolenie wcześniej, gdy miał zostać ojcem.

Przyszła babcia doszła do połowy schodów, trzymając się kurczowo poręczy, po czym stanęła, niezdolna iść dalej. Wciąż jednak patrzyła w górę. Czekala.

Policjant dołączył do Reachera w rogu holu na parterze.

- Teraz proszę mi opowiedzieć o tym brylancie – powiedział.

- To naszyjnik z brylantem – zaczął Reacher. - Należał do pierwszej żony, a nie do drugiej. Choć ci ludzie są bardzo bogaci, brylant był na tyle duży i ciężki, że na pewno zauważyliby jego brak. Macocha nie straciła go więc, gdy poszli na kolację, a na pewno gdzieś byli, bo są w strojach wieczorowych. Kucharz wyjechał wczoraj, zanim spadł śnieg. Córka z nimi nie wychodziła, ale widziała, jak wrócili, bo doszło do wielkiej awantury o naszyjnik, a macocha na pewno go wtedy zdjęła. Potem zaginął, ale z powodu awantury kobieta nie pamiętała, jak ściągała go z szyi, więc doszła do wniosku, że zginął podczas kolacji albo ukradł go szatniarz.

- Więc gdzie teraz jest ten naszyjnik?

- Zabrała go córka. Należał do jej matki. Po części zrobiła to w odruchu obronnym, ale głównie dlatego, że miała sama rodzić dziecko i chciała dodać sobie otuchy, ściskając coś, co należało do jej mamy. Jak talizman na szczęście. Zmarnowali tylko pański czas. Znajdzie pan klejnot w jej dłoni albo pod poduszką.

- Jej dziecko urodzi się w Boże Narodzenie.

- Jak trzysta tysięcy innych dzieci. Nic szczególnego.

- Powinien pan pójść do kuchni. Służba na pewno przygotowała coś do jedzenia na najbliższe dni. Oni i tak dziś nic nie zjedzą. Są zbyt zdenerwowani. Może w końcu dostanie pan swoją kolację wigilijną.

Reacher poszedł za jego radą i zjadł samotnie kolację w kuchni w podziemiach Trout Hall, podczas gdy ludzie na piętrze byli zajęci nerwowym wyczekiwaniem. Potem wyszedł i nigdy się nie dowiedział, czy córka pułkownika urodziła chłopca czy dziewczynkę.

PRZYCHODZI FACET DO BARU

Miała jakieś dziewiętnaście lat. Nie więcej. Może mniej. Towarzystwo ubezpieczeniowe dałoby jej jeszcze sześćdziesiąt lat życia. Moim zdaniem, bardziej prawdopodobne było, że przeżyje najwyżej trzydzieści sześć godzin, a jeśli będzie miała pecha, trzydzieści sześć minut.

Miała jasne włosy i niebieskie oczy, ale nie była Amerykanką. Amerykańskie dziewczęta mają w sobie jakiś blask, jakąś gładkość, która jest produktem wielu pokoleń dostatku. Ta dziewczyna była inna. Jej przodkowie cierpieli nędzę i strach. To dziedzictwo widać było na jej twarzy, w postawie i w ruchach. Miała nieufny wzrok. I szczupłą sylwetkę. Ale to nie była szczupłość, jaką osiąga się przez odpowiednią dietę, ale szczupłość będąca wynikiem darwinowskiej teorii ewolucji, odziedziczona po dziadkach, którzy nie mieli co jeść i głodowali albo zmarli z głodu. Poruszała się w ostrożny, spięty sposób, trochę czujnie i trochę nerwowo, choć starała się stwarzać wrażenie, że bawi się tak dobrze, jak tylko może się bawić ktoś taki jak ona.

Siedziała w barze w Nowym Jorku, popijając piwo i słuchając zespołu, i była zakochana w gitarzyście. To nie ulegało kwestii. Poza nieufnością w jej oczach widniało uwielbienie i przez cały czas skierowane było w jego stronę. Była chyba Rosjanką. Bogatą Rosjanką. Siedziała sama przy stoliku blisko sceny i miała przed sobą plik świeżo wyjętych z bankomatu dwudziestek, którymi płaciła za każdą nową butelkę, nie prosząc o resztę. Kelnerki ją pokochały. Nieco dalej na obitej tapicerką ławce siedział, gapiąc się na nią, wysoki, ogolony na łyso barczysty facet w czarnym garniturze, pod którym miał czarny T-shirt. Prawdopodobnie jej ochroniarz. To między innymi z jego powodu piła piwo w barze, choć miała tylko dziewiętnaście albo jeszcze mniej lat. Nie był to jeden z tych luksusowych lokali, które mają własną politykę co do sprzedawania albo niesprzedawania alkoholu bogatym niepełnoletnim dziewczętom. To była obskurna nora przy Bleecker Street, zatrudniająca chude studentki, które chciały zarobić na chesne, i przypuszczałem, że zerknąwszy na nią i jej goryla, zdecydowały, że lepiej będzie nie wdawać się w korowody i liczyć na suty napiwek.

Obserwowałem ją przez minutę, a potem odwróciłem wzrok. Nazywam się Jack Reacher i jestem byłym żandarmem wojskowym, z naciskiem na „byłym”. Poza wojskiem spędziłem prawie tyle samo czasu co w wojsku. Ale trudno wyzbyć się starych nawyków. Wszedłem do tego baru w taki sam sposób, jak wchodzę wszędzie, to znaczy ostrożnie. O wpół do drugiej nad ranem. Dojechałem metrem linii A do Zachodniej Czwartej Ulicy, ruszyłem na południe Szóstą Aleją, a potem skręciłem w lewo w Bleecker, żeby sprawdzić, co grają. Chciałem posłuchać muzyki, ale nie takiej, która sprawia, że wielu gości wychodzi

na zewnątrz na dymka. Najmniejsza grupka ludzi stała przed lokalem, do którego prowadziły krótkie schodki. Przy krawężniku stał lśniący mercedes z siedzącym za kółkiem kierowcą. Płynąca stamtąd muzyka była stłumiona i przefiltrowana przez ściany, ale usłyszałem zgrabną linię kontrabasu i ostry rytm perkusji. Wspiąłem się więc po schodkach, zapłaciłem pięć dolarów za wstęp i wszedłem do środka.

W lokalu były dwa wyjścia. Jedno, przez które właśnie wszedłem, drugie, jak wskazywał znak, na końcu długiego mrocznego korytarzyka z toaletami. Wąska sala miała mniej więcej trzydzieści metrów długości. Po lewej stronie bar, potem tapicerowane ławki, potem stoliki ustawione w miejscu, które kiedy indziej mogło służyć jako parkiet do tańca. Na końcu scena, na której grał zespół.

Który wyglądał, jakby skompletowano go wskutek pomyłki w agencji talentów. Facet grający na kontrabasie był krępyim starym Murzynem w trzyczęściowym garniturze. Perkusista, wielki czarny gość, który rozsiadł się wygodnie za małym prostym zestawem, mógł być jego wujkiem. Piosenkarz, grający poza tym na harmonijce, był starszy od kontrabasisty, młodszy od perkusisty i większy od jednego i drugiego. Miał mniej więcej sześćdziesiąt lat i posturę świadczącą o tym, że liczy się dla niego wygoda, nie szybkość.

Gitarzysta był zupełnie z innej bajki. Młody, biały i drobny. Mógł mieć jakieś dwadzieścia lat, metr siedemdziesiąt wzrostu i sześćdziesiąt pięć kilo wagi. Miał fikuśną niebieską gitarę podłączoną do fabrycznie nowego wzmacniacza i instrument razem z elektroniką wydawał ostre dźwięki, w których było dużo przestrzeni i pogłosu. Wzmacniacz musiał być ustawiony na maksa. Dawali niewiarygodnie głośno. Miało się wrażenie, jakby powietrze zastygło i nie było już miejsca na więcej dźwięku.

Ale to, co grali, było w porządku. Trzej czarni byli starymi zawodowcami, a biały chłopak znał wszystkie nuty i wiedział, kiedy, jak i w jakiej kolejności je zagrać. Miał czerwony T-shirt, czarne spodnie i białe tenisówki. I bardzo poważny wyraz twarzy. Wyglądał na cudzoziemca. Może też był Rosjaninem.

Przez połowę pierwszej piosenki lustrowałem wzrokiem salę, liczyłem, ile jest w niej osób, sprawdzałem twarze i analizowałem mowę ciała. Trudno wyzbyć się starych nawyków. Siedzący przy jednym ze stolików dwaj faceci trzymali ręce pod blatem. Jeden sprzedawał, drugi kupował, to jasne, a umowę zawarli w ciemno i zatwierdzili ukradkowymi spojrzzeniami. Barmani oszukiwali właściciela, sprzedając sklepowe piwo, które wyjmowali z lodówki turystycznej. Dwie z trzech butelek krajowego piwa były legalne, z barowej chłodziarki, trzecia pochodziła z ich prywatnych zapasów. Dostałem jedną z nich. Mokra etykieta i całkiem spory zarobek. Wziąłem butelkę i usiadłem w rogu, plecami do ściany. Wtedy właśnie zobaczyłem siedzącą samotnie przy stoliku dziewczynę i jej ochroniarza na ławce. Domyśliłem się, że to na nich czeka mercedes. Domyśliłem się też, że jej ojciec jest drugorzędnym oligarchą, milionerem, lecz nie miliarderem, i że załatwił córce czteroletnie studia na Uniwersytecie Nowego Jorku i kartę do bankomatu bez dziennego limitu wypłat.

Raptem dwie osoby na osiemdziesiąt. Nic wielkiego.

Do chwili, gdy zobaczyłem dwóch innych facetów. Młodych, białych, w tanich obcisłych skórzanych kurtkach, z głowami ogolonymi tępymi żyłkami, po których zostały draśnięcia i strupy. Być może kolejni Rosjanie. Niewątpliwie specjaliści od mokrej roboty. Może nie najlepsi w swoim fachu, ale też i nie najgorsi. Siedzieli daleko jeden od drugiego, ale ich spojrzenia koncentrowały się na siedzącej samotnie przy stoliku dziewczynie. Byli spięci, zdeterminowani, do pewnego stopnia podenerwowani. Rozpoznałem oznaki. Wiele razy sam się tak czułem. Zamierzali zaraz wejść do akcji. A zatem dwaj drugorzędni oligarchowie mieli ze sobą na pieńku, i jeden z nich pilnował swojej córki, zatrudniając kierowców i ochroniarzy, a drugi wysłał ludzi, żeby ją porwali. Potem zostaną wysunięte żądania i z rąk do rąk przejdą fortuny albo prawa do wydobycia uranu, ropy, węgla lub gazu.

Biznes w moskiewskim stylu.

Nie zawsze kończący się sukcesem. Porwania mają swoją specyficzną dynamikę i mogą się nie udać na tysiąc różnych sposobów. Ich ofiara ma szansę przeżyć średnio trzydzieści sześć godzin. Niektóre przeżywają, większość nie. Niektóre giną od razu, w pierwszej fazie.

Plik dwudziestek wabił kelnerki jak pszczoły do miodu. A dziewczyna żadnej nie odprawiała z kwitkiem. Zamawiała jedną butelkę po drugiej. A piwo to piwo. Wcześniej czy później musiała pójść do toalety. Prowadził do niej długi i ciemny korytarz, na końcu którego było wyjście na ulicę.

Obserwowałem dziewczynę w jaskrawym odbitym świetle, otoczony ze wszystkich stron łomoczącą i jazgoczącą muzyką. Obserwowali ją dwaj faceci. Obserwował ją jej ochroniarz. A ona obserwowała gitarzystę. Ten był mocno skoncentrowany, zmieniał klucze i akordy, lecz od czasu do czasu unosił głowę i uśmiechał się, przede wszystkim dlatego, że fajnie było występować na scenie, ale również na widok dziewczyny. Pierwszy z tych uśmiechów był nieśmiały, drugi nieco szerszy.

Dziewczyna wstała. Dotknęła udami krawędzi stolika, wysunęła się bokiem i ruszyła w kierunku korytarza na zapleczu. Ja dotarłem tam pierwszy. Muzyka nie była tu ani trochę cichsza. Damska toaleta była w połowie, męska na samym końcu. Oparłem się o ścianę i patrzyłem, jak dziewczyna idzie w moją stronę. Miała na nogach szpilki i obcisłe spodnie i stawiała krótkie precyzyjne kroki. Jeszcze się nie upiła – była Rosjanką. Położyła bladą dłoń na drzwiach toalety, pchnęła je i weszła do środka.

Niecałe dziesięć sekund później w korytarzu pojawili się dwaj faceci. Myślałem, że na nią zaczekają. Nie zrobili tego. Popatrzyli na mnie, jakbym był elementem architektury, i weszli do damskiej toalety. Jeden za drugim. Drzwi zatrzęsnęły się za nimi.

Kapela grała dalej.

Wszedłem w ślad za nimi. Każdy dzień przynosi coś nowego. Nigdy wcześniej nie byłem w damskiej toalecie. Kabiny po prawej, umywalki po lewej. Jasne światło i zapach perfum. Dziewczyna stała przy tylnej ścianie, dwaj faceci naprzeciwko niej, odwrócenie do mnie plecami.

– Hej – powiedziałem, ale mnie nie usłyszeli. Za duży hałas. Złapałem ich za łokcie, jedną ręką jednego, drugą jego kolegę. Obrócili się gotowi do walki, ale po chwili zmienili zdanie. Jestem większy od pełnowymiarowych lodówek, o których marzyli kiedyś u siebie w Rosji. Stali bez ruchu przez sekundę, a potem przecisnęli się obok mnie i wyszli.

Dziewczyna przyjrzała mi się z wyrazem twarzy, którego nie potrafiłem rozszyfrować. Zostawiłem ją, żeby zrobiła to, co miała zrobić, i wróciłem do swojego stolika. Dwaj faceci siedzieli już z powrotem przy swoim. Ochroniarz był kompletnie bierny. Wpatrywał się w scenę. Kapela kończyła grać. Dziewczyna nadal siedziała w toalecie.

Muzyka ucichła. Dwaj faceci wstali i ponownie skierowali się w stronę korytarza. Na sali wszyscy zaczęli wstawać. Podeszedłem do ochroniarza, poklepałem go po ramieniu i pokazałem palcem. Nie zwrócił na mnie uwagi. W ogóle się nie ruszał do momentu, kiedy gitarzysta zaczął schodzić ze sceny. Wtedy wstał i jego ruchy były idealnie zsynchronizowane z ruchami chłopaka. A ja zorientowałem się, że mylnie to wszystko zinterpretowałem. Nie chodziło o rozpuszczoną córkę, ale o rozpuszczonego syna. To tatuś kupił gitarę i wzmacniacz i wynajął innych muzyków. Spełniając marzenie chłopaka. Z dziecinnego pokoju prosto na scenę. To jego kierowca siedział w mercedesie, jego ochroniarz obserwował scenę. A ekipa wysłana przez rywala nie składała się z dwóch, ale z trzech osób. Należała do niej adorująca gitarzystę fanka. Marzenie chłopaka. Klasyczna słodka przynęta. Ostatnia taktyczna odprawa w łazience, a potem wejście do akcji.

Przepchałem się do tyłu i wyszedłem na ulicę jeszcze przed ochroniarzem, dokładnie w momencie, kiedy dziewczyna uściskała chłopaka, obróciła go lekko i pchnęła w stronę dwóch facetów. Uderzyłem pierwszego mocno, drugiego jeszcze mocniej i krew, która trysnęła mu z ust, pobrudziła mi T-shirt. Dwaj faceci legli na ziemi, dziewczyna uciekła i dopiero wtedy pojawił się ochroniarz. Poprosiłem, żeby oddał mi swoją koszulkę. Plamy krwi przyciągają uwagę. Następnie wyszedłem z klubu od frontu. Oczywiście wyborem byłoby pójście w prawo, więc skręciłem w lewo, zszedłem do metra na stacji Lafayette i wsiadłem do przedostatniego wagonu metra linii 6 jadącego na północ. Usiadłem i sprawdziłem twarze. Trudno wyzbyć się starych nawyków.

WSZYSTKIE POKOJE ZAJĘTE

Kiedy Reacher wysiadł z autobusu, sypał śnieg, co w tej części Stanów nie zdarza się często. Było późne popołudnie i paliły się latarnie uliczne. Pogodowa anomalia sprawiła, że ludzie byli jednocześnie podekscytowani i pełni obaw. Na ziemi leżała piętnastocentymetrowa warstwa śniegowej brei i nadal gęsto padało. Niektórych korciło, żeby pójść na sanki albo porzucać się śnieżkami, inni byli przekonani, że zaraz padnie prąd i transport drogowy nie będzie działał przez długie miesiące. Kontekst, pomyślał Reacher. To, co na północy byłoby czymś niewartym wzmianki, tu, na południu, urastało do rozmiarów katastrofy.

Człapiąc po leżącym na chodniku śniegu, dotarł do czegoś, co, jak się domyślał, było porośniętym trawą wzniesieniem. Pełniącym rolę wiejskich błoni, z masztem, na którym wisiała smętnie ścięta lodem amerykańska flaga. Miasto leżało półtora kilometra od międzystanowej autostrady i dobrze o tym wiedziało. Wszędzie były stacje benzynowe, fast foody, zajazdy i motele. Zwykle miejsce postoju, nic więcej, nastawione na zaspokojenie różnych potrzeb podróżnych. Zwłaszcza w taki dzień jak ten. Samochody zaczęły już zjeżdżać z autostrady i rozpryskując błoto, krążyły po śródmieściu. Ludzie szukali miejsca, w którym mogliby spędzić niespodziewaną przerwę w podróży. Jakiegokolwiek noclegu, byle tylko nie zginąć w szalejącej śnieżycy.

Kontekst, pomyślał znowu Reacher. I melodramat. Uznał, że lepiej będzie zarezerwować pokój, zanim panika zmieni się w owczy pęd. Od czasu do czasu widział w telewizji obrazki koczujących przed motelami podróżnych. Nie było dla nich miejsca.

Co przypomniało mu, że jest Wigilia. Dwudziesty czwarty grudnia.

Wybrał najtańsze na oko miejsce, podupadający motel tuż przy stacji Shella, która była dość duża, by mogły na niej tankować osiemnastokołowce. Z dwunastu pokoi zajętych było już dziesięć, co wskazywało, że owczy pęd chyba się zaczął. Ten motel nie mógł być dla nikogo pierwszym wyborem. Z całą pewnością nie przypominał Ritza.

Reacher zapłacił gotówką, dostał klucz i ruszył do pokoju, garbiąc się i kurcząc ramiona, żeby płatki śniegu nie wpadały mu za kołnierz. Przy dziesięciu pokojach stały już zaparkowane samochody, wszystkie przysypane śniegiem i pokryte smugami soli, wszystkie z rejestracją z południa, wszystkie załadowane po brzegi bagażami i pakunkami. Rodziny, domyślił się, które wyjechały na święta, ale ich podróż została przerwana, plany legły w gruzach, prezenty nie trafiły do rąk bliskich.

Otworzył kluczem drzwi i wszedł do pokoju, w którym było wszystko co trzeba: łóżko, łazienka, a nawet krzesło. Strząsnął błoto z butów, usiadł i przez

chwilę patrzył przez zaparowane okno na płatki śniegu wirujące w żółtym świetle lamp sodowych. Przewidywał, że kierowcy będą wpadali w panikę falami. Najpierw jednak zadbają o to, żeby mieć się gdzie przespać, dopiero potem, żeby coś zjeść, dlatego przez następne dwie godziny knajpy nie będą raczej zatłoczone. Włączył lampkę na szafce nocnej i wyciągnął z kieszeni książkę.

• • •

Dziewięćdziesiąt minut później siedział w knajpie i czekał na cheeseburgera. Lokal wypełniał się i obsługa nie nadążała. W pomieszczeniu wyczuwało się nerwową energię. Ludzie dodawali sobie odwagi. Starali się przekonać sami siebie, że przeżywają coś na kształt przygody. W końcu podano mu jego danie i zaczął jeść. Lokal był coraz bardziej zatłoczony. Ludzie wchodzili i stawali po prostu w miejscu z niewyraźnymi minami. Zdał sobie sprawę, że motele są pełne. Nie można już było wynająć pokoi. Ludzie wbijali wzrok w podłogę. Jak na obrazkach z wiadomości telewizyjnych. Reacher zamówił placek brzoskwiinowy i czarną kawę i rozsiadł się wygodniej, żeby na nie poczekać.

Wrócił do motelu późnym wieczorem. Śnieg nadal padał, ale nie tak intensywnie. Jutro pogoda powinna się poprawić. Skręcił przy recepcji i gwałtownie się zatrzymał, żeby nie wpaść na kobietę w zaawansowanej ciąży. Była z facetem i płakała, przestępując bezradnie z nogi na nogę.

Obok stał samochód z pracującym silnikiem, wiekowe trzydrzwiowe auto, przysypane śniegiem i pokryte smugami soli, załadowane po brzegi bagażami i pakunkami. Nie było dla nich pokoju.

– Wszystko w porządku? – zapytał Reacher.

Mężczyzna się nie odezwał.

– Niekoniecznie – odparła kobieta.

– Nie możecie dostać noclegu?

– Wszystkie hotele są pełne.

– Powinniście ruszyć dalej. Pogoda się poprawia.

– To ja kazałam mu zjechać z autostrady. Bałam się.

– Więc jaki macie plan?

Kobieta nie odpowiedziała.

– Prześpijmy się chyba w samochodzie – odparł mężczyzna.

– Zamarzniecie.

– A jaki mamy wybór?

– Kiedy poród? – zapytał Reacher.

– Niedługo.

– Zamienię się z wami – powiedział.

– To znaczy?

– Ja prześpię się w waszym samochodzie, a wy w moim pokoju.

– Nie możemy się na to zgodzić.

– Spałem już wcześniej w samochodach. Ale nigdy w ciąży. Domyślam się, że to nie byłoby łatwe.

Ani facet, ani kobieta się nie odezwali. Reacher wyjął z kieszeni klucz.

– Decyzja należy do was – powiedział.

– Zamarznie pan – mruknęła kobieta.

– Nic mi nie będzie.

Stali tak jeszcze przez minutę, przestępując z nogi na nogę na mrozie, lecz w końcu kobieta wzięła od niego klucz i oboje ruszyli nieśmiało do pokoju, trochę zawstydzeni, lecz w gruncie rzeczy bardzo szczęśliwi; pragnęli obejrzeć się przez ramię i jednocześnie się przed tym wzbraniali. Dopiero gdy Reacher złożył im życzenia świąteczne, odwrócili się i życzyli mu tego samego. A potem weszli do środka, a on odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę.

Nie przespał się w ich samochodzie. Poszedł na stację Shella i znalazł tam faceta z cysterną, w której było piętnaście tysięcy litrów mleka. Z datą przydatności do spożycia. A pogoda się poprawiała. Facet nie bał się zaryzykować, więc Reacher zabrał się razem z nim.

NOCNE JASTRZĘBIE

Jack Reacher wysiadł z pociągu metra linii R i przeszedł do najbliższych schodów, które, jak się okazało, zablokowano taśmą policyjną. Biało-niebieski pasek zawieszony między przeciwległymi poręczami kołysał się lekko w przeciagu, a umieszczony na nim napis ostrzegał: *Policja Nie wchodzić*. Czego Reacher zasadniczo i tak nie chciał robić. Chciał wyjść. Ale żeby wyjść, musiał wejść na schody. Co stwarzało pewien problem lingwistyczny. W tej sytuacji w pełni rozumiał niemoc policjantów. Po prostu nie mieli różnych taśm przeznaczonych na różne okazje. Nie mogli wywiesić tu paska z napisem *Policja Nie wchodzić, żeby wyjść*.

Zawrócił i przeszedł przez połowę długości peronu, do następnych schodów. Które również przegrodzone były taśmą. *Policja Nie wchodzić*. Biało-niebieski pasek rozkołysany podmuchem powietrza, który zostawił za sobą odjeżdżający pociąg. Dziwne. Reacher przypuszczał dotąd, że pierwsze schody zostały w jakiś sposób uszkodzone i stwarzały zagrożenie dla pieszych – może od sufitu oderwał się kawałek betonu, może odkształciła się krawędź któregoś ze stopni, może stało się coś jeszcze innego, co utrudniało korzystanie z tej klatki schodowej. Ale nie oba wyjścia. Nie oba naraz. Bo i jakie było prawdopodobieństwo takiego zbiegu okoliczności? Więc może coś się stało z chodnikiem na górze. Na całej długości ulicy między wyjściami. Może wypadek samochodowy. Może rozbity autobus. Albo ktoś wyskoczył z okna pobliskiego budynku. Albo doszło do strzelaniny. Lub do wybuchu bomby. Może chodnik był śliski od krwi i usiany strzępami ludzkich ciał. Czy kawałkami samochodów. Albo jednym i drugim.

Reacher odwrócił się od schodów i spojrzał na peron po drugiej stronie torów. Schody naprzeciwko również były przegrodzone taśmą. I następne. I jeszcze następne. Wszystkie wyjścia zablokowano policyjną wstęgą. Biało-niebieską, z napisem *Policja. Nie wchodzić*. Teoretycznie Reacher nie mógł się wydostać na powierzchnię. Co stwarzało pewien problem. Broadway Local była całkiem przyzwoitą, zadbaną linią, stacja przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy nie odbiegała od niej standardem, a Reacher wiele razy sypiał już w znacznie gorszych miejscach, ale tego dnia miał pewne sprawy do załatwienia i mało czasu, by się nimi zająć.

Wrócił do pierwszego wyjścia i przeszedł pod taśmą policyjną.

Ostrożnie wchodził na schody, rozglądał się, patrzył w dół, do przodu i – ze szczególną uwagą – w górę, ale nie dostrzegł niczego, co mogłoby tłumaczyć interwencję policji. Żadnych wystających prętów zbrojeniowych, żadnych popękanych stopni czy odłamków betonu, żadnych strużek krwi czy kawałków ciał leżących na stopniach.

Nic.

Przystanął w momencie, gdy jego głowa znalazła się na równi z poziomem chodnika Dwudziestej Trzeciej Ulicy, i rozejrzał się.

Nic.

Wyszedł o stopień wyżej i odwrócił się w stronę Flatiron Building. Jego celu.

Spojrzał w lewo, potem w prawo. Nic.

A właściwie gorzej niż nic.

Żadnych samochodów. Żadnych taksówek. Żadnych autobusów, ciężarówek, dostawczych furgonetek z nazwą firmy wypisaną na drzwiach. Żadnych motocykli ani vesp w pastelowych barwach. Żadnych kurierów na rowerach ani dostawców pizzy. Żadnych rolkarzy ani deskorolkarzy.

Żadnych przechodniów.

Był ciepły letni wieczór, dochodziła jedenasta. Kilka kroków od wyjścia z metra, w kierunku, w którym patrzył właśnie Reacher, Piąta Aleja krzyżowała się z Broadwayem. Nieco dalej znajdowała się dzielnica Chelsea, a za nią Gramercy. Na lewo od niego rozciągał się Union Square, a po prawej w niebo strzelał Empire State Building, wzniosły i smukły niczym kamienna iglica, którą właściwie był. Reacher powinien widzieć setki ludzi. Albo tysiące. Dziesiątki tysięcy. Facetów w tenisówkach i koszulkach, dziewczyny w krótkich letnich sukienkach, spacerujących leniwym krokiem lub pędzących gdzieś w pośpiechu, zmierzających do klubów, do barów albo do kin na nocne seanse.

Powinien się tu kłębić cały tłum. Powietrze powinny wypełniać rozmowy i śmiech, tupot nóg, okrzyki i wołania, jakie wydają rozbawieni ludzie w ciepły letni wieczór, wycie syren i dźwięk klaksonów, szum opon i ryk silników.

Reacher nie widział ani nie słyszał żadnej z tych rzeczy.

Wrócił na dół i ponownie przeszedł pod taśmą. Potem skierował się ku kolejnemu wyjściu, położonemu dalej na północ. Tym razem przeszedł nad taśmą, bo była zawieszona niżej. Wspiął się na schody równie ostrożnie jak przed chwilą, lecz odrobinę szybciej. Znalazł się na rogu ulicy; przed sobą miał Madison Square Park z ciemnymi drzewami, otoczony czarnym żelaznym ogrodzeniem. Brama parku wciąż była otwarta, lecz nikt z tego nie korzystał. Tutaj również Reacher nie dostrzegł żadnych przechodniów ani spacerowiczów. Żywej duszy.

Wyszedł na chodnik i zatrzymał się przy ostatnim słupku podpierającym poręcz. W oddali, na skrzyżowaniu położonym na zachód od stacji, pulsowały czerwone i niebieskie światła. Na środku ulicy stał radiowóz. Blokada. *Nie wchodzić*. Reacher obrócił się i spojrzał na wschód. Ta sama sytuacja. Czerwone i niebieskie światła na Park Avenue. *Nie wchodzić*. Dwudziesta Trzecia Ulica również była zamknięta. Zapewne podobnie jak wszystkie inne mniejsze w okolicy, jak Broadway, Piąta Aleja i Madison, prawdopodobnie na wysokości Trzydziestej.

I ani jednego człowieka.

Reacher spojrzał na Flatiron Building. Wąski trójkąt wysunięty wierzchołkiem do przodu. Jak cienki klin albo skromny kawałek tortu. Choć jemu przypominał przede wszystkim dziób statku. Ogromnego liniowca, który płynął w jego stronę. Niezbyt oryginalna myśl. Wiedział, że wielu ludzi ma podobne skojarzenia. I to

pomimo szklanej przybudówki, która, zdaniem niektórych, psuła ten efekt. Reacher uważał, że jest całkiem odwrotnie, że przybudówka wygląda jak fala tworząca się przed potężnym supertankowcem, widoczna tylko wtedy, gdy okręt nie jest załadowany.

W końcu kogoś dostrzegł. Za szybami przybudówki. Kobieta. Stała na chodniku Piątej Alei i patrzyła na północ. Była w ciemnych spodniach i ciemnej koszuli z krótkimi rękawami. Trzymała coś w prawej ręce. Może telefon. Może glocka 19.

Odepchnął się od poręczy i przeszedł przez ulicę. Nieprzepisowo, bo na czerwonym świetle, ale ulica była pusta. Czuł się tak, jakby trafił do wymarłego miasta. Jakby był ostatnim człowiekiem na Ziemi. Z wyjątkiem kobiety na Piątej Alei. Do której właśnie szedł. Kierował się prosto na przybudówkę Flatiron Building. W ciszy zalegającej nad ulicą słychać było wyłącznie stukot jego butów. Metalowa rama przybudówki miała kształt wąskiego trójkąta, wyglądała jak miniatura budynku, o który się opierała, jak maleńka żagłówka, która ucieka przed olbrzymim okrętem. Pomalowano ją jasnozieloną, przypominającą mech farbą, i wzbogacono węzowatymi ornamentami. W żelaznych ramach osadzono wielkie szyby, długie jak samochód i niemal równie wysokie, sięgające od kolan człowieka niemal do pierwszego piętra.

Kobieta go zobaczyła.

Odwróciła się do niego i cofnęła, jakby próbowała go przywołać. Reacher zrozumiał. Chciała wciągnąć go w cień, na południową stronę ulicy. Obszedł przybudówkę. Kobieta miała w ręce telefon, a nie pistolet.

– Kim pan jest? – spytała.

– A pani?

Odwróciła się od niego, a potem wróciła do poprzedniej pozycji, jednym płynnym ruchem, niczym koszykarz zwodzący przeciwnika, zrobiła to jednak na tyle powoli, by Reacher mógł zobaczyć żółte litery FBI na plecach jej kurtki.

– A teraz proszę odpowiedzieć na moje pytanie – rozkazała.

– Jestem zwykłym facetem.

– I co pan tutaj robi?

– Patrzę na ten budynek.

– Na Flatiron?

– Nie, na tę szklaną przybudówkę.

– Dlaczego?

– Długo spałem? – spytał nieoczekiwanie Reacher.

– Co to ma znaczyć? – Kobieta zmarszczyła brwi.

– Czy jakiś stary szalony pułkownik przeprowadził zamach stanu? Żyjemy teraz w państwie policyjnym? Chyba się zdrzemnąłem i przegapiłem to wszystko.

– Jestem agentką federalną. Mam prawo spytać o nazwisko i poprosić o dokument tożsamości.

– Nazywam się Jack Reacher. Bez drugiego imienia. W kieszeni mam paszport. Chce pani, żebym go wyjął?

– Bardzo powoli.

Więc zrobił to bardzo powoli. Używając palca wskazującego i środkowego, jak kieszonkowiec. Wyjął z kieszeni cienką niebieską książeczkę i podniósł ją przed siebie, pokazując, że to nic groźnego. Potem podał ją agentce.

– Dlaczego urodził się pan w Berlinie? – spytała, zaglądając do paszportu.

– Nie miałem żadnego wpływu na decyzje mojej matki. W tym czasie byłem tylko płodem.

– Dlaczego była wtedy w Berlinie?

– Bo był tam też mój ojciec. Służył w marines. Mama mówiła, że niewiele brakowało, a urodziłbym się w samolocie.

– Jest pan komandosem?

– Obecnie jestem bezrobotny.

– A co pan robił wcześniej?

– Też byłem bezrobotny.

– A jeszcze wcześniej?

– Służyłem w wojsku.

– Konkretnie?

– W żandarmerii wojskowej.

Oddała mu paszport.

– Stopień? – spytała.

– Czy to ważne?

– Mam prawo spytać.

Patrzyła w stronę parku, ponad jego ramieniem.

– Odszedłem jako major – odpowiedział Reacher.

– To dobrze czy źle?

– Raczej źle. Gdybym dobrze się spisywał jako major, zmusiliby mnie, żebym został.

Agentka milczała.

– A pani? – spytał Reacher.

– O co pan pyta?

– O stopień.

– Agentka specjalna, kierownik operacji.

– Teraz też kieruje pani operacją?

– Tak.

– Jestem pod wrażeniem.

– Skąd pan tu przyszedł? – spytała.

– Ze stacji metra.

– Była tam taśma policyjna?

– Nie przypominam sobie.

– Zignorował ją pan.

– Proszę przeczytać pierwszą poprawkę do konstytucji. Jestem pewien, że wolno mi chodzić tam, gdzie chcę. Czy to nie dzięki takim prawom Ameryka jest rajem na ziemi?

– Przeszkadza pan.

– W czym?

Wciąż patrzyła za niego.

– Nie mogę panu powiedzieć.

– Więc trzeba było dopilnować, żeby pociągi nie zatrzymywały się na tej stacji.

Taśma to za mało.

– Nie miałam na to czasu.

– Bo?

– Nie mogę tego panu zdradzić.

Reacher milczał.

– Dlaczego interesuje pana ta szklana przybudówka? – spytała kobieta po chwili.

– Pomyślałem, że zatrudnię się jako czyściciel okien. Może dzięki temu wyjdę na prostą.

– Okłamywanie agenta federalnego jest przestępstwem.

– Każdego dnia milion ludzi patrzy na te okna. Pytała ich pani, dlaczego to robią?

– Pytam pana.

– Myślę, że właśnie tu Edward Hopper namalował *Nocne jastrzębie*.

– Co to takiego?

– Obraz. Dość znany. Widok na bar, z zewnątrz, późną nocą. Na ludzi w środku.

– Nigdy nie słyszałam o barze, który nazywałby się *Nocne Jastrzębie*. Nie tutaj.

– Nocne jastrzębie to właśnie ci ludzie w środku. Bar nazywał się Phillies.

– Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek był tu jakiś bar.

– Bo chyba nie było.

– Właśnie pan powiedział, że był.

– Myślę, że Hopper zobaczył to miejsce i wyobraził je sobie jako bar. Kształt jest dokładnie taki sam.

– Chyba znam ten obraz. Troje ludzi, tak?

– I barman. Pochyliła się, robi coś pod kontuarem. Obok niego stoją dwa termosy z kawą.

– Przy barze siedzą dwie osoby, mężczyzna i kobieta, blisko siebie, ale się nie dotykają, a trochę dalej jeszcze jeden facet, całkiem sam. Odwrócony plecami. W kapeluszu.

– Obaj mężczyźni mają kapelusze, a barman czapkę.

– Kobieta ma rude włosy. Wygląda na przygnębioną. To najsmutniejszy obraz, jaki znam.

Reacher spojrział na przybudówkę. Bez trudu mógł sobie wyobrazić jasne świetlówki, które wypełniają wnętrze pomieszczenia ostrym, bezlitosnym blaskiem, wystawiają siedzących w środku ludzi na pokaz wszystkim, którzy przechodzą sąsiednimi ulicami, tyle że te ulice są puste.

Na obrazie i w rzeczywistości.

– Co się tu właściwie dzieje? – spytał.

– Proszę się stąd nie ruszać, dopóki panu nie pozwolę.

– Bo co?

– Bo inaczej trafi pan do więzienia za utrudnianie operacji związanej z bezpieczeństwem narodowym.

– Albo pani zostanie zwolniona za kontynuowanie operacji, w której nieoczekiwanie przeszkodził cywil.

– Operacja nie toczy się tutaj, tylko w parku.

Spojrzała na ciemną masę drzew za miejscem, gdzie łączyły się trzy duże arterie.

– Co się tu dzieje? – powtórzył Reacher.

– Nie mogę panu powiedzieć.

– Na pewno słyszałem już gorsze rzeczy.

– Żandarmeria wojskowa, tak?

– Jak FBI, tylko ze znacznie mniejszym budżetem.

– Mamy w parku obiekt. Siedzi na ławce i czeka na łącznika, który nie przyjdzie.

– Kto to taki?

– Czarna owca.

– Z waszego stada?

Kobieta skinęła głową.

– Jeden z nas.

– Jest uzbrojony?

– Nigdy nie nosi broni.

– Dlaczego jego łącznik nie przyjdzie?

– Zginął godzinę temu w wypadku samochodowym. Sprawca uciekł. Nikt nie zapisał numerów rejestracyjnych.

– Bardzo dziwne, prawda?

– Okazało się, że to Rosjanin. Departament Stanu musiał poinformować ich konsulat. A wtedy okazało się, że facet właśnie tam pracował. Zwykły zbieg okoliczności.

– Wasz człowiek gadał z Rosjanami? Ludzie nadal to robią?

– Coraz częściej. I nabiera to coraz większego znaczenia. Mówi się, że wracamy do lat osiemdziesiątych. Ale to nieprawda. Wracamy do lat trzydziestych.

– Więc wasz człowiek nie zostanie pracownikiem miesiąca.

Kobieta nie odpowiedziała.

– Gdzie go zabierzecie? – spytał Reacher.

– To wszystko objęte jest tajemnicą – odpowiedziała agentka po chwili wahania.

– To wszystko? Co wszystko? Nie możecie zabrać go do kilku miejsc naraz.

Nie odpowiedziała.

Reacher również milczał przez chwilę.

– Idzie do miejsca, które was interesuje? – spytał w końcu.

Kobieta nadal nie odpowiadała.

– Tak czy nie?

– Nie.

– Ze względu na ważniaków w górze?

– Jak zawsze.

– Jest pani mężatką?

– A jakie to ma znaczenie?

– Jest pani?

– Na razie nie.

– Więc jest pani tą rudowłosą.

– I?

– Ja jestem samotnym facetem w kapeluszu, odwróconym do wszystkich plecami.

– I co to oznacza?

– To oznacza, że wybiorę się teraz na spacer. Wie pani, pierwsza poprawka. I że pani zostanie tutaj. Bo to będzie strategicznie najlepsze rozwiązanie.

To powiedziawszy, odwrócił się i odszedł, nim kobieta mogła zaprotestować. Minął przybudówkę i przeszedł na ukos przez skrzyżowanie. Utrzymywał równe, szybkie tempo, nie zwalniał przy krawężnikach ani liniach namalowanych na jezdni, ignorował czerwone światła, aż w końcu wszedł do parku południowo-zachodnią bramą. Naprzeciwko znajdowała się wyłączona fontanna i zamknięta budka z hamburgerami. Główna alejka skręcała szerokim łukiem w lewo, tworząc zapewne jedną z kilku owalnych tras przypominających bieżnie lekkoatletyczne.

Mrok rozpraszały małe ozdobne lampki umocowane na palikach i blask Times Square, który odbijał się od chmur i czerwienił niczym flara. Mimo to Reacher widział jedynie puste ławki, przynajmniej na początku łuku. Niezrażony, szedł dalej, lecz kolejne ławki również były puste, aż do przeciwległego krańca łuku, gdzie znajdowała się kolejna wyłączona fontanna i plac zabaw dla dzieci. Tu również stały ławki.

Jedna z nich była zajęta.

Siedział na niej rumiany, otyły facet koło pięćdziesiątki, w ciemnym garniturze. Nalana twarz, rzednące włosy. Facet, który wyglądał tak, jakby życie przeszło obok niego.

Reacher zbliżył się do ławki, facet spojrzał na niego, a potem odwrócił wzrok, lecz on, tak czy inaczej, usiadł obok.

– Borys czy Władimir, czy jak mu tam nie przyjdzie – powiedział. – Nakryli cię. Wiedzą, że nie masz broni, ale zamknęli teren w promieniu jakichś dziesięciu przecznic, co znaczy, że chcą cię zastrzelić. Wykonają egzekucję. Ale nie w mojej obecności. Nie przy świadkach. Agentce kierującej operacją wcale nie podoba się takie rozwiązanie. Lecz naciskają ją z góry.

– Więc? – spytał krótko facet.

– Więc oto mój dobry uczynek dnia – odparł Reacher. – Jeśli chcesz się poddać, pójdę do niej z tobą. Do samego końca. Możesz jej powiedzieć, co wiesz, i spędzić resztę życia w celi trzy na trzy.

Facet milczał.

– Ale może nie chcesz siedzieć do końca życia w więzieniu – kontynuował Reacher. – Może jest ci wstyd. Może samobójstwo z ręki gliniarza to dla ciebie lepsze rozwiązanie. Nie mnie to oceniać. Więc jeśli chcesz, mogę zrobić jeszcze lepszy uczynek i pójść sobie stąd. Twój wybór.

– Więc idź – rzucił facet.

– Jesteś pewien?

– Nie mógłbym tego znieść.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Żeby kimś być.

– Co mógłbyś powiedzieć agentce?

– Nic ważnego. Teraz najważniejsza jest dla nich ocena strat, ale wiedzą, do czego miałem dostęp, więc wiedzą też, co mogłem im powiedzieć.

– I nie masz nic ciekawego do dodania?

– Nie. Nic nie wiem. Moi łącznicy nie są głupi. Wiedzą, że tak to się może skończyć.

– W porządku. – Reacher skinął głową. – Pójdę sobie.

I poszedł. Opuścił park północno-wschodnią bramą, gdzie usłyszał przytłumiony sygnał krótkofalówki, zwiastun meldunku na jego temat. Zatrzymał się na pierwszym skrzyżowaniu przy Madison Avenue, oparł o kamienną fasadę dużego budynku i czekał. Cztery minuty później usłyszał strzały, w sumie jedenaście lub dwanaście, serię dźwięków, które mogłaby wydawać książka telefoniczna uderzająca o blat biurka.

Potem nad pustymi ulicami znów zapadła cisza. Reacher odepchnął się od ściany i ruszył na północ Madison Avenue. Wyobrażał sobie, że siedzi przy barze, w kapeluszu, z łokciami opartymi o blat, rozmyślając o nowym sekrecie w życiu pełnym starych sekretów.